
LITERATURA
WIECIEŃ • CENA 200 ZŁ • PL ISSN 0137-2538 NR INDEKSU 36406
4 (67) 88
Daniel Passent
WSZYSTKO O FIBAKU
J. ZAMIATIN „My"
60-603
Poznań
Al. Wlkp. 63
ROZMOWY Z MIŁOSZEM


TO JEST
MOJA GRA (1)
4
DANIEL PASSENT

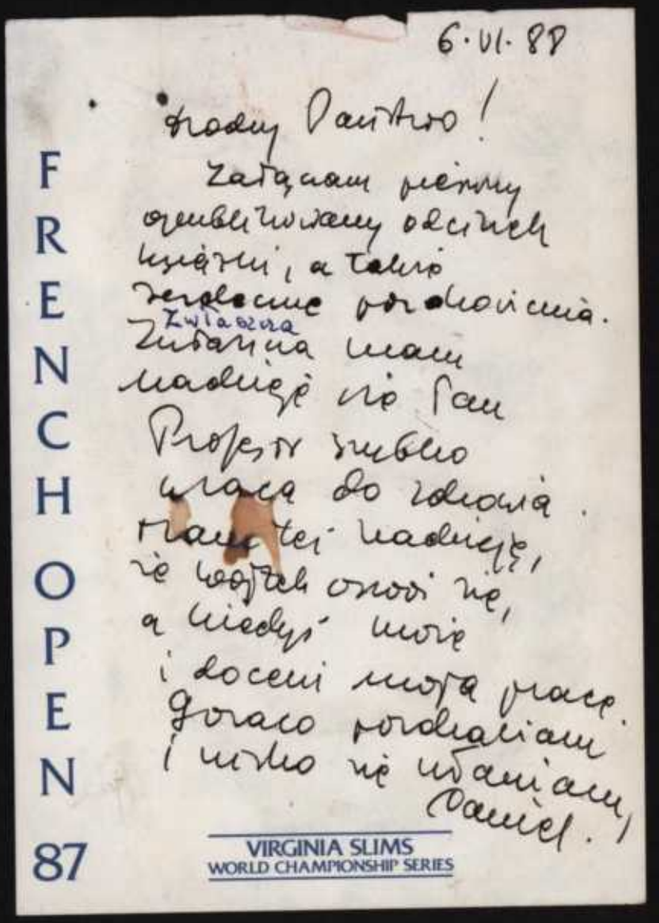
6.VI.88
Drodzy Państwo!
Załączam pierwszy
opublikowany odcinek
książki, a także
serdeczne pozdrowienia.
Zwłaszcza
Zuzanna mam
nadzieję że Pan
Profesor szybko
wraca do zdrowia.
Mam też nadzieję,
że wojtek oswoi się,
a kiedyś może
i doceni moją pracę.
Gorąco pozdrawiam
i nisko się ukłaniam,
Daniel.
FRENCH OPEN
87
VIRGINIA SLIMS
WORLD CHAMPIONSHIP SERIES

DANIEL PASSENT (1)



CZY TO JEST KSIĄŻKA DLA CIEBIE?

Jezeli uważasz, ze niemoralnie jest kupić tanio, a sprzedać drogo, zaś jedynym źródłem wzbogacenia się powinna być praca nie czytaj tej książki, ponieważ dowiesz się jak działa Wojtek Fibak i to cię zdenerwuje.

Jeżeli uważasz, że nie należy popularyzować człowieka, który nie pracuje osiem godzin dziennie w kopalni „Staszic" ani w Hucie Lenina, tylko gra w tenisa, robi interesy i osiedlił się w Ameryce — możesz tę książkę potępić z góry, bez czytania.

Jeżeli uważasz, że sport jest to strata czasu, a odbijanie piłki tenisowej nie ma sensu, jeżeli sportowców uznajesz za półgłówków, a publiczność za stado baranów nie czytaj tej książki, ponieważ jest dla ciebie za błaha. Nie brak przecież poważnych lektur dla poważnych ludzi, którzy omijają boisko, stadion, kort i ring, zaś słowo arena kojarzy im się tylko z cyrkiem. Zawsze możesz poczytać „Trybunę Ludu" albo Gołubiewa, bogoojczyźnianego Dobraczyńskiego albo rozwiązłego Henry Millera, którzy odmalowują zupełnie inny świat niż świat Wojciecha Fibaka.

Jeżeli należysz do tych demokratów, którzy wierzą, że wszyscy ludzie są tacy sami, mają takie same żołądki, dlatego powinni tyle samo jeść, tak samo mieszkać i żyć na równej stopie — odłóż tę lekturę, zanim dowiesz się jak żyje Fibak; to może cię tylko zgorszyć.

Jeżeli jesteś takim patriotą, który uważa, że Polak może czuć się dobrze tylko w Polsce, a ojczyźnie może pomóc tylko ten, kto w niej mieszka — daruj sobie tę lekturę. Po co mamy się kłócić? Wszak obaj mieszkamy w kraju, zarówno czytelnik jak i autor. A że znalazł się człowiek, który woli być zadowolony za granicą niż niezadowolony w kraju — to Bóg z nim, po co zaraz o nim czytać? Odsuń tę książkę daleko. W Polsce nie brak książek budujących, jednoznacznych ideowo i moralnie — poczytaj jeszcze raz o człowieku, który się kulom nie kłaniał, po co masz czytać o Wojtku, który nie kłaniał się piłkom, natomiast pokłonił się Ameryce i Francji, Statui Wolności i wieży Eiffla, a także — co tu ukrywać — dolarom i frankom.

Jeżeli jesteś idealistą, którego wzrusza wyłącznie Polonez As-dur, Panorama Racławicka i nic, ale to nic więcej, natomiast ośmiocyfrowe konto dolarowe w ogóle nie robi na tobie wrażenia — nie zabieraj się do tej lektury, ponieważ ona nie jest dla ciebie — ona jest przeciwko tobie. Na zawodowym korcie miernikiem człowieka są także wygrane przezeń pieniądze. Nie jest to miara najlepsza i sprawiedliwa, ale powszechna i coraz więcej tenisistów chce się tą skalą mierzyć.

Jeżeli jesteś pewien, że człowiek powinien żyć skromnie, pokornie, przykładnie, jak jego rodzice — skończyć szkołę, pójść do pracy, po dziesięciu latach kupić malucha, po piętnastu wprowadzić się do własnego mieszkania, zaś po dwudziestu odwiedzić rodzinę za granicą — zastanów się czy warto czytać o kimś, kto postąpił dokładnie odwrotnie — nie ukończył studiów, nie poszedł do pracy, nie kupił malucha tylko volkswagena, mieszkanie dostał prędko, a wyjechał jeszcze prędzej i wcale się tego nie wstydzi. Czy obcowanie z takim osobnikiem, choćby za pośrednictwem książki nie podsyci wątpliwości, które i tak Cię gryzą na Twój własny temat?

To jest książka dla zupełnie innych ludzi. Dla tych, którzy sądzą, że życie jest bardziej skomplikowane niż dydaktyczne opowiastki o tym, że praca i tylko praca, że miłość bliźniego, że Bóg, Honor i Ojczyzna. To nie jest książka dla dzieci, to jest książka dla dorosłych, którzy już wiedzą, że ludzie to nie są manekiny, każdy jest inny i chce żyć po swojemu, nawet jeżeli większość nie może — to niektórym się udaje. To nie jest książka dla zazdrosnych, którzy w piekle ściągnęliby do naszego kotła każdego, kto usiłuje się zeń wygrzebać — to jest lektura dla tych, którzy nie mają za złe innym, tylko wymagają od siebie, nie patrzą z góry, tylko pod górę; cudzy sukces nie oburza ich, tylko dopinguje, pobudza mózg, a nie woreczek żółciowy.

To nie jest samouczek gry w tenisa, zarabiania pieniędzy, ani tym bardziej poradnik, który odpowiada na pytanie — jak żyć? Na to pytanie każdy musi odpowiedzieć sam, mimo różnych podszeptów pana, wójta i plebana — wybór należy do każdego z nas i żaden wzór nie powinien być powielony w 37 milionach egzemplarzy. Cóż by się bowiem stało z Polską, gdyby nagle wszyscy wzbogacili się i osiedli za granicą? Na szczęście nikt Fibaka nie może skopiować, natomiast każdy może się czegoś od niego nauczyć.

TA KSIĄŻKA WISIAŁA W POWIETRZU

Pomysł tej książki narodził się w dwóch różnych miejscach, wśród różnych ludzi, niezależnie od siebie. W maju 1986 roku, na

CO TO ZA KSIĄŻKA?

MIESIĘCZNIK „Literatura" — ukazujący się z dużym „poślizgiem" — intryguje taka oto zapowiedzią:

...Jeżeli uważasz, że niemoralnie jest kupić tanio, a sprzedać drogo, zaś jedynym źródłem wzbogacenia się jest praca — nie czytaj tej książki, ponieważ dowiesz się jak działa Wojtek Fibak i to Cię zdenerwuje...

Jeżeli uważasz, że nie należy popularyzować człowieka, który nie pracuje osiem godzin dziennie w kopalni „Staszic" ani w Hucie Lenina, tylko gra w tenisa, robi interesy i osiedlił się w Ameryce — możesz tę książkę potępić z góry, bez czytania...

To nie jest książka dla dzieci, to jest książka dla dorosłych, którzy już wiedzą, że ludzie to nie są manekiny, każdy jest inny i chce żyć po swojemu, nawet jeżeli większość nie może — to niektórym się udaje...

To nie jest książka dla zazdrosnych, którzy w piekle ściągnęliby do naszego kotła każdego, kto usiłuje się zeń wygrzebać..."

Anons bardzo się nam podoba. Wypada zapytać, co to za książka, której fragmenty ukazą się w „Literaturze"? Nie znamy nazwiska/tytułu, ale domyślamy się, że o Wojciechu Fibaku napisał Daniel Passent. Taka pozycja zainteresuje nie tylko kibiców tenisa.

Si on lui parle de miracle, Henri Leconte chuchote un nom : Wojtek Fibak

d'Italie qui ont lieu à Rome du 9 au 15 mai. En attendant, il a programmé repos et révision. "Cela fait cinq semaines que je joue sans discontinuer. J'ai besoin de souffler un peu. Cette semaine, je joue trois exhibitions, c'est plus tranquille. J'en profite pour travailler des points de détail dans mon jeu. Les jours où je ne joue pas, je me contenterai de m'entraîner une heure par jour. Et la semaine après Rome, celle qui précède Roland-Garros, je me mettrai totalement au vert, on ne me verra pas." La meilleure manière d'arriver au top à Paris, selon Leconte : "De toute façon, l'important, ce n'est pas d'être prêt dix jours avant Roland-Garros, c'est de l'être pendant." Lumineux !

PASCAL CEAUX
Envoyé spécial/Hambourg

ROLAND-GARROS
CINQ/SET

PAR PAUL WERMUS



BRIGITTE LECONTE, la femme d'Henri, vient de changer de look. La coupe garçonne semble avoir donné du tonus à son mari.

mistrzostwach świata w piłce nożnej w Meksyku, mieszkałem w hotelu w Monterrey, w jednym pokoju z Tadeuszem Olszańskim. Olszański, znany i doświadczony dziennikarz, nie tylko sportowy, także tłumacz literatury węgierskiej i miłośnik Węgier, sam autor wielu książek, obecnie wicedyrektor Ośrodka Kultury Polskiej w Budapeszcie, powiedział w pewnej chwili, wkładając piżamę — Daniel, ty powinieneś napisać książkę o Fibaku.

Pół roku wcześniej, w USA, w miejscowości Greenwich, w stanie Connecticut, gdzie — w swojej potężnej rezydencji, w stylu amerykańskiego gotyku spóźnionego o pięćset lat — mieszka Wojciech Fibak, spotkała się z nim przypadkowo Agnieszka Osiecka, która odwiedzała zamieszkałego po sąsiedzku byłego korespondenta „New York Times" w Polsce, Johna Darntona, rozsądnego, dowcipnego i pełnego wdzięku, oraz jego żonę, Ewę, o wulkanicznym temperamencie. Podjechał tam Fibak, w płaszczu i samochodzie, które wywarły na Osieckiej duże wrażenie, mimo iż normalnie nie jest wrażliwa na urok dóbr doczesnych, raczej dostrzega ludzi niż to, co noszą i czym jeżdżą. W ich rozmowie również narodziła się myśl napisania podobnej książki.

Można zatem powiedzieć, że książka wisiała w powietrzu, a mimo to obaj z Fibakiem wahaliśmy się do ostatniej chwili. Ja uważałem, że pisanie książki wyłącznie o trzydziestokilkuletnim (nie wiedziałem nawet dokładnie ile ma lat) sportowcu i przedsiębiorcy, niezbyt ma sens. Są ciekawsi ludzie i tematy. Jeżeli już koniecznie pisać o Fibaku, to dlatego, że niektóre jego zainteresowania — sport, malarstwo i Ameryka — podzielam, zaś innych — jak handel nieruchomościami — nie znam, są mi obce, ale to, co obce, może być właśnie ciekawe. Jeżeli już — myślałem sobie — to nie tyle książka o Fibaku, co wokół Fibaka — o tenisie, sportowcach, podróżach, skłonnościach przedsiębiorczych, o kolekcjonowaniu obrazów i pieniędzy, o Stanach Zjednoczonych, tam gdzie wszystkie te skłonności się zrealizowały. Jeżeli już, to nie „Fibak", ale „Świat Fibaka" — tak widziałem tę książkę. Jeżeli jednak nie „Fibak" — to dlaczego zawracać głowę obcemu człowiekowi? Bo trzeba powiedzieć, że zanim przystąpiłem do pracy nad książką, nie znałem Wojciecha Fibaka. Widziałem go raz czy drugi na meczu, będąc wśród publiczności i raz odmówił mi udzielenia wywiadu do gazety. Nie miałem wtedy, ani tym bardziej nie mam teraz — kiedy wiem dlaczego i pod czyim wpływem to zrobił — mu tego za złe. Ale jak każdy człowiek mam o sobie jakieś tam mniemanie, może nawet wygórowane i zastanawiałem się, czy Fibak to nie jest temat dla dziennikarza młodszego, prawdę mówiąc czy nie szkoda czasu na tę książkę? Pewien znany publicysta powiedział mi, że gdyby on pisał książkę o Fibaku, to tylko za dolary.

Brzmi to nieskromnie, zwłaszcza wobec Fibaka, którego wówczas nie znałem, ale obiecaliśmy sobie wzajemną szczerość i to nas obu zobowiązuje. Fibak też był ze mną szczery. Zaglądałem mu do talerza i na trening, słuchałem jak rozmawia z adwokatem i jak opowiada Pusi bajeczkę do snu, ułatwiał mi wszystkie kontakty, jakie mógł, nawet Iwana Lendla, z którym łączą go stosunki od pewnego czasu chłodne, namawiał kilkakrotnie do rozmów ze mną, zawsze usuwał się dyskretnie i taktownie, gdy z kimkolwiek o nim mówiłem.

Jednakże sam fakt, że współpraca z Fibakiem układała się doskonale, przede wszystkim dzięki niemu, nie rozwiał wszystkich moich wątpliwości na temat tej książki. Czy będę umiał zachować dystans wobec człowieka, który ostatecznie mi zaufał i otworzył przede mną swój świat? A jeśli zaprzyjaźnię się i stracę niezbędny dystans oraz krytycyzm? Jak go będę wychwalał — wówczas powiedzą, że Fibak na pewno mi zapłacił, „kupił sobie tę książkę". Wszystko już ma, jeszcze mu tylko książka brakowała — będą mówili. A jak go będę krytykował, to powiedzą, że to na polecenie, bo Fibak odwrócił się od PRL, zamieszkał w Ameryce i powiedział dziennikarzowi, że w stanie wojennym nie wystąpi w reprezentacji Polski. Tak źle i tak niedobrze. Na pewno jest to książka na zamówienie, tylko jeszcze nie wiadomo czyje, ale życzliwi będą widzieli.

Ponadto nigdy nie ustąpiły rozterki innej, bardziej zasadniczej natury: czy Wojciech Fibak jest postacią, którą można i należy w Polsce popularyzować? W Polsce samo pisanie o kimś jest wyróżnieniem i formą aprobaty, chyba że pisze się pamflet na Konrada Adenauera albo Jerzego Urbana. Pamflety na Fibaka pisano, ale ku temu nie widzę powodów. Za długo tkwię w branży, żebym nie wiedział, że u nas nawet opublikowanie czyjegoś zdjęcia w gazecie czy najkrótsza rozmowa w telewizji uchodzi w oczach dysponentów i publiczności za wyróżnienie, za dowód aprobaty i pamiętam jak Gomułka miał za złe Rakowskiemu, że opublikował na pierwszej stronie „Polityki" reportaż Kapuścińskiego z wesela na wsi, gdzie dziewczyna kochała się z chłopakiem za stodołą i to jak: na stojąco...

Widziałem jak określa się redaktorom rozmiar fotografii, kto i na której stronie gazety ją opublikuje. Jeżeli tak, to cóż dopiero książka o trzydziestopięcioletnim sportowcu, który wzbogacił się i zamieszkał w USA, co prawda z polskim paszportem, ale jednak... Czy nie zarzucą mi, że to popieram, że aprobuję handel nieruchomościami, mieszkanie w pałacu, z basenem odkrytym i krytym. Byłem świadkiem jak ciężarówka przywiozła dwa ogromne żyrandole do stylowego oświetlenia basenu krytego w zameczku Fibaka w USA, żyrandole, które sięgałyby od sufitu do podłogi w zwyczajnym polskim mieszkaniu i w Warszawie nadawałyby się raczej do oświetlenia restauracji „Trojka". Po cóż to popularyzować, wszak u nas, jeśli się opisuje, to znaczy, że się akceptuje, ba, popiera, ba, reklamuje — tak się w Polsce myśli. Po co mi to? Na cóż mi jeszcze zarzuty, że rozsławiam konsumpcyjny styl życia i luksusy, podczas gdy nasz polski kryzys zaciska nam pasa aż dech zapiera. Po cóż ludzi denerwować pisaniem o tym, że Fibak chętnie kupi i odnowi hotel „Bristol" — narodową świętość, pod warunkiem, że będzie coś z tego miał? Czy godzi się zarabiać na zabytku, w którym mieszkał Paderewski? Doszliśmy do tego, że uważamy za niemoralne, by ktokolwiek poza państwem wyremontował i zarabiał na najstarszym i najładniejszym hotelu w stolicy, a ten jedyny, kto ma takie prawo, nawet obowiązek, nie jest w stanie tego zrobić już dziesięć lat, a jak państwo dba o zabytki najlepiej widać w Krakowie.

Po cóż mam więc wkładać swoje pióro między drzwi, które oddzielają sposób myślenia Fibaka od tego, jak myśli się w Polsce? Żeby narazić się na niechybne oskarżenia?

Po drugiej stronie tej książki, tak jak po drugiej stronie siatki na korcie, stoi jednak Fibak, który również miał wątpliwości, długo nie mógł zdecydować się na tę książkę i kiedy wreszcie zgodził się nie ukrywał swoich podejrzeń. Z jednej strony chyba troszkę mu imponowało, że chcę o nim napisać. Artykuły, wywiady, fotografie, telewizja polska, francuska, amerykańska i inne — to już wszystko było, to go już nie bawi. Ale książka i to w Polsce, gdzie przeczytają ją rodacy — to już była pokusa, propozycja trudna do odrzucenia. — Czuję się zaszczycony — te słowa usłyszałem pierwszy raz w Nowym Jorku w mercedesie Zbyszka Janiszewskiego (kiedyś 440 cm w skoku o tyczce, obecnie w USA), gdy zatelefonował do swojego przyjaciela Fibaka do Paryża, żebyśmy porozmawiali przez ocean, a przy okazji zawiadomił go, że dwa ulubione psy rodziny Fibaków wysłał właśnie do nich samolotem i należy je odebrać z lotniska, tak jak on odebrał mnie.

— Czuję się zaszczycony — powiedział jeszcze potem Fibak, gdy zobaczyliśmy się i poznali osobiście, ale czułem, że byłby bardziej zaszczycony, gdyby tę książkę pisał ktoś inny, może nie tyle lepiej władający piórem, ile bardziej, że się tak wyrażę, salonfahig. Kiedy dwa lata temu w Warszawie Fibak odmówił udzielenia wywiadu dla „Polityki", podając jakiś nieistotny pretekst, którego obaj nie braliśmy poważnie — ani on mówiąc, ani ja słuchając — nie wiedziałem, iż przedtem radził się swoich znajomych. Fibak radzi się chętnie i często. Pyta czy na jego miejscu kupilibyście ten obraz albo tamten dom, grali w tym turnieju i reklamowali wyroby tamtej firmy. Gdy pytałem go, czy nie mając odpowiedniego wykształcenia i przygotowania, wpadł kiedyś kupując tyle obrazów za wiele tysięcy dolarów — odpowiedział, że uniknął wpadki, ponieważ pyta się i radzi.

Janusz Dorosiewicz z Toronto (dawniej z „Hybryd"), bliski przyjaciel Fibaka i Lendla, powiedział mi, że „Polityka" nie otrzymała wywiadu, ponieważ Jacek Fedorowicz i Andrzej Kurylewicz „odradzali to Wojtkowi, powiedzieli mu, że jeżeli udzieli wywiadu Passentowi, to opowie się po niewłaściwej stronie..." Sam Fibak nigdy nic o tym nie mówił, a swoje decyzje bierze na siebie.

Jak wspomniałem, nie mam tego za złe. Nie ma na szczęście obowiązku udzielania wywiadu komukolwiek i wtedy nie przeszło mi nawet przez myśl, że za błahą rozmową do gazety o tenisie kryją się względy polityczne. Do tego stopnia nie zdawałem sobie z tego sprawy, że zamiast rozmowy, mój kolega opisał w „Polityce" spotkanie Fibaka ze studentami. Notabene krok ten spotkał się wówczas z dezaprobatą jednego z naszych przełożonych, ponieważ Fibak wyraził się źle o stanie wojennym, w odróżnieniu od niego myśmy się jednak nie radzili. Jerzy Lobman, czołowy moralista po-



Avec Jean-Claude Massias...



Patrice Hagelauer...

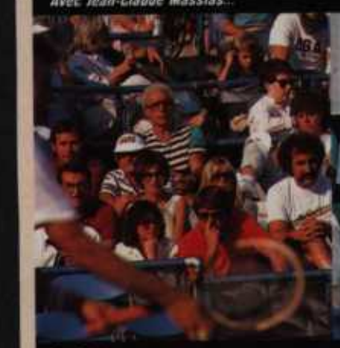

Ion Tiriac



... Patrice Dominguez...



et Wojtek Fibak

d'obtenir des variations de balle. Mais personne ne peut se vanter de quoi que ce soit. Je ne crois pas au gourou, ni au sorcier. C'est l'accumulation de tout ce qu'il a reçu qu'il rend aujourd'hui. Tous ses précédents entraîneurs ont bien travaillé avec lui, et lui ont apporté des solutions à ses problèmes psychologiques. C'est cela qu'il faut voir : le rôle d'un entraîneur, c'est surtout d'aider un joueur quand il est au creux de la vague. Le reste est du maintien en condition. »

WOJTEK FIBAK : C'ÉTAIT NOTRE OBJECTIF

Le champion polonais Wojtek Fibak, 35 ans, qui fut le coach d'Ivan Lendl de 1982 à 1985 (et qui est maintenant l'un de nos éminents collaborateurs — voir le poster) se définit lui-même comme le « conseiller » d'Henri Leconte. Leur association remonte à l'U.S. Open de l'an dernier. Henri était alors « au creux de la vague »...

« Il ne m'était pas possible d'être un coach au sens propre du terme, je ne pouvais pas l'accompagner partout. Mais je pouvais le conseiller techniquement, mentalement et l'aider à organiser sa vie de joueur. Quand Henri est venu me voir, il était en totale crise de confiance. Il ne gagnait plus. Il avait perdu au 1er tour à Roland-Garros, au 1er tour à Gstaad, en quarts de finale à Stuttgart contre Steeb et encore au 1er tour à Cincinnati. Il ne savait plus comment conduire un match. Quand il devait aborder un set décisif, il était fini avant de le commencer car son mental était à zéro. De plus, physiquement, il était hors du coup. Il n'avait pas de condition et aucune discipline de vie. Mais malgré tout cela, quand il perdait, il se trouvait des excuses : il avait mal ici ou là, il avait été gêné par le vent, par le soleil, il avait manqué de chance etc...
Enfin son programme de tournois était fait un peu n'importe comment, je l'ai vu du premier coup d'œil. Bien que pouvais-je-faire ? Je lui ai d'abord donné des conseils pour s'organiser. Il ne pouvait plus être à la fois le père, le mari, le chauffeur, le docteur et l'homme de courses. Je l'ai convaincu de ne plus se disperser, de penser en priorité à son tennis et à l'entraînement. Et puis, en lui parlant beaucoup, j'ai renforcé son mental. Je lui ai dit que son tennis pouvait lui faire tout gagner que c'était une question de confiance et je lui ai donné des indications sur la manière d'utiliser son propre jeu. Mais en priorité je voulais qu'il ait sur le court une attitude responsable. Je lui ai fait comprendre qu'avec son jeu, c'était normal de rater des coups, qu'il n'avait aucune excuse à trouver.
Physiquement, nous avons beaucoup travaillé : le vélo, le footing, de bonnes habitudes alimentaires et enfin techniquement, nous avons un peu tout passé en revue. Sans vouloir changer son jeu, je souhaitais qu'il l'utilise autrement. Maintenant, il s'en sert plus qu'avant. Il est plus détendu au moment de servir et il sert aussi bien sur les points importants que Lendl, Becker ou Edberg.
Autre chose : Henri me donne totalement carte blanche dans l'établissement de son programme. Ainsi, c'est moi qui ai pris la décision de ne l'inscrire qu'en double au Queens compte tenu de son Roland-Garros. Il aura besoin de récupérer à tout point de vue avant Wimbledon. Pendant ce tournoi de Roland-Garros j'ai également pris en charge tout le déroulement de ses journées. J'ai assisté à ses entraînements au Racing et l'on se parlait en tête à tête 3 ou 4 fois par jour. J'organisais son emploi du temps : heures des repas, une petite promenade avec les enfants, des entraînements, de la télévision et de sommeil. Il ne discute pas ce que je lui dis et comme il a la volonté d'arriver, il respecte mes conseils. Comme par exemple de ne pas répondre au téléphone pendant le tournoi et de ne jamais sortir le soir. Son Roland-Garros me comble parce que lors du premier U.S. Open, j'avais annoncé : notre objectif, c'est Roland-Garros et Wimbledon l'an prochain. Maintenant, je vais aller avec lui en Angleterre pendant tout Wimbledon et nous procèderons de la même façon. ■

lityczny „Trybuny Ludu", zganił wówczas „Politykę" za brak pryncypialności wobec Fibaka.

Ze studentami — tak, z Passentem — nie, to było nawet zrozumiałe, zrozumieć znaczy wybaczyć, ale cóż z tego, skoro studenci nie napiszą książki o Fibaku, nie napisze jej też satyryk Fedorowicz ani kompozytor Kurylewicz, bo jeden rysuje, drugi gra, a żaden nie pisze.

Fibak miał więc nadal wątpliwości, jak panienka, która chciałaby i boi się. Nie jest politykiem, w odróżnieniu od niektórych naszych nawiedzonych rodaków, nie patrzy na wszystko przez pryzmat polityki, nie obnosi się ze swoimi poglądami, nie demonstruje ich, ale również ich nie ukrywa. Socjalizm — tak, totalitaryzm — nie, taka jest jego ideologia. Ale jaki socjalizm? Jest zwolennikiem wolnej gry sił we wszystkim — w sporcie i w gospodarce, gdyż ta wolna gra sił pozwoliła mu wybić się, dzięki niej odniósł swoje największe sukcesy. Wolna konkurencja, walka o każdą piłkę, każdego gema, seta i o każdy mecz, podobnie jak o każdego dolara kiedyś i o każde sto tysięcy dzisiaj, o każdą parcelę, każdy dom i o każdy obraz Menkesa czy Kanelby — to jest jego żywioł, to jest jego gra. Taki jest jego ideał i to uformowało jego poglądy. Nie obnosi się z nimi, raz jeden publicznie potępił stan wojenny w Polsce, w jego nad wiek i zasługi wytwornym gabinecie stoi wspólna fotografia z papieżem Janem Pawłem II, wśród jego gości bywają Zbigniew Brzeziński i Nowak-Jeziorański w czasie wojny „kurier z Warszawy", potem wieloletni dyrektor redakcji polskiej „Wolnej Europy" — ludzie pełni dezaprobaty dla komunizmu.

Fibak, podobnie jak Lendl czy Navratilowa, nie są zwolennikami ustroju, w którym wyrośli. Częściowo płynie to z konfliktów na tle finansowym i innym z Federacją Tenisa CSRS oraz z różnych doświadczeń, a częściowo z wyjątkowego powodzenia w USA i na Zachodzie — gdzie odnieśli największe sukcesy pod każdym względem. O ile jednak Fibak wypowiada się o Polsce oszczędnie i poważnie, o tyle Navratilowa nie ukrywa swojej niechęci do socjalistycznej Czechosłowacji, jest zakochana w Ameryce i mówi Amerykanom to, co lubią słyszeć — że oni i ich kraj są cudowni.

Na półkach za plecami Fibaka stoją roczniki paryskiej „Kultury" i wydawnictwa emigracyjne, nie wiem czy je czyta, w rozmowach ze mną nigdy nie powołał się na żaden tekst, choć wymienia autorów takich jak historyk z Londynu Garliński, którego dobrze zna i sfinansował jego książkę, czy Brukselczyk. — Kiedyś to czytałem, mówi, to było coś innego, otwierało mi oczy na świat, pokazywało fakty od innej strony, teraz bardziej wracam do prasy krajowej. Artykuł w „Polityce" (Marka Ostrowskiego — D. P.) o demonstracjach studenckich w Paryżu był nie gorszy, a nawet lepszy niż w tutejszej prasie, bo pokazywał konflikt od innej strony.

Otóż to: od innej strony. Fibak lubi obejrzeć wszystko z każdej strony. Ceni sobie tę wolność, tę możliwość patrzenia z różnych stron, pod różnym kątem. Musiał widzieć jednocześnie cały kort, jego wszystkie strony, przed i za siatką, po lewej i po prawej stronie, podobnie jak musi widzieć zalety i wady parceli lub domu, które ma kupić lub sprzedać.

W sporcie istnieje określenie „przegląd pola". Chodzi o to, że gracz, który otrzymał piłkę, jak koszykarz lub piłkarz, i powinien momentalnie podać ją dalej, albo siatkarz który wyskoczył by piłkę zbić, musi w ułamku sekundy dokonać przeglądu boiska i zagrać piłką jak najbardziej celowo. W tenisie taki moment następuje przy siatce „na woleju", który jest ulubionym sposobem gry Fibaka. Tu nie ma ucieczki od działania, nie ma czasu na rozterki, nikt nie uwolni od decyzji, jak kierowcy, któremu na ruchliwej ulicy nagle ktoś wpada pod koła — nie zareaguje to zabije. Wtedy ujawnia się ten szósty zmysł, spryt ulicznika, refleks drapieżnika, swoista inteligencja, której Fibak tyle zawdzięcza.

Spojrzeć od innej strony, to ma również znaczyć, że sprawy polskie Fibak widzi inaczej niż ja. Nie dlatego, iż bym ja mniej cenił sobie wolność i niepodległość niż on, przeciwnie — zapewne chcemy dla Polski tego samego, ale on patrzy na to z daleka, a ja z bliska, on o tym mówi — ja w tym działam, on to wie — ja to czuję, on od tego odszedł — ja w tym żyję. Działamy — jak mówi Fibak — w różnych układach, ja jestem zdeterminowany przez pewien mechanizm, w którym funkcjonuję, on żyje w innym świecie i nie chce być śrubą w tym mechanizmie, którego ja jestem częścią. Ja jestem członkiem zespołu i gazety, szerszej całości, wobec których obowiązuje mnie lojalność, a to oznacza również milczenie w pewnych sprawach, w których nie zawsze można wszystko powiedzieć. Fibak też przestrzega reguł, ale na korcie i w biznesie, prowadząc samochód — już mniej, zaś w sprawach ogólnych czuje się wolny, dlatego miał wątpliwości, czy dobrze, że książkę o nim pisze ktoś stamtąd, o kim sądził, że jest z drugiej strony.

I znów się radził. Ojciec, prof. Fibak był za, a teściowa, pani Żakowa, pytała mnie czy aby ta książka nie obróci się przeciw zięciowi i córce, czy ludzie, gdy dowiedzą się jak żyje Fibak w Ameryce, nie będą mu zazdrościć, czy nie będzie zalewała ich krew, czy polska zazdrość nie obróci się przeciw jej dzieciom.

Ostatecznie obaj z Fibakiem przezwyciężyliśmy wątpliwości, pokusa była zbyt silna, a sprawy wyjaśniliśmy sobie nie grzebiąc się w nich masochistycznie bez końca. Jeżeli nawet coś nas dzieli, to nie ma sensu rozwodzić się nad tym. Róbmy swoje, niech jeden dobrze gra, a drugi dobrze pisze, niech jeden mówi, a drugi nagrywa na taśmie, niech jeden pokazuje, a drugi ogląda, resztę niech oceni publiczność i czytelnicy.

WOJTEK CZY FIBAK

Jest jeszcze jedna sprawa: Wojtek czy Fibak? Kiedy rozpoczynałem prace nad tą książką, byłem jeszcze z Ewą i Wojtkiem Fibakami na pani i pan. Obecnie, kiedy ta praca jest już zaawansowana i spędziliśmy razem dużo czasu, jesteśmy po imieniu i nie ukrywam, że trochę, ale tylko trochę, zżyłem się z moimi bohaterami (z Ameryką byłem już przedtem po imieniu, gdyż tam wszyscy mówią sobie per „ty"). Czy po tej książce Fibak pozostanie jeszcze moim dobrym kolegą? — to inna sprawa, ja mam pióro dosyć ostre, a on ma skórę miejscami cienką i dobrze, aż za dobrze, pamięta, co ten i ów o nim napisał.

W książce piszę jednak cały czas po nazwisku, nie po to, by coś ukrywać, ale by uniknąć wrażenia niepotrzebnej familiaryzacji, nie chciałbym stwarzać wrażenia, że jesteśmy sobie tak bliscy i to od tak dawna, że należy pisać per „Wojtek". Fibak jest bezpośredni, ale jednak „korekt", jego osiągnięcia, majątek, poziom i styl życia, a także pewien chłód, otaczają go niewidoczną barierą i były momenty, gdy czułem się trochę skrępowany, mimo iż on robił wiele, żeby żadnych barier nie było. Ale nie jest to tylko moje wrażenie. Janusz Dorosiewicz opowiadał, że kiedy był z Fibakiem na turnieju w Monte Carlo w kwietniu 1984 r., ten zobaczył trenującego tam na bocznym korcie juniora, który nazywał się Boris Becker i był jeszcze wówczas całkiem nieznany. Fibak zaproponował młodemu Niemcowi, by wspólnie wystąpili w turnieju gry podwójnej w Hamburgu, a później — w Monachium. Wieloletni partner Fibaka — Holender Tom Okker, jeden z najbardziej inteligentnych tenisistów i bliskich kolegów Fibaka, grywał z nim już coraz rzadziej. Natomiast młody Becker doskonale uzupełniał polskiego tenisistę: miał do zaoferowania młodość, serwis z rotacją, nie taki atomowy serwis jak później i słaby wolej, który był z kolei domeną Polaka. Zachodnioniemiecki junior, wówczas jeszcze z nikim nie związany, zgodził się chętnie, ale jeszcze po dwóch dniach grania zwracał się do Polaka na korcie per „Mister Fibak".

Jerry Solomon, kiedyś wspólny menedżer Fibaka i Lendla, powiedział mi, że „kiedy Wojtek wchodzi do szatni — pozostali tenisiści stają na palcach", zaczynają być czujni. Być może dlatego ja również piszę per „Fibak".

Zaś by dokończyć historię z Beckerem i do niej nie wracać, dodajmy, że najpierw grali razem w Hamburgu, gdzie w ćwierćfinale przegrali z parą Günthart-Taroczy. Po meczu Węgier Taroczy, którego Fibak uważa za jednego z najporządniejszych i najbardziej inteligentnych tenisistów, powiedział: — Wojtek, co ty robisz? Jesteś jednym z najlepszych na świecie, dlaczego grasz z tym młodym arogantem, nie możesz sobie znaleźć partnera, który mniej waży, a więcej umie? Następnie Becker i Fibak wystąpili w Monachium, gdzie zajęli pierwsze miejsce. Był to pierwszy turniej kategorii Grand Prix, który Becker wygrał.

Wówczas Fibak, Dorosiewicz i Becker pojechali samochodem do rodziców tego ostatniego. Dorosiewicz, mimo że starszy i bliski przyjaciel Fibaka, musiał gnieść się na tylnym siedzeniu Porsche, ponieważ Becker jest taki duży, że mieścił się tylko z przodu.

Pędzili nocą, ponad 200 kilometrów na godzinę, autostradą Monachium–Heidelberg. Boris szukał w radiu amerykańskkiej muzyki. Nagle złapał wiadomość, że w finale turnieju w Rzymie Andres Gomez wygrał z Aaronem Kriekstеinem, który miał wówczas 17 lat — tyle co Becker. Boris całą drogę o tym myślał — on był tylko nieznanym juniorem, a Krickstein doszedł do finału w Rzymie! To było objawienie! Kiedy dojechali do jego domu, państwo Beckerowie zaproponowali, żeby Herr Fibak zaopiekował się ich synem, to znaczy kierował jego rozwojem sportowym i finansami, w zamian

Leconte fails to eme
Lendl's chamber of

Tennis

by Sue Mott

IVAN LENDL was the star of a nightmare yesterday and being the methodical, muscle-powered demon he is, the role suited him very well. His victim in the semi-finals of the London Indoor tennis championships was Henri Leconte who must have wished he could wake up in a cold sweat to find that the 6-4, 7-6 defeat was merely the product of an overactive Gallic imagination.

But it wasn't, and in today's final Lendl's opponent is Anders Jarryd, who beat Jakov Hlasek 7-6, 6-1 in the other semi-final. The Swede must be hoping that Wembley does not remain a little house of horrors. Serves thundered and passing shots flashed like lightning as Lendl expunged the challenge of the unseeded Frenchman. All we missed were the sulphurous exchanges with the umpire that Lendl has been conducting when ringing phones and banging doors upset him.

Ironically, Lendl had predicted that this match would be "a nightmare", but he meant for himself. He expected the Frenchman's combination of finesse and errors to confound him. He may also have quailed at the thought that Leconte's adviser is Wojtek Fibak, his own Dr Frankenstein until their split three years ago.

Fibak is possibly the world's richest Pole since he gave up tennis and concentrated on real estate and art treasures, but he still knows a thing or two about Lendl. "He is still playing the way I programmed him," he said. "I created an angry Ivan, as Ivan supposed to kill. It suits him."

It does indeed. The undisputed world No 1 has won 67 matches since January and lost only seven. Leconte, after an unimpeachable opening, never looked like making it eight.

The Frenchman hit a fizzing backhand winner down the line as his opening gambit. Fibak, sitting in the stands, gave his new protégé the thumbs up. Thus inspired, Leconte hit a delicate drop shot and two unreturnable serves to take the first game. But the double fault he struck have served as a warni

In the first set, Lend ped only three points service games and was starting to believe in h invincibility. He was s tent that he complaine about flashing cameras.

Actually, any sudde zles were far more likel from the upturned en champagne bottle. It wo crude to suggest that th ence ensconced in boxes drink their fi whenever the umpire s "time" yesterday, a cries went up: "Three and a double whisky, pl

Perhaps Lendl can pe such distractions as the he dropped his serve second set and was obli go to a tie-break, whi won 7-3. Business ov ghoulish grin appeare cause Lendl, as we all has a roguish sense of hu

"When I saw him this he told me he couldn't hands," said Fibak. "W knew there must be a coming so I didn't ask He told me anyway. He 'I'm too strong. I'll break hand.' He likes things that."

Figh

Or, for that mat can name a trainer satile than David handler of Floyd, Desert Orchid, the lar steeplechaser i and of Governor whom he will saddl urday for the Bre Sprint in California

Elsworth wouldn into any fancy Ne Angeles comparis did volunteer that some way short and that if he co thrive he would be the best in the Cha dle at Cheltenham He's best-priced morning. That ma

alty in the first ha few ideas on how to Lancastrians' res ence. LSH wing Ia scored two tries; vis per Brian Wellens one and kicked a pe ● LONDON Scot have fancied their their first ever visit the Cheshire side firmly in their place Centre John Bent the scoring for the but the Exiles repl well worked try th Lindsay Renwick half Nigel Chesw verted. Although added a further pen half time they tr



za zwyczajowy procent (20) od sum wygranych w turniejach i zarobionych w grach pokazowych oraz na reklamie (10 proc.). Rodzice Beckera mieli już dwie oferty firmy IMG (Mc Cormack) oraz Pro Serv (Donald Dell).

Fibak był jeszcze wówczas związany podobną umową z Iwanem Lendlem. Wiedział, że nie można poświęcić się dwóm tenisistom jednocześnie — wspólnie trenować, podróżować, praktycznie dzielić ich życie, ponadto wiedział, że Lendl nigdy by się na to nie zgodził. Gdy wrócili do Nowego Jorku, Lendl już coś podejrzewał, zapytał Janusza:

— Co takiego kombinuje Wojtek, że gra już debla z Beckerem? Fibak nie wziął wówczas Beckera pod swoje skrzydła, gdyż zaczął już oddalać się od tenisa w stronę interesów oraz innych namiętności. Polecił więc państwu Beckerom niemieckiego tenisistę i menedżera Tiriaca, który miał więcej czasu, bo dobiegała końca jego wieloletnia współpraca z Argentyńczykiem Guillermo Vilasem. Związek Beckera z Tiriakiem przyniósł wkrótce wspaniałe sukcesy sportowe i finansowe obu partnerom.

Dziś Fibak przyznaje, że gdyby przewidział jak szybko i doskonale rozwinie się Boris Becker, to inaczej rozmawiałby z jego rodzicami. Ale tego nie przewidział. Fibaka zawiodło to, co ma najlepszego: instynkt.

Oby nie zawiódł nas w tej książce. ■

DANIEL PASSENT

POLACY NA ROLAND GARROS

Kolonia polska podczas dorocznego turnieju tenisowego na Roland Garros w Paryżu (Międzynarodowe Mistrzostwa Francji 1987) była nieliczna, ale reprezentatywna dla różnych sfer finansowych i towarzyskich.

Alfabetycznie pierwszy był Zdzisław Ambroziak, ogromne, ale łagodne chłopisko, kiedyś wybitny siatkarz, obecnie dziennikarz — miłośnik tenisa. Zawodowo Ambroziak jest dziennikarzem sportowym. Finansowo był w Paryżu na takich zasadach, jak i ja, i wielu dziennikarzy polskich — paszport, bilet i ani franka od kogokolwiek. Mieszkał u znajomych i przynosił na turniej kanapki własnej roboty, którymi solidarnie dzielił się ze mną w porze obiadowej. O ile bagietki z szynką *prostiute crudo* po kilku dniach były już nieco monotonne, acz niezbędne, o tyle komentarze Ambroziaka do tenisa, w którym jest zakochany oraz do okoliczności towarzyskich, były zawsze świeże i smaczne. Z rozmów wywnioskowałem, że Zdzisław jest człowiekiem raczej apolitycznym, a jeśli już, to jest surowym sędzią zarówno wobec porządków panujących w Polsce jak i wobec Solidarności.

Alfabetycznie należałoby teraz wymienić Tadeusza Bugaja przez znajomych zwanego „pułkownikiem" — człowieka, z którym zetknąłem się po raz pierwszy. Jest to solidnej budowy chłop pod pięćdziesiątkę (ur. 1939), dobrze sytuowany, oparty na bliżej mi nieznanych pieniądzach w Los Angeles, podobno dobry narciarz i tenisista amator, wszędzie obecny, ruchliwy, typ Chałupy-St. Moritz, reprezentant sfer hedonistycznych bez kompleksów i zahamowań, zawsze w dobrym zdrowiu i samopoczuciu, wszędzie czuje się dobrze, czasami może aż nadto. Wkrótce został bohaterem jednego wieczoru, gospodarzem kolacji dla Polaków u „Maxima".

Inny styl zaprezentował Andrzej Roman, doświadczony komentator sportowy, który na turnieju Roland Garros był już chyba po raz jedenasty. Udzielił mi, jako nowicjuszowi, wielu cennych rad, jak np. gdzie można otrzymać niezbędne dziennikarzowi sportowemu katalogi oraz informatory, że w pawilonie Adidasa można spokojnie usiąść, porozmawiać i napić się darmowej kawy, pokazał mi najbardziej znanych dziennikarzy tenisowych włoskich i francuskich, nadto z zapałem brał udział w różnych konkursach organizowanych dla dziennikarzy. Polegają one na tym, że firmy wspierające turnieje za cenę reklamy — np. koncern spożywczy Nabisco i tytoniowy Rothmans — zbierają odpowiedzi na takie pytania, jak ilu jest dziś widzów na kortach (ich liczba wahała się w granicach 15–25 tysięcy każdego dnia przez dwa tygodnie, co świadczy o popularności tenisa we Francji), lub jak długo będzie trwał i jakim wynikiem zakończy się mecz Graf–Malejewa czy Becker–Arias. Roman jest doświadczonym uczestnikiem tych quizów, ma intuicję, uzyskiwał dobre wyniki, a raz nawet wygrał i w nagrodę otrzymał torbę sportową pełną przysmaków produkcji koncernu spożywczego Nabisco, którymi nas solidarnie i gościnnie potraktował.

W odróżnieniu od bardzo naturalnego i swojskiego Ambroziaka, Andrzej Roman reprezentuje styl bardziej godny i wyszukany, mówi starannie i chętnie, o czym miała nieraz możliwość przekonać się publiczność na korcie centralnym warszawskiej Legii, gdzie pełnił rolę spikera zawodów. Jak przystało na polskich dziennikarzy sportowych, Ambroziak i Roman są namiętnymi palaczami papierosów. Roman, którego sąsiedztwo i towarzystwo bardzo lubiłem, pali coś co przypomina machorkę z epoki drugiego roku obiężenia Leningradu. On jednak utrzymywał, że są to legalne wyroby Polskiego Monopolu Tytoniowego. Politycznie Roman jest dużo bardziej zaangażowany i doświadczony od Ambroziaka, ale też nigdy nie był tej klasy sportowcem. Sympatie jego leżą po stronię tego, co określa się jako niezależne od państwa polskiego, w jego obecnej postaci, był aktywnym zwolennikiem Solidarności i trudno to wszystko tłumaczyć tylko tym, że jest spowinowacony ze Zbigniewem Brzezińskim. Opowiedział mi nie bez dumy, że napisał do „podspodu" o swoim rozstaniu z „Kurierem Polskim", gdzie jako dziennikarz sportowy pracował wiele lat przed stanem wojennym. O polityce lubi rozmawiać bez końca.

Trzecim wreszcie — alfabetycznie, bo prestiżowo pierwszym — dziennikarzem polskim w Roland Garros był nie kto inny, tylko sam Bohdan Tomaszewski.

Jest to osobny rozdział polskiego dziennikarstwa sportowego, zwłaszcza w dziedzinie lekkiej atletyki i tenisa. Nie jest on bohaterem tej książki ani mojego romansu (sam napisał ich kilka, podobnie jak Roman), ale ta książka nie może obyć się bez niego. Czytelnikom najmłodszym, którzy nie słyszeli Tomaszewskiego przez radio, nie oglądali go w roli sprawozdawcy telewizyjnego i nie czytali jako felietonisty sportowego w piśmie „Kultura", a po stanie wojennym przez pewien czas w „Przeglądzie Katolickim", należy się przynajmniej kilka słów na jego temat, zwłaszcza że ja sam pojedynkowałem się kiedyś z Tomaszewskim na pióra w okresie Solidarności i po raz pierwszy od tego czasu spotkaliśmy się dopiero na Roland Garros, po latach typowo polskiej obrazy.

Bohdan Tomaszewski (ur. 1922 r.) stanowił przez kilkadziesiąt lat wyróżniającą się postać na szarym skądinąd tle polskiego dziennikarstwa sportowego. Gwiazda jego świeciła przez lat ponad trzydzieści. Posiada na swym koncie wiele osiągnięć, w tym również i takie, że był sprawozdawcą z co najmniej dziesięciu olimpiad. Tomaszewski jest chodzącą ilustracją powiedzenia „styl to człowiek". „Przedwojenny", elegancki, wytworny do granicy przesady, odróżniał się zawsze od zabieganego, byle jakiego środowiska, które nosiło się byle jak, mówiło byle jakim językiem i byle jakim stylem pisało byle co. Nieco arystokratyczny i herbowy w manierach, Tomaszewski ma ambicję przedstawiania sportu w szerszym kontekście kultury i cywilizacji, dostrzegał ludzi, przyrodę, tradycje, architekturę w nieco afektowany, ale ujmujący sposób, zachwycał się pięknem przyrody, stadionów i sportu, zwłaszcza fair-play. Nie wszyscy byli miłośnikami tego stylu, niektórzy zarzucali mu zbyt małą kompetencję, watowanie opisami natury, przerost formy nad treścią, utrzymywali, że mówi patetycznie i w uniesieniu, bo nie rozpoznaje z daleka zawodników i nie dostrzega liczb na tablicy wyników. Ale na tenisie Tomaszewski zna się bez zarzutu, sam uprawiał ten sport, zaś jego dziennikarstwo i zachowanie w stylu „polski Oxford" szczególnie pasują do tego sportu, który ma arystokratyczną przeszłość, dżentelmeńskie tradycje i nadal stanowi ulubioną rozrywkę ludzi z towarzystwa. Elokwencja Tomaszewskiego płynie stąd, że ma on zainteresowania szersze i poważniejsze niż przeciętny dziennikarz sportowy.

Przystojny, wysoki, tweedowy Tomaszewski miał wstęp na różne warszawskie salony i przez wiele lat pisywał felietony do tygodników społeczno-kulturalnych, które w polskim dziennikarstwie odgrywają ważną rolę, jak się dziś mówi — „opiniotwórczą". W latach amoku politycznego 1980–81, kiedy rozgrywka między wielomilionową Solidarnością i realnym socjalizmem wyszła już daleko poza fazę wstępnych eliminacji, zbliżając się szybko do półfinału, Tomaszewski dał

Tennis à Bercy

Fibak : «Leconte peut devenir n° 1 mondial»

«A ce soir pour le « grand double », lance Leconte à Mecir. « A ce soir pour le double de minuit », lui répond le Tchécoslovaque, visiblement mécontent de la programmation très tardive de la rencontre. Un quart de finale qui devait les opposer, hier, avec leurs partenaires respectifs, Fibak et Smid.

Les deux joueurs se croisent et le Français pénètre sur le central de Bercy pour un bref entraînement à l'heure du déjeuner.

Enchaînement service-volée. Attaques de fond de court. En un minimum de temps, le travail aura été efficace.

Il est vrai que les exercices étaient dirigés et exécutés par l'un des plus grands coaches du circuit, Wojtek Fibak, qui, après avoir mené Ivan Lendl à la première place mondiale, a décidé de prendre en main les destinées du numéro un français.

« C'est à Flushing qu'Henri est venu me voir, raconte l'entraîneur polonais. **Il m'a dit : « Aide-moi. Je ne suis pas en confiance en ce moment. J'ai besoin de quelqu'un. » Sa demande a coïncidé avec un passage de ma vie où je n'avais pas d'occupation précise et j'ai accepté. Mais trois mois plus tôt ou trois mois plus tard, j'aurais refusé. Comme je l'ai fait pour Becker lorsqu'il était tout jeune. J'avais en effet disputé et gagné un tournoi de double avec lui à Munich et l'idée m'avait longtemps tenté avant que je ne l'abandonne... »**

Cinquième mondial à l'issue d'une saison 1986 exceptionnelle, Leconte a lourdement chuté au classement lors des dernières semaines, en raison d'une baisse de forme liée à des ennuis de santé (virus tenace et hernie discale). Aussi, trouver un coach de grande valeur était devenu pour lui un besoin urgent afin de se replacer parmi les meilleurs du monde.

Deux objectifs

« Ma tâche va être principalement de donner confiance à Henri, assure Fibak. **S'il est conscient de ses possibilités, il pourra faire partie des tout premiers et remporter peut-être Wimbledon et Roland-Garros, qui sont nos deux principaux objectifs.** Mon rôle va cependant être beaucoup moins important qu'avec Lendl que j'avais totalement formé. Je lui avais fait découvrir les Etats-Unis qu'il détestait à l'époque. La maison qu'il habite aujourd'hui m'appartenait et il a également connu, par l'intermédiaire de ma femme, la petite amie avec laquelle il vit... »

Lendl était un sujet très appliqué qui a consacré tout son temps au tennis. Leconte, en revanche, a plus de personnalité, mais beaucoup moins de sérieux dans le travail.

Le Français peut-il aussi à son tour devenir numéro un mondial ?

« Bien sûr, affirme son entraîneur. **D'ailleurs, si je ne le pensais pas, je ne me serais pas engagé avec lui. »**

Mais Fibak ne suivra pas son élève comme une « mère poule ». Il n'a pas l'intention de parcourir le monde avec lui :

« C'est inutile, je le suivrai plus particulièrement à Roland-Garros et à Wimbledon, où il aura véritablement besoin d'un soutien. »

Aujourd'hui, Leconte disputera une partie très importante en quarts de finale de l'Open de Paris contre Pat Cash.

« Les deux joueurs sont de grands attaquants, estime Fibak. **Aussi, le vainqueur sera celui... qui défendra le mieux.** La défaite d'Henri ne serait pas une trop grande déception. Car après tous ses malheurs, l'important était d'aligner quelques victoires. Il y a seulement trois semaines, il n'aurait certainement pas battu Bengoechea 6-2, 6-1. C'est pourquoi j'ai déjà quelques motifs de satisfaction. »

Il est peut-être prématuré de dire que Leconte va devenir l'un des tout meilleurs, sinon le numéro un. Mais ce qui est sûr, c'est que le Français a mis tous les atouts de son côté en s'assurant les services d'un entraîneur comme Fibak

Aurélien PHILIPPE-GÉRARD

« Je suis un des meilleurs sur herbe »

— Fibak vous classe parmi les cinq premiers favoris de Wimbledon. Êtes-vous d'accord ?

— Je pense que, depuis trois ans, je prouve que je suis un d'entre eux : quart, demi, quart. Je suis là. Ces résultats prouvent que je suis un des meilleurs sur herbe.

— Wojtek Fibak sera avec vous à Wimbledon ?

— Oui. Nous partons mardi. Je joue le Queen's en double avec Guy. Et puis une ou deux exhibitions ensuite en Angleterre.

— Que vous a-t-il apporté ?

— C'est plus un conseiller qu'un coach. Il m'a aidé énormément dans la manière de conduire un match tactiquement.

— Il nous avait dit en début de saison qu'un de ses buts était de vous faire détester la défaite. Qu'une de vos limites était de trop bien accepter de perdre...

— Je n'étais pas assez méchant. Dans le tennis, il faut être méchant. Maintenant, je suis devenu intransigeant avec moi-même. A l'entraînement, si je rate un coup, je ne sors plus du court sans l'avoir réussi. Je veux essayer d'atteindre une perfection optimale.

— En conclusion, avez-vous un regret en repensant à Roland-Garros ?

— La finale, bien sûr. Mais je crois que je ne peux pas avoir de vrai regret, compte tenu de la manière dont Mats a joué et des moyens que j'avais ce jour-là. Avec un bon service, j'aurais pu l'accrocher.

— Dernière question, si vous voyez demain cette interview avec en titre : « Je gagnerai Roland-Garros », ça vous gênera ?

— Non. Je gagnerai Roland-Garros. »

Philippe BOUIN



BOHDAN TOMASZEWSKI

tyce, o Fibaku i tenisie, o pomniku Powstania Warszawskiego i Gorbaczowie, o rozstaniu Tomaszewskiego z Radiokomitetem, „Kulturą" i wreszcie „Przeglądem Katolickim", o tym co będzie w Polsce i z Polską, o tym co on porabia, i co ja piszę. Oddałem Tomaszewskiemu to, co mu się należy i co wyżej pokrótce napisałem, a on kilkakrotnie nawiązywał do mojej gry piórem, którą on jak gdyby rozumie, ale nie zawsze popiera. W każdym razie przełamaliśmy jedną barierę na drodze do porozumienia narodowego.

Sfery polskie reprezentowali jeszcze przyjaciele Fibaka — Janusz Dorosiewicz z Toronto, który jest całkowicie Fibakowi oddany, do tego stopnia, że nosi za nim torbę z rakietami, ale i zaprzyjaźniony z nim w sposób znacznie głębszy, serdeczny, człowiek wielkiej dobroci, uczynności i poczucia humoru. Na dworze Fibaka pełni funkcję Stańczyka. Dalej Marek Rut z Brukseli, bliski kolega i admirator Fibaka, towarzysz wielu rozmów na tematy ekonomiczne i finansowe, z którym — jako biznesmeni — żywo komentowali odejście Paula Volcknera ze stanowiska prezesa Rezerw Federalnych USA i objęcie tego stanowiska przez prof. Alana Greenspana, które to sprawy nas kompletnie nie zajmują, a ich te zainteresowania blisko łączą. Dalej Żeńka Priwiezencew, aktor polski pochodzenia wschodniego, który od kilku lat obok kilku innych polskich aktorów (Daniel Olbrychski, Wojciech Pszoniak, Andrzej Seweryn) próbuje szczęścia w Paryżu i mimo ogromnej konkurencji utrzymuje się jednak na powierzchni w swoim zawodzie, odtwórca roli Garbusa w *Piratach* Polańskiego, wreszcie Grażyna Hase — projektantka mody i właścicielka galerii w Warszawie na ul. Marszałkowskiej, gdzie sprzedaje kreacje i obrazy, i skąd przybyła do Paryża, żeby być *au courant* tamtejszej mody. W latach mojej młodości Grażyna była jedną z najbardziej atrakcyjnych i modnych dziewcząt w Warszawie.

Kilka słów należy się także prawdziwym polskim sportsmenkom, które przyjechały na turniej. Były to juniorki Katarzyna Nowak i Magdalena Mróz pod kierunkiem trenerki Elżbiety Ślesickiej z Polskiego Związku Tenisowego. Zakończyły one swoją karierę mniej więcej po dwóch rundach turnieju juniorek. Z jednej strony można powiedzieć, że nie jest to tak źle, gdyż wstydu nie przyniosły i uległy swoim rywalkom z RFN, USA i Australii (w grze podwójnej) po walce, a nie w sposób kompromitujący, z drugiej jednak strony odpadły we wczesnej fazie turnieju juniorek, podczas gdy najlepsze juniorki grają już w turnieju głównym, dla seniorek. Polska młodzież tenisowa ostatnio dużo podróżuje i gra w turniejach, gdzie jednak ani ona, ani nasze metody i warunki szkoleniowe nie zdają egzaminu i podróże te kończą się na ogół smutno, choć są konieczne.

Osobna wzmianka należy się także Iwonie Kuczyńskiej, która wyjechała z Polski jako znana zawodniczka i próbuje dać sobie radę na Zachodzie na własną rękę. Jest to seniorka, która w turnieju głównym radziła sobie nieźle, poległa co prawda dość wcześnie, ale z rąk znanej tenisistki RFN Klaudii Kohde Kilsch, która doszła aż do półfinału. Kilka tygodni później doszła do III rundy w Wimbledonie, niby mało, a jednak więcej niż jakakolwiek Polka od czasu Jadwigi Jędrzejowskiej.

Oddzielne miejsce w środowisku polskim zajmowali Ewa i Wojciech Fibakowie. Należeli do innej niż my kategorii widzów, dzięki sławie i pieniądzom. Ubrani stosownie do okazji, odbywali krótki spacer ze swojego pobliskiego domu na korty Roland Garros. Na terenie kortów Fibak nie jest postacią anonimową. Mimo że okres sławy tenisowej ma już za sobą, jeszcze potrafi mu sprawić przyjemność stary kibic, który poluje na fotografię Fibaka, dziecko z prośbą o autograf, a przede wszystkim liczni w tym środowisku znajomi. Tu zamieni kilka słów ze znanym do niedawna tenisistą Armitrajem z Indii, tam kilka słów z Ilią Nastase, krótka rozmowa z przewodniczącym Międzynarodowej Federacji Tenisa Francuzem P. Chatrierem, wymiana uprzejmości z Buddem Collinsem — najbardziej znanym amerykańskim komentatorem tenisowym, z którym znają się z licznych turniejów, i tak państwo Fibakowie docierają do loży.

Fibak rozgląda się, patrzy kto jest, z kim można lub trzeba wymienić ukłony albo kilka słów. Personel i gości traktuje równie wylewnie. Sprawia mu to przyjemność.

Na Roland Garros miejsca są ściśle podzielone. Oddzielne dla zwykłej publiczności za biletami, oddzielne dla prasy, dla zawodników, dla gości honorowych i innych, wreszcie oddzielne są loże prywatne — podobnie jak na Forest Hills, w Wimbledonie, a także w wielu teatrach operowych i salach koncertowych. Posiadanie własnej loży i pojawianie się w niej od czasu do czasu lub stale podczas turnieju, jak to robi Jean Paul Belmondo, świadczy nie tylko o zainteresowaniu, dowodzi, iż jest się kimś z wewnątrz, stałym bywalcem, niezmiennym elementem krajobrazu wśród tysięcy ludzi bez twarzy i własnego miejsca. Taką rolę pełnili kiedyś Janusz Minkiewicz i

się porwać nurtowi kontestacji i od czasu do czasu zza pazuchy nienagannej granatowej marynarki wyciągał ostrą strzałę, zakończoną politycznym grotem. Jedną z takich strzał wypuścił pod moim adresem, a że był to okres gorącej i bezpardonowej walki, zaś Tomaszewski zaczepił mnie nieoczekiwanie, zareagowałem ostrym pamfletem, widząc w moim adwersarzu przedstawiciela establishmentu, który po długiej i wdzięcznej karierze okazał się nagle tweedowym kontestatorem. Prezes sekcji tenisowej Legii, której obaj z Tomaszewskim jesteśmy członkami, mecenas Jerzy Lewiński, struchlał z wrażenia i długo jeszcze przy każdym ze mną spotkaniu komentował tę wymianę bardziej bokserską niż tenisową.

W każdym razie przez następnych sześć lat nie wymieniliśmy z Tomaszewskim nawet chłodnych ukłonów i zdawkowych słów, co było typowo polskie i środowiskowe. Ja co prawda ostentacyjnie kłaniałem się, ze względu na starszeństwo Tomaszewskiego, ale ten widać uznał mnie za pętaka, którego elegancja i maniery nie dotyczą. Miałem w tym nawet jakąś masochistyczną przyjemność, żeby tym głośniej — i wyraźniej — mówić dzień dobry, im bardziej on milczy godnie i wyniośle. Każdy taki afront dodawał mi otuchy, ale jednocześnie żałowałem, że straciłem kontakt z tym zasłużonym dziennikarzem. Jeden z kolegów usiłował mnie pocieszyć, że Tomaszewski nie odkłania mi się, ponieważ ma krótki wzrok i rzadko nosi okulary, ale nie bardzo w to wierzyłem.

Aż tu nagle obaj znaleźliśmy się na kortach Roland Garros i spotkanie było nieuchronne. Raz czy drugi udało nam się ominąć, widziałem tylko, że był elegancki jak zwykle, w marynarce i krawacie, podczas gdy większość dziennikarzy paradowała w zwykłych koszulkach sportowych. Pewnego razu jednak wpadliśmy na siebie oko w oko, w wąskim przejściu, gdzie nie sposób było wyminąć się, lub udać cokolwiek, jeszcze spróbowaliśmy, jeszcze przeszliśmy obok siebie obojętnie, w duchu konfrontacji, ale w okamgnieniu obaj jednocześnie obejrzeliśmy się za siebie, jak gdyby sprawdzając czy obejrzał się ten drugi; spojrzenia nasze spotkały się — tym razem już nieodwołalnie.

Przywitaliśmy się już w duchu ostrożnego dialogu, jak gdyby obaj wyczuwając, że jesteśmy zbyt poważni, by trwać w pozie wojowniczej i naburmuszonej. Tym razem patrząc spod swoich niezwykle krzaczastych brwi Tomaszewski dostrzegł we mnie chyba kogoś z kim można porozmawiać i odbyliśmy długą rozmowę o sporcie i poli-

Fibak : « Dans les cinq favoris de Wimbledon »

WOJTEK FIBAK est l'un des coaches les plus discrets du monde. Présent pendant tout le tournoi lors des matches de Leconte, dans les gradins du court n° 1 ou dans une loge du Central, il s'éclipsait dès la dernière balle jouée.

Dimanche, il n'a pas failli à la coutume. Sitôt la finale finie, il est rentré chez lui, de l'autre côté de l'avenue d'Auteuil. Hier, il pensait déjà à Wimbledon.

« Avez-vous le sentiment que Leconte a craqué ou bien que c'est Wilander qui a très bien joué ?

— Je pense qu'Henri a craqué mentalement et physiquement, mais aussi que Wilander a très bien joué.

— Dans quelle mesure estimez-vous que Leconte a échoué ?

— Je crois qu'il a connu des problèmes techniques et tactiques à partir du moment où Wilander a joué haut sur son revers. Avant le match, je lui avais dit que si Wilander parvenait à jouer comme ça et à passer beaucoup de premiers services il fallait absolument qu'il attaque la première balle de service du Suédois. Il a essayé une ou deux fois, et puis, comme il ratait, comme le public réagissait à ses fautes, il n'a pas persisté. Il a accepté l'échange. A partir de ce moment-là il était perdu.

— Vous croyez vraiment qu'il est à ce point sensible aux réactions du public ?

— Je ne sais pas du tout d'où vient le problème, mais il est certain qu'Henri est extrêmement sensible à ce qu'on dit de lui à la télévision, à la radio, dans la presse. Je ne comprends pas non plus qu'après le match il ait parlé avec des gens du public. Il ne doit pas faire ça. C'est une erreur.

« Le public est sensible aux mythes »

— Il en a peut-être assez de se sentir incompris...

— L'histoire de l'incompréhension avec le public est aussi une erreur. De toute façon, le public ne comprend pas le jeu. Est-ce qu'il comprend le jeu de McEnroe ? Est-ce qu'il comprend que Noah s'ouvre le court avec son coup droit lifté frappé très haut ? Ce à quoi le public est sensible c'est aux mythes, pas au jeu. C'est un faux problème.

— Vous nous aviez dit la veille, avant la finale, que les victoires de Leconte sur Chesnokov et Svensson prouvaient, par leur sérieux, qu'il était « devenu un homme ». Vous maintenez cette appréciation ?

— Bien sûr. Ce n'est pas parce qu'Henri a perdu une finale contre un Wilander qui jouait remarquablement bien qu'il faut oublier toutes les choses formidables qu'il a accomplies avant. Pendant cette finale, il a commis des erreurs, mais elles ne doivent pas gâcher le reste.

— Pensez-vous que ses résultats à Paris sont encourageants en vue de Wimbledon ou bien qu'il risque de subir le contrecoup de sa finale ratée ?

— C'est très encourageant au contraire. Pour moi, il fait partie des cinq favoris du tournoi de Wimbledon. Je mettrais Cash en numéro 1, McEnroe en 2, Edberg en 3 et ensuite Leconte et Becker à égalité. » — Ph. B.

WOJTEK FIBAK (coach-consultant d'Henri Leconte).
"Nous avons préparé très sérieusement Roland-Garros. Les Internationaux de France et Wimbledon étaient les deux objectifs principaux que nous nous étions fixés en août dernier quand nous avons commencé à travailler ensemble. S'il avait joué à Rome, il n'aurait pas gagné au cinquième set ici contre Oresar au deuxième tour. Pareil pour Key Biscayne. Nous avons préféré qu'il ne joue pas parce que je pensais à Roland-Garros. Je lui ai dit qu'il valait mieux jouer à Houston sur de la terre battue. C'était mieux pour la Coupe Davis, pour Nice, Monte-Carlo et Hambourg.
Henri a dit hier que c'est grâce à moi qu'il en est arrivé là. Ça me fait plaisir, mais je n'ai qu'un rôle secondaire. Je suis demi-coach, demi-consultant, demi-conseiller ou demi-mentor. C'est le joueur qui joue, qui gagne et qui perd. J'ai commencé à travailler avec Henri parce que je pensais qu'il pouvait arriver en finale à Roland-Garros. Cela faisait longtemps que je n'étais pas aussi excité. C'est une grande satisfaction. Henri me regardait souvent pendant le match. Ça me rappelait Lendl quand il était jeune. En quelques années, j'ai changé Ivan. Aujourd'hui, c'est ma troisième finale de Roland-Garros. Pour moi c'est Wilander qui est favori et je pense que c'est meilleur pour Henri qu'il le soit."

QUAND on lui demanda s'il reviendrait l'année prochaine, Henri Leconte eut un petit sourire amusé et répondit : *« Ce n'est pas sûr. »*

Il est vrai qu'une troisième défaite en trois ans au premier tour donne à réfléchir. Après Fibak en 1986, Sundström en 1987, c'est, hier, Milan Srejber qui mit un terme prématuré à la carrière du numéro 1 du tableau.

La Suisse a beau être pour lui terre d'accueil, Henri Leconte n'est de toute évidence pas montagnard dans l'âme. Bien sûr, les rives du lac de Genève sont relativement éloignées des sommets, mais tout de même. *« L'altitude n'avantage pas les frappeurs,* constata-t-il. *Les joueurs qui ont beaucoup de toucher, comme Vojtek Fibak, sont plus à l'aise. »*

Wojtek Fibak, formerly Ivan Lendl's coach, has been telling him for more than a year to be aggressive and keep playing the same tactics. After the sobering incident in Milan, the message got through.

Adam Ważyk w warszawskim klubie SPATiF. Zwykli widzowie muszą bilet kupić, czasami nawet zdobyć, właściciel loży może przyjść tego dnia, kiedy chce, może zawsze wyjść z kortów i wrócić, gdyż nie dotyczy go napis przy bramie dla zwykłych śmiertelników „każde wyjście jest ostateczne", posiadacz loży nie jest też zdany na sąsiedztwo przypadkowych ludzi, których nie zna, tylko z reguły siedzi pośród osób, z którymi zdążył się już zapoznać. Ponadto, mając lożę, pokazuje, iż go na nią stać, gdyż kosztuje ona majątek, chyba około tysiąca dolarów rocznie, choć korzysta się z niej praktycznie tylko przez dwa tygodnie w roku. Ponadto mając swoją lożę można do niej zaprosić kogo się chce — jest to elegancka forma przysługi dla osoby nam potrzebnej lub wobec której mamy dług wdzięczności, wreszcie czyja obecność w naszej loży będzie dla nas zaszczytem na oczach całej zgromadzonej publiczności.

Państwo Fibakowie nie mają własnej loży, ale wcale bym się nie zdziwił, gdyby pewnego dnia kupili — gdy jakaś loża się zwolni. Francuskie władze tenisowe, do których należą korty Roland Garros, nie sprzedają byle komu, szanse otrzymują albo ludzie z towarzystwa, albo bogate firmy, np. Hertz, banki i korporacje, które na to stać. Obserwując turniej każdego dnia przez dwa tygodnie przyzwyczajamy się już do obecności niektórych osób stale na tych samych miejscach. Jest to najbardziej elegancka i wytworna publiczność, wśród której trafiają się osoby piękne i znane (przynajmniej sobie wzajemnie) z dobrego towarzystwa, choć przecież zwykła ciekawość wcale nie jest gorsza. Czasami osoby takie wzbudzają zainteresowanie fotoreporterów, np. efektowna Murzynka w turbanie i w egzotycznym stroju, która rzuca się w oczy nawet w kosmopolitycznym Paryżu. Są także osoby, które zna cały stadion, jak pewien mocno starszy i trochę niedołężny pan, który miał do przebycia drogę dość daleką



EWA I WOJCIECH FIBAKOWIE
Potrafią jeszcze dziś ściągnąć uwagę kamerzystów

jak na jego wiek i zdrowie, od wejścia na t
rzędu, gdzie wytrwale siedział w loży. Prowa
troskliwą młodą kobietę, drogę tę rozkładał s
nigdy nie zdążył podczas półtorej minuty pra
gólnymi gemami, zakłócał tym samym spokó
grę, aż staruszek dojdzie do swojego krzesła.

Obecność Fibaka i uroda Ewy potrafią jes
chwilę uwagę kamerzystów, którzy muszą cz
dla urozmaicenia, gdy na korcie nic się nie
zbyt krótka, żeby ze studia nadano reklamy.
czasu do czasu pokazuje się posępną i nie
kiedy indziej — są to inne znane twarze. Fibe
świetnie. Z jednej strony są jej ozdobą, są
właściwym miejscu, tenisista, efektowna kob
stwa — z drugiej dobrze się w tym towarzys
kiedyś przyjaciel Lendl gra na korcie, albo in
na sąsiednich miejscach nie brak znanych pa
sa, biznesmenów, snobów, artystów, ludzi wś
się doskonale. Nie ucieka od nich — wręcz p
ląda się, patrzy kto dziś jest, wymienia ukłor
patrzy i widzi, gdyż jest nadzwyczaj spostrze
pozwala, żeby i jego zobaczono, ma pocz
wielkiego świata, myślę, że sprawia mu ono
gdy cały świat to widzi — cały świat, to zna
everybody who is somebody — czyli „każdy i

Fibakowie siedzą w loży pewnego biznes
niego Claude'a Ott, którego poznałem wiecz
większym, najbogatszym, najlepiej położonyr
gustu urządzonym domu w Paryżu. Na Pola
wieży Eiffla, stoi ni to dom, ni pałac, po któr
wyłożoną skórą, wszystkie ściany obwieszor
Loiseau, którego upodobał sobie, kolekcjor
skupuje, właściciel, gdzie wszystko od marm
roby w stylu Wiedeń z początku stulecia, dc
basen na dole i bar oraz taras z widokiem n
słony, poduszki i kapy na łóżkach, jest dokła
myślane i dobrane przez kosztownych dek
uwielbiać takich zamożnych klientów — bez
nędzmi. Fibakowie są tu mile widziani, gos
kiem sympatyczni, akurat mają gości, ci luc
wieczór gdzie indziej — obrazy, meble, kelr
prowincji nie wie na co patrzeć wpierw — n
z egzotycznego ogrodu, na oświetloną od s
za oknem, czy na powabne modelki zapadn
kich fotelach, jak gdyby były rozrzucone pr
nych fragmentów umeblowania. Ze szczegó
kie wnętrza oglądać Fibakowie, gdyż na t
szcze lepiej widać smak i konsekwencję z j
dencję — mniejszą, tańszą i ładniejszą. To
obecnemu właścicielowi, mógł go kupić sar
za drogi, może za duży — choć znając roz
dzinie, trudno uwierzyć, by mogli coś uznać
żenie w środku Paryża nie gwarantowało
wietrza Agnieszce i Paulinie, a może te i ir
wodowały, że tego domu nie kupili. Podejr
była przyczyna pierwsza — pieniądze, w p
kupiłby może ten dom, żeby go następnie s

Claude Ott wdzięczny Fibakom za znalez
domu, wynajął restaurację „Carewicz" i wy
kiet dziękczynny.

Claude, który w swej loży na Roland Ga
bardzo był rozczarowany do Francuskiej F
każe sobie płacić coraz więcej za loże i st
gania. Podobno wszystkie loże mają być o
znajomy chyba nawet zrezygnuje. — Ale
żę, gdybyśmy zdecydowali się kupić — mó
rację. Gdzie jak gdzie, ale na Roland Ga
gdyby to była opera — inny świat, w któryn

Obok posiadania loży na Roland Garros
kiem Racing Club de France — jest to naj
tenisowy w Paryżu. Piękny obiekt na tereni
da się z kilkudziesięciu kortów ziemnych,
a nawet starego stadionu lekkoatletyczneg
rzyska olimpijskie w 1924 roku. Kawia
wszystko starannie zadbane, pięknie utrzyr
leni. Idealne miejsce do gry w tenisa i s

Queens, czerwiec 1588



Solomon, one of the few Americans to reach the French Open final in the last 30 years, was much like Dibbs. But more serious, less flamboyant. For many years his was the most powerful voice in the players' union (the ATP) and he fought hard to stop guarantees - ironically an "evil" the official game now sanctions. He heads his father's car rental firm.

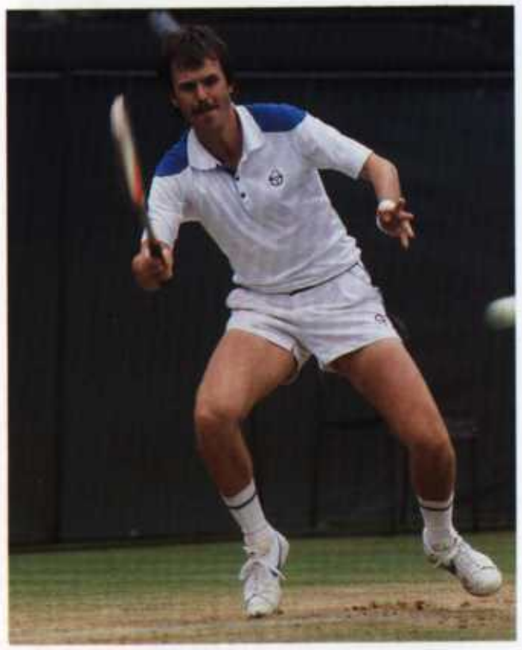

According to the game's official media guide Fibak, who like Ivan Lendl and Mats Wilander has a home in Greenwich, Connecticut (actually he was there first), now owns the largest collection of Polish masters outside Poland - which must, presumably, make him the smartest chap to have benefited from the game's going Open in 1968.

Fibak, whose aim is to broaden young people's awareness of art (he would like his own gallery) also has a lavish mansion in the fashionable district of Paris, not far from Roland Garros, yet he still pops up occasionally on the tour playing doubles.

Though four year's Fibak's junior, Borg has been out of the game since 1982 - except for the occasional exhibition - and appears not to have missed the tour one bit. He's heavily involved with the Swedish Tourist Board, and recently made a promotional tour of America with his country's prime minister, and owns his own design group and estate company.



He admits walking out on the game at 26 was tough but has found contentment and compensations elsewhere. He plays about twice a week now, "rather badly", and is more interested in getting as many mph as he can from his speedboat. Nonetheless the legend still lives on; if only in the glossy ads. "I think he appears in more advertisements now than when he played" said one Swedish tennis writer recently. But who is likely to forget someone who won Wimbledon five years in a row?

Borg began reaching his goals in his teens. Amritraj had to wait until he was 34 to achieve his; an appearance in the 1987 Davis Cup final. "It was like a wonderful dream" he said. "Then the damn Swedes had to come along and wake us up!"

What tennis the lovely smiling Indian plays now (Davis Cup excepted) has to be fitted in between his film and TV commitments. Apart from acting - you must remember him in the Bond film "Octopussy" - he is also involved in producing and directing shows. Yet some of

czas turnieju Roland Garros tutaj ćwiczą znani tenisiści, poza tym grywają tu znacznie gorzej ludzie ze znacznie lepszego towarzystwa.

Fibak zawsze dostanie tu kort, żeby zagrać, gdyż jest to człowiek, któremu w sferach tenisowych się nie odmawia, ale co by było, gdyby zechciał być członkiem? Teraz, kiedy przeniósł się do Paryża, na razie na rok 1987/88, coraz bardziej wypada, żeby został członkiem RCF. Ba, ale jak to zrobić, kiedy lista chętnych jest obszerna, okres oczekiwania wynosi kilka lat, mimo że koszty są bardzo wysokie — samo wpisowe wynosi ponad tysiąc dolarów, nie mówiąc o składce rocznej. Fibak mógłby zostać członkiem RCF, ponieważ tenis, klub, sami bogaci ludzie to jest jego świat, być wśród nich to jego emploi. Zna właściwego człowieka, który zna właściwą starszą panią, która stoi, a właściwie „zasiada na czele" właściwej komisji w zarządzie RCF i jak będzie trzeba, to można na nią liczyć.

FIBAKOWI SIĘ NIE ODMAWIA

Napisałem, że Fibak to człowiek, któremu w sferach tenisowych się nie odmawia i mam na to dowody. Kiedy ubiegałem się z Polski o akredytację na turniej Roland Garros, udało mi się ją otrzymać tylko na pierwszą połowę imprezy. Już na miejscu, w Paryżu, tłumaczyłem, że piszę książkę, że nie zdążę przeprowadzić wszystkich wywiadów, że nie jestem dziennikarzem sportowym, który przyjeżdża co roku, tylko chcę być raz ale dokładnie, mówiłem, że gazeta moja nie ma tu żadnego innego przedstawiciela itd. — wszyscy mi odmawiali. Chcąc nie chcąc, musiałem poprosić o pomoc Fibaka, a robiłem to niechętnie, ponieważ pisząc o nim nie chciałem mieć wobec niego zobowiązań, nadto ma on tyle podobnych próśb, zwłaszcza o bilety, że musi się przed nimi jakoś bronić. Fibak wytwarza wokół siebie taką atmosferę człowieka zajętego, zaaferowanego, zaabsorbowanego swoimi sprawami, że z pewnymi oporami prosiłem go o przysługę. Ale gdy już poprosiłem, to te same urzędniczki biura prasowego, które jeszcze wczoraj odmawiały mi z kamienną twarzą — same odnalazły mnie na miejscach prasowych, by oznajmić, że moja akredytacja została przedłużona.

Są zawodnicy tak nieśmiali i nie lubiący rozgłosu jak Lendl, czy — w okresie swych kłopotów na tle upodobań seksualnych — Navratilowa, którzy poza konferencjami prasowymi nie spotykają się z żadnymi dziennikarzami, a nawet mają do prasy uzasadniony żal, z powodu tego jak ich traktowała. Do takich ludzi dostać się nie sposób. A jednak Fibak, dzięki swojej pozycji i zabiegom, podał mi na talerzu Beckera, Lendla, Tiriaka, Noah i innych. Mogę więc napisać, iż tam Fibakowi się nie odmawia. Kiedy umożliwiał mi te rozmowy, sam czułem się trochę zażenowany i zdegradowany. Przyzwyczajony do tego, że w Polsce ludziom mówi coś tytuł „Polityka", tam, w kuluarach Roland Garros czy Forest Hills, czułem się nagle jak początkujący dziennikarz, który antyszambruje pod szatnią dwudziestoletniego tenisisty, usiłując bez skutku doczekać się na chwilę rozmowy, w dodatku niezbyt ciekawej, bo nie są to tytani intelektu.

W epoce kultury masowej, prasa, radio i telewizja uczyniły z tenisistów — bohaterów dla tłumu, podobnie jak gwiazdy filmowe, piosenkarzy czy bokserów zawodowych. Tego rodzaju kult, raz rozbudzony, wymaga nieustannej daniny, nowych faktów, plotek, wiadomości, a ponadto ofiar. Ofiar w tym sensie, że nawet jeżeli gwiazda nie chce — musi liczyć się z tym, że każdy, choćby intymny, szczegół jej życia może zostać sprzedany na targowisku, na giełdzie informacji, plotek i sensacji. Navratilowa, w książce *Martina*, niespodziewanie szczerej i bezpretensjonalnej, napisanej wspólnie z amerykańskim dziennikarzem sportowym Georgem Vecseyem, pokazuje czasami żarłoczność dziennikarzy. Błyskawicznie pożarli każdy jej związek przyjacielsko-erotyczny, czy to z pisarką Ritą Mae czy z koszykarką Nancy Lieberman, śledzili gdzie i po co kupuje kolejny dom, karmili jej homoseksualizmem swoich ciągle nienasyconych czytelników. Navratilowa prowadziła walkę na dwa fronty: o prawo do życia z kim chce (a chce z kobietą) i przeciw dyskryminacji finansowej kobiet tenisistek. Nie mogła więc niczego ukryć. Zresztą gwiazda tej wielkości nie może ukryć gdzie i z kim mieszka. To może zrobić prędzej Lendl, który co prawda nie ma niczego do ukrycia, gdyż mieszka z przyjaciółką, młodziutką Amerykanką Samantą, z którą związał się gdy miała 14 lat, ale on z kolei nie znosi rozgłosu i kiedy tylko może, odgradza się od świata wysokim murem dookoła swojej posesji oraz sforą ostrych psów, z których jest przesadnie dumny.

Na tym tle Fibak pojawiał się jako światowiec, który nie ma niczego do ukrycia, a wszystko do pokazania i lubi pokazywać. Przykładne małżeństwo, efektowna żona, wzorowe córeczki, okazałe domy, stylowe acz nie oryginalne, mercedesy i porsche, wyjątkowa kolekcja obrazów, a przede wszystkim on sam — główny okaz tej kolekcji: doskonały sportowiec, myślący, inteligentny, elokwentny w kilku językach, towarzyski, o nienagannych manierach, człowiek jakiego można pokazać w szatni, na korcie, w salonie i przy stole jadalnym nawet u państwa, którzy są bardzo „korekt". Nie żaden osiłek ze wschodniej Europy, tylko dżentelmen mówiący coraz lepiej po angielsku czy francusku, człowiek, który wie, na jakim krześle siedzi i co wisi na ścianie, rozróżnia Chiraca od Barre'a i Moneta od Matisse'a — nazwiska, które z reguły sportowcom nic nie mówią. Nic więc dziwnego, że Fibak od prasy i ludzi nie stroni, tylko wręcz przeciwnie — wie co ma do zaoferowania i umie te atuty wykorzystać. Nie jest odludkiem i samotnikiem, nie unika ludzi, w tym dziennikarzy, ma z nimi na ogół dobre stosunki, a zalety swoje i rodziny, których jest świadom, stanowią raczej powód do nieukrywanej dumy niż rezerwy i zakłopotania.

MECZ W RACING CLUB DE FRANCE

Pewnego dnia w trakcie turnieju Roland Garros Tadeusz Bugaj i Wojtek Fibak umówili się na partyjkę tenisa. Od pewnego czasu wysportowany i odważny Bugaj namawiał polskiego tenisistę, by spróbowali swych sił na korcie, oczywiście pod warunkiem, że Fibak udzieli mu 30 punktów for w każdej grze czyli gemie i zagrają na pieniądze. Dla czytelników, którzy nie znają tenisa, niezbędne jest wyjaśnienie, iż zawodnik, który daje 30 pkt for, musi w każdym gemie wygrać minimum cztery piłki, zaś temu, który otrzymuje for, wystarczą do wygranej dwie piłki. Jest to duże uproszczenie, gdyż faktycznie sytuacja „dawcy" jest jeszcze trudniejsza.

Kilkakrotnie nagabywany Fibak zgodził się i zaproponował grę o 10 tysięcy dolarów (pięć tysięcy na tenis w Polsce i pięć na „drugi obieg"), co — kto wie? — może było bluffem z jego strony. Fibak bowiem umie liczyć pieniądze i niechętnie je trwoni. Miał jednak powody sądzić, że i tak wygra, a ponadto było wątpliwe czy złapany za słowo Bugaj zechce grać o taką stawkę. Faktycznie, jak opowiada Fibak, jego partner poprosił o złagodzenie warunków na całej linii: żeby mu dać aż 40 punktów for w każdej grze, a ponadto by stawką nie było aż 10 tysięcy dolarów. Fibak oba warunki przyjął, nową stawką była kolacja u Maxima dla wszystkich ośmiu osób obecnych, zaś Bugaj otrzyma w każdej grze tyle punktów, ile chce, to jest czterdzieści. Praktycznie więc Fibak przystępował do gry mając nóż na gardle. Nie mógł przegrać ani jednej piłki. Sądził on jednak, że jest to nóż tępy i przeciwnik nie będzie mógł go skrzywdzić.

Pojedynek odbył się na jednym z kortów RCF, a sekundantami i widzami jednocześnie była niewielka grupa Polaków. Już podczas rozgrzewki Fibak utwierdził się, że Bugaj nie jest w tej grze nowicjuszem i jak na amatora gra dobrze. Bugaj z kolei bardzo się bał, że przegra, kilkakrotnie podkreślał, że gra po długiej przerwie, podczas gdy Fibak jest w środku turnieju, ponadto nie wiadomo dlaczego uważał, że miałby większe szanse na sztucznej nawierzchni, nie na korcie ziemnym RCF. Było to dla mnie niezrozumiałe, ponieważ największe sukcesy odnosił Fibak właśnie na nawierzchniach sztucznych. Obaj grali ze sobą uprzednio w 1976 r. w Las Vegas i Palm Springs.

Początkowo Bugaj nie mógł przezwyciężyć tremy. Był całkiem sztywny i grał jak sparaliżowany. Jego rosła postura, doniosły głos i świetne na ogół samopoczucie — wszystko to okazało się nagle za małe na grę Fibaka. Pierwszego, drugiego, trzeciego gema mistrz wygrał łatwo. Chociaż Bugaj normalnie nie wzbudza współczucia, tym razem jednak na nie zasługiwał z powodu odwagi, bądź co bądź wyszedł grać o pieniądze z tenisistą o światowej sławie — nawet jeśli była to sława trochę wyblakła. Fibak bez trudu narzucił Bugajowi swój sposób gry, grał głównie crossy na backhand, żeby później dać skrót na forehand i kiedy Bugaj z trudem dobiegnie, podniesie tę piłkę i otworzy kort — zaatakować przy siatce. Wkrótce dla polskich widzów stało się jasne — że grając defensywnie Bugaj nic nie wskóra, co najbardziej przeżywał Żeńka Pieriewiezencew, z aktorską ekspresją usiłując zachęcić Bugaja, by spróbował przechwycić inicjatywę. Ba, ale jak przejąć inicjatywę z graczem o tyle lepszym od siebie? Fibak atakował cały czas — im mniej wymiany tym mniejsze prawdopodobieństwo zepsucia piłki, a mógł zepsuć tylko 5 piłek w trakcie seta...

Pierwszego seta Bugaj przegrał, ale stopniowo trema zaczęła ustępować, a on przynajmniej nawiązywał walkę i z biegiem czasu gra przestała być jednostronna. Bugaj, który początkowo głośno sobie wymyślał z powodu swoich nieudanych zagrań, tworzył tym sa-

„Spotkanie z Zabytkami" 6.88



10. Wojciech Fibak z córką Pauliną (po prawej) pod portretem Leopolda Staffa namalowanym przez Melę Muter w Paryżu w 1903 r.
(zdjęcia: Janusz Miliszkiewicz)

Zupełnie inna atmosfera towarzyszyła wizycie Ewy i Wojciecha Fibaków. 20 listopada 1987 r. zwiedzaliśmy wspólnie magazyny malarstwa Muzeum Narodowego oraz Żydowskiego Instytutu Historycznego, gdzie Fibak miał nadzieję obejrzeć arcydzieła ulubionych przez siebie malarzy. Zasobność magazynów przyniosła jednak pewien niedosyt, więc dla poprawy nastroju zaproponowałem poznanie kolekcji Nawrockiego.

mym wrażenie, że to raczej on przegrywa niż Fibak wygrywa, „ale ma szczęście!", „ale mam pecha!" — krzyczał, a Fibak to dobrze słyszał i zapamiętał, kilkakrotnie wracając do tego w rozmowie po grze. W miarę jak Bugaj grał lepiej i nawet wygrał drugiego seta, jego humor poprawił się, okrzyki stawały się bardziej radosne i dodawał sobie otuchy zawołaniami w rodzaju „Yes, Boogie!". Żeńka Pieriewiezencew, który — jak na aktora przystało — przeżywał pojedynek najbardziej ekspresyjnie, był teraz niezadowolony, że Bugaj będzie grał trzeciego, rozstrzygającego seta. Ten nie miał jednak wyjścia innego niż honorowe. Trzeciego seta i cały mecz wygrał Fibak. Chwalił później grę Bugaja, moim zdaniem szczerze, gdyż nie sądził, że ta zabawa będzie od niego wymagała tyle wysiłku. Słysząc te pochwały, ktoś powiedział: „Kiedy w grę nie wchodzą pieniądze, Fibak jest bardzo hojny". Nie umiem do dziś powiedzieć, na ile ten komentarz jest sprawiedliwy. Biedni z reguły wymagają, żeby bogaci wydawali — najchętniej na nich. Bogaci z kolei radzą biedniejszym, żeby się wzbogacili. Człowiek zamożny widzi zawsze ręce wyciągnięte w swoją stronę. Jeśli nie są to ręce, to są to wymowne spojrzenia i dwuznaczne sytuacje. W powietrzu wisi presja, żeby bogaty płacił. Z kolei biedny widzi zawsze pieniądze bogatego. Pomiędzy bogatym i biednym stoi bariera pieniędzy, której nie można usunąć.

Miesiąc przedtem w Greenwich, USA, u państwa Fibaków, poznałem na podwieczorku kilka osób. Podwieczorek był podany oczywiście bardzo elegancko, ciasta i kawa na tarasie; nie było co prawda szampana, ale nigdy nie widziałem w domu Fibaków kropli alkoholu, chyba obowiązuje tam jeszcze prohibicja, dawno już w Ameryce zniesiona. Pośród gości był przyjaciel domu Bertrand, jak zwykle on — w towarzystwie kilku modelek, oraz pewien młody Włoch z dziewczyną. Imienia nie pamiętam, załóżmy, że nazywał się Giovanni. Było miło, słoneczne popołudnie, goście przechadzali się między tarasem a kortem, na którym pani domu rozegrała partyjkę tenisa ze swoim szwagrem Mariuszem (wraz ze swoją żoną, siostrą Fibaka Barbarą i z dzieckiem przebywają w Stanach — oboje pracują — Barbara jako architekt, urządzeni tam przez Fibaka). Giovanni tak zasmakował w atmosferze i w towarzystwie, że zaprosił Fibaków i mnie (reszta gości nie mogła) na lunch do doskonałej restauracji włoskiej w Nowym Jorku, na Piątej Avenue, naprzeciwko hotelu Plaza. Obiad był wyśmienity, kobiety piękne, atmosfera miła i tylko gdy przyszło do płacenia, było jak gdyby samo przez się zrozumiałe (zwłaszcza dla Giovanniego), że rachunkiem zajmie się jednak Fibak. W towarzystwie pewnych ludzi tak już jakoś się przyjęło, że zawsze oni płacą, nawet jeśli są zaproszeni. Fibak oczywiście zapłacił, choć on sam miał z lunchu najmniejszą przyjemność — większość czasu spędził na zapleczu restauracji, przy automacie telefonicznym, dzwoniąc do banku i usiłując załatwić sobie pewien kredyt. Kiedy wrócił do stolika, delektowaliśmy się kawą espresso, a Fibakowi, który nie pije nawet kawy — pozostał tylko rachunek.

Wracając na korty Racing Club de France, to wśród Polaków oglądających grę Bugaj–Fibak był Janusz Piewcewicz, dyrektor sekretariatu Stowarzyszenia Narodowych Komitetów Olimpijskich, miłośnik tenisa oraz młoda tenisistka z Polski, nazwijmy ją Joanna. W kraju należała do lepszych tenisistek w stolicy, grywała w lidze i jak prawie każdy marzyła, by grać za granicą. Udało jej się zatrzymać w Paryżu, gdzie związała się z jednym z miejscowych klubów, pomogła swojej drużynie awansować z trzeciej do drugiej ligi, utrzymuje się z nagród w mniejszych turniejach w okręgu paryskim, klub zapewnił jej mieszkanie i w ten sposób dwudziestokilkuletnia Joanna stawia pierwsze kroki o własnych siłach na zagranicznych kortach. Czekała cierpliwie aż Fibak skończy grać, żeby z nim porozmawiać, może jej coś pomoże, może szepnie komuś słówko, może ją zaprotegueje. Kiedy po rozmowie odjeżdżaliśmy z Fibakiem do domu, Fibak powiedział: „— Co ja jej mogę pomóc? Gdyby

EWA FIBAKOWA Z PRZYJACIÓŁMI RODZINY
Z LEWEJ: BERTRAND DIJON, PRZYJACIEL, HANDLOWIEC I OZDOBA TOWARZYSTWA.
Z PRAWEJ: MANFRED JANTKE, SZEF DZIAŁU SPORTU I REKLAMY FIRMY PORSCHE



Nom Age	WOJTEK FIBAK 36 ans.
Profession	Joueur, homme d'affaires et conseiller d'Henri Leconte.
Jouez-vous au tennis ?	Oui, toujours, en dépit d'une récente blessure au genou.
Joueur de tennis préféré ?	Leconte, Wilander, Noah et Lendl.
Favori ?	Les mêmes.
Que seriez-vous prêt à sacrifier pour assister à la finale messieurs ?	Rien.
Et pour assister à la finale dames ?	Rien.
Ce que vous détestez à Roland-Garros.	Les problèmes de parking.
Ce que vous aimez à Roland-Garros.	L'ambiance et bien sûr les matchs.
A combien de tournois avez-vous assisté ?	Une bonne douzaine. Parmi ceux-ci je suis arrivé sept fois de suite en 16e de finale.
Venez-vous tous les jours à Roland-Garros ?	Oui.
Ces Internationaux sont-ils un véritable événement parisien ?	C'est un événement qui appartient à Paris et un tournoi unique.
Qui sont les piliers de Roland-Garros ?	Robert le masseur de l'équipe de France, Lucien le cordeur et Dorfmann.
Le dernier film que vous avez vu ?	*Au revoir les enfants*, de Louis Malle.
Le dernier livre lu ?	*Paris brûle-t-il ?*, de Dominique Lapierre et Larry Collins.
Vous souvenez-vous d'une anecdote amusante ?	

miała 16 lat i była chociaż najlepsza w Polsce, ale tak... Musi tylko grać i wygrywać". Nie wiem nawet czy spojrzał w lusterko swojego samochodu, ale zdawał sobie sprawę z niezręczności całej sytuacji. „Jeszcze na dodatek ten mercedes" — powiedział przyspieszając (Fibak lubi szybką jazdę), a za nami zostawała Joanna, sama, tylko z rakietą, wobec całego Paryża, ba, wobec całego tenisowego świata. A Fibak, który ten świat podbił — jak on ma jej pomóc?

Gdyby ona była jedna jedyna. Nazajutrz rano słyszę w domu u Fibaków dźwięk rzadki — dzwonek do drzwi. Zerwałem się, gdyż sądziłem, że to dzwoni telefon, a bieganie do telefonów było moją częstą rozrywką. Fibakowie mają w domu w Paryżu dość skomplikowany system telefoniczny — cztery linie miejskie, na aparatach różne światełka, po których można zorientować się, skąd toczy się rozmowa — z kuchni, sypialni, gabinetu czy dajmy na to basenu, oraz liczne guziczki do łączenia się w ramach rozległego domostwa, do zawieszania jednej rozmowy, gdy odbywa się akurat druga itp. W tych różnych dzwonkach, guzikach i światełkach nie mogłem się połapać jako człowiek z prowincji o niskiej kulturze telefonicznej. Pobiegłem więc i tym razem do telefonów, ale okazało się, że wszystkie milczą, natomiast widać obcą twarz na ekranie telewizora, którego kamera jest przy bramie. Okazuje się, że ten młody człowiek chce wejść do domu. Istotnie, był umówiony z Fibakiem, został więc dopuszczony, a nawet otrzymał śniadanie. Jest to młody Polak, który przyjechał z Australii, gdzie uległ w pracy potwornemu wypadkowi i został kaleką na całe życie. Tytułem odszkodowania dostał marne sto tysięcy dolarów, które przywiózł oto do Fibaka i chce je u niego zostawić, ponieważ u Fibaka będą pewniejsze, on umie posługiwać się pieniędzmi, o tym wiadomo nawet w dalekiej Australii, dlatego też nieszczęsny człowiek składa swoje odszkodowanie w ręce polskiego tenisisty-biznesmena. Jest to dowód wielkiego zaufania, ale krępujący, gdyż przyjąć cudze odszkodowanie, żeby nim obracać, to wielka odpowiedzialność. W końcu jakoś się panowie porozumieli, „Australijczyk" zostawił Fibakowi swoje sto tysięcy przynajmniej na przechowanie, o warunki nie pytałem, gdyż nie odsetki są interesujące tylko sam fakt.

Pewnego dnia siedziałem na trybunie prasowej Roland Garros, gdy wywołała mnie Tania — pracownica biura prasowego, Rosjanka zamieszkała od kilkunastu lat w Paryżu, gdzie działa jako tłumaczka i współpracownica francuskiej Federacji Tenisowej. — Ktoś na pana czeka — powiedziała. Było to dla mnie zaskoczeniem, nikogo tam bowiem nie znam, w międzynarodowym gronie dziennikarzy i działaczy tenisowych jestem przelotnym ptakiem, który przyleciał popatrzeć i opisać. Czekał na mnie mężczyzna, Polak, który wyjechał z kraju kilka lat temu i pracował w Ameryce jako masażysta oraz specjalista w dziedzinie żywienia sportowców. Pracował z różnymi ludźmi i drużynami, ostatnio podobno ze znakomitą tenisistką Mandlikową, jednak ich drogi rozeszły się, stracił to zajęcie i obecnie szuka pracy. Zagadnął mnie, jako pierwszego spotkanego dziennikarza polskiego, w nadziei, że może znam Fibaka i może przez niego uzyska jakąś pracę w swojej specjalności. Setki takich ludzi kręcą się przy tenisistach, żeby zarobić u nich parę groszy, ale to jest beznadziejna sprawa — odpowiedział mi Fibak, kiedy przekazałem mu prośbę bezrobotnego rodaka.

Na Fibaku ciągle więc ktoś wisi, ktoś pragnie jego pomocy lub wsparcia i nic dziwnego, że nie wszystkim chce i może pomóc. Gdyby casus Fibak uogólnić, to można by zapytać, do jakiego stopnia człowiek sukcesu powinien i jest zobowiązany pomagać innym, a jeśli tak, to w jaki sposób ma to robić? Trenując i protegując młodą polską tenisistkę? Lokując umiejętnie pieniądze inwalidy z Australii? Znajdując pracę młodemu bezrobotnemu masażyście? Każdy sam rozstrzyga komu chce, a komu nie chce pomóc, wybiera złoty środek pomiędzy bezwzględnym egoizmem a rozdaniem wszystkiego co ma pośród innych. Każdy kreśli tę granicę sam i sam za nią później odpowiada. Jeżeli Fibak zarobił tyle ile zarobił i ma tak dużo jak ma, nadto nie ukrywa tego, tylko organizuje u siebie okazałe przyjęcia na kilkaset osób, wśród których jest nawet fotoreporter „Paris Match", to bierze na siebie rolę bogatego człowieka, całkiem trudną do zagrania.

Dla rodziny i dla przyjaciół, Fibak jest hojny. Nie tylko płaci za każdą biesiadę; kiedy Januszowi Dorosiewiczowi groziło bankructwo jego sklepu w Toronto — Fibak wypisał czek na 20 tysięcy dolarów. Kiedy Marek Ruth źle zainwestował w ropę naftową — podobnie. Nieraz wspierał młode zawodniczki i zawodników polskich w USA. Jak każdy człowiek zamożny, zna wartość pieniędzy i swój interes liczy dobrze i szybko; czasem nie zauważy, że ktoś potrzebuje mało, ale innemu da więcej, nie narzuca się z pieniędzmi tym, którzy narzucają się jemu — fundacjom, organizacjom, kościołom i osobom prywatnym. Jest zarazem przytomny i hojny, podobnie jak jest jednocześnie chłodny i ciepły. Chłodny łeb — gorące serce, jak mówi o nim Dorosiewicz.

Będąc skupiony przede wszystkim na sobie, swojej rodzinie i własnych interesach, Fibak nie może i nie chce zamykać się w swoim świecie. Ażeby budować swoją pozycję, potrzebuje wychodzić poza mury swoich rezydencji w Nowym Jorku, Paryżu i Greenwich. Kolekcja obrazów, których nikt nie ogląda i nie reklamuje, jest martwa, nie przybiera szybko na wartości, nie mówi się o niej. Domy i mieszkania, do których nikt nie jest dopuszczony, nie mają takiej wartości, jak kiedy są znane i podziwiane, nie przynoszą właścicielom takiej satysfakcji, jak kiedy wyrażają się o nich z aprobatą właściciele pałaców i handlarze nieruchomości. Wreszcie pozycja Fibaka wśród Polaków i jako Polaka w Paryżu czy w Nowym Jorku, nie może polegać wyłącznie na tym, że jest to były tenisista. Ta pozycja wspiera się na kilku filarach: na tenisie i na pieniądzach, na obrazach, na domach otwartych, zwłaszcza dla ludzi znanych, którzy otwierają drzwi do różnych domów oraz interesów, a ponadto powodują swoją obecnością, że dom państwa Fibaków zaczyna stawać się ośrodkiem spotkań nie tylko towarzyskich. Fibakowi marzy się Hotel Lambert.

Podczas zaimprowizowanej przejażdżki po Paryżu, który Fibak dobrze zna i lubi, podjechał specjalnie pod dom, w którym mieścił się kiedyś Hotel Lambert, zaś po przyjęciu, jakie wydał wspólnie z Bertrandem Dijon na kilkaset osób, wspomniał wręcz, że chciałby, aby jego dom pełnił rolę podobną. Świadczy to o zainteresowaniach, ambicjach i aspiracjach Fibaka. Prawdopodobnie wielu czytelników, nie tylko tenisistów, zapomniało już czego uczyli się w szkole i nie bardzo wiedzą, co to był Hotel Lambert. Trzeba więc przypomnieć, żeby na tym tle docenić zamiary i aspiracje bohatera naszego romansu.

Hotel Lambert była to nazwa okazałego pałacu w centrum Paryża, dwa kroki od Sekwany, który w 1843 roku nabył książę Adam Jerzy Czartoryski. Rodzina Czartoryskich przez kilkadziesiąt lat stanowiła ośrodek emigracji polskiej we Francji, zwłaszcza jej nurtu konserwatywnego i arystokratycznego. Paryż, „stolica świata", „arcymiasto" przyciągał emigrację polską od niepamiętnych czasów aż po dziś dzień, od Mickiewicza do Mrożka, ale lata największego rozwoju tej emigracji i jej największej obecności we Francji przypadają na okres między powstaniem listopadowym i styczniowym. Demonstracje w sprawie polskiej potrafiły wówczas liczyć 200 tysięcy ludzi (w1848 roku), o sprawie polskiej mówiono w Zgromadzeniu Narodowym (np. Wiktor Hugo), pisał o niej Balzak, upominały się o nią liczne (ok. 25) czasopisma polskie i francuskie tam drukowane, szkoły, uczelnie, zespoły, artyści, Chopin, Mickiewicz, Kossak, Michałowski, Ursyn Niemcewicz i wielu innych, mniej dziś znanych, ale wówczas liczących się. Polska była wówczas obecna we Francji jak nigdy, od rozmów w gabinetach polityków i na dworze cesarskim poprzez karty *Kuzynki Bietki* i *Fałszywej kochanki* Balzaka, aż po bistro „Pod polskim kosynierem" na ulicy St. Denis 46 („Au faucher Polonais") i knajpkę „U pięknej Polki" („A la belle Polonaise") przy ul. Gaité 21. Hotel Lambert, związany głównie z konserwatywnym ziemiaństwem polskim, później z Białymi w powstaniu styczniowym, stanowił główny ośrodek emigracji polskiej przez kilkadziesiąt lat, prowadził działalność polityczną w ścisłym związku z walczącym o wolność krajem, był do pewnego stopnia ambasadorem nie istniejącej Polski w Europie, nie tylko w Paryżu, gdyż jego przedstawiciele docierali też na dwór angielski i austriacki. To do Władysława Czartoryskiego powiedział francuski minister spraw zagranicznych de Lhuys Drough słynne „trwajcie". Hotel Lambert działał do połowy lat siedemdziesiątych XIX wieku, a jego głównymi postaciami byli Adam Jerzy Czartoryski i jego syn Władysław, Julian Klaczko — wybitny historyk, Leonard Niedźwiecki, Bronisław Zaleski — dyrektor Biblioteki Polskiej, Ildefons Kossiłowski, Henryk Wyziński — szef bardzo prężnej redakcji polskich publikacji. Działała w Paryżu polska szkoła, biblioteka — którą mi Fibak pokazywał podczas jednego ze spacerów, zakłady opieki, Towarzystwo Historyczno-Literackie i inne.

Fibak nie jest historykiem ani politykiem, nie zna na pewno bliżej tych i innych szczegółów działalności Hotelu Lambert, uznaje jednak potrzebę stworzenia jakiegoś ośrodka obecnej emigracji czy Polonii w Paryżu. Myślał nawet o kupieniu posiadłości Hotel Lambert, gdyż on uważa, że każda rzecz ma swoją cenę (nie wiem czy obecni właściciele są podobnego zdania), ale nie miałby nic przeciwko temu, żeby jego obecny dom, Villa des Arts, z kolekcją obrazów i antyków, a przede wszystkim z nim jako gospodarzem, kontynuował tradycje Hotelu Lambert i księcia Czartoryskiego. Może jeszcze nie w tym sensie, żeby Fibak lub jego emisariusze pukali do drzwi gabinetów oraz skarbców prezydenta Mitterranda i pani Thatcher, usiłując załatwić

coś dla Polski, ale żeby stworzyć miejsce spotkań, klub dyskusji, źródło i ośrodek myśli oraz ducha polskiego w Paryżu, gdzie Roman Polański, Stanisław Mrożek, Wojciech Fibak i inni będą wspólnie myśleć i działać dla Polski. Brzmi to może trochę nieprawdopodobnie, może nawet pretensjonalnie, ale lepiej, żeby Fibak, który osiągnął wiele, miał również takie aspiracje, a nie tylko żądze prywatne.

Aspiracje Fibaka nie są całkiem gołosłowne. Sfinansował on już napisanie i wydanie w Londynie książki Józefa Garlińskiego *Polska w drugiej wojnie światowej* (Wydawnictwo Odnowa 1982 rok). *Na temat drugiej wojny światowej wydałem szereg książek* — pisze dr Garliński we wstępie — *ale dotyczyły one tylko specjalnych problemów i nie obejmowały całości. Nosiłem się z zamiarem napisania pełnej historii udziału Polski w ubiegłej wielkiej wojnie, ale problem wydawał mi się zbyt trudny, i, być może, za wczesny. Obawy moje i wewnętrzne opory przełamał ostatecznie bliski mi człowiek i przyjaciel, Wojciech Fibak, czołowy przedstawiciel młodego polskiego pokolenia, który w swej specjalności potrafił zająć jedno z pierwszych miejsc wśród młodzieży całego świata. Dzieli nas duża różnica wieku, ale łączy wiele wspólnych poglądów i zainteresowań.*

Zachęta nie była teoretyczna, bo Wojtek zobowiązał się do pokrycia wydatków związanych z pracą nad tak trudnym tematem i z wydaniem książki.

Fibak sfinansował trwającą półtora roku pracę autora i wydanie książki. Abstrahując od jej jakości, na temat której nie ma nic do powiedzenia z braku kompetencji — jaki inny sportowiec polski wyłożył na podobny cel tyle pieniędzy? Ile — tego nie wiem, Fibak nigdy nie wspomniał, a ja nie pytałem, zgodnie z zasadą, że dżentelmeni nie rozmawiają o pieniądzach. W każdym razie musiały to być tysiące dolarów, co stanowi przyczynek do rozważań o stosunku naszego bohatera do pieniędzy. Mieści on się w normie, Fibak jest bogaty, ale nie zasługuje na miano Pana Geldhaba.

Oczywiście książka taka w pewnym sensie łaskocze mile próżność Fibaka, ale — jeśli tak jest — to wyłącznie na użytek wewnętrzny, a nie na pokaz. Dobrze byłoby, gdyby inni zamożni rodacy w podobny sposób zaspokajali swoje potrzeby, głaskali swoje ego. Józef Garliński na łamach polskiej prasy emigracyjnej w Londynie kilkakrotnie opiewał sukcesy tenisowe i życiowe Fibaka.

Co do mnie, to żałuję, że nikt mojej pracy nad niniejszą książką nie sfinansował tak hojnie — otrzymałem tylko od mojego pracodawcy RSW Prasa bilety do Poznania, Paryża i Nowego Jorku, a na miejscu wyłącznie nocleg i utrzymanie u przyjaciół, poza tym ani centa, nawet na metro czy muzeum, szatnie i napiwek. Świadczenia w naturze otrzymywałem jeszcze z jednego źródła, mianowicie mój przyjaciel Zdzisław Ambroziak przynosił na Roland Garros smakowite kanapki własnej roboty, którymi ratowaliśmy się podczas turnieju. Nie mając żadnych diet mogłem w ten sposób trochę ocalić swą niezależność. ■

CDN.

DANIEL PASSENT

OD PRAWEJ: WOJCIECH FIBAK, JANUSZ DOROSIEWICZ, EWA FIBAKOWA I DANIEL PASSENT

Janusz Dorosiewicz, bliski przyjaciel, na dworze Fibaka pełni funkcję Stańczyka



Najpierw trzeba być wielkim, potem można być szczęśliwym

TO JEST MOJA GRA

FIBAK I LENDL

DANIEL PASSENT

JEŻELI Fibak ma jakiś kompleks, jakąś zadrę, jeżeli coś go boli, to zadra ta nazywa się Iwan Lendl. Lendl jest jedynym wielkim tenisistą naszych czasów, z którym Fibak nie wygrał, aczkolwiek raz czy drugi był bliski zwycięstwa nad najlepszym obecnie tenisistą świata. Jednakże nie to gnębi naszego bohatera, ponieważ tenis w życiu Fibaka nie jest już najważniejszy i może nawet nigdy nie był. Kilka osób, które dobrze znają naszego tenisistę, sportowcy, dziennikarze (np. Budd Collins) i menażerowie, mówiło mi, że Fibak zaszedłby w tenisie wyżej, gdyby bez reszty poświęcił się temu sportowi. Ale siła Fibaka — jego wszechstronność, którą wszyscy podziwiają, życie rodzinne, kultura, biznes — okazała się także słabością. Za to wszystko, za bogate życie, trzeba było płacić i płaciło się na korcie. Życie jego tak się potoczyło, że nikt nie zajmował się nim jak cudownym dzieckiem, z którego należy zdjąć wszelkie troski, byle tylko grał i wygrał. Są sportowcy chowani od dziecka na mistrzów, np. Stefi Graf, Iwan Lendl, Gabriela Sabatini, ale są też tacy, którzy muszą i umieją chodzić wokół własnych spraw. I do nich należy Fibak.

Jeżeli tenis nie jest dla niego naj-, naj-, najważniejszy, to co jest? Otóż dla Fibaka najważniejszy jest Fibak. I dlatego boli go Lendl. Fibak będąc już w czołówce światowej, zetknął się z młodym obiecującym Iwanem Lendlem. Związek ten trudno scharakteryzować jednym słowem. Były to stosunki koleżeńskie, ponieważ zbliżyło się dwóch tenisistów z Europy Wschodniej, którzy znaleźli się daleko od Pragi i Warszawy, w obcym, innym świecie Zachodu, zawodowego sportu, pieniędzy, reklam, sławy, innych obyczajów i wartości. Były to stosunki trener—zawodnik, ponieważ Fibak, jako inteligentny i bardziej doświadczony tenisista, zaczął wprowadzać zmiany do sposobu gry Lendla. Między innymi radził nie biegać po każdej piłce do siatki, a przede wszystkim zmienił backhand Lendla — z ciętego na liftowany, ze slice'a na lift. Fibak, który sam grał właśnie głównie backhand cięty, ryzykowny, nisko nad siatką, wiedział, co to znaczy liftowana bezpieczna piłka z backhandu, przechodząca wyżej nad siatką, niż ryzykownie plasowana piłka slajsowana. Lendl posłuchał Fibaka do tego stopnia, że przez kilka miesięcy przegrywał, ale grał tylko lifta, w ogóle nie podcinał z backhandu, aż zaczął wygrywać z tymi samymi, którym niedawno jeszcze ulegał.

Był to stosunek starszy—młodszy. Fibak jest starszy od Lendla o siedem lat. Gdyby obaj spotkali się, gdy jeden miał lat 53, a drugi 60, to różnica ta nie znaczyłaby wiele. Ale ponieważ zetknęli się w okolicy dwudziestego roku życia — była to ogromna różnica doświadczenia na korcie i w życiu, w podróżach, hotelach, odżywianiu się, mieszkaniu, znajomości języków, świata i ludzi, reguł gry w życiu i w interesach, biznesie, stolicach, cenach, walutach, obyczajach, słowem prawie w każdej dziedzinie. Fibak i jego żona Ewa zaczęli otwierać Lendlowi oczy na świat, pomagali mu w sprawach organizacyjnych, finansowych, kontaktach z prasą, radzili, jak się ubierać, jak się zachowywać, jak mówić, jak się uczyć języków, jak się uczyć życia. Lendl był pojętnym uczniem, a Fibak dobrym nauczycielem. Lendl zaczął zarabiać pieniądze, a Fibak pomagał mu je inwestować. Lendl zaczął kupować mieszkania, a Fibak pomagał mu je urządzać. Lendl zaczął grać coraz lepiej, a Fibak pomagał mu w tym. Lendl zaczął wygrywać, a Fibak cieszył się z jego zwycięstw.

Fibak nie miał żadnych kompleksów, gdy Lendl był od niego słabszy, gdy przegrywał z nim, gdy Lendl był jeszcze nikim. Fibak był wtedy starszym, mądrzejszym, bardziej doświadczonym kolegą, który pomagał młodszemu. Fibak nie miał kompleksów, gdy Lendl zaczął wygrywać z nim, gdy Lendl zaczął zarabiać pieniądze, gdy Lendl zaczął kupować mieszkania, gdy Lendl zaczął grać coraz lepiej, gdy Lendl zaczął wygrywać. Fibak nie miał kompleksów, gdy Lendl był od niego słabszy, gdy przegrywał z nim, gdy Lendl był jeszcze nikim. Fibak był wtedy starszym, mądrzejszym, bardziej doświadczonym kolegą, który pomagał młodszemu. Fibak nie miał kompleksów, gdy Lendl zaczął wygrywać z nim, gdy Lendl zaczął zarabiać pieniądze, gdy Lendl zaczął kupować mieszkania, gdy Lendl zaczął grać coraz lepiej, gdy Lendl zaczął wygrywać. Fibak nie miał kompleksów, gdy Lendl był od niego słabszy, gdy przegrywał z nim, gdy Lendl był jeszcze nikim. Fibak był wtedy starszym, mądrzejszym, bardziej doświadczonym kolegą, który pomagał młodszemu. Fibak nie miał kompleksów, gdy Lendl zaczął wygrywać z nim, gdy Lendl zaczął zarabiać pieniądze, gdy Lendl zaczął kupować mieszkania, gdy Lendl zaczął grać coraz lepiej, gdy Lendl zaczął wygrywać.





— Brałem od Iwana 7,5 albo 10 procent — mówi. I dodaje: — Nigdy więcej niż 10 procent. Sam tak od początku zaproponowałem i nie usiłowałem nigdy zmienić. Załóżmy, że w ciągu 4—5 lat zarobiłem tą drogą około 1 miliona dolarów, nie wiem, nie liczyłem. Ale gdybym nie zajął się Iwanem, tylko więcej uwagi poświęcał sobie, to moje zarobki też by wzrosły, ponadto miałbym więcej czasu na biznes, co też się liczy, nie mówiąc o innych zainteresowaniach. Byłem już wtedy dobrze sytuowany, miałem dwa domy i mieszkania warte co najmniej 20 milionów, atrakcyjnie położone parcele, kilka domów, w które zainwestowałem — w sumie nietrudno zauważyć, że dochody płynące ze współpracy z Iwanem stanowiły nie najważniejszą część moich finansów. Dlatego, gdy uznałem, że nadszedł czas — mogłem się wycofać, mogłem mu powiedzieć „Good luck! — Powodzenia!", gdy znajdował się u szczytu swoich zarobków. Korzyści finansowe z Iwana były zawsze dla mnie uboczne, podobnie jak moje zarobki tenisowe od 1978 roku odgrywały w moich finansach rolę drugorzędną, mimo że w kraju pasjonowały formie dwadzieścia milionów. Fibak jest zdania, że Lendl — między innymi dzięki inwestowaniu z nim samym — ma dziś więcej niż Borg.

— Brałem od Iwana 7,5 albo 10 procent — mówi. I dodaje: — Nigdy więcej niż 10 procent. Sam tak od początku zaproponowałem i nie usiłowałem nigdy zmienić. Załóżmy, że w ciągu 4—5 lat zarobiłem tą drogą około 1 miliona dolarów, nie wiem, nie liczyłem. Ale gdybym nie zajął się Iwanem, tylko więcej uwagi poświęcał sobie, to moje zarobki też by wzrosły, ponadto miałbym więcej czasu na biznes, co też się liczy, nie mówiąc o innych zainteresowaniach. Byłem już wtedy dobrze sytuowany, miałem dwa domy i mieszkania warte co najmniej 20 milionów, atrakcyjnie położone parcele, kilka domów, w które zainwestowałem — w sumie nietrudno zauważyć, że dochody płynące ze współpracy z Iwanem stanowiły nie najważniejszą część moich finansów. Dlatego, gdy uznałem, że nadszedł czas — mogłem się wycofać, mogłem mu powiedzieć „Good luck! — Powodzenia!", gdy znajdował się u szczytu swoich zarobków. Korzyści finansowe z Iwana były zawsze dla mnie uboczne, podobnie jak moje zarobki tenisowe od 1978 roku odgrywały w moich finansach rolę drugorzędną, mimo że w kraju pasjonowały

im tego przyznać, jakby się obawiał, że mu nie do honoru.

TO co Fibak widzi jako dobrodziejstwo, opiekę i przykład dla Lendla, tamten może odbierać jako dominację i zainteresowanie swoją osobą wcale nie bezinteresowne. Sam się o tym przekonałem. Mimo że cały świat tenisowy wie, iż obaj byli ze sobą tak blisko związani i nadal mieszkają w tej samej miejscowości, uzyskanie wywiadu Lendla do książki o Fibaku było bardzo trudne. Sądzę, że w sytuacji odwrotnej, gdy ktoś będzie pisał książkę o Lendlu, dużo łatwiej uzyska rozmowę z Fibakiem.

Są po temu, jak sądzę, dwie przyczyny. Jedna jest taka, iż Lendl unika rozgłosu. Ukryty za wysokim murem, pilnowany przez liczne groźne owczarki niemieckie, które stanowią jego ulubione towarzystwo, ten wielki tenisista stroni od ludzi, zwłaszcza od prasy, która nie była dla niego początkowo życzliwa. Lendl, w rozmowie człowiek miły i sympatyczny, a na korcie zachowujący się godnie i fair, miał pewien problem ze swoim wizerunkiem, obliczem, to co Amerykanie nazywają „image problem". Jawił się publiczności jako kamienny, spiżowy, bezwzględny, może nawet trochę toporny i ponury. Brak mu było tej ogłady, obycia, odpowiedniego uśmiechu, gestu, słowa. Nie wiem, ile czekałem, może jeszcze godzinę, aż w końcu Lendl — ku mojemu zdumieniu — jednak kogoś po mnie przysłał. Znalazłem się w pokoju masażystów. Na dwóch stołach leżeli dwaj goli mężczyźni. Twarzą do góry leżał golusieńki Iwan, tak jak go Pan Bóg stworzył, tylko przyrodzenie miał przykryte skrawkiem ręcznika. Obok, pupą do góry, leżał Mecir — doskonały tenisista czechosłowacki. Każdego szarpał i klepał masażysta, by ulżyć trochę ich mękom po wyczerpujących pojedynkach. W ten sposób, jak przy stole operacyjnym, toczyła się ta rozmowa. Tyle, że pacjent był zdrów i silny jak mało kto, nadto miły, uśmiechnięty, życzliwy i wręcz ciepły, tyle tylko że małomówny, lakoniczny, bez inicjatywy w rozmowie, co dla dziennikarza oznacza dodatkową trudność. Stojąc nad kimś, kto jest masowany, mamy wrażenie, że mu przeszkadzamy w sytuacji dość intymnej — nie wiedząc, czy Lendl w ogóle jeszcze pamięta, że czeka na niego jakiś dziennikarz, tym bardziej powtarzałem sobie, że muszę tę książkę dokończyć, że skoro powiedziałem A, to trzeba powiedzieć B, że jak będę wyglądał wobec Fibaka, wobec siebie, słowem muszę. Tyle pisać o waleczności i nagle się poddać?

NIE wiem, ile czekałem, może jeszcze godzinę, aż w końcu Lendl — ku mojemu zdumieniu — jednak kogoś po mnie przysłał. Znalazłem się w pokoju masażystów. Na dwóch stołach leżeli dwaj goli mężczyźni. Twarzą do góry leżał golusieńki Iwan, tak jak go Pan Bóg stworzył, tylko przyrodzenie miał przykryte skrawkiem ręcznika. Obok, pupą do góry, leżał Mecir — doskonały tenisista czechosłowacki. Każdego szarpał i klepał masażysta, by ulżyć trochę ich mękom po wyczerpujących pojedynkach. W ten sposób, jak przy stole operacyjnym, toczyła się ta rozmowa. Tyle, że pacjent był zdrów i silny jak mało kto, nadto miły, uśmiechnięty, życzliwy i wręcz ciepły, tyle tylko że małomówny, lakoniczny, bez inicjatywy w rozmowie, co dla dziennikarza oznacza dodatkową trudność. Stojąc nad kimś, kto jest masowany, mamy wrażenie, że mu przeszkadzamy w sytuacji dość intymnej — nie wiedząc, czy Lendl w ogóle jeszcze pamięta, że czeka na niego jakiś dziennikarz, tym bardziej powtarzałem sobie, że muszę tę książkę dokończyć, że skoro powiedziałem A, to trzeba powiedzieć B, że jak będę wyglądał wobec Fibaka, wobec siebie, słowem muszę. Tyle pisać o waleczności i nagle się poddać?

spędziłeś młodość w Czechosłowacji i lata dojrzałe w USA?

— Z jednej strony to dobrze, że urodziłem się w Czechosłowacji, ponieważ życie tam nie jest łatwe. Warunki treningu, życia, rozwoju osobowego i sportowego są trudne. To mnie zahartowało, nie załamałem się. Z drugiej strony miało to swoje wady, bo wiele z tego, czego nauczyłem się w Czechosłowacji, nie przydało mi się później za granicą, zwłaszcza w Ameryce. To jest inny kraj, inny świat, inna mentalność, inne nawyki i wartości. Musiałem wszystkiego uczyć się od nowa. Było mi trudno, mając już dwadzieścia lat musiałem drugi raz wchodzić w życie.

— Z tego, co wiem, z Greenwich, od twoich przyjaciół oraz z prasy, pracujesz ciężko, trenujesz i grasz dużo. Czy tenis dla ciebie to jest jeszcze przyjemność, czy ciężki obowiązek i praca?

— Różnie w różnych okresach. Od kilku lat to jest przyjemność, ale przedtem przez parę lat to była praca i obowiązek. Teraz gram z przyjemnością.

— Dlatego, że lepiej grasz, czy więcej zarabiasz?

— Nie. Dlatego, że znacznie urozmaiciłem swój trening na korcie i poza kortem, hokej, golf, rower, poza tym w moim życiu wprowadziłem wiele nowego, teraz jest przyjemnie.

— Tobie sprawia więc tenis znów przyjemność, a innym? Czy to jest jeszcze sport, czy już przemysł? Bo Tiriac mówił mi, że to jest przemysł.

— Oczywiście, że poza kortem to jest przemysł, ale na korcie to jest nadal sport.

— Powiadasz, że wiele zmieniłeś w swojej pracy. Na czym te zmiany polegają?

— To był jeden z powodów, dla których rozeszliśmy się Wojtkiem, bo mieliśmy różnice zdań. Ja zacząłem dużo mniej trenować na korcie, a więcej pracować nad przygotowaniem fizycznym — aerobik, dźwiganie ciężarów, ćwiczenia w sali gimnastycznej, rower itd. A w tenisa gram mniej, ponieważ uważam, że swoją grę niewiele już ulepszę, natomiast właściwości fizyczne — siłę, szybkość, wytrzymałość — mogę poprawić. Jestem teraz szybszy, silniejszy, lepiej dochodzę do piłek.

— Masz doskonałe warunki fizyczne.

— To dopiero od kilku lat, przedtem ich nie miałem, męczyłem się, brakło mi sił, spóźniałem się. Jeżeli teraz mam warunki dobre, to dzięki trudnej pracy.

— Skoro wspomniałeś Fibaka i waszą różnicę zdań, to może cofnijmy się do początków waszej znajomości.

— Kiedy poznaliśmy się, on już był tenisistą, a ja jeszcze podawałem piłki. Później spotykaliśmy się na turniejach, a w 1980 roku zaczęła się nasza współpraca. Wojtek dużo mi pomagał, mówił mi o różnych przeciwnikach, analizował ich grę, ustalał moją strategię. Później coraz częściej dochodziło do różnic zdań na treningach i poza nimi, Wojtek zrobił się bardziej leniwy, nie chciał tyle podróżować, bo założył rodzinę, miał dzieci, sam też zaczął mniej grać

— Nie, nie mam prawie żadnych. Miałem nieporozumienia z Czechosłowacką Federacją Tenisa, ponieważ zawarliśmy umowę, z której Federacja nie dotrzymała wobec mnie ani jednego warunku; a ja spełniłem wszystkie. Dlatego nie mam żadnych kontaktów.

— Ale wiesz chyba, że dla wielu młodych tenisistów w naszej części świata jesteś idolem i przykładem, że u nas też można rozpocząć wielką karierę.

— Wiem. Taki przykład jest tym ludziom potrzebny, ponieważ w tamtych krajach warunki są trudne i potrzeba zachęty. Niech młodzi ludzie widzą, że można pokonać takie przeszkody i do czegoś dojść.

— Mówisz o przeszkodach, o trudnych warunkach. Ale w Polsce panuje przekonanie, że warunki do uprawiania tenisa w Czechosłowacji są dobre, nawet bardzo.

— W porównaniu z Polską, ale nie w porównaniu z Zachodem.

— W Polsce jest zdolna młodzież tenisowa, ale warunki są trudne, praca z młodzieżą nawet jeszcze gorsza, poniżej istniejących, skromnych możliwości. Co byś doradzał tym młodym ludziom — jak najwięcej grać, jak najwięcej trenować poza kortem, jak najszybciej wyjechać z kraju?

— Moim zdaniem tenis zmierza w kierunku, w którym najważniejsze będzie przygotowanie fizyczne. Szybkość, wytrzymałość, siła — fizyczna oraz psychiczna, oto co jest najważniejsze. Tych wszystkich cech nie można mieć od urodzenia, za darmo. Do tego można dojść tylko dużo trenując, ciężką pracą. Dużo grać na korcie, zwłaszcza w młodym wieku poprawiać swoje uderzenia i coraz więcej ćwiczyć poza kortem — biegać, dużo biegać. Ja nie biegam, ponieważ mam kłopoty z kolanami, dlatego jeżdżę na rowerze, ale to inna sprawa. Podnosić ciężary, ale zawsze pod kontrolą specjalisty, bo łatwo można sobie zrobić krzywdę. Tenis, podobnie jak inne sporty, staje się coraz bardziej skomplikowany. Coraz więcej ma do powiedzenia nauka i technika, dlatego jeden trener nie wystarczy — potrzebni są i inni fachowcy, w dziedzinie rozwoju ogólnej sprawności fizycznej, odżywiania, nadzór lekarski, technika uderzeń, strategia na korcie — to jest coraz większa wiedza.

— A czy ty korzystasz z takiej pomocy?

— Tak. Na przykład systematycznie mam robione analizy krwi, aby korygować moje odżywianie, dźwigam ciężary i wykonuję różne ćwiczenia pod kierunkiem specjalisty, bez nich nie wiedziałbym, kiedy trenować szybkość, a kiedy wytrzymałość. Minęły czasy trenowania „na oko". Tylko w ten sposób można zdobyć przewagę nad innymi, nad tymi, którzy nie doszli jeszcze do takich metod treningu. Nie wystarczy być sześć godzin na korcie, czy trenować sześć godzin, bo można robić rzeczy zbędne, a skąd wiadomo, co robić, jeśli się tego nie podda do-

ków, świata i ludzi, reguł gry w życiu i w interesach, biznesie, stolicach, cenach, walutach, obyczajach, słowem prawie w każdej dziedzinie. Fibak i jego żona Ewa zaczęli otwierać przed Lendlem różne tajemnice tamtego świata — zdrowej kuchni i zdrowych kontaktów, zdrowych inwestycji i decyzji. Fibak skłonił Lendla, by przeniósł się jak najszybciej do USA, ponieważ tam gra się najwięcej i tam będzie mu najwygodniej; Fibakowie zaoferowali Lendlowi pokój w ich nowojorskim mieszkaniu, a później w domu w Greenwich („pokój Iwana"), u nich jadł, spał, mieszkał, a Ewa Fibakowa prowadziła jego biuro, rachunki, sprawy finansowe.

Wreszcie był to stosunek menażer—zawodnik, a więc w grę wchodziły również pieniądze, podobnie jak w stosunkach Tiriac—Becker, czy Tiriac—Vilas, i obecnie Fibak—Leconte. W świecie tenisowym mówi się, że jest dwóch ludzi, którzy najlepiej nadają się do roli menażera: Tiriac i Fibak. Obaj byli tenisistami o sławie międzynarodowej i obaj mają głowę na karku. Nie chodzi tylko o finansową przytomność umysłu, o to, żeby umieć szybko zdecydować, w którym turnieju zagrać — tam, gdzie nagroda jest wyższa, ale konkurencja trudniejsza, czy tam gdzie łżejsza będzie gra i łżejsza sakiewka. Tu chodzi o rozum i doświadczenie na każdym kroku — podczas meczu, na turnieju, przy jedzeniu i masażu, doborze sprzętu, partnera, wyjazdów i kontaktów — tu się kształtuje i sprzedaje bardzo skomplikowany produkt jakim jest dziś tenisista. Fibak ze swoim doświadczeniem na korcie, obyciem, inteligencją, smykałką do interesów, przedsiębiorczością i dominującą osobowością bardzo nadawał się na menażera Lendla — nowej, wschodzącej gwiazdy tenisa światowego. Obaj dostrzegli tę szansę — Lendl wyczuwał ile skorzysta na pomocy Fibaka, a Polak też czuł w tym swój interes.

Ani Fibak, ani Lendl nigdy nie podali mi szczegółów finansowych swojej współpracy, nie pytałem ich o to, gdyż znane są ogólne reguły gry. Menażer pobiera od zawodnika 10—25 proc. jego zarobków z nagród, kontraktów reklamowych, gier pokazowych, premii i innych wpływów. Inna jest prowizja z nagród, inna z kontraktów itp. — wszystko to jest kwestia umowy. Jeżeli wielki tenisista zarobił np. 5 milionów dolarów w ciągu 2—3 lat, to możemy założyć, że menażer wziął z tego milion. A jeżeli menażer jeszcze gra, to kontrakt z podopiecznym może być rozszerzony na menażera. Fibak umie liczyć i zna swoją wartość. Służył Lendlowi ogromną pomocą życiową, bezzwrotną i nieocenioną, a ponadto partycypował w stale rosnących dochodach Lendla, który stał się — dzięki sobie, ale i Fibakowi — najlepiej zarabiającym tenisistą w historii. Żeby zdać sobie sprawę, o jakie tu chodzi sumy, wspomnę, że w czasie Wimbledonu 1987 r. tygodnik „Der Spiegel" poinformował, że w ciągu całej swojej kariery Borg zarobił łącznie 68 mln dolarów. Fibak skomentował: przy jego wydatkach na agentów, menażerów, podatki, rozwody, życzę Bjoernowi, by miał dziś w tej czy innej





Nikt nie zna wad i zalet Lendla lepiej niż Fibak
Fot. ARCHIWUM

„To jest moja gra" — to tytuł nowej książki Daniela Passenta, której druk rozpoczął miesięcznik „Literatura" w najnowszym (4) numerze. Tematem książki, której akcja rozgrywa się m.in. w Poznaniu, Warszawie, Paryżu i w Nowym Jorku, jest Wojciech Fibak i jego świat: tenis, sztuka oraz interesy. Fibak jako mistrz sportu i artysta sztuki życia. Jest to opowieść o tym, jak mały chłopiec z kortów AZS w Poznaniu zrealizował swoje marzenie o karierze w wielkim świecie i cenie, jaką za to zapłacił. Drukujemy jeden z dalszych fragmentów książki, a zainteresowanych odsyłamy do „Literatury". Wydanie książkowe ukaże się nakładem Krajowej Agencji Wydawniczej.

niektórych i podliczali moje wygrane. W okresie naszej współpracy nie było między nami najmniejszego nieporozumienia, żadnej kłótni, Iwan powierzył Ewie wszystkie swoje sprawy, pieniądze, kredyty, interesy, wszędzie na jego rachunkach i dokumentach figurują nasze podpisy. Gdy jednak wyczułem, że Iwan uważa, iż nasza współpraca jest dla mnie żyłą złota — wycofałem się natychmiast, dla jego i mojego dobra, mimo że wcale tego nie proponował.

Fibak zna swoją wartość jako menażera, zna swoje walory i nie przeczy, że on i Tiriac są w tej dziedzinie najlepsi, dodaje nawet że ma nad Tiriakiem, który dawniej skończył karierę — jeszcze tę przewagę, iż on grał z całą obecną czołówką, z Lendlem, Noahem, Beckerem i innymi, a nigdy nie pozna się tenisisty lepiej, niż grając przeciwko niemu. Jest to jak wspólny wyjazd na wakacje — po powrocie wie się dużo więcej. Tę wiedzę można przekazać podopiecznemu.

W takim układzie Fibak—Lendl nie można ustalić, kto skorzystał więcej. Fibak na pewno pomnożył sukcesy sportowe i zarobki Lendla. Kto wie, czy bez swojego menażera-trenera i przyjaciela Czech wspiąłby się tak wysoko. Z kolei Lendl dobrze wie, ile Fibak na tej współpracy zarobił. I nie jest wykluczone, że każdy czuje się niedoceniony przez tego drugiego, każdy uważa, że dał więcej niż dostał. Dlatego pewnego pięknego dnia współpraca ta skończyła się. Fibak mówi, że to on skończył, Lendl powiada, iż żałuje, że nie rozstali się wcześniej. Lendl przyznaje, że Fibak wiele go nauczył i nadal są kolegami, Fibak z kolei, że Lendl brał z niego przykład — Fibak kupił dom w Greenwich — Lendl kupił dom w Greenwich, zresztą od Fibaka, Fibak zbiera malarstwo — Lendl zbiera plakaty Muchy, Fibak kupuje parcele — Lendl kupuje parcele, zresztą od Fibaka. Fibak ma wzorowe życie rodzinne — Lendl ma przyjaciółkę, młodziutką Amerykankę Samanthę poznaną oczywiście u Fibaków, Fibak ma psy owczarki — Lendl ma te same psy owczarki. Fibak ma porsche i mercedesa — Lendl to samo. U Lendla nawet pracuje w domu polski personel polecony przez Fibaka.

Pozostała jednak zadra, Fibak uważa, że poświęcili z Ewą najlepsze lata Iwanowi i zrobili z niego człowieka obecnego formatu, a Lendl nie chce miechu do właściwej osoby czy do kamery w stosownym momencie — dokładnie to ma Fibak, który zawsze widzi, kto wszedł, z kim się przywitać, z kim należy czy warto zamienić kilka słów. Jeżeli do tego dodamy, że stosunki między nimi są dziś raczej poprawne niż bliskie, to nic dziwnego, że Fibak musiał wielokrotnie zabiegać o wywiad dla mnie. Bez Fibaka żadna z moich rozmów tenisowych w Nowym Jorku i w Paryżu nie byłaby możliwa, gdyż on otwierał mi wszystkie drzwi, ale do drzwi Lendla musiał długo stukać. Wszyscy inni otwierali od razu. W Ameryce starania trwały kilka tygodni, Lendl stale obiecywał i ciągle mówił, że jest zajęty. Raz nawet zaproponował, żebym przyleciał do Amsterdamu, dokąd właśnie się udaje. Trwające z górą trzy tygodnie starania w Ameryce spełzły na niczym, co jest tym bardziej wymowne, że Fibak i Lendl mieszkają w pobliżu, oba domostwa świetnie się znają. W Paryżu, w trakcie międzynarodowych mistrzostw Francji na Roland Garros też nie było łatwo. Fibak dzwonił do hotelu Lendla kilkakrotnie. Wreszcie Iwan wyznaczył mi spotkanie po meczu w szatni dla zawodników, dokąd miał mnie wprowadzić jego menażer (również z polecenia Fibaka) Jerry Solomon.

Jerry istotnie mnie wprowadził, ale wówczas Iwan poprosił, bym przyprowadził na rozmowę Fibaka. Tego było mi już za dużo. Jak ja teraz znajdę Fibaka wśród dwudziestu tysięcy widzów na dziesięciu kortach? I jak ci goryle, którzy odpychają wszystkich, wpuszczą mnie znów do szatni? Obok mnie siedziała Samantha, z którą gaworzył Wilander o urokach posiadania domu w Greenwich, USA, przeszła i przywitała się z nami Navratilova, byłem w siódmym niebie, u samego źródła mojej książki, a ten wygania mnie od początku, na trybuny. — Z Fibakiem cię wpuszczą — rzucił jeszcze Jerry i tyle ich widziałem. Biegałem rozgorączkowany po stadionie, znalazłem nawet Ewę Fibakową z córeczką, ale nie wiedziały, gdzie jest tata. Byłem wściekły — nie na Lendla, tylko na siebie. — Co ja tu robię? Stary koń, felietonista i redaktor, uganiam się za jakimś tenisistą, mieszkam u drugiego tenisisty w pokoiku na mansardzie nad jego basenem, i pozwalam się ćwiczyć, jak gdyby mój los zależał od tej rozmowy. Wróciłem do szatni, do której jakimś cudem mnie wpuścili i im dłużej tam warowałem, prawie fizjologicznej, wymagającej odprężenia i spokoju. Czułem się skrępowany i ponaglany przez okoliczności, moje pytania nie wydawały mi się dość pilne i ważne, by ten wspaniały sportowiec musiał na nie odpowiadać akurat w tej chwili, w takich okolicznościach. Cóż jednak było robić? Wolałbym rozmawiać przy herbacie i na siedząco, ale Lendl był innego zdania. Wolał raczej rozmowę krótką i zwięzłą, ponieważ jestem dziennikarzem, w dodatku od Fibaka. Lendl, chociaż rpówi dobrze po angielsku, wolał rozmawiać po polsku. W naszym języku daje sobie dobrze radę, nauczył się w Ostrawie, oglądając polską telewizję, a później mieszkając i przyjaźniąc się z Fibakami. Zwracałem się do niego per „Ty", ponieważ na Zachodzie często mówi się i pisze o młodych sportowcach per Boris czy Iwan, a ponadto trochę już znaliśmy się obaj, zarówno z Iwanem, jak i z jego ojcem, którego poznałem na Roland Garros dzięki Januszowi Doroslewiczowi.

— Iwan, zacząłem, pomijam w tej chwili twoich wysportowanych rodziców, Czechosłowację, Amerykę, czyli okoliczności zewnętrzne. Sport to jest walka przede wszystkim z samym sobą, z własną słabością. Interesują mnie twoje własne cechy. Co jest w tobie takiego, co pomaga ci zostać najlepszym tenisistą na świecie, a co ci przeszkadza i musisz w sobie zwalczać?

— Trudno powiedzieć, kilka osób, może nawet wiele, mi pomogło. Oczywiście rodzice, trenerzy, wszyscy, którzy pomagali mi od dziecka aż po dziś dzień. A co mi przeszkadza? Obok ludzi, którzy mnie lubią, są i tacy, którzy nie lubią i starają się przeszkodzić.

— Wydaje się, że jesteś lubiany. Skromny, spokojny, nie masz takich wrogów jak McEnroe.

— Mogłoby być dużo lepiej. Zwłaszcza dziennikarze, to już trwa kilka lat, ale mogłoby być gorzej.

— Słyszy się czasami, że jesteś nieśmiały, nieufny, ale to w końcu nic złego, w Polsce np. jesteś bardzo popularny. Twoje życie potoczyło się w ten sposób, że urodziłeś się w Czechosłowacji, gdzie jest bardzo dobry tenis, a teraz osiadłeś w Stanach Zjednoczonych. Czy jedno i drugie pomogło twojej grze i samopoczuciu? Czy dla tenisisty może być coś lepszego niż czy trenować sześć godzin, bo można robić rzeczy zbędne, a skąd wiadomo, co robić, jeśli się tego nie podda dokładnej analizie.

— Czy to co mówisz, dotyczy także młodzieży, nastolatków?

— Tak, z tym, że z wiekiem, jak organizm się wzmacnia, należy zwiększać obciążenie. Nie można czekać, aż junior dorośnie i wówczas zaczynać — wtedy będzie już za późno.

— Istotnie, pojedynki tenisowe zawsze potrafiły być długie i wyczerpujące. Ale w miarę postępu tej gry, a zwłaszcza od czasu, gdy Borg tak udoskonalił grę z głębi kortu, co dzisiaj uprawiają na ogół Szwedzi, tenis stał się jeszcze bardziej wyczerpujący i monotonny, również dla publiczności, pojedynki ciągną się 3—4 godziny. Czy nie należałoby czegoś zmienić, na przykład skrócić pojedynki z pięciu do trzech setów?

— Skrócić to może nie, ale np. wprowadzić zasadę taką, jak w tenisie stołowym. Tam np. ten, który serwuje, musi w ciągu 15 uderzeń wygrać piłkę — jak nie skończy, to przegrywa punkt.

— Twój wczorajszy przeciwnik grał tak monotonnie, bez końca, pod górę, że taki tenis traci na atrakcyjności, jest mniej widowiskowy, a jednocześnie trudno zabronić komuś grać tak, jak uważa, że wygra.

— Oczywiście, ja też tak gram. Nie wczoraj, ale np. z McEnroe gram pod górę i biegam, aż on się zmęczy.

IWAN, jak widać, nie jest łatwym rozmówcą. Mówi rozsądnie, spokojnie, ale jest zwięzły i lakoniczny. Stąd trzeba mu ciągle pomagać pytaniami, popychać go, a tymczasem warunki nie były bardzo sprzyjające — Iwan leżał nago, wokół niego krzątał się masażysta, w trakcie rozmowy odnalazł się Fibak, który wszedł, pogratulował Iwanowi kolejnego zwycięstwa i usunął się taktownie, ale mimo kordialnych stosunków, Lendl nie chciał rozgadać się o latach spędzonych z Fibakiem. Na ten temat znacząco milczy.

Iwan Lendl jest królem dzisiejszego tenisa. Zdetronizował Johna McEnroe, (właściwie Amerykanin sam abdykował) i pewnego dnia jego miejsce na korcie zajmie ktoś inny. Ale póki co, jego pozycja jest nie kwestionowana — wygrał najwięcej, zarobił najwięcej. Niemały w tym udział Fibaka — w wygranych i w zarobkach. Dlatego książka o Fibaku nie może pominąć Lendla i odwrotnie — uczciwa książka o Lendlu musi zawierać rozdział o Fibaku. Lista zwycięstw czechosłowackiego tenisisty jest imponująca. Kiedy pierwszy raz wyjechał do Stanów Zjednoczonych, w wieku 17 lat, wygrał turniej młodzieżowy Orange Bowl, w kategorii juniorów, wygrał Wimbledon, Roland Garros i mistrzostwo Włoch, mając 20 lat, w 1980 roku dwukrotnie pokonał Bjoerna Borga — jednego z największych tenisistów po II wojnie światowej, miewał okresy, kiedy był

— Ale uznajesz wkład Fibaka w twój rozwój na korcie i w życiu.

— Oczywiście, gdybym miał przeżyć to jeszcze raz, to postąpiłbym tak samo, tylko rozszedłbym się z Wojtkiem rok wcześniej. To gdybym mógł cofnąć czas.

— Dlaczego rozstałbyś się wcześniej?

— Bo w ostatnim roku tak bardzo różniliśmy się na temat treningu i nie tylko, że skorzystałbym więcej na rozstaniu. Oczywiście, w pierwszym okresie Wojtek bardzo mi pomógł, wprowadził mnie w tenis i w życie, także w Ameryce.

— Kto wie, czy bez Fibaka zostałbyś numerem jeden, ale jesteś nim. Czy dźwigasz to jako ciężar, czy czujesz na sobie presję, że musisz wygrać, nie wolno ci przegrać. Wczoraj na przykład publiczność wyraźnie dopingowała twojego przeciwnika — czy wedle zasady „bij mistrza", czy ludzie mają coś przeciwko tobie?

— Publiczność francuska zachowuje się tak, że najpierw pragnie niespodzianki i dopinguje w tym kierunku, ale gdy ta niespodzianka staje się naprawdę realna — wówczas odwraca się, bo chciałaby, żeby faworyt grał dalej i nie odpadł z turnieju. Bywa, że już jest za późno. Ludzie na ogół chcą, żeby wygrał słabszy, to normalne.

— Co lubisz poza tenisem, co sprawia ci przyjemność?

— Bardzo lubię uprawiać również inne sporty — rower, golf, hokej, koszykówkę. Lubię ruszać się i patrzeć, jak ruszają się inni. Doceniam, gdy ktoś robi to dobrze, bo wiem, ile to kosztuje pracy.

— Niektórzy ludzie po pobycie w Ameryce mówią, że owszem, podoba im się, ale nigdy nie mogliby tam żyć na stałe. Czy ty zaaklimatyzowałeś się dobrze i czujesz się tu u siebie?

— Tak. Zaaklimatyzowałem się, jestem zadowolony, chociaż to nie jest proces zakończony, stale się czegoś uczę i sądzę, że tak będzie nadal.

— I nadal zamierzasz grać, domyślam się, że długo, bo masz wieloletni kontrakt reklamowy. Jak długo i co zamierzasz potem?

— Kontrakt nie jest ważny, bo jak ktoś nie gra, to kontrakt przestaje obowiązywać. Zamierzam grać dopóty, dopóki będę miał z tego przyjemność. Ludzie sądzą, że tenisiści grają jak najdłużej, żeby jak najwięcej zarobić. Ale w przypadku takich ludzi jak Connors czy ja, pieniądze nie mają już takiego znaczenia. Zarobiliśmy ich tyle, że powinno być dość. Pod wpływem przejściowego zniechęcenia łatwo jest przestać grać, ale po pół roku można tego żałować, bo wrócić jest trudno; dlatego trzeba dobrze zastanowić się, czy nadszedł już odpowiedni moment, by skończyć. Ja będę grał, jak długo będzie mi z tym dobrze.

— A później, czy myślałeś o tym, co będziesz robił po zakończeniu kariery?

— Oczywiście, że myślałem. Mam wiele inwestycji, którymi trzeba się zajmować. Ponadto chciałbym otworzyć kilka nowych biznesów, wreszcie, zobaczymy, co będzie się działo, trzeba poczekać. Pożyjemy — zobaczymy.

— Za tobą została Czechosłowacja. Czy masz jakieś obowiązki wobec młodych tenisistów w twojej ojczyźnie?

Tygodnik Powszechny

JERZY PILCH

„WAŁĘSA, WAWEL, FIBAK"

Frazy i zdania Andermana, dialogi jego bohaterów, wygłaszane przez nich niezwykłe riposty, wypełnione najdzikszym sensem aforyzmy, a także osobliwie poetyckie fragmenty opisowe jego opowiadań sprawiają, iż tę prozę „się słyszy" (zwłaszcza, jeśli słyszało się bez mała wszystkie zebrane w tomie teksty [— — — —] [Ustawa z dn. 31 VII 1981, O kontroli publikacji i widowisk, art. 2, pkt. 6 (Dz. U. nr 20, poz. 99, zm.: 1983, Dz. U. nr 44, poz. 204)], tą prozą „się mówi".

„Słyszalność" prozy Janusza Andermana jest być może jej cechą zasadniczą, pisano o niej już przy okazji pierwszej książki pisarza („Zabawa w głuchy telefon" 1979), rozpisywano się przy okazji „Gry na zwłokę" (1979), jej świadectwem, choć może mniej ostentacyjnym, była także... trzecia książka („Brak tchu" 1983), ale o „Braku tchu" może z tej, a może z innych tajemniczych przyczyn (tajemnicze przyczyny rządzą — jak wiadomo — literaturą) nie pisano wcale.

W „Kraju świata" słuch językowy autora ujawnia własność o gruncie rzeczy oczywistą, tyle że w poprzednich książkach nie tak oczywiście widoczną, ujawnia mianowicie swe własności kreacyjne. Rzecz jasna byłoby niemałą naiwnością przypisywanie „słuchowi językowemu" (tej nieszczęsnej kategorii, która na dobre i złe, i do znudzenia — jak pisał kiedyś Jerzy Jarzębski — przylgnęła do tego pisarstwa) wyłącznie mocy reprodukujących (ucho pisarza wiernie rejestruje gwar i folklor językowy, ręka pisarza pilnie je utrwala), nie sposób jednak nie zauważyć, iż widzenie rzeczywistości w „Kraju świata" jest jakby jaskrawsze niż np. w „Grze na zwłokę", ładunek środków groteskowych większy, karykatura quasi-podsłuchanej polszczyzny bardziej karykaturalna.

W sposób natychmiastowo-automatyczny narzuca się tu spostrzeżenie, iż sytuacja ta musi być także pochodną rzeczy ogólniejszych, świat przecież także, nasz „kraj świata" zwłaszcza, w latach jakie upłynęły pomiędzy datami wydań obu książek uległ niemałemu wyjaskrawieniu i niemało wykonał groteskowych grymasów. Spostrzeżenie to wydaje się jednak w swej automatyczności w równym stopniu niewątpliwe co pozorne. Bo czy można z ręką na sercu (jest to, jak wiadomo, fundamentalny argument krytyka intelektualisty) powiedzieć, iż np. polska rzeczywistość lat siedemdziesiątych (o których mówi „Gra na zwłokę") jest mniej groteskowa od polskiej rzeczywistości lat osiemdziesiątych (o których mówi „Kraj świata")? Albo na odwrót? Czy w ogóle można odnaleźć w tych dziejach jakieś dwie porównywalne pod tym względem epoki, dekady, lata, daty nawet? Czy stawianie takich pytań nie jest przypadkiem czynnością groteskową samą w sobie? Czy lata pięćdziesiąte były bardziej groteskowe od osiemdziesiątych? Jak wtedy było: tak czy tak? Jak było za Bieruta, a jak było za Gomułki? *„Dziadek, pyta naple* — (w opowiadaniu „Jeszcze Polska?") — *dziesięcioletni chłopiec, dziadek a tego, jak to było za Wałęsy; za Wałęsy, żeby tak prawdę powiedzieć; stary człowiek z wysiłkiem wytęża wzrok; żeby tak prawdę, to nie można powiedzieć, było tak. Było tak i tak. Rozmaicie było. Przerozmaicie było; i tak i tak. Tak było. Gdzieś tak".* Anderman wie zapewne, iż nie jest to (albo i jest) odpowiedź na pytanie: Jak było za Wałęsy? Póki co jednak zdaje się twierdzić, że odpowiedzi na to pytanie domagać się może tylko dziecko. W każdym razie odpowiedzi fundamentalnej i całościowej. Bo odpowiedzi szczegółowych i wyimkowych można śmiało choć z wolna udzielać; jedna z nich mogłaby brzmieć na przykład, że za Wałęsy, a także później, życie nasze zaczęło obfitować w liczne, malownicze i w takim natężeniu wcześniej jednak nie spotykane sceny zbiorowe.

Nie wiadomo czy lata osiemdziesiąte są bardziej groteskowe od poprzednich epok, z pewnością jednak różnią się od nich bardziej spektakularnym niż dotąd udziałem szerokich rzesz w ogólnym — jakby powiedział autor — kraj-obrazie świata. Oprócz zgromadzeń w pewnym sensie odwiecznych jak np. kolejki czy pochody pierwszomajowe (ozdobny balon z napisem „czynem powitamy zjazd" — z opowiadania „Trzej królowie" — *„już lata chodzi przed trybuną. Raz w głowie, raz w korpusie, symbol poniekąd. Jeszcze za Gierka chodził tylko inną trasą (...) Jeszcze za Wiesława nawet".*), pojawiły się zgromadzenia może nie tyle nowe, co wyraziściej przez teraźniejszość spowodowane: jakieś mniej lub bardziej sensowne demonstracje, jakieś mniej lub bardziej nonsensowne łańcuchy czystych serc; zjawiska, które niewątpliwie stały się dla Andermana inspiracją, ba, można nawet powiedzieć, iż stały się zasadą jego książki.

Wszakże i tę, z pozoru oczywistą, tezę opatrzyć trzeba dwoma co najmniej zastrzeżeniami. Po pierwsze, warto zwrócić uwagę, że „Gra na zwłokę", a także „Zabawa w głuchy telefon" również były „książkami o tłumie"; mniej lub bardziej pozorna wielogłosowość również była ich zasadą, ich materię konstytuowały serie monologów, dialogów, wypowiedzi, głosów przypadkowych przechodniów, robotników, artystów, taksówkarzy czy szaleńców. W sensie na wskroś literackim „Kraj świata" jest więc kontynuacją poprzednich książek Andermana, ich narrator był właściwie kolekcjonerem przypadkowych „głosów biednych ludzi" i w tym celu — w gruncie rzeczy — przemierzał wzdłuż i wszerz widmowe przestrzenie miasta; obecnie jego zadanie stało się jakby bardziej wiejskie, głosy te nader często zdają się rozlegać z jednego miejsca.

Po drugie, tłum w „Kraju świata" ma w niektórych przynajmniej zasadniczych ujęciach bardzo wyrazistą strukturę, jest to mianowicie struktura szopkowo-kukiełkowa. Oko (i ucho) wszechobylskiego narratora raz po raz wyławia zeń postacie (figury postaci?): Dziennikarza, Prowokatora, Funkcjonariusza, Polaka, Polaka-Patrioty, Polaka-Idioty, Polaka-Opozycjonisty czy np. Polaka-Idioty, wygłaszają oni mniej lub bardziej spazmatyczną kwestię i na powrót nikną w niejednomacznej zbiorowości.

Jednakże język tych postaci, wygłaszane przez nich kwestie nie mają już szopkowego charakteru. Posługują się one niepojętą, *„szeleszczącą jak zeschnięty bluszcz"* mową-trawą czy raczej mową-miazgą. Dokonują niesłychanych kalkulacji, wyrzucają z siebie strzępy szalonych rozumowań i deklaracji, opowiadają o niebywałych rytuałach, cytują kazania, audycje telewizyjne i notatki prasowe, mówią o dziejach cudów i własnych obsesjach, usiłują wybełkotać jakąś ogólną prawdę o *„rzuceniu na sklepy"*, o *„ruskim atomie"*, o Wałęsie, *„który wbił nóż w plecy narodu"*. Nakłada się na ten nieogarniony żywioł mowy spazmatyczna gestykulacja (raz po raz ktoś w tłumie wybucha paroksyzmem szalonego śmiechu, raz po raz ktoś wygraża kułakami, ktoś miota głową we wszystkich kierunkach) oraz groteskowy (kukiełkowy) kostium.

Topiel języka jest tak otchłanna, iż konieczność wyłowienia osobnych kwestii, konieczność rozdzielenia głosów, rozdania miniaturowych ról zmusza niekiedy do czysto zewnętrznego (kostiumowego) różnicowania postaci. (Stąd np. w tłumie Andermana cała masa rzucających się w oczy nakryć głowy: czapek straży kościelnej, czapek z pomponami, białych czapek milicyjnych, beretów, spiczastych czapek z gazety, kolarskich czapeczek itd.).

Słowem, jest „Kraj świata" wizją i swoiście wszechobejmującą: od dialogu o karałuchu do dialogu o Polsce, od pożaru Teatru Narodowego do „żywych fotografii", i wystarczająco w swej totalnej groteskowości apokaliptyczną.

Na dobrą sprawę jedynym w całej książce aktem nie karykaturalnym, nie groteskowym, lecz naturalnym, pozytywnym, a nawet (przepraszam za grubiański patos) zwycięskim, jest akt milczenia. W opowiadaniu „Jakoś pusto" dwaj wezwani na rozmowę i oczekujący na korytarzu pisarze milkną i ich wielogodzinne milczenie przynosi oprócz niejakich efektów doraźnych także wyższe sensy metaforyczne. Można by powiedzieć — parafrazując zachodnią dziennikarkę, która w tekście „Jeszcze Polska" usiłuje ustalać cele obejmujące „Całość" formuły, iż: Milczenie to jest zwycięstwem.

Wokół milczenia (milczenia, które jest klęską) toczy się też zasadnicza, bo pełniąca w książce funkcję tzw. ramy kompozycyjnej, rozmowa obu pisarzy. Rozważają ci nieszczęśni, dotknięci z różnych powodów wynikającą niemożnością, literaci rozmaite konsekwencje znanego powiedzenia o życiu (pisaniu) w ciekawych czasach. Całość naszych ciekawych czasów jawi im się rzecz jasna jako nieogarnione *panopticum*, groteskowa apokalipsa, mowa-miazga. Oni także zdają sobie sprawę, że odpowiedzi na pytanie: Jak to było za Wałęsy? nie sposób na razie udzielić, że udzielać można odpowiedzi (w najlepszym razie) częściowych, fragmentarycznych, opowiadać o pojedynczych losach (np. Murzyna Żmijewskiego lub taksówkarza-matematyka); być może te poszczególne rozjaśnione punkty wyjaśniać będą powszechną niejasność, choć i to jest niepewne, wiadomo wszakże, iż nie ma takiego wyjaśnienia, które nie spowodowałoby jeszcze większego zaciemnienia.

Choć potraktowani przez Andermana serio (nie jestem zresztą tego pewien), choć mówiący pełnym głosem, choć obdarzeni świadomością (tzw. gorzką i przejmującą świadomością teraźniejszości) nie różnią się ci pisarze od reszty zaludniających karty „Kraju świata" postaci. Niczym nie wyróżniają się w tłumie. A raczej Tłum niczym nie różni się od nich. Tłum wszakże również próbuje wyartykułować jakiś rodzaj prawdy, próbuje uciec przed paraliżującym milczeniem, próbuje odczytać choć fragment ciążącej na nim jakiejś niesłychanej epiki. Na tym polega komizm (ale i tragizm) inscenizowanych przez Andermana dialogów, monologów, wypowiedzi: konkretna sytuacja, w której znajduje się zwyczajny zjadacz hot-dogów (także konkretna sytuacja narracyjna) zderzona zostaje z jego pokraczną, dotyczącą pokracznej całości wszech wiedzą.

W opowiadaniu „Płonie Teatr Narodowy" maleńki Japończyk powtarza wkoło: *Wałesa, Wawel, Fibak, Wałesa, Wawel, Fibak*, usiłując w tych trzech słowach zaklęciach zawrzeć i wyartykułować całą swoją wiedzę o kraju, w którym się znalazł. Rzecz jednakże w tym, że mieszkańcy tego kraju zachowują się tak samo, oni również próbują wypowiedzieć jakieś hasło, jakieś zdanie, jakieś zaklęcie, które zawierałoby wiedzę o nich samych. Są jednak w trudniejszej sytuacji. Egzotyczny przybysz dysponuje zapewne jakimiś przewodnikami, wie gdzie znaleźć elementarne punkty orientacyjne, zna najprostsze hierarchie. Tymczasem oni błądzą na oślep wśród kierunków, wartości i hierarchii, które poszły w rozsypkę, i których widma przypominają teraz nierealne dekoracje. Mówią więc, mówią gorączkowo o karałuchach, komitetach, Kuroniu i kurtkach z madery, mówią o klęsce, zwycięstwie, telewizji, chorobie i systemie, mówią, bo nie wiadomo co jest ważne i co można pominąć, i gdzie się znajduje początek zdrowego rozsądku albo gdzie leży magiczny klucz-zaklęcie. *„Przez tyle lat potrafiłem znajdować klucz* — powiada jeden z pisarzy — *zresztą ten klucz istniał, był gotowy. Teraz trzeba pisać wprost".*

Wszystko to jest oczywiście co najmniej dyskusyjne. Nie wiadomo czy klucz istniał. Nie wiadomo czy należy pisać wprost. Nie wiadomo nawet czy Janusz Anderman — pisze wprost. Niewątpliwie natomiast jego książka jest przenikliwym i szyderczym zapisem świadomości tragicznie-turystycznej (zagubionej, poszukującej: Klucza, Drogi, Ładu). I niewątpliwie — miast kończyć — wzmaga niepewność. Bo przecież nie wiadomo czy to bełkotliwie spazmatyczne zawodzenie istotnie zakończy się epoką powszechnego milczenia (której jeszcze nie było) czy też epoką głasnosti (która nadciągała już nieraz).

JERZY PILCH

Janusz Anderman „Kraj świata" Paryż. 1988.

SEKCJA TURYSTYCZNO-KRAJOZNAWCZA KIK

organizuje wyjazd na uroczystości pogrzebowe majora Piwnika („Ponurego"), dowódcy zgrupowania AK na Kielecczyźnie w czasie II wojny światowej, które odbędą się w niedzielę 12 czerwca br. w Wąchocku (Góry Świętokrzyskie). Zgłoszenia w sekretariacie KIK — Sienna 5, I p. do dnia 7 czerwca (w g. 11—13 i 18—19), z wyj. sobót.

W dniu 19 VI br. o godz. 11 w kościele p.w. św. Jadwigi w Dębicy zostanie odprawiona msza w intencji poległych i zaginionych żołnierzy 5 Pułku Strzelców Konnych AK

MSZA ŚWIĘTA

w czasie której zostanie poświęcony — odzyskany po latach — sztandar rzeszowskiego inspektoratu AK.

RODZINY I TOWARZYSZE BRONI

KLUB INTELIGENCJI KATOLICKIEJ
Kraków, Sienna 5

6 VI — poniedziałek, godz. 19
RED. ROMAN GRACZYK
„Francja '88"

7 VI — wtorek, godz. 19
Galeria KIK — Sienna 5, parter
Otwarcie wystawy zbiorowej „W kręgu grafiki i rysunku"

8 VI — środa, godz. 19
Spotkania z literaturą
Wieczór poezji W. H. Audena
czyta: JAN PESZEK
prowadzenie: LESZEK ELEKTOROWICZ

9 VI — czwartek, godz. 19
ANTONI LENKIEWICZ
Konfederacja Barska

wstęp wolny

stu i więcej spotkaniach, np. w 1982 roku wygrał 15 spośród 23 turniejów w jakich startował i wygrał 106 na 115 rozegranych spotkań. Zna go cały świat. Zwyciężył m. in. w Houston, Toronto, Barcelonie, Bazylei, Tokio, Hong-kongu, Stuttgarcie, Las Vegas, Montrealu, Madrycie, Wiedniu, Kolonii, Buenos Aires, Frankfurcie, Waszyngtonie, Cincinnati, Genui, Forest Hills, Neapolu, San Francisco, Paryżu. Nie ma tenisisty w czołówce światowej, który nie przegrałby choć raz z Lendlem. Iwan Lendl jako pierwszy w historii tenisa wygrał w turniejach ponad 10 mln dolarów (od 1986 r.) i na tym nie poprzestał. Przy wielu tych zwycięstwach był obok niego doradca, trener, menedżer i przyjaciel — Fibak.

Panowanie Lendla nie jest absolutne. Nie może np. zwyciężyć w Wimbledonie, trzykrotnie przegrywał w finale U.S. Open, aż za czwartym razem wreszcie wygrał, ale te zmagania czynią go bardziej człowiekiem, mniej automatem czy cudotwórcą.

OSOBOWOŚĆ Lendla budzi duże zainteresowanie, podsycane przez plotkarską i wścibską prasę. Doskonale zbudowany, wysoki, muskularny, skupiony, waleczny, zrównoważony, ukryty za nieruchomą maską twarzy, poważny, rzadko uśmiechnięty, unikający rozgłosu, przemykający wynajętą limuzyną z lotniska do hotelu i na kort, Lendl wydawał się wręcz nieludzki, zimny, kamienny. W dziedzinie public relations był beznadziejny, nie umiał zyskiwać sobie sympatii i stanowił całkowite zaprzeczenie Fibaka — mistrza uścisków dłoni, zawsze swobodnego i wszędzie u siebie.

Lendl czuje się u siebie tylko odizolowany od świata i ludzi, za wysokim płotem swojej rezydencji, strzeżonej przez złe psy, które są towarzyszami i wartownikami zarazem. Zanim poznałem Lendla, wiele słyszałem o jego chłodzie, egocentryzmie, nawet szorstkości, braku szerszych zainteresowań — również innymi ludźmi.

Nie odniosłem takiego wrażenia. Sądzę, że opinia publiczna reprezentowana przez prasę i telewizję, żąda wiele wymaga od swoich idoli. Lendl, Fibak, Becker czy Noah stali się znani i popularni wyłącznie dlatego, że doskonale grali w tenisa. Z chwilą jednak, gdy taki młody człowiek staje się bohaterem w swojej dziedzinie, wymagania wobec niego rosną. Mają być sympatyczni, mądrzy, intelektualni, kulturalni i Bóg wie co jeszcze. W epoce telewizji i ekspansji środków przekazu, nie wystarczy, że człowiek coś osiągnie w swojej dziedzinie — musi jeszcze zaspokajać inne oczekiwania. Idol musi być bez skazy. Widać to również w Polsce po traktowaniu np. aktorów czy piosenkarzy. Dawniej aktor był po prostu komediantem i służył do grania, a piosenkarz do śpiewania i nikt nie oczekiwał od tenora, żeby był Spinozą. Dzisiaj prasa żąda od wykonawcy roli Cześlika, żeby był mądrzejszy od Fredry. W Polsce, jeśli ktoś kreował Raskolnikowa, to

Tygodnik Powszechny

JERZY PILCH

„WALIESA, WAWEL, FIBAK"

zdania Andermana, dialogi bohaterów, wygłaszane przez ich niezwykle riposty, wypełnione najdziksz sensem afory zmy, a także osobliwie poetyckie fragmenty opisowe jego opowiadań sprawiają, iż tę prozę „się słyszy" (zwłaszcza, jeśli słyszało się bez mała wszystkie zebrane w tomie teksty [— — — —] [Ustawa z dn. 31 VII 1981, O kontroli publikacji i widowisk, art. 2, pkt. 6 (Dz. U. nr 20, poz. 99, zm.: 1983, Dz. U. nr 44, poz. 204)], tą prozą „się mówi".

„Słyszalność" prozy Janusza Andermana jest być może jej cechą zasadniczą, pisano o niej już przy okazji pierwszej książki pisarza („Zabawa w głuchy telefon" 1979), rozpisywano się przy okazji „Gry na zwłokę" (1979), jej świadectwem, choć może mniej ostentacyjnym, była także trzecia książka („Brak tchu" 1983), ale o „Braku tchu" może z tej, a może z innych tajemniczych przyczyn (tajemnicze przyczyny rządzą — jak wiadomo — literaturą) nie pisano wcale.

W „Kraju świata" słuch językowy autora ujawnia własność gruncie rzeczy oczywistą, tyle że w poprzednich książkach nie tak oczywiście widoczną, ujawnia mianowicie swe własności kreacyjne. Rzecz jasna byłoby niemałą naiwnością przypisywanie „słuchowi językowemu" (tej nieszczęsnej kategorii, która na dobre i złe, i do znudzenia — jak pisał kiedyś Jerzy Jarzębski — przylgnęła do tego pisarstwa) wyłącznie mocy reprodukujących (ucho pisarza wiernie rejestruje gwar i folklor językowy, ręka pisarza pilnie je utrwala), nie sposób jednak nie zauważyć, iż widzenie rzeczywistości w „Kraju świata" jest jakby jaskrawsze niż np. w „Grze na zwłokę", ładunek środków groteskowych większy, karykatura quasi-podsłuchanej polszczyzny bardziej karykaturalna.

W sposób natychmiastowo-automatyczny narzuca się tu spostrzeżenie, iż sytuacja ta musi być także pochodną rzeczy ogólniejszych, świat przecież także, nasz „kraj świata" zwłaszcza, w latach jakie upłynęły pomiędzy datami wydań obu książek uległ niemałemu wyjaskrawieniu i niemało wykonał groteskowych grymasów. Spostrzeżenie to wydaje się jednak w swej automatyczności w równym stopniu niewątpliwe co pozorne. Bo czy można z ręką na sercu (jest to, jak wiadomo, fundamentalny argument krytyka intelektualisty) powiedzieć, iż np. polska rzeczywistość lat siedemdziesiątych (o których mówi „Gra na zwłokę") jest mniej groteskowa od polskiej rzeczywistości lat osiemdziesiątych (o których mówi „Kraj świata")? Albo na odwrót? Czy w ogóle można odnaleźć w tych dziejach jakieś dwie porównywalne pod tym względem epoki, dekady, lata, daty nawet? Czy stawianie takich pytań nie jest przypadkiem czynnością groteskową samą w sobie? Czy lata pięćdziesiąte były bardziej groteskowe od osiemdziesiątych? Jak wtedy było: tak czy tak? Jak było za Bieruta, a jak

zas trzeżeniami. Po pierwsze, warto zwrócić uwagę, że „Gra na zwłokę", a także „Zabawa w głuchy telefon" również były „książkami o tłumie"; mniej lub bardziej pozorna wielogłosowość również była ich zasadą, ich materię konstytuowały serie monologów, dialogów, wypowiedzi, głosów przypadkowych przechodniów, robotników, artystów, taksówkarzy czy stałeńców. W sensie na wskroś literackim „Kraj świata" jest więc kontynuacją poprzednich książek Andermana, ich narrator był właściwie kolekcjonerem przypadkowych „głosów biednych ludzi" i w tym celu — w gruncie rzeczy — przemierzał wzdłuż i wszerz widmowe przestrzenie miasta; obecnie jego zadanie stało się jakby łatwiejsze, głosy te nader często zdają się rozlegać z jednego miejsca.

Po drugie, tłum w „Kraju świata" ma w niektórych przynajmniej zasadniczych ujęciach bardzo wyrazistą strukturę, jest to mianowicie struktura szopkowo-kukiełkowa. Oko (i ucho) wszechobylskiego narratora raz po raz wyławia zeń postacie (figury postaci?): Dziennikarza, Prowokatora, Funkcjonariusza, Polaka, Polaka-Patrioty, Polaka-Opozycjonisty czy np. Polaka-Idioty, wygłaszają oni mniej lub bardziej spazmatyczną kwestię i na powrót ni-

dna z nich mogłaby brzmieć na przykład, że za Wałęsy, a także później, życie nasze zaczęło obfitować w liczne, malownicze i w takim natężeniu wcześniej jednak nie spotykane sceny zbiorowe.

Nie wiadomo czy lata osiemdziesiąte są bardziej groteskowe od poprzednich epok, z pewnością jednak różnią się od nich bardziej spektakularnym niż dotąd udziałem szerokich rzesz w ogólnym — jakby powiedział autor — kraj-obrazie świata. Oprócz zgromadzeń w pewnym sensie odwiecznych jak np. kolejki czy pochody pierwszomajowe (ozdobny balon z napisem „czynem powitamy zjazd" — z opowiadania „Trzej królowie" — *„już lata chodzi przed trybuną. Raz w głowie, raz w korpusie, symbol poniekąd. Jeszcze za Gierka chodził tylko inną trasą (...) Jeszcze za Wiesława nawet".*), pojawiły się zgromadzenia może nie tyle nowe, co wyraziściej przez teraźniejszość spowodowane: jakieś mniej lub bardziej sensowne demonstracje, jakieś mniej lub bardziej nonsensowne łańcuchy czystych serc; zjawiska, które niewątpliwie stały się dla Andermana inspiracją, ba, można nawet powiedzieć, iż stały się zasadą jego książki.

Wszakże i tę, z pozoru oczywistą, tezę opatrzyć trzeba dwoma co najmniej

kną w niejednomacznej zbiorowości.

Jednakże język tych postaci, wygłaszane przez nich kwestie nie mają już szopkowego charakteru. Posługują się one niepojętą, *„szeleszczącą jak zeschnięty bluszcz"* mową-trawą czy raczej mową-miazgą. Dokonują niesłychanych kalkulacji, wyrzucają z siebie strzępy szalonych rozumowań i deklaracji, opowiadają o niebywałych rytuałach, cytują kazania, audycje telewizyjne i notatki prasowe, mówią o dziejach cudów i własnych obsesjach, usiłują wybełkotać jakąś ogólną prawdę o *„rzucaniu na sklepy"*, o *„ruskim atomie"*, o Wałęsie, *„który wbił nóż w plecy narodu"*. Nakłada się na ten nieogarniony żywioł mowy spazmatyczna gestykulacja (raz po raz ktoś w tłumie wybucha paroksyzmem szalonego śmiechu, raz po raz ktoś wygrada kułakami, ktoś miota głową we wszystkich kierunkach) oraz groteskowy (kukiełkowy) kostium.

Topiel języka jest tak otchłanna, iż konieczność wyłowienia osobnych kwestii, konieczność rozdzielenia głosów, rozdania miniaturowych ról zmusza niekiedy do czysto zewnętrznego (kostiumowego) różnicowania postaci. (Stąd np. w tłumie Andermana cała masa rzucających się w oczy nakryć głowy: czapek straży kościelnej, czapek z pomponami, białych czapek milicyjnych, beretów, spiczastych czapek z gazety, kolarskich czapeczek itd.).

Słowem, jest „Kraj świata" wizją i swoiście wszechobejmującą: od dialogu o karaluchu do dialogu o Polsce, od pożaru Teatru Narodowego do „żywych fotografii", i wystarczająco w swej totalnej groteskowości apokaliptyczną.

Na dobrą sprawę jedynym w całej książce aktem nie karykaturalnym, nie groteskowym, lecz naturalnym, pozytywnym, a nawet (przepraszam za grubiański patos) zwycięskim, jest akt milczenia. W opowiadaniu „Jakoś pusto" dwaj wezwani na rozmowę i oczekujący na korytarzu pisarze milkną i ich wielogodzinne milczenie przynosi oprócz niejakich efektów doraźnych także wyższe sensy metaforyczne. Można by powiedzieć — parafrazując zachodnią dziennikarkę, która w tekście „Jeszcze Polska" usiłuje ustalać cele obejmujące „Całość" formuły, iż: Milczenie to jest zwycięstwem.

Wokół milczenia (milczenia, które jest klęską) toczy się też zasadnicza, bo pełniąca w książce funkcję tzw. ramy kompozycyjne), rozmowa obu pisarzy. Rozważają ci nieszczęśni, dotknięci z różnych powodów wynikającą niemożnością, literaci rozmaite konsek-

niesłychanej epiki. Na tym polega komizm (ale i tragizm) inscenizowanych przez Andermana dialogów, monologów, wypowiedzi: konkretna sytuacja, w której znajduje się zwyczajny zjadacz hot-dogów (także konkretna sytuacja narracyjna) zderzona zostaje z jego pokraczną, dotyczącą pokracznej całości wszech wiedzą.

W opowiadaniu „Płonie Teatr Narodowy" maleńki Japończyk powtarza wkoło: *Walesa, Wawel, Fibak, Walesa, Wawel, Fibak*, usiłując w tych trzech słowach zakleciach zawrzeć i wyartykułować całą swoją wiedzę o kraju, w którym się znalazł. Rzecz jednakże w tym, że mieszkańcy tego kraju zachowują się tak samo, oni również próbują wypowiedzieć jakieś hasło, jakieś zdanie, jakieś zaklęcie, które zawierałoby wiedzę o nich samych. Są jednak w trudniejszej sytuacji. Egzotyczny przybysz dysponuje zapewne jakimiś przewodnikami, wie gdzie znaleźć elementarne punkty orientacyjne, zna najprostsze hierarchie. Tymczasem oni błądzą na oślep wśród kierunków, wartości i hierarchii, które poszły w rozsypkę, i których widma przypominają teraz nierealne dekoracje. Mówią więc, mówią gorączkowo o karaluchach, komitetach, Kuroniu i kurtkach z madery, mówią o klęsce, zwycięstwie, telewizji, chorobie i systemie, mówią, bo nie wiadomo co jest ważne i co można pominąć, i gdzie się znajduje początek zdrowego rozsądku albo gdzie leży magiczny klucz-zaklęcie. *„Przez tyle lat potrafiłem znajdować klucz* — powiada jeden z pisarzy — *zresztą ten klucz istniał, był gotowy. Teraz trzeba pisać wprost"*.

Wszystko to jest oczywiście co najmniej dwuznaczne. Nie wiadomo, czy

SEKCJA TURYSTYCZNO-KRAJOZNAWCZA KIK

organizuje wyjazd na uroczystości pogrzebowe majora Piwnika („Ponurego"), dowódcy zgrupowania AK na Kielecczyźnie w czasie II wojny światowej, które odbędą się w niedzielę 12 czerwca br. w Wąchocku (Góry Świętokrzyskie). Zgłoszenia

KLUB INTELIGENCJI KATOLICKIEJ
Kraków, Sienna 5

6 VI — poniedziałek, godz. 19
RED. ROMAN GRACZYK
„Francja '88"

bohaterem w swojej dziedzinie, wymagania wobec niego rosną. Mają być sympatyczni, mądrzy, intelektualni, kulturalni i Bóg wie co jeszcze. W epoce telewizji i ekspansji środków przekazu, nie wystarczy, że człowiek coś osiągnie w swojej dziedzinie — musi jeszcze zaspokajać inne oczekiwania. Idol musi być bez skazy. Widać to również w Polsce po traktowaniu np. aktorów czy piosenkarzy. Dawniej aktor był po prostu komediantem i służył do grania, a piosenkarz do śpiewania i nikt nie oczekiwał od tenora, żeby był Spinozą. Dzisiaj prasa żąda od wykonawcy roli Cześlika, żeby był mądrzejszy od Fredry. W Polsce, jeśli ktoś kreował Raskolnikowa, to udziela wywiadów niczym Dostojewski, a reżyser przemawia jak mąż stanu. To samo piosenkarze. Podobnie sportowcy. W czasach mojej młodości największym sportowcem był Emil Zatopek, również Czech, jak Lendl. Były to czasy lekkiej atletyki, a nie tenisa (choć grał wtedy Drobny) i telewizji. Nikogo wówczas nie interesowało, ile Zatopek zarabia, nikomu nie przeszkadzało, że podczas biegu ma twarz wykrzywioną jak gdyby go coś bolało, nikt nie wymagał, by Zatopek był milutki i wdzięczył się do publiczności.

Dziś, kiedy sport stał się bardziej widowiskiem na ekranie, pomiędzy serialem i uśmiechniętą prezenterką dziennika wieczornego (mam na myśli Zachód, a nie naszych solennych lektorów wiadomości), wymaga się od tenisisty, żeby nie tylko wygrywał, ale jeszcze był słodki jak z reklamy.

Prasa amerykańska zaczęła nicować życiorys Lendla, aby zgodnie z tamtejszą tradycją psychoanalizy, znaleźć źródła jego zachowania, dotrzeć do tego, co kryje się za jego kamienną twarzą. Stwierdzono przede wszystkim, że Iwan ma bardzo despotyczną matkę, która była kiedyś drugą tenisistką Czechosłowacji i ustępowała tylko Vlaście Vopickowej, notabene siostrze Jana Kodesa. Ojciec Iwana, szachista i tenisista, był piętnasty na liście tenisistów czechosłowackich. Czyli korzenie Iwana Lendla tkwią głęboko w tradycji i kulturze sportowej.

Lendl wyrastał w atmosferze bardzo surowej. Znane są opowieści o tym, jak matka przywiązywała malutkiego Iwana sznurkiem do słupka od siatki, aby nie przeszkadzał jej trenować, jak katowała go przy stole „jez mrkev, jez hrach", jak go biła, gdy jej nie słuchał, jak bardzo Iwan był zdominowany i terroryzowany przez matkę. (Ci, którzy ją znają i poznali, gdy Iwan był już znanym tenisistą, potwierdzają, że jest to pani raczej surowa i nieprzyjemna). Młody Lendl chował się więc pod całkowitą kontrolą, był zdominowany. Jak ktoś powiedział, w dzieciństwie Lendlowi brakło tylko jednego — dzieciństwa. Wychowany w surowym drylu, w posłuszeństwie wobec rodziców, klubu, federacji i wszelkich władz — gdy Lendl znalazł się na Zachodzie, był bezradny.

I wtedy pojawił się Pibak.

Le fait du jour



PAR JEAN-ALPHONSE RICHARD

Les frayeurs de Leconte

Le Français reconnaît qu'il a gagné son match contre l'Australien Youl, mais qu'il a perdu son tennis. Il s'est pourtant sérieusement préparé avec Wojtek Fibak.

Réflexion d'Henri Leconte à la sortie du Central, encore ébouriffé, le teint rosissant d'un marathonien qui a dépassé la distance habituelle : « *C'était un match particulier, très difficile. Ne croyez pas que je manquais de motivation parce que j'abordais un joueur méconnu. Non, aujourd'hui, je ne connais plus ce genre de sensation. Contre Youl, c'était tout juste un problème de jeu : j'ai pratiqué un mauvais tennis et même si j'ai beaucoup progressé depuis la fin de mes problèmes de santé, il faut désormais que je retrouve mes gestes.* »

Pour Leconte, aujourd'hui, une défaite à Roland-Garros au premier tour aurait signifié bien plus qu'un simple glissement au sacro-saint classement ATP. Sans doute le coup d'arrêt d'une belle série d'efforts courageux.

C'est pour cela que Leconte – incapable d'affirmer son jeu et sa puissance face à Simon Youl, vingt-deux ans, Australien, issu des qualifications – a tremblé sur le Central, noyé de soleil. « *Je suis content d'avoir gagné, même en ayant très mal joué.* » Certaines confidences, affreusement banales, trahissent parfois de profonds soupirs de soulagement. Identiques à ceux émis, à la fin de la laborieuse rencontre, par Wojtek Fibak, l'entraîneur de Leconte. Dans une des loges du Central, le Polonais – lunettes noires et costume sombre – a suivi dans un silence remarquable le grand retour de son protégé sur la terre battue. Mais il nous avait parlé, la veille...

« *J'ai pris en charge Henri Leconte l'été dernier. Il se trouvait alors dans un état psychologique plutôt précaire. Rien n'allait bien pour lui, il était physiquement affaibli et possédait un moral en dents de scie. Les fondations étaient bonnes mais il fallait redonner à l'édifice solidité et belle allure.* »

Recherche de la sérénité

L'objectif, c'était évidemment les grandes échéances. Explications de Fibak : « *Pour préparer Henri aux Internationaux de France ou à Wimbledon, il fallait tout d'abord mettre au point un programme très précis d'entraînements et de tournois. Ne pas jouer n'importe où, n'importe quand, faire des impasses. J'ai très vite jugé l'ampleur de l'ouvrage. Nous avons commencé à évoquer Roland-Garros en novembre dernier*, souligne l'entraîneur. *Je sais que dans l'esprit de Leconte, les Internationaux ont une signification toute particulière. Nous nous sommes donc mis à préparer cette échéance avec beaucoup d'attention. C'est un joueur qui a besoin de dialoguer énormément, qui a soif de réponses. Cela ne signifie pas qu'il nécessite d'une assistance permanente. Pas du tout. D'ailleurs, il y a bon nombre de tournois sur lesquels je ne l'accompagne pas. Leconte accepte les conseils, mais il n'a plus besoin d'une baby-sitter.* »



Wojtek Fibak : un conseiller éclairé.

Quelques jours avant de revenir sur la terre battue d'Auteuil, Wojtek Fibak et Henri Leconte se sont pourtant retrouvés. Ils ont passé plusieurs heures ensemble. Longtemps, le Polonais a observé son joueur à l'entraînement. Un mois auparavant, le Français se trouvait encore à Genève, multipliant les séances de mise en condition physique avec Pierre Ribette, le spécialiste qui s'était déjà chargé de la rééducation de son dos.

« *Préparer un tournoi comme les Internationaux exige énormément de sérénité*, précise Fibak, *et une grande discipline de vie. Là encore, Henri m'a écouté et a fait preuve d'un grand professionnalisme. La véritable pression commence environ une semaine avant le tournoi : il faut qu'à ce moment-là le joueur soit déjà placé dans la meilleure position possible, un peu comme un coureur de cent mètres dans ses starting blocks.* »

Le programme établi par Wojtek Fibak est d'une simplicité enfantine qui s'apparente à un menu basses calories : entraînements dénués d'efforts violents, repas composés de salades, grillades, fruits et eau minérale. L'alcool est interdit. Le coucher est conseillé aux alentours de vingt-trois heures... Rien de bien nouveau. Pas de recette miracle. Fibak, avec Leconte, a choisi la voie de la tradition.

« *Il y a quelques trucs très classiques qui valent bien mieux que les formules alambiquées quand il s'agit de remettre quelqu'un en forme* », conclut l'entraîneur.

Mais il n'est pas acquis que cela fonctionne tout de suite. On l'a bien vu hier...

J.A.R.

Fibak : «Leconte peut devenir nº 1 mondial»

«A ce soir pour le « grand double », lance Leconte à Mecir. « A ce soir pour le double de minuit », lui répond le Tchécoslovaque, visiblement mécontent de la programmation très tardive de la rencontre. Un quart de finale qui devait les opposer, hier, avec leurs partenaires respectifs, Fibak et Smid.

Les deux joueurs se croisent et le Français pénètre sur le central de Bercy pour un bref entraînement à l'heure du déjeuner.

Enchaînement service-volée. Attaques de fond de court. En un minimum de temps, le travail aura été efficace.

Il est vrai que les exercices étaient dirigés et exécutés par l'un des plus grands coaches du circuit, Wojtek Fibak, qui, après avoir mené Ivan Lendl à la première place mondiale, a décidé de prendre en main les destinées du numéro un français.

Deux objectifs

« C'est à Flushing qu'Henri est venu me voir, raconte l'entraîneur polonais. **Il m'a dit : « Aide-moi. Je ne suis pas en confiance en ce moment. J'ai besoin de quelqu'un. » Sa demande a coïncidé avec un passage de ma vie où je n'avais pas d'occupation précise et j'ai accepté. Mais trois mois plus tôt ou trois mois plus tard, j'aurais refusé. Comme je l'ai fait pour Becker lorsqu'il était tout jeune. J'avais en effet disputé et gagné un tournoi de double avec lui à Munich et l'idée m'avait longtemps tenté avant que je ne l'abandonne... »**

Cinquième mondial à l'issue d'une saison 1986 exceptionnelle, Leconte a lourdement chuté au classement lors des dernières semaines, en raison d'une baisse de forme liée à des ennuis de santé (virus tenace et hernie discale). Aussi, trouver un coach de grande valeur était devenu pour lui un besoin urgent afin de se replacer parmi les meilleurs du monde.

« Ma tâche va être principalement de donner confiance à Henri, assure Fibak. **S'il est conscient de ses possibilités, il pourra faire partie des tout premiers et remporter peut-être Wimbledon et Roland-Garros, qui sont nos deux principaux objectifs.** Mon rôle va cependant être beaucoup moins important qu'avec Lendl que j'avais totalement formé. Je lui avais fait découvrir les Etats-Unis qu'il détestait à l'époque. La maison qu'il habite aujourd'hui m'appartenait et il a également connu, par l'intermédiaire de ma femme, la petite amie avec laquelle il vit... »



Inquiétude pour Yannick Noah. Hier, en soirée, le Français a battu difficilement l'Iranien Bahrami en deux sets 7-6, 6-4, grâce à son service (douze aces et seize services gagnants). Mais, durant la rencontre, Yannick s'est plaint du ventre. Il souffre de l'étirement d'un muscle abdominal. Il continue cependant le tournoi.

Photo FRANCE-SOIR (Jean-Pierre Masset)

en revanche, a plus de personnalité, mais beaucoup moins de sérieux dans le travail.

Le Français peut-il aussi à son tour devenir numéro un mondial ?

« Bien sûr, affirme son entraîneur. **D'ailleurs, si je ne le pensais pas, je ne me serais pas engagé avec lui. »**

Mais Fibak ne suivra pas son élève comme une « mère poule ». Il n'a pas l'intention de parcourir le monde avec lui :

« Je ne jouerai que les tournois où il aura véritablement besoin d'un soutien. »

Aujourd'hui, Leconte disputera une partie très importante en quarts de finale de l'Open de Paris contre Pat Cash.

« Les deux joueurs sont de grands attaquants, estime Fibak. **Aussi, le vainqueur sera celui... qui défendra le mieux.** La défaite d'Henri ne serait pas une trop grande déception. Car après tous ses malheurs, l'important était d'aligner quelques victoires. Il y a seulement trois semaines, il ne pouvait pas jouer plus de deux heures sans ressentir de douleurs. Aujourd'hui, il peut disputer deux matches en deux jours sans problème. Il a donc quelques motifs de satisfaction. »

Il est peut-être prématuré de dire que Leconte va devenir l'un des tout meilleurs, sinon le numéro un. Mais ce qui est sûr, c'est que le Français a mis tous les atouts de son côté en s'assurant les services d'un entraîneur comme Fibak

Aurélien PHILIPPE-GÉRARD

ROLAND-GARROS

HENRI LECONTE

ASSURANCE TOUS RISQUES

Risque, confiance, frappe. Toute la réussite du champion français, qui affrontera demain Mats Wilander en finale, tient en ces trois mots. Et Wojtek Fibak est l'homme de cette formule magique.

Dans la loge réservée à la famille Leconte, un homme sourit. Sans ostensation. Ses lèvres prennent le temps pour s'étirer jusqu'en bordure des oreilles, pour fixer, l'espace de quelques secondes fugitives, l'image du bonheur. Wojtek Fibak est content. C'est lui qui sourit. Henri Leconte, son joueur préféré, celui qu'il assiste régulièrement de ses conseils, accoste le rivage d'un continent d'émotions fortes qu'il n'a pas connu lui-même. Leconte est en finale d'un tournoi du Grand Chelem : les Internationaux de France à Roland-Garros, Paris. Lui n'a jamais été plus loin que les quarts de finale à Londres et à New York. Même si Henri estime sincèrement qu'avec un plus grand service...

Entre les deux hommes, la relation est forte, bien que Fibak apparaisse rarement au premier plan. Sans doute parce que Leconte admire le sens tactique exacerbé, le côté stratège, les "trucs" de Fibak. Sans doute parce que Fibak voit en Leconte un talent brut, aussi rare qu'exceptionnel, qu'il pourra aider à s'épanouir.

Leur histoire commence au beau milieu d'un été 1987 triste et maladif. Henri Leconte se bat en duel avec les suites d'une hernie discale opérée en février et d'une mononucléose qui joue la méchante à répétition. Le joueur passe plus de temps dans les cabinets médicaux que sur les courts de tennis. Pendant que les autres cavalent après les victoires et les dollars, il reste confiné de longues heures chez lui, dans sa nouvelle maison de Genève, à faire l'apprentissage de la patience. Patrice Dominguez, le coach du moment, s'occupe de moins en moins de son élève. Il délaisse le coaching pour le journalisme. Les deux hommes décident donc de se séparer.

Leconte n'a plus envie de quelqu'un qui le suive en permanence sur le circuit. Il cherche un "conseiller", quelqu'un qui pourra lui donner les bons tuyaux aux bons moments. C'est alors qu'il pense à Wojtek Fibak. A l'époque, le Polonais a 35 ans. Il goûte les délices d'une fin de carrière dorée qui préfère les joies simples du double aux fatigues désormais inutiles du simple. Fibak, installé aux Etats-Unis dans un Connecticut accueillant pour les joueurs de tennis, vit entre tableaux de maître et dollars bien placés. Son chez-lui ressemble à un musée d'art moderne.

Mais ce qui retient l'attention du numéro un français (NDLR : A l'époque il devance Yannick Noah), c'est aussi un nom, un patronyme prestigieux qui figure en grosses lettres au bas du pédigrée de Fibak, témoignage d'une excellente naissance : Ivan Lendl, joueur de tennis, accessoirement numéro un mondial. Wojtek Fibak a dirigé la carrière du champion tchécoslovaque pendant deux ans, deux années au cours desquelles Lendl a progressivement gravi les échelons, bouffé les rivaux qui le précédaient dans la hiérarchie du tennis. Comment rêver meilleure recommandation ?

Le nouveau tandem se met tout de suite au boulot et Leconte définit le rôle exact de celui qu'il n'appellera plus que son "conseiller" : "J'ai confiance en lui, et c'est peut-être ce dont j'ai le plus besoin actuellement. Il me fait comprendre beaucoup de choses, il m'encourage dans mon jeu à risques. Il me dit, si tu dois frapper, n'hésite pas à frapper." Risques. Confiance. Jeu de frappe. Une définition prémonitoire. Elle rassemble en une synthèse impeccable les trois données du tennis de Leconte, tel qu'il le pratique depuis bientôt deux semaines à Roland-Garros.

Ce tennis, Henri Leconte a mis trois ou quatre mois à le forger. Il a soigné sa mise en condition physique, il a pris son temps. Toujours sur les conseils de Fibak. "Avant quand j'étais blessé, j'avais tendance à reprendre la compétition trop vite, Wojtek m'a aussi appris à mieux gérer mon calendrier. J'aurais pu aller jouer le tournoi de Key Biscayne, par exemple, après ma fracture du poignet. J'ai préféré renoncer et me concentrer sur la préparation de la saison sur terre battue. Mais ce que je lui dois surtout, je le répète, c'est d'avoir axé mon jeu sur l'offensive. Il m'a appris à alterner service-volée et jeu de fond de court, à brouiller les cartes."

Le "conseiller" n'a pas rechigné au conseil. Il n'a déclaré forfait que pour une courte période de deux à trois semaines, au moment du tournoi de Hambourg. Il s'était fait une vilaine entorse en jouant au football.

Si Henri Leconte devient demain le troisième joueur français à remporter les Internationaux de France depuis 1945, Wojtek Fibak pourra réclamer sa part du succès. Il n'a jamais gagné à Paris, mais en 1984, année de grande finale, le vainqueur sur le court s'appelait Ivan Lendl, le "conseiller" dans les tribunes Wojtek Fibak. Déjà.

PASCAL CEAUX

Wojciech Fibak: ludzie nie znają Zachodu

Z kilkudniową wizytą zawitał do Pomania Wojciech FIBAK. Korzystając z okazji poprosiłem go o krótką rozmowę, pragnąc przede wszystkim wyjaśnić problemy zawarte w artykule pt. „25-milionowy mecz bol Lendla" („GP" — 11.07.1988). Pokazałem ten tekst Fibakowi, prosząc o komentarz.

● Nie czytując co prawda „Spiegla", na którego powołuje się autor tekstu zamieszczonego w „Gazecie", ale pokazywał mi ten artykuł Meiler podczas tegorocznego Wimbledonu. Przede wszystkim nie jestem pozwany i nie jestem stroną w żadnym procesie („Spiegel" nic takiego nie napisał), jestem wyłącznie świadkiem. Jestem w tym procesie jako świadek dokładnie pośrodku, nie opowiadam się po żadnej ze stron, ani też żadna z nich nie ma w stosunku do mnie jakichkolwiek roszczeń. To wszystko jest bardzo przykre. Odradzałem Lendlowi proces i nadal mam nadzieję, że Ivan i Proserv załatwią sprawę polubownie.

● Chodzi wszak o duże pieniądze...

● Adwokaci, jak zwykle sztucznie wyolbrzymiają sumy. Proservowi chodzi o 7,5 proc. zarobków Lendla do 1993 roku, czyli o 300—400 tysięcy dolarów rocznie. Z tego co ja wiem w sumie chodzi o 1,5 mln dolarów. Do tego dochodzi 2—3 mln za zniesławienie, ale tych pieniędzy Proserv nie ma nadziei uzyskać. Lendl skarży w myśl zasady, że atak jest najlepszą obroną.

● Przejdźmy do rzeczy przyjemniejszych. Tenis to dla pana jeszcze sport, czy już tylko rekreacja?

● Prawie to rekreacja. Poza tym od lutego nie grałem. W Paryżu miałem operowane prawe kolano.

● Mimo to utrzymuje się pan nadal na listach...

● W deblu jestem na ok. 90 pozycji. W grze pojedynczej bardzo daleko, jakieś 800 — 900 miejsce. W tym roku mam na koncie jedno zwycięstwo w turnieju „Grand Prix" w Rotterdamie (zresztą jedyny turniej Fibaka w br. red.).

● Ostatnio w Polsce dużo mówi się o Kowalskim. Co pan sądzi na jego temat?

● Dawno go nie widziałem. Grałem natomiast z Sidorem, oglądałem go również w Wimbledonie. To utalentowany chłopak.

● A poza grą przede wszystkim interesy?

● Hobby, interesy, znajomi, rodzina. Jestem również doradcą Henri Leconta.

● Właśnie, ostatnio słychać propozycje powierzania opieki nad reprezentacjami Polski byłym, wybitnym sportowcom. Proponuje się np. na trenera kadry piłkarskiej Lubańskiego lub Bonka. Co zrobiłby pan, gdyby otrzymał propozycję objęcia kadry narodowej tenisistów?

● Otrzymałem propozycję od PZT. Jest ona mniej konkretna. Mógłbym być dla reprezentacji konsultantem, który dojeżdża na ważniejsze mecze. Na objęcie funkcji trenera nie mam po prostu czasu, to wymaga poświęcenia co najmniej kilku miesięcy w roku na obozy, zgrupowania.

● Pomaga pan polskim tenisistom...

● Tak, od wielu lat wspieram polskich tenisistów na całym świecie. Rodzice od 11 lat organizują turniej w Poznaniu. Staram się zawsze zafundować nagrody, jakieś rakiety, koszulki.



Rodzina Fibaków w komplecie...

Fot. — R. Gostomski

● Panu nikt nie pomagał, a z kolei pańska pomoc dla innych przyniosła więcej pochlebstw i wydziwiań niż wdzięczności. A to, że za mało, a to, że nie tam, gdzie trzeba...

● To typowe dla wszystkich dziedzin życia, a dla Polski w szczególności. Ludzie nie znają Zachodu. Tam ceni się pieniądz, czy to będzie 1 dolar, czy 30 tys. Z racji określonego poziomu życia jestem otoczony i w USA i we Francji prośbami ze strony różnych instytucji, fundacji (nie tylko polonijnych), nie mówiąc o osobach prywatnych. Niestety wszystkim nie mogę pomóc i wtedy muszę wybierać.

● Ludzie przeliczają sobie zarobki np. tenisistów po kursie czarnorynkowym i wychodzą im straszne sumy...

● Zawsze mówiłem, że złotówka powinna być wymienialna. Są podatki, ubezpieczenia, do tego dochodzą wydatki związane z określoną stopą życiową. Jeśli chodzi o interesy to nie mam wielkich imponujących biur, staram się jak najwięcej załatwiać w skali personalnej, czyli osobiście. Mam za to wielu adwokatów i konsultantów. To pochłania bardzo duże sumy.

● Najlepiej zarabiający tenisista, Ivan Lendl na liście najbardziej kasowych sportowców za rok 1987 znalazł się dopiero na 18 miejscu. Królują bokserzy i baseballiści..

● Takie zestawienia są bardzo mylące. Bokserzy muszą płacić duży procent managerom, nie więcej niż 30 proc. dostaje się do ich kieszeni. Tenisiści natomiast najwięcej dostają za pokazówki, kto-re to dochody nie są ujęte w tego rodzaju statystykach. W tej chwili na świecie najbardziej popularni są tenisiści i kierowcy Formuły 1. W golfie jest zbyt wyrównany poziom, baseball i koszykówka ma zbyt ograniczony zasięg, liczy się tylko liga USA, a piłka nożna to gra drużynowa, zbyt drużynowa, by kreować takie gwiazdy jak Lendl, czy Prost.

● Właśnie, piłka nożna, jak przyjęto w USA przyznanie temu krajowi prawa organizacji MŚ 1994?

● Teraz się o tym wcale nie mówi. Kilka miesięcy przed imprezą będzie dopiero odpowiednia reklama. Wątpię, czy w tej chwili więcej niż 1 proc. Amerykanów wie o tym fakcie. W ogóle to w dzienniku amerykańskiej telewizji o zasięgu ogólnokrajowym nie ma prawie wcale sportu, chyba, że olimpiada, czy też wydarzenia podobnej rangi.

● Dziękuję za rozmowę.

Rozmawiał Wojciech RZEPKA

z UKOSA

Duży i mały tenis

Stawiam guziki przeciwko złotówkom (te pierwsze w znacznie wyższej cenie...), że rozpoczęty wczoraj turniej seniorów o „Grand Prix" Polski mimo nieobsady odbędzie się tradycyjnie, czyli przy pustych trybunach. Sytuację może odmienić tylko jedno-zapowiedź, że codziennie, jak to było przez trzy minione dni, na korcie numer jeden odbędzie się trening z udziałem... Wojciecha Fibaka.

Tak jest. Do tego doszło. Trening kontuzjowanego eks-mistrza wywołuje znacznie większe emocje niż potyczki ponad 120 dziewcząt i chłopców okupujących czołowe miejsca na listach klasyfikacyjnych Polskiego Związku Tenisowego. Jak to możliwe? Kto jest winien?

Felieton musi być krótki. Nie ma więc sensu powtarzanie faktów przytaczanych wielokrotnie na naszych łamach. Tenis, podobnie jak wiele innych dyscyplin, przeżywa w naszym kraju kryzys. Pojedyncze osiągnięcia Kuczyńskiej czy Kowalskiego nie są w stanie zmienić krytycznej sytuacji. Tu jest potrzebna kuracja wstrząsowa. Ale o czym mówić, skoro w ostatnich dniach na Wybrzeżu musiano odwołać trzy ogólnopolskie imprezy z powodu... braku piłek! Poznańskie „Grand Prix" dochodzi do skutku dzięki temu, że działacze AZS, gdzie się odbywa, dostali w ostatniej chwili prezent w postaci kartonu markowych „Slazengerów". Piłki ofiarował były gracz akademickiego klubu, dziś ceniony trener w Duisburgu, Maciej Gumowski.

Fibak grał na Noskowskiego trzy dni pod rząd. Daleko mu do zwykłej formy. Operowane w maju kolano wciąż opuchnięte, ale widać ciągnie wilka do lasu, skoro mimo ryzyka najsławniejszy polski tenisista zaryzykował i wygrał. Bowiem znów oglądał go spory tłumek prawdziwych entuzjastów „białego sportu". Wojtek stojąc „na jednej nodze" pokazał kilka fajerwerków technicznych.

Jak długo jednak można żyć wspomnieniami? W sierpniu dwukrotny deblowy mistrz świata kończy 36 lat... Zdolny następca potrzebny od zaraz!

STAGAR

ŻYCIE WARSZAWY
PISMO CODZIENNE – ISTNIEJE OD 1944 ROKU
NR 173 (13859) Wyd. . 3 CZWARTEK, 28 LIPCA 1988 R. DZIS STRON 12 CENA 15 Z
PL ISSN 0137-9437 NR INDEKSU 33

Wojciech Fibak: sportowiec, kolekcjoner, biznesmen

Polak, któremu się powiodło

— Mieszka pan na stałe poza krajem. Co pana tym razem sprowadziło do rodzinnego Poznania? Sprawy osobiste? Tenis? Interesy?

— Tak jak zawsze: odwiedzam rodziców, krewnych, przyjaciół — stare kąty. Agnieszka ma dwanaście lat, Pusia — dziewięć (Pusia czyli Paulina — imię córki Ewy i Wojciecha Fibaków). Chcemy im pokazać latem miejsca, z którymi związani byli ich rodzice, którędy chodzili do szkoły, na lody. Organizujemy różne wycieczki.

Interesy? Nie, w Polsce nie prowadzę żadnych interesów. Natomiast tenis — tak. Prawie codziennie bywam na kortach AZS-u. Odwiedziłem także korty Olimpii. Nawet trochę grałem „na jednej nodze" jak napisano w „Gazecie Poznańskiej". Obserwowałem ogólnopolski turniej tenisowy seniorów.

Odwiedziliśmy też Muzeum Narodowe w Poznaniu. Zajrzeliśmy do salonu „Desy".

— Wyruszając w 1974 roku na turnieje „Grand Prix" do Barcelony i Teheranu myślał pan przede wszystkim o wdarciu się do światowej czołówki. Czy rzeczywistość nie przerosła pańskich marzeń?

— Nie sądziłem wówczas, że awansuję do światowej czołówki. To było zbyt odległe.

(A) DOKOŃCZENIE NA STR. 4

Polak, któremu się powiodło

(A) DOKOŃCZENIE ZE STR. 1

Wtedy myślałem jedynie o wejściu do pierwszej setki tenisistów. Chyba rzeczywiście zrealizowałem swe marzenia w większych rozmiarach, niż tego oczekiwałem.

— Zawodowy tenis jest jednym ze sposobów na życie. Czy nadal uważa pan, że jednym z najlepszych?

— Nie może uważać, że tenis jest jednym z najlepszych sposobów na życie. To sprawa indywidualna, a nawet przypadek. Weźmy na przykład Rumunię. Stamtąd wyszedł Nastase i nikt podobny. Z kolei na Węgrzech — Taroczy a w Polsce — Fibak. Inaczej Czechosłowacja mająca bardzo duże tradycje tenisowe i skąd wyszło wiele znakomitości.

Popularyzowałem tenis podczas gry. Wszystkich namawiałem na rekreacje tenisowa. Natomiast kariera zawodowa to pewna anomalia. Błąd tysięcy rodziców polega na tym, że w synie czy w córce lokują wszystkie swoje nadzieje, licząc, że przebiją się oni do grona najlepszych. Udaje się to nielicznym.

— Rzadziej niż dawniej pojawia się pan na korcie. Czy uważa się pana za sportowca, kolekcjonera dzieł sztuki czy człowieka interesu?

— Jest to rzeczywiście jakaś mieszanka. Zaspokajam na pewno marzenia wielu ludzi. Udowodniłem, że można indywidualnie dojść do czegoś i zachować przy tym polską osobowość. Gdyby to ktoś mi dał czy przekazał w spadku, byłoby inaczej. Wydawało się, że sport zawodowy jest zarezerwowany dla pewnych osobowości i nacji. Za tym awansem kryje się coś więcej niż suchy wynik.

Za granicą uważają mnie ciągle za tenisistę o otwartych horyzontach, z którym można porozmawiać o interesach lub o sztuce. Młodzież w kraju akceptuje moje powiązanie sportu z kulturą i pieniędzmi. Osiągnąłem pewną niezależność. W sporcie od lat nie miałem nad sobą kapitana, kierownika drużyny, kogoś jeszcze! Tak chyba ta niezależność może najbardziej pobudzać wyobraźnię, szczególnie, że w kraju wiele zależy jeszcze od układów, znajomości.

— Zawsze miał pan wiele serca dla polskiego tenisa. Jak pan teraz znajduje wybraną dyscyplinę sportu?

— Mój stosunek do polskiego tenisa nadal jest taki, jak niegdyś. Czekam na swego następcę. Cieszę się, że Wojtek Kowalski gra coraz lepiej. Życzę mu awansu do pierwszej setki, a potem dalszych sukcesów.

— Co zrobić, aby Polacy mogli dogonić w tenisie choćby sąsiadów z południa?

— Nie ma na to recepty. Jest tyle ważniejszych problemów, że trudno teraz wymagać, aby budowano hale tenisowe, a zachodnie rakiety i piłki były łatwo dostępne. W Czechosłowacji tenis ma wielkie tradycje. Są hale, mistrzowie. W Leningradzie czy Moskwie prowadzi się dziewczynki do szkoły baletowej. W Czechosłowacji do szkółki tenisowej. Dlatego im się to udaje.

— Czasopismo „Literatura" drukuje niepublikowaną książkę Daniela Passenta o Wojciechu Fibaku zatytułowaną „To jest moja gra". Jakie są pańskie wrażenia?

— Trzeba poczekać z oceną. Dopiero wydrukowano dwa odcinki. **Jeszcze nie jest gotowa całość.**

— Jak pan odbiera Polskę roku 1988?

— Sprawy polskie zawsze są mi bliskie. Przy korzystnych wiatrach wiejących ostatnio ze wschodu może i u nas coś ruszy z miejsca. Wszystkim tego serdecznie życzę.

Rozmawiał
ANDRZEJ RUCZYŃSKI

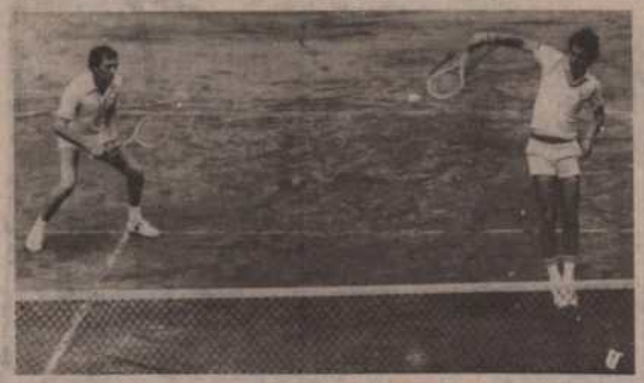

Rok 1977. Szczyt tenisowych osiągnięć Wojciecha Fibaka. Zdjęcie przedstawia finał gry podwójnej w amerykańskiej miejscowości South Orange. Para Wojciech Fibak Polska, Colin Dibley pokonała Argentyńczyka Guillermo Vilasa i Rumuna Ione Tiriosa 6:1, 7:5. Fibak odbija piłkę w niezwykle trudnej sytuacji. Fot. Archiwum

Dziesięć lat później (I)

Najlepsze rakiety świata ocenia Wojciech Fibak

Kim pan jest? — zapytano Wojciecha Fibaka podczas jego niedawnego występu w Dzienniku Telewizyjnym. Najsłynniejszy polski tenisista odpowiedział równie dowcipnie, co i żartobliwie: Polak mały... dodając jeszcze (rozmowa była bardzo krótka) kilka zdań na temat swych osiągnięć i planów.

Zainteresowanie osobą sławnego poznaniaka wcale nie maleje. Przeciwnie odnosze wrażenie, że nawet przewlekła kontuzja kolana uniemożliwiająca Wojtkowi występy na korcie (początek sezonu miał bardzo udany) wcale nie zmniejszyła zainteresowania jego osobą. Trenując przez kilka dni na kortach macierzystego AZS był oblegany przez spory tłumek kibiców i rozdał co najmniej kilkaset autografów. Jak sądzę, nie bez znaczenia jest także zapowiedź książki „To jest moja gra" pisanej przez Daniela Passenta. Na razie stołeczny publicysta zamieścił w „Polityce" jedną obszerną publikację na temat kontaktów Fibak — Lendl oraz w dwóch kolejnych numerach „Literatury" podjął niełatwą próbę przedstawienia osobowości i stylu życia dwukrotnego mistrza świata.

Właśnie w drugim odcinku znajdują się następujące zdania: „...Fibak autentycznie interesuje się polityką, gospodarką, historią, tenisem, malarstwem i pieniędzmi. Wielokrotnie w dość niespodziewanych okolicznościach, np. podczas jazdy samochodem, kiedy czas ucieka bez sensu, wszczyna rozmowę o sprawach amerykańskich czy polskich, o gospodarce socjalistycznej czy kapitalistycznej, o amerykańskim sposobie rozwiązywania spraw, o porządku i wolności, o architekturze i obyczajach o filmie i o ludziach, których zna wielu. Czuje się dobrze zarówno wśród kolegów, z którymi jada kolacje u Maxima, jak i z leszym Kosiedzgemplarzy. Jeden egzemplarz kosztuje 200 zł, i w dodatku miesięcznik ukazuje się raczej nieregularnie. Trudno więc oczekiwać by „Fibakowe impresje" Passenta trafiły do wszystkich ludzi interesujących się sportem, zwłaszcza tenisem. Kilkakrotnie nagabywany byłem przez młodszych zawodników o możliwość przeczytania sensacyjnie zapowiadającej się opowieści. Zresztą nie tylko zawodnicy, ale także działacze, czy trenerzy starają się dowiedzieć o problemach, życiu i sukcesach mistrza rakiety. Początkowe odcinki nie zawierają jednak spraw o które im najbardziej chodzi. Tenisa jest w niej tyle co na lekarstwo.

Sądzę więc, że czytelników „GP" zainteresuje pewna długa rozmowa, której tematem były najlepsze rakiety świata. Fibak ma tu wyjątkowo wiele do powiedzenia, gdyż już ponad lat 15 obraca się w tym towarzystwie i nie istnieje liczący się na świecie gracz, którego by nie widział. Ba, co ja mówię, prawie wszyscy ze ścisłej czołówki światowej to jego dawni, lub niemal współcześni rywale w najpoważniejszych imprezach. Można mówić o informacjach z pierwszej ręki i pewnego źródła.

Podstawą rozmowy stała się książeczka, którą wspólnie napisaliśmy pod koniec 1977 r. a która ukazała się drukiem na początku sezonu 1978. Nosiła tytuł „Grajmy w tenisa" i zawierała sporo spostrzeżeń na temat tego powiedni mistrza rakiety sprawdza się po kilkunastu latach; inne nadal są w pełni aktualne.

Na początek uwagi o charakterze ogólnym.

— By osiągnąć wartościowe wyniki — mówił Fibak w roku 1977 i powtarza to w roku 1988 — w tenisie ważne są różne elementy. Trzeba mieć dobrą kondycję, refleks i siłę. Ja zacząłem grać od lat 13, ale wcześniej uprawiałem wiele innych sportów: narty, pływanie, koszykówkę, kometkę. Wysiłek fizyczny w nowoczesnym tenisie jest wyjątkowo wielki. Mecz trwa czasami trzy godziny i więcej. Trzeba mieć ogromną odporność psychiczną, upór i wielki zasób energii. Po prostu tzw. „żelazne zdrowie".

Fibak często bywa pytany: jak trzymać rakietę? Tu się też nic nie zmieniło. Na początek proponuje uchwyt uniwersalny, nazwany fachowo easter. Inne sposoby trzymania, jak powiedzmy continental, czy western zostawia dla graczy o zaawansowanej już technice. Fibak pozytywnie odnosi się do chwytów oburecznych, czy tak zwanych „młotkowych".

Wszystko zależy od indywidualnych predyspozycji. W zależności od warunków fizycznych, osobowości, każdy zawodnik powinien wybrać sobie uderzenia najbardziej mu odpowiadające, dzięki którym będzie zdobywać punkty. A potem pracować nad ich udoskonaleniem. Tutaj przypomniał swego dawnego rywala i przyjaciela Szweda Bjoerna Borga. Gdyby początkujący zawodnik na jego sposób uderzał forhend większość trenerów wyrzuciłoby go z sekcji. Tymczasem Borg pięć razy pod rząd wygrał turniej w Wimbledonie i został uznany mistrzem świata.

Obserwując dopiero co zakończone na poznańskich kortach rozgrywki o „Grand Prix" Polski Fibak zwrócił uwagę na dość jednostronną technikę czołowych nawet graczy. Wynika to zapewne z niewielkiego wysiłku wkładanego w pracę treningową. A tymczasem tacy mistrzowie jak Graf, Becker, Wilander czy Lendl spędzają na korcie do sześciu godzin dziennie...

St. GARCZARCZYK

EXPRESS POZNAŃSKI

Wtorek, 2 VIII 1988 r. Wyd. 1



De 35-jarige Pool Fibak zorgde voor sensatie door de Zweed Stenlund verslaan

Podpatrywałem Fibaka

Zadzwonił telefon w południe — Dzień dobry Panie Redaktorze — Fibak mówi — Masz trochę czasu?

— Jesteś tak rzadko w Poznaniu, że muszę dla Ciebie mieć, zatem zapraszam Cię na spacer, w nasze dawne strony, powspominamy trochę.

— Może spotkamy się na torze „Poznań" o 12, a potem zobaczymy.

— Ale tam nic się dzisiaj nie dzieje.

— Skądże — Mercedes będzie ścigał się z Fiatem 126 p wyposażonym w silnik Hondy — tylko nie zabieraj kamery — dobrze.

W tym momencie wszystko zrozumiałem. Aktualny mistrz Polski w wyścigach samochodowych Piotr K. to przecież kuzyn. A więc rodzinne spotkanie — tym razem nie przy stole. Na Tor „Poznań" przyjechali najważniejsi — ojciec inżynier — i mistrz kierownicy wraz z bratem.

— Najpierw przewieźcie panie tym maluchem — krzyczy Wojtek.

Po chwili „mistrz rakiety" siada na tylne siedzenie, zamykając drzwi, drżącym głosem mówi, że chciałby tu jeszcze wrócić. Po kilku okrążeniach toru „Poznań" z szybkością 160 km/godz. „mistrz rakiety" powrócił lekko wystraszony, oddając uznanie kierowcy i szacunek dla Malucha. W efekcie do rywalizacji „malucha" z Mercedesem 560 SEL nie doszło. Może i dobrze. Dzięki temu Wojtek bez frustracji opuścił tor „Poznań" wierząc, że Merdeces nadal jest lepszy od Fiata 126p. Rozstajemy się z Rodziną i składamy kolejną wizytę.

Tym razem „poznańskim milionerom" nad Jeziorem Kierskim.

Wjeżdżamy na podwórze najpiękniejszego domu, malowniczo położonego nad brzegiem jeziora — gdzie powitał nas czarny wilk — u którego nie budziliśmy raczej zaufania. Siedzieliśmy więc w samochodzie. Jednak szybko pojawiła się urocza właścicielka, która powitała niecodziennych gości.

— Pamiętasz ostatni raz byliśmy tutaj 10 lat temu z Borgiem i Okkerem — krzyknął do mnie Wojtek... który wówczas miał tutaj zamieszkać.

...dzięki mnie zamieszkał Pan za granicą, a nie w Poznaniu — wtrąciła właścicielka domu.

Po kilku minutach spaceru po włościach już nie ma czasu na wypicie kawy, ani lampki szampana. Dziękujemy, wymieniamy uśmiechy i żegnamy się.

Za chwilę dalej powitaliśmy przyjaciół z lat szkolnych, którzy wypoczywają nad je-

(Ciąg dalszy na str. 2)

Podpatrywałem Fibaka

(Ciąg dalszy ze str. 1)

ziorem. Przed domem najnowsze BMW. Zdziwieni i zaskoczeni naszą wizytą — po kilku chwilach zapraszają do ekskluzywnej motorówki wyposażonej w silnik Suzuki.

— Widzę, że świetnie się Wam żyje — wtrąca Wojtek. Po wodnej przejażdżce nie ma już czasu na grilla. Bowiem — jak mówi Wojtek — obiad u mamy smakuje najlepiej.

Po południu kolejne wizyty u przyjaciół i na kortach AZS-u. Tu gdzie stawiał pierwsze kroki, które zapewniły mu sławę — jak mówił w DTV — „Małego Polaka".

— Tutaj przyjeżdżam najchętniej — wiesz sam. Zawsze z lekką romantyzmu wspomina swoją pierwszą grę i kolegów z którymi przegrywał...

Jesteśmy już spóźnieni przecież mama czeka z obiadem, a ojciec w domu leczy trzeci miesiąc złamaną nogę. Wracamy. I tak bez końca przez 10 dni pobytu w Poznaniu. W ostatnim dniu pobytu zapytałem Wojtka.

— Czy o takie wakacje Tobie chodziło?

— Tak. Były to takie aktywne rodzinne wakacje. Powiem szczerze tak właśnie sobie wyobrażałem swój wypoczynek. W domu, w ogrodzie, wieczory spędzałem z rodziną. Nie wyjechałem do Warszawy, do Sopotu na Miss Polonia itp. Natomiast dużo jeździliśmy z rodziną, z matką byliśmy nad czystym Jeziorem Powidzkim, gdzie się wykąpałem. Większość posiłków zjadłem z Rodzicami i u Teściów. Nawet jeżdżenie z domu na korty AZS-u i spotkania z młodzieżą sprawiały mi dużą przyjemność.

— Czym dla Ciebie były te spotkania?

— Z rozbitym kolanem grałem z nimi i udzielałem im wskazówek. Bowiem kiedy tutaj jestem staram się tej sekcji pomagać nie tylko w sprzęcie. Imponuje mi u niektórych pracowitość i oddanie tenisowej pasji. Są bardzo otwarci, chłonni i chętni do gry. Chciałbym, aby też posmakowali cenę sukcesu.

— A jak odnajdujesz swoje rodzinne miasto, jego mieszkańców kiedy powracasz?

— Wszyscy są dla mnie uprzejmi, uśmiechnięci, pytają o wszystko, chociaż trafiają się też nieśmiali. W tej chwili jest korzystny klimat, wieją ciepłe wiatry z różnych stron, ogólnie jest „zielone światło" na Fibaka — a właśnie — jaki jest twój stosunek do osób, które kiedyś źle o Tobie mówiły, pisały.

...Nie pamiętam...

(Ciąg dalszy na str. 6)

JANUSZ PRZYBYSZ Magazynek

Witam po wakacjach. Spędziłem je na wyjeździe i było pysznie. Tym bardziej mi się nie podoba, że nadal nie wyjeżdżają aż nadto mi znajomi państwo A. Już dawno powinni. Najlepiej do Ameryki, a jeszcze lepiej, żeby już nie wrócili.

AUTOR

Wyniki kontroli

Bezpośrednio po powrocie dokonałem społecznej lustracji osiedla. W zasadzie wszystko po staremu. Z nowości odnotowuję ławkę przy szkole na ulicy Keplera prawdopodobnie ogryzioną zębami.. Jeszcze kilka wieczorów i zostanie zjedzona w całości.

Rada Osiedla już dziś powinna podjąć spieszne starania o nową ławkę, najlepiej o smaku waniliowym.

Fragmenty reportażu

● ... Składamy kolejną wizytę tym razem poznańskim milionerom nad Jeziorem Kierskim. Wjeżdżamy na podwórze najpiękniejszego domu malowniczo położonego nad brzegiem gdzie powitał nas czarny wilk, siedzieliśmy więc w samochodzie. Jednak szybko pojawiła się urocza właścicielka. Po kilku minutach spaceru po włościach już nie ma czasu na wypicie kawy ani lampki szampana.

● ... Za chwilę powitaliśmy przyjaciół z lat szkolnych. Przed domem najnowsze BMW. Zdziwieni i zaskoczeni naszą wizytą, po kilku chwilach zapraszają do ekskluzywnej motorówki wyposażonej w silnik Suzuki. Po wodnej przejażdżce nie ma już czasu na grilla.



Nie ma już czasu na grilla...

● ... Jesteśmy już spóźnieni, przecież mama czeka z obiadem, a ojciec w domu leczy trzeci miesiąc złamaną nogę.

● ... Jeszcze tort na drogę, który ledwie mieści się w wypakowanym po brzegi mercedesie, w którym najwięcej miejsca ma jamniczek Fifi.

● ... Poklepaliśmy konie, zjedliśmy specjalność „leśną rąbankę" a także pożegnaliśmy dostojnie spacerującego

● ... Składamy kolejną wizytę tym razem poznańskim milionerom nad Jeziorem Kierskim. Wjeżdżamy na podwórze najpiękniejszego domu malowniczo położonego nad brzegiem gdzie powitał nas czarny wilk, siedzieliśmy więc w samochodzie. Jednak szybko pojawiła się urocza właścicielka. Po kilku minutach spaceru po włościach już nie ma czasu na wypicie kawy ani lampki szampana.

● ... Za chwilę powitaliśmy przyjaciół z lat szkolnych. Przed domem najnowsze BMW. Zdziwieni i zaskoczeni naszą wizytą, po kilku chwilach zapraszają do ekskluzywnej motorówki wyposażonej w silnik Suzuki. Po wodnej przejażdżce nie ma już czasu na grilla. Bowiem — jak mówi Wojtek — obiad u mamy smakuje najlepiej.

● ... Jesteśmy już spóźnieni, przecież mama czeka z obiadem, a ojciec w domu leczy trzeci miesiąc złamaną nogę.

● ... Jeszcze tort na drogę, który ledwie mieści się w wypakowanym po brzegi mercedesie, w którym najwięcej miejsca ma jamniczek Fifi.

● ... Poklepaliśmy konie, zjedliśmy specjalność „leśną rąbankę" a także pożegnaliśmy dostojnie spacerującego

Reportaż ten, o pobycie W. Fibaka w kraju ukazał się w Expressie. Całość do czytania w archiwum. Autor reportażu powinien dostać jakąś pierwszą nagrodę lub grilla.

(Ciąg dalszy ze str. 2)

Podpatrywałem Fibaka

Kontynuując jednak poprzednią myśl — mam nadzieję, że poprawi się jeszcze sytuacja polityczno-ekonomiczna. A na razie mam dobre układy z ludźmi, którzy odwiedzają mnie z całego kraju.

Dzięki Twoim telewizyjnym wywiadom — ludzie w Polsce dowiadują się, że przyjeżdżam do Poznania, np. ostatnio przyjechał do mnie mieszkaniec Szczecina z plateraми z okresu Czartoryskich — ponieważ dowiedział się, że podobno kupuję w Paryżu „Hotel Lambert" — a tymczasem byłem tam na kolacji. Ludzie żyją moją osobą. To cieszy nawet kiedy nie odnoszę sukcesów na korcie. Tworzą różne plotki, które mi nie przeszkadzają, a raczej ożywiają moje życie, o wszystkim zresztą dowiaduję się z korespondencji do mnie. Przyjaciele odwiedzają mnie również w Paryżu i Nowym Jorku.

— Co byś powiedział prezydentowi, co należy zmienić w tym mieście?

Poznań się stale zmienia — na dobre. Prezydent A. Wituski to wielka indywidualność znana nie tylko w tym mieście. Myślę, że wie najlepiej co w tym mieście należy zrobić. Dzięki MTP mówi się o nim w świecie. I ja też to robię wszędzie gdzie jestem. Po ukończeniu kilku inwestycji komunalnych — szybki tramwaj, Malta, więcej hoteli itp. Poznań będzie nowocześniejszy i łatwiej będzie się żyć. Dlatego chciałbym uczestniczyć w rozwoju mojego rodzinnego miasta i często przyjeżdżać z dziećmi. Bowiem nadal myślę, że jestem Polakiem bardziej potrzebnym za granicą niż w kraju. Dlatego chciałbym częściej zapraszać gości i znanych tenisistów do Poznania, otrzymałem propozycję, aby zostać ponownie członkiem sekcji tenisowej AZS. Bardzo mnie to ucieszyło. Dlatego myślimy wraz z Zarządem AZS i przy okazaniu przychylności Prezydenta Miasta — o rozbudowie bazy tenisowej na obiektach AZS przy ulicy Rolnaskiego, gdzie są trochę niewykorzystane piękne tereny. Chciałbym, abyśmy wspólnie wybudowali tam kort centralny i trzy korty treningowe — gdzie można byłoby zorganizować gry pokazowe i kontynuować Turnieje „Grand Prix W. Fibaka". To jest moje marzenie. Nie wiem jednak czy uda mi się to zrealizować.

— Co najbardziej utkwiło Tobie w pamięci podczas tych wakacji?

— Wycieczka z mamą do Gierwartowa gdzie po raz pierwszy wjechałem do tzw. kongresówki. Wśród tych ludzi spotkaliśmy się z innym sposobem myślenia „polskiej wsi", obejrzeliśmy sklepy, weszliśmy do kościoła, zapukaliśmy do wiejskiej chaty, zjedliśmy lody i wróciliśmy do Poznania. Było w tym wiele czaru. Zwłaszcza, że w drodze powrotnej zobaczyłem kilka pałaców. Była to wspaniała ucieczka od tempa wielkomiejskiego paryskiego i nowojorskiego. Najważniejsze jednak jest to, że córki 12-letnia Agnieszka i 9-letnia Paulinka — uczestniczyły w polskim życiu, którego nie znały, a jest inne od paryskiego i zupełnie inne od nowojorskiego. Cieszę się, że polskie rozwinęły. Bardzo im się to podobało. Rano nie mogły doczekać kiedy zobaczą się z Babcią i pójdą na rynek. Zauważyłem u nich większą dojrzałość w spojrzeniu na matkę i na mnie, zrozumiały skąd wyszliśmy, gdzie są nasze polskie „korzenie", w jaki sposób myślimy i chyba inaczej będą na nas patrzeć teraz.

— Dzisiaj wyjeżdżasz?

— Jedziemy do RFN, potem Paryża i po kilku dniach odlatujemy do Nowego Jorku. Będziemy na pewno w samochodzie i samolocie mile wspominać chwile w rodzinnym Poznaniu i z niecierpliwością oczekiwać na powrót — chyba jesienią. Ostatni dzień pobytu był najbardziej nerwowy. Od rana kilka telefonów, wizyta w Desie, gdzie ze względu na malowanie podłogi nie udały się zakupy, krótkie spotkanie z prezydentem A. Wituskim, potem rozstanie z Rodzicami i Teściami. Najtrudniejsze i najbardziej najbardziej wzruszające momenty. Łzy w oczach również towarzyszą pożegnaniu z Teściami. Jeszcze tort na drogę, który ledwie mieści się w wypakowanym po brzegi Mercedesie, w którym najwięcej miejsca mają jamniczek „Kiki" leniwie kładący się pod tylną szybą. I ruszamy, bowiem po drodze, na szlaku czeka nas jeszcze ostatnia wizyta w leśniczówce u znanego w Poznaniu rajdowca, który niedawno gościł u Wojtka w USA.

„Rancho wuja Adama" robi na rodzinie Fibaków duże wrażenie... Nie wiedziałem, że w Wielkopolsce są tak piękne tereny, że można tak pięknie odrestaurować chatę wiejską. Poklepaliśmy konie, zjedliśmy specjalność „leśną rąbankę", a także pożegnaliśmy dostojnie spacerującego pawia „Kubę" i ruszyliśmy w dalszą drogę. A ja dziękując za wywiad przeprowadzony w samochodzie poprosiłem jeszcze o dedykację dla Czytelników „Expressu Poznańskiego" i po kilku kilometrach udałem się w przeciwnym kierunku. Bowiem też już zakończył się dla mnie krótki weekend.

CZESŁAW KALISZAN

Ponad 200 dziewcząt i chłopców na kortach

Dopiero co dobiegły końca spartakiadowe rozgrywki na kortach Olimpii a już mamy kolejną wielką imprezę młodzieżową. Dziś do Poznania zjeżdża ponad 200 dziewcząt i chłopców w wieku do lat 13 którzy rywalizować będą w tradycyjnym turnieju o nagrody Wojciecha Fibaka.

Tegoroczne „Grand Prix Fibaka" rozpoczyna się na kortach Olimpii, następnie młodzież grać będzie przy ul. Noskowskiego i wreszcie na kortach Warty. Każdy z głównych turniejów poprzedzony zostanie ogólnie dostępnymi eliminacjami. Bez przesady można więc powiedzieć, że będzie to największa tegoroczna impreza uspartowionej tenisowo młodzieży.

Zwycięzcy otrzymają wyczynowe rakiety, inni różnego rodzaju sprzęt tenisowy. (sg)

Najmłodsi tenisiści grają o nagrody W. Fibaka

Rozpoczął się doroczny cykl poznańskich turniejów tenisowych dla młodzieży, o Grand Prix Wojciecha Fibaka. Najpierw 18-letni i młodsi tenisiści potykają się na kortach Olimpii do 18 sierpnia. Następnie przejdą na korty AZS a 20 sierpnia zakończą rywalizację na obiektach Warty. Zwycięzcami zostają ci, którzy we wszystkich trzech turniejach zgromadzą największą liczbę punktów.

Dla najlepszych przewidziano puchary przechodnie a na własność nagrody rzeczowe w postaci rakiet tenisowych dużej klasy oraz innego sprzętu tenisowego ufundowanego przez Wojciecha Fibaka. Zawody te są najpoważniejszą w kraju próbą dla najmłodszych adeptów tenisa i na nich to pierwsze triumfy święciło wiele obecnie najlepszych w kraju zawodniczek i zawodników.

Grand Prix Wojciecha Fibaka

Wczoraj na kortach Olimpii rozpoczęła się doroczna impreza tenisowa dla młodzieży pod nazwą Grand Prix Wojciecha Fibaka. Uczestniczy w nim młodzież urodzona w roku 1973 i młodsza. Na Golęcinie adepci tenisa rywalizować będą do 13 sierpnia, po czym przeniosą się na obiekty AZS-u przy ul. Noskowskiego, gdzie odbędzie się drugi turniej, trwający do 16 sierpnia.

Finał tej imprezy odbędzie się na kortach Warty. Zakończenie tego turnieju przewidziano na 20 sierpnia.

(ps)

„Grand Prix" W. Fibaka

150 chłopców i 68 dziewcząt z całej Polski zakończyło wczoraj na kortach Olimpii gry eliminacyjne turnieju „Grand Prix Wojciecha Fibaka".

Wśród chłopców faworytami są tenisiści z Katowic, Krzysztof Niestrój nr 4 w Polsce w kategorii do 15 lat oraz Maciej Hrycyszyn sklasyfikowany na 13 miejscu. Z zawodników poznańskich największe szanse ma Piotr Górecki z Pobiedzisk oraz Borys Chełmiński z Olimpii. Być może jednego z nich ujrzymy w finale. Byłby to z pewnością spory sukces każdego z tych tenisistów.

Z pierwszym numerem wśród dziewcząt zagra Iwona Arkuszewska z Elektromontażu Wrocław. Ale i ona miała spore kłopoty z odniesieniem zwycięstwa. Dużą formę zaprezentowały bowiem Elżbieniaczki Beck córki brązowego medalisty kolarskich tandemów na Olimpiadzie w Monachium. Przez kilka lat grały w Ameryce, teraz szturmem chcą zdobyć polskie korty.

Młodym tenisistom życzymy wielu udanych zagrań. (l)

Ideał sięgnął bruku, pomyślałem gdy w „Expressie Poznańskim" kilka dni temu przeczytałem artykuł — dziwo o Wojciechu Fibaku. Ten zupełnie kuriozalny tekst jest jednym z wielu o poznańskim tenisiście jakie w ostatnim czasie zalały prasę polską. Nagle pełno w niej Fibaka i jego spraw, wywiady, wywiadziki, cytaty z prasy zagranicznej, a nawet fragmenty książki.

Kariera Fibaka jest rzeczywiście zdumiewająca, ale tylko wtedy gdy stosuje się nadwiślańskie, chore kryteria oceny. Na Zachodzie nikogo nie dziwi, że inteligentny, uzdolniony młody mężczyzna zdobywa popularność, pieniądze, życiowy komfort. Nie każdemu, oczywiście, się to udaje, lecz wielu dopina swego.

W Polsce nie możemy wyjść z podziwu nad szczęściem bliźniego. Wszystko to jest jednak podszyte prowincjonalnymi kompleksami, dowodzi także całkowitego chaosu w świecie wartości. Wszelkie hierarchie zostały przewrócone do góry nogami, to co marginalne wysuwa się na plan pierwszy, rzeczy istotne ulegają zapomnieniu, bądź przeżyły się w cieniu.

Nie zamierzam pisać źle o Fibaku. Nie czyniłem tego wtedy gdy jacyś kretyni próbowali urządzić mu sabat czarownic, a tak zwani przyjaciele potulnie milczeli. Nie zamierzam też teraz rozwodzić się nad jego karierą i wzdychać z zachwytu, choć to jest teraz w modzie. Parafrazując tytuł książki D. Passenta to po prostu „nie jest moja gra".

Nie mogę wszak się oprzeć wrażeniu, że cała ta fibakomania to typowa strawa dla ludu, anonimowej masy połykaczy popołudniówek i brazylijskich seriali. Słowem dla większości. Zgoda, taka miazga ma prawo do funkcjonowania pod koniec XX wieku. Musi być jednak jakaś alternatywa. Tutaj tego nie widać. Fibak nagle urasta do symbolu wzoru Polaka. Człowieka Sukcesu Na Obczyźnie, grającego z powodzeniem na nowojorskiej giełdzie, kolekcjonera obrazów, przyjaciela pisarzy, polityków, słowem światowca.

Czegóż bym chciał. Aby obok niego nie było ciemnych plam, aby młody Polak dowiedział się, że sukces to nie tylko worek dolarów. Chciałbym przed lekturą o fibakowych kortowo-finansowych losach przeczytać o życiu Gustawa Herlinga-Grudzińskiego, Józefa Czapskiego, Andrzeja Bobkowskiego, Wacława Iwaniuka i wielu, wielu innych prawdziwie wybitnych Polakach rozsypanych po świecie, a których żywoty są niemniej pasjonujące i pouczające. Co zaś najważniejsze, po których zostanie coś więcej niż anegdoty z francuskich restauracji.

Konrad NAPIERAŁA

KORNER

INFORMAT

11 sierpnia 1988

Grand Prix W. Fibaka

Na kortach Olimpii zakończył się pierwszy z trzech rozgrywanych w naszym mieście turniejów o „Grand Prix" Wojciecha Fibaka. Bez przesady można stwierdzić, iż był to prawdziwy tenisowy maraton. Na starcie stanęło ponad dwieście dziewcząt i chłopców w wieku od 10 do 15 lat.

Ze względu na duże czasami różnice umiejętności, turniej szczególnie w pierwszej fazie stał na nie najlepszym poziomie. Później było już znacznie lepiej i szczególnie gry finałowe mogły się podobać.

Wśród dziewcząt wygrała rozstawiona z nr 1 Anna Dracz. Jej przeciwniczka Barbara Hładniak stawiała zacięty opór jednak zeszła z kortu pokonana w stosunku 1:6, 5:7. Najdalej z poznanianek zaszła Grzegorczyk z Olimpii. W półfinale uległa jednak Hładniak 2:6, 0:6.

W turnieju chłopców faworyt nr 1 Hrycyszyn z Katowic stracił tylko jednego seta. Przegrał go z Adamem Goreckim z Pobiedzisk w półfinale. W finale natomiast katowiczanin po ładnej grze wygrał z Meresem 7:5, 6:3. (l)

AS - lipiec 1988

z DANIELEM PASSENTEM rozmawia

Z głębi kortu...

Dlaczego napisałeś książkę o Fibaku?

– Ponieważ lubię tenisa i lubię pisać.

– Czy lubisz także Fibaka?

– Owszem, ale żeby o kimś pisać, niekoniecznie trzeba go lubić, natomiast trzeba go poznać, osobiście, albo korzystając ze źródeł.

– Czy uważasz, że go poznałeś?

– Na podstawie tego co widziałem, czytałem oraz słyszałem od innych, którzy doskonale Fibaka znają, sądzę, że trochę go poznałem. Podejrzewam jednak, iż Fibak może być odmiennego zdania, może sądzić, iż nie poznałem się na nim, iż go nie doceniłem.

– Dlaczego tak sądzisz?

– Dlatego, iż ogromna większość ludzi widzi siebie inaczej i często lepiej niż widzą nas inni. Np. każdy uważa, że jest skromny i ma poczucie humoru na swój temat. Ja siebie też tak widzę. Kiedy rozpoczynałem pisanie książki uważałem, że największą trudnością będzie poznanie tych dziedzin, które uprawia Fibak: sport, business, kolekcjonerstwo, natomiast pod koniec pisania okazało się, że największym problemem było co innego, mianowicie poznanie samego człowieka, którego opisuję.

– Mogłeś się tego domyśleć.

– Mogłem i nie mogłem. Mogłem, ponieważ wiadomo, że najtrudniej jest namalować taki portret, który byłby wierną podobizną, a jednocześnie, żeby jego bohater był zadowolony. Ja nie chciałem być malarzem dworskim. Czy Fibak będzie zadowolony – trudno mi powiedzieć i choć bym tego chciał, to nie jest najważniejsze, książkę tę pisałem nie dla niego, nie na jego zamówienie, nie za jego pieniądze – pisałem ją dla czytelników i dla siebie.

– Jeżeli pisałeś dla czytelników, a nie dla Fibaka, to czy on może odnieść wrażenie, że go wykorzystałeś: otworzył się dla ciebie, a ty napisałeś książkę nie po jego myśli, tylko po swojej?

– Skąd wiesz, że napisałem książkę nie po jego myśli? To się dopiero okaże, kiedy ją przeczyta, przemyśli, zobaczy jak odbiorą ją ludzie. Najlepiej przeglądać się w cudzych oczach. Żaden polski sportowiec nie był jeszcze bohaterem książki, która budziłaby takie zainteresowanie – radio, „Przegląd Tygodniowy", „Literatura", „Polityka"; czasopisma sportowe, wszyscy oni chcieli dawać przynajmniej fragmenty. Dawniej, kiedy coś pisałem, pies z kulawą nogą nie pytał gdzie i kiedy to się ukaże. Tym razem temat był gorący. Myślę, że Fibak to doceni, podobnie jak ją. Wszak nie powstała taka książka o Jadwidze Jędrzejowskiej, którą wielu uważa za największą indywidualność w historii tenisa polskiego, a pierwsza większa książka o Kusocińskim dopiero jest w druku. Drukuje ją „Przegląd Sportowy". Gdyby o innych ktoś napisał nawet taką mamą i miejscami krytyczną książkę, jak „To jest moja gra", to byliby zadowoleni, ale sądzą, że na nią nie zasłużyli.

– Dlaczego oddałeś książkę do druku w odcinkach akurat w miesięczniku „Literatura", wszak prasa sportowa i tygodniki mają dużo większy nakład i są czytane przez kibiców.

– Po pierwsze dlatego, że to nie jest książka sportowa. „Pan Bóg przyjechał do Monachium" – moja poprzednia książka sportowa, o igrzyskach olimpijskich, dotyczyła prawie wyłącznie sportu i namiętności z nim związanych: ambicji, przyjaźni, rywalizacji, a nawet wrogości. „To jest moja gra" jest książką w jednej trzeciej o tenisie, w jednej trzeciej o Ameryce i handlu nieruchomościami, w jednej trzeciej o zbieraniu i sztuce, a także w jednej trzeciej o samym Fibaku.

– Wyszło mi cztery trzecie.

– Nic dziwnego, literatura ma niewiele wspólnego z matematyką. A mówiąc poważnie, nie ma w tej książce oddzielnej części poświęconej wyłącznie Fibakowi, jednak przewija się on przez wszystkie trzy części. Wracając zaś do „Literatury", to drugi powód, dla którego oddałem książkę do miesięcznika, polega na tym, iż jest to pismo, które nobilituje tę książkę, podnosi ją powyżej poziomu prasy codziennej i rubryk sportowych, mówiąc żargonem działaczy „wychodzi z problematyką tenisa" poza środowisko sportowe.



Nie wiemy, czy picie „pepsi" przed obiektywem też wkalkulowane było w plany finansowe...

– Obrażasz tym samym „Asa", którego jesteś stałym współpracownikiem.

– W żadnym razie, lecz gdyby „As" miał drukować tę książkę, to byśmy nigdy nie doczekali końca.

– Tenis, business, malarstwo – czy nie napisałeś książki snobistycznej?

– Nie jest to książka o górniku, ani powstańcu – to fakt. Ale czas już odejść od podejrzeń, że tenis, business i zbieranie obrazów są to zajęcia wyłącznie snobistyczne. Każde z nich jest niezwykle pożyteczne. Może gdyby więcej osób dobrze prowadziło interesy, uprawiało sport oraz interesowało się sztuką, to Polska nie wyglądałaby tak, jak wygląda, tylko bardziej przypominałaby gospodarstwo Fibaka.

– Ale czy ty znasz się na tenisie, businessie i malarstwie?

– Ależ skąd! Może tylko znam się na pisaniu, to jest mój zawód. „To jest moja gra", okaże się niewypałem, to nie dlatego, że nie umiem odróżnić Beckera od Lendla czy Makowskiego od Zaka, lecz ponieważ źle to napisałem.

– Czy uważasz że tenis bądź handel nieruchomościami to są w ogóle dziedziny, o których warto pisać książkę?

– Spotykam się z opiniami, iż są tematy i ludzie, o których się nie pisze, a zasługują bardziej niż to, co mnie zainteresowało. Odpowiadam na to: owszem, to prawda, ale są inni autorzy – niech oni piszą o innych sprawach, ja piszę o tym, co zainteresowało mnie.

– Czy nie jest to jednak wybór tematu pod publiczkę: znany sportowiec, bogaty businessman, kolekcjoner sztuki?

– Starałem się unikać wszystkiego, co dawałoby podstawę do takich oskarżeń. Byłoby to pod pu-

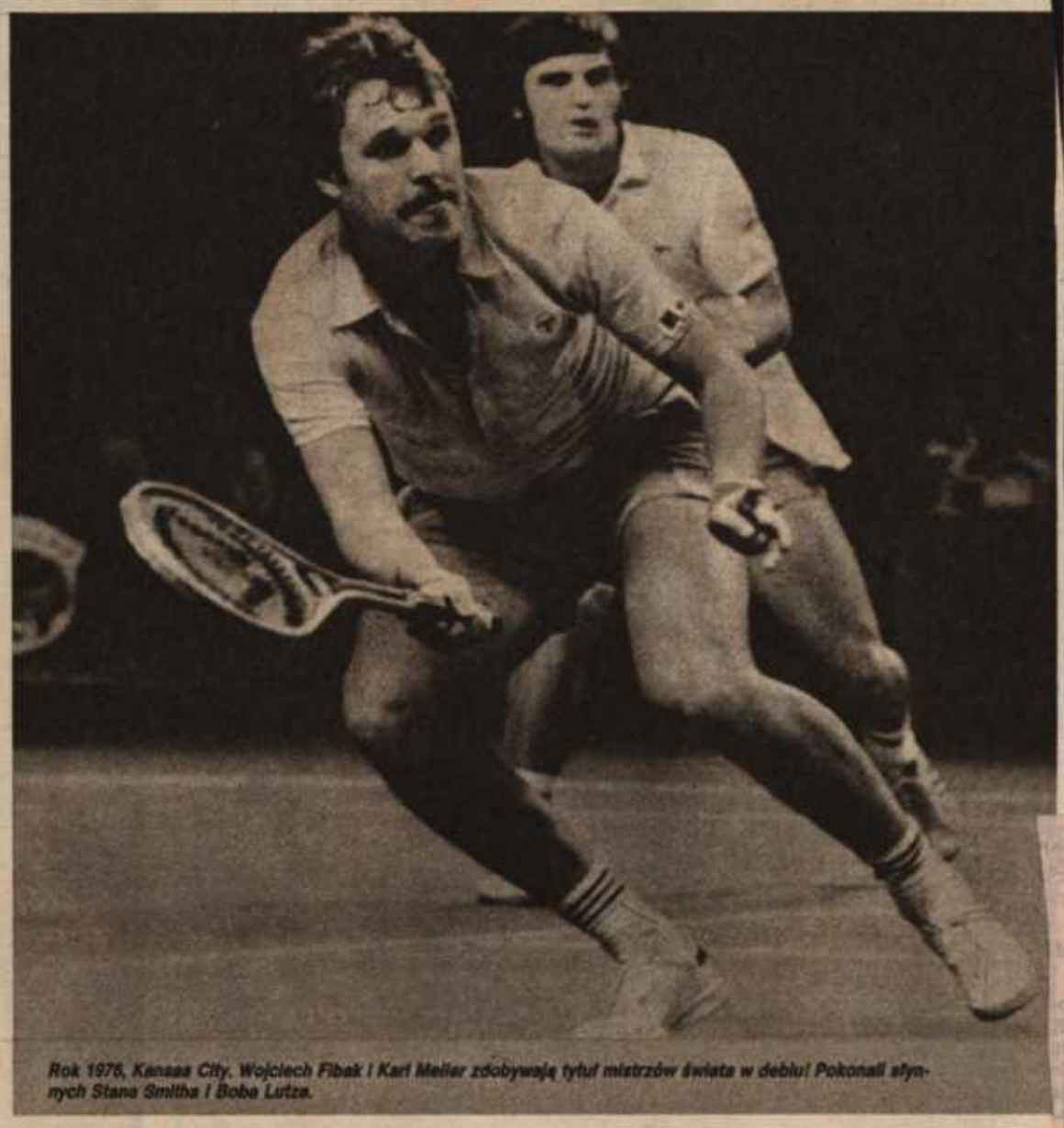

Rok 1976, Kansas City. Wojciech Fibak i Karl Meiler zdobywają tytuł mistrzów świata w deblu! Pokonali słynnych Stana Smitha i Bobe Lutza.

Anioły nie grają w tenisa

Grają nast

Tenisowa młodzież p
w tym styczniu na korty
rozegrano drugi z trzech
nych turniejów o „Gran
ciecha Fibaka".

Podobnie jak na obiekc
dużo wyższym poziomie
dziewcząt. Szczególnie cz
już potrafi. Trudno dzi
wce czy te dziewczęta
grać za kilka lat w pi
tenisistek świata, talentu
nością nie brakuje chy
trenować z podobną in
jak ich koleżanki z CS
RFN czy Argentyny.

Grand

W sobotę zakończył
tatni z cyklu trzech tu
dla najmłodszych tenis
Grand Prix Wojciecha
Wśród dziewcząt zdec
nie przewodziły stav
Dracz (Górnik Wieliczk
Hładniak (Energomonta
ciaw). Po trzykroć sp
się w finale, a ostatni
na kortach Warty A.
wygrała 6:4, 6:2.

Wśród chłopców M.
szyn (Baildon Katowice
grał wprawdzie finało
jedynek na Warcie z M
rowskim (SKT Sopot)
lecz dzięki zwycięstwo
kortach Olimpii i AZS
jął w łącznej klas
pierwsze miejsce.

W czołowc

**Przez 11 dni, kolejno
no XI Ogólnopolski T
nagrodę ufundowane
dziewcząt i chłopców.**

Tegoroczne rozgrywki
znanej niegdyś tenisistk
ki OZT Bronisławy Jaśk
rakteryzował dobry pozi
ki. Młodzież wykazuje
do gry i dysponuje nie
tem. Natomiast dawny
Piątek twierdził, że mło
czają swój repertuar do
dwie uderzeń, brak im
ności. Wszyscy natomiast
li, że jeden z najwięks
szym kraju turniejów,
opinii jakoby tenis był
wybranych. Grają w nim
dzieci bardzo różnych
Dla przykładu bardzo
prezentował się na pozna
tach Adam Górecki, któr
mistrzem murarskim w
dziska. Tenis pod strzec
go dawniej nie było!

Trzeci turniej rozgr
kortach Warty. Wśród
finale Dracz pokonała
6:2. W finale chłopców
pewnej niespodzianki, g
szyn uległ 4:6, 5:7, Kar

A oto czołowe szóstki
niu rezultatów trzech
DZIEWCZĘTA: 1. A.
nik Wieliczka, 2. B. Hła
montaż Wrocław, 3. J.
nergomontaż, 4–5. J.
Olimpia Poznań i M.
Łódź, 6. M. Kotkiewicz
CHŁOPCY: 1. M.
Baildon, 2. P. Meres
3–4. A. Górecki LZS P
G. Malewski Legia, 5.
ski SKT Sopot, 6. A.
Górnik Bytom.

Bezpośrednio po zako
łów nastąpiło rozdanie
biorów. Zdobywcy pierw
otrzymali na własność

EM PASSENTEM rozmawia



Karl Meiler zdobywają tytuł mistrzów świata w deblu! Pokonali słyn-

niołу w tenisa

Ależ skąd! Może tylko znam
na pisaniu, to jest mój zawód.
est moja gra", okaże się niewy-
m, to nie dlatego, że nie umiem
ożnić Beckera od Lendla czy
owskiego od Zaka, lecz ponie-
źle to napisałem.

Czy uważasz że tenis bądź
del nieruchomościami to są w
e dziedziny, o których warto pi-
książkę?

Spotykam się z opiniami, iż są
aty i ludzie, o których się nie pi-
sze, a zasługują bardziej niż to, co mnie zainteresowało. Odpowiadam na to: owszem, to prawda, ale są inni autorzy – niech oni piszą o innych sprawach, ja piszę o tym, co zainteresowało mnie.

– Czy nie jest to jednak wybór tematu pod publiczkę: znany sportowiec, bogaty businessman, kolekcjoner sztuki?

– Starałem się unikać wszystkiego, co dawałoby podstawę do takich oskarżeń. Byłoby to pod pu-

Grają następcy Fibaka

Tenisowa miniatura przeniosła się w tym tygodniu na korty AZS-u gdzie rozegrano drugi z trzech zaplanowanych turniejów o „Grand Prix Wojciecha Fibaka".

Podobnie jak na obiekcie Olimpii na dużym wyszym poziomie stał turniej dziewcząt. Szczególnie czołówka wiele już potrafi. Trudno dzieciaj wyrokować czy te dziewczęta mają szanse grać za kilka lat w pierwszej setce tenisistek świata, talentu im z pewnością nie brakuje oby tylko chciały trenować z podobną intensywnością jak ich koleżanki z CSRS, Bułgarii, RFN czy Argentyny.

W finale spotkały się ponownie Anna Dracz z Warszawy i Barbara Hladniak z Wrocławia. Tym razem wygrała wrocławianka 7:5, 6:3 i o tym która z nich zdobędzie Grand Prix zadecyduje turniej na kortach Warty.

Wśród chłopców ponownie zwyciężył katowiczanin Hrycyszyn. W finałowym pojedynku dzielnie walczył z nim Malawski z Legii jednak ostatecznie zszedł z kortu pokonany w stosunku 6:7 4:6. Dobrze spisał się też W. Górecki z Pobiedzisk, który w półfinale znowu jako jedyny urwał seta późniejszemu triumfatorowi.

(l)

Grand Prix W. Fibaka

W sobotę zakończył się ostatni z cyklu trzech turniejów dla najmłodszych tenisistów o Grand Prix Wojciecha Fibaka. Wśród dziewcząt zdecydowanie przewodziły stawce A. Dracz (Górnik Wieliczka) i B. Hladniak (Energomontaż Wrocław). Po trzykroć spotykały się w finale, a ostatni turniej na kortach Warty A. Dracz wygrała 6:4, 6:2.

Wśród chłopców M. Hrycyszyn (Baildon Katowice) przegrał wprawdzie finałowy pojedynek na Warcie z M. Kamrowskim (SKT Sopot) 4:6, 5:7, lecz dzięki zwycięstwom na kortach Olimpii i AZS on zajął w łącznej klasyfikacji pierwsze miejsce.

I tak klasyfikacje chłopców wygrał M. Hrycyszyn (Baildon) przed P. Meresem (Nadwiślanin) zaś na trzecim miejscu sklasyfikowano wspólnie A. Góreckiego z LZS Pobiedziska i G. Malewskiego (Legia). Wśród dziewcząt triumfowała A. Dracz (Górnik Wieliczka) przed B. Hladniak (Energomontaż) i J. Jurowska (Energomontaż). Na czwartym miejscu znalazła się J. Wieruszewska (Olimpia).

Najlepsza dwójka wśród dziewcząt i chłopców w nagrodę oprócz pucharów otrzymała rakiety tenisowe zaś pierwsza „dziesiatka" sprzęt — odzież i obuwie — wszystko ufundowane przez W. Fibaka. (leh)

W czołówce syn murarza...

Przez 11 dni, kolejno na kortach Olimpii, AZS i Warty rozgrywano XI Ogólnopolski Turniej Młodzieży do lat 15. Do rywalizacji o nagrodę ufundowane przez Wojciecha Fibaka stanęło ponad 230 dziewcząt i chłopców.

Tegoroczne rozgrywki — zdaniem znanej niegdyś tenisistki, działaczki OZT Bronisławy Jaśkowiak charakteryzował dobry poziom czołówki. Młodzież wykazuje sporo chęci do gry i dysponuje niezłym sprzętem. Natomiast dawny mistrz Józef Piątek twierdził, że młodzi ograniczają swój repertuar do kilku zaledwie uderzeń, brak im wszechstronności. Wszyscy natomiast podkreślali, że jeden z największych w naszym kraju turniejów, zadaje kłam opinii jakoby tenis był sportem dla wybranych. Grają w nim dzieci rodziców bardzo różnych zawodów. Dla przykładu bardzo dobrze zaprezentował się na poznańskich kortach Adam Górecki, którego tata jest mistrzem murarskim w PGR Pobiedziska. Tenis pod strzechami — tego dawniej nie było!

Trzeci turniej rozgrywano na kortach Warty. Wśród dziewcząt w finale Dracz pokonała Hladiak 6:4, 6:2. W finale chłopców doszło do pewnej niespodzianki, gdyż Hryczyszyn uległ 4:6, 5:7 Kamrowskiemu.

A oto czołowe szóstki po podliczeniu rezultatów trzech turniejów.

DZIEWCZĘTA: 1. A. Dracz Górnik Wieliczka, 2. B. Hladiak Energomontaż Wrocław, 3. J. Jurowska Energomontaż, 4—5. J. Wieruszewska Olimpia Poznań i M. Galicka MKT Łódź, 6. M. Kotkiewicz Varpovia.

CHŁOPCY: 1. M. Hryczyszyn Ballidon, 2. P. Meres Nadwiślan, 3—4. A. Górecki LZS Pobiedziska i G. Malewski Legia, 5. M. Kamrowski SKT Sopot, 6. A. Mierzwiński Górnik Bytom.

Bezpośrednio po zakończeniu finałów nastąpiło rozdanie sprzętu i ubiorów. Zdobywcy pierwszych miejsc otrzymali na własność puchary ufundowane przez W. Fibaka, wyczynowe rakiety oraz pamiątkowe dyplomy. Uczestnicząca w uroczystości matka głównego sponsora Joanna Fibak przekazała także nagrody specjalne. Za wyróżniającą postawę na kortach dodatkowy sprzęt otrzymali Maciej Hryczyszyn i Adam Górecki („fair play") oraz J. Gawłowski z SKT Sopot. Za rok znów się spotkają w Poznaniu!

S.G.



Marcin Kamrowski z Sopotu, wygrał ostatni turniej i zajął w generalnej klasyfikacji miejsce piąte.
Fot. — R. Gostomski

Zdzisław Ambroziak

bliczkę, gdybym pisał w jakich domach mody ubiera się Ewa Fibakowa, jakie są szczegóły i plotki na temat różnych dziedzin życia państwa Fibaków. Tego w mojej książce w ogóle nie ma. Natomiast, owszem, jest pewien element wyrachowania, mianowicie, że Wojtek Fibak, tenis, powodzenie Polaka w Ameryce – wszystko to interesuje czytelników i na taką książkę jest zapotrzebowanie. Dodatkowym bodźcem dla mnie było pisanie książki nie o polityce. Z racji swojej pracy w „Polityce", moich zainteresowań, a przede wszystkim opłakanego stanu w jakim znajduje się nasz kraj, ciągle stykam się z problematyką polityczną i szczerze mówiąc chciałem od tego odetchnąć. Myślę, że czytelnicy również nie mogą żyć samą polityką.

– Wróćmy do początku rozmowy, kiedy mowa była o tym, czy Fibak będzie zadowolony, kiedy przeczyta tę książkę.

– Chciałbym, ale nie to było moim celem. Gdyby Wojtek chciał mieć książkę z której byłby zadowolony, to mógłby w każdej chwili wynająć sobie autora, jakich na Zachodzie jest pełno, zapłacić mu i podyktować jak ma pisać. Ja nie jestem krawcem, który szył garnitur na miarę i to z powierzonego materiału. Podziwiam osiągnięcia Fibaka, ale on nie był moim klientem, pomysłodawcą ani inspiratorem. Ponadto widzę – jak u każdego z nas – także jego słabości i to co uważałem za stosowne – napisałem.



Spacer jeszcze ulicami Poznania. Pani Ewa zawsze była i jest wspaniałą partnerką życiową najlepszego zawodnika w historii polskiego tenisa.

– Nie czujesz się w ogóle zobowiązany wobec Fibaka?

– Nie w tym sensie, jaki sugerujesz i nie sądzę, żeby Fibak miał czuć się zobowiązany wobec mnie za to, iż napisałem książkę, jaką niektórzy czytelnicy już po przeczytaniu pierwszego odcinka w piśmie „Literatura" mają mi za złe. Odczuwam wdzięczność wobec Wojtka, za to, co zrobił dla polskiego tenisa, dla nas wszystkich oraz, że wśród licznych młodych polskich tenisistek i tenisistów, którym pomógł za granicą, znalazła się również moja córka. Kilka lat temu, kiedy była w Ameryce, załundował jej pięć tygodni na obozie tenisowym. Fibak pomaga różnym ludziom, ale sądzić, że robi to z wyrachowania byłoby obraźliwe. Dopatrywanie się we wszystkim wyrachowania, to nasza polska specjalność, wiem o tym równie dobrze jak Wojtek. On robi tyle, ile chce – wymagać więcej byłoby nie fair, podobnie jak nie fair jest wymaganie, żeby ci którym pomógł mieli mu się odwdzięczać.

– Miała to być książka o Fibaku, a okazuje się o tenisie, businessie i malarstwie. Czy to jest fair?

– Kto mówi, że miała być książką o Fibaku? Sądziłem, że nie należy ograniczać się do samego Fibaka, lecz pokazać „Świat Fibaka" i taki był pierwotny tytuł tej książki. Stosunki w Polskim Związku Tenisowym, tradycje AZS Poznań, przewodniczący sekcji tenisowej tego klubu prof. Jan Fibak, a następnie Walery Grzędzielski, aukcje obrazów w domu aukcyjnym Sotheby's, do którego zabrali mnie państwo Fibakowie, prezes agencji tenisowej ProServ Donald Dell, menadżer Lendla i Fibaka Jerry Solomonm, właściciel galerii malarstwa polskiego w Nowym Jorku Zbigniew Leguttko, słowem cała galeria typów i katalog spraw. Wojtek jest jak gdyby kręgosłupem, który dźwiga na sobie tę książkę. Trochę tak, jak w życiu – wokół człowieka takiego jak Wojtek obraca się wiele spraw, jest on uwikłany w najrozmaitsze zainteresowania oraz interesy.

– Czy w trakcie pracy nad książką byliście wobec siebie całkiem szczerzy?

– Całkiem, to chyba nie. Sądzę, że każdy ma swoje sekrety, którymi nie dzieli się z obcymi, a byłem Fibakowi całkiem obcy gdy przystąpiłem do pisania. Fibak był wobec mnie bardzo uczynny, wychodził mi na przeciw w takim stopniu, w jakim uznał to za wskazane, ułatwił mi maksymalnie moją pracę, ale pragnę podkreślić bardzo wyraźnie, iż jest to książka wyłącznie moja, w tym sensie, iż to ja za nią odpowiadam. Wojtek był mi pomocny, zresztą nie on jeden, pomogło mi wiele osób, którym jestem bardzo wdzięczny, ale niczego mi nie dyktował i w najmniejszym stopniu nie ponosi odpowiedzialności za to, co napisałem, podobnie jak modelka nie odpowiada za swój portret. Jestem pewien, że nie podpisałby się pod tą książką.

– Czy nie żałujesz, że ją napisałeś?

– Skąd ci to przyszło do głowy? Przeciwnie, jestem bardzo zadowolony – nie z książki, bo chciałbym, żeby była lepsza, ale z faktu, że mogłem ją pisać, że dzięki tej pracy poznałem wielu ciekawych ludzi, na czele z Wojtkiem i poznałem troszkę egzotyczny dla mnie świat zawodowego tenisa, malarstwa polsko-żydowskiego szkoły paryskiej, które kolekcjonują Fibakowie, wreszcie oglądałem wielki tenis na kortach Roland Garros i Forest Hills w dwóch tak wspaniałych miastach jak Paryż i Nowy Jork. Jak najwięcej tej radości chciałem przekazać czytelnikom. Mam też nadzieję, że ludzie którzy przeczytają tę książkę polubią tenis, tak jak my dwaj albo i bardziej.

– Ale nie liczysz chyba na to, że książka będzie odebrana wyłącznie dobrze. Nie sądzisz chyba, że to arcydzieło.

– Oczywiście każda praca, zwłaszcza tak niedoskonała, zasługuje również na krytykę. Trzeba poddać się jej z pokorą. Od osób, które znają fragmenty, usłyszałem już obok pochwał, również cierpkie słowa. Książka o współczesnym, żywym człowieku jest również dla mnie nowym i trudnym doświadczeniem. Muszę, jeśli tak można powiedzieć, dorosnąć do roli autora, tak jak Fibak musi stanąć na wysokości zadania jako bohater. Oprócz krytyki poważnej jest także krytyka małostkowa. Tak np. już po pierwszym odcinku ktoś, kto nota bene całe życie spędził w tenisie, miał mi za złe pogląd, iż gdyby Fibak poświęcił się cały tenisowi, a nie także rodzinie, businessowi i kolekcjonerstwu, to na kortach zaszedłby wyżej. Zdaniem niektórych Wojtek zaszedł maksymalnie wysoko w klasyfikacji światowej – ale miałem także rozmówców, nie mniej fachowych, którzy byli zdania, że Wojtek nie wykorzystał wszystkich swoich możliwości. Nie zdajesz sobie sprawy, jacy małostkowi i zawistni potrafią być u nas ludzie. Kiedy prowadziłem rozmowę telewizyjną z Fibakiem i Danielem Olbrychskim, do telewizji nadeszły pełne agresji listy, że Wojtek miał zbyt wysoko założoną nogę na nogę, dziennikarz Władysław Gruda z Tarnowa miał za złe że Fibak ma „zadowoloną z życia twarz" i że „amerykańsko eksponował swoją rodzinę", że nie rozpoczynał swojej kariery od podawania piłek na korcie, że nie dzieli się swoimi obrazami z Polską i różne inne bzdury, zaś inni mieli za złe, że za mało pytań było skierowanych do Daniela Olbrychskiego, bądź, że podpierał on głowę na ręku i nie nosił krawata. A Daniel przyszedł wówczas do studia chory, z gorączką i prosił, aby bohaterem rozmowy był Wojtek, a nie on. Czasami nie zdajemy sobie sprawy, ile jest małości wokół nas i jak bardzo dotyczy ona kogoś, kto się z tego wyrwał i nie można się do niego przyczepić, bo wszystko zawdzięcza sobie. Ludzie wymagają od niego, żeby był aniołem. Anioły podobno są, ale – o ile wiem – nie grają w tenisa i nie piszą książek.



W piątek na kortach Warty zakończył się trzeci turniej o nagrody Wojciecha Fibaka. Grało ponad 200 dziewcząt i chłopców z kilkudziesięciu klubów z całej Polski. Powyżej Marcin Simon i Maciej Hrycyszyn po zakończonej partii. Katowiczanin Hrycyszyn zademonstrował już sporo umiejętności. Może pójdzie śladem najpopularniejszego polskiego tenisisty? W każdym razie zdobył jego rakietę. Fot. R. Gostomski

Dziesięć lat później (II)

Najlepsze rakiety świata ocenia Wojciech Fibak

Dwa słowa przypomnienia. Z okazji wakacyjnej wizyty Wojciecha Fibaka w Poznaniu (czy ktoś zauważył, że tym razem poprzestał na odwiedzeniu starych kątów, rezygnując np. z kuszących propozycji stołecznych przyjaciół?) odbyliśmy kilka dłuższych rozmów. Z jednym wyjątkiem jednej — bilansującej, wszystkie odbyły się na kortach AZS i Olimpii. Bowiem ogromnie balamutna jest pewna relacja opisująca mistrza niemal wyłącznie w środowisku „poznańskich milionerów" i przy zakupie platerów Czartoryskich.

Wojciech Fibak jest rzeczywiście bogatym człowiekiem, autentycznie interesuje się polityką, gospodarką, malarstwem, ba, nawet życiem artystycznym, ale równocześnie rodzina i tenis pozostały nadal jego największymi namiętnościami. Ciągnie wilka do lasu i dlatego właśnie mistrz rakiety znalazł sporo czasu, by niemal codziennie — mimo kontuzji — trenować na ceglanych placach, obok betonowego wiaduktu z ustawicznie przelatującymi pociągami.

W jednym z nich podróżowała drużyna młodzików Legii. Następnego dnia mieli mecz z młodzieżą Olimpii.

Dalej cytuję dawnego rywala Wojtka, dziś trenera stołecznego klubu Bronka Lewandowskiego.

— Wyobraź sobie, pakujemy się do wyjścia, raptem gapiący się w okno chłopak wrzeszczy, że widział Fibaka na korcie. Mówię, uspokój się. To jest niemożliwe. On jest w Paryżu, albo jeszcze dalej, i w dodatku nie może grać, bo ma chore kolano. Po prostu nic nie wiedziałem o przyjeździe Fibaka. Co jednak najdziwniejsze. Jak ten chłopak mógł go poznać, z daleka, w jadącym pociągu, przez brudną szybę i w dodatku... znając Fibaka tylko z telewizji i paru zdjęć w gazetach?!

Zdumienie tłumaczy się w prosty sposób. Zainteresowanie osobą sławnego poznaniaka wcale nie zmalało. Ba, może jest nawet jeszcze większe niż w czasach, gdy potrafił zwyciężać Borga, Vilasa i McEnroe?...

Jest po prostu — i długo pozostanie — niedoścignionym wzorem tenisisty światowego formatu. Kto ma wątpliwości niech się wybierze na jakiekolwiek polskie korty, albo przeczyta ostatni (...zem", nr 605) wywiad ze ś...żo upieczonym olimpijczykiem Wojciechem Kowalskim.

Oto najbardziej istotny, ...często różne interpretowany, ...w ocenie bezpośrednio zainte...sowanego.

— Kiedy miałem 17 lat, sta...wałem w turnieju juniorów ...Wimbledonie i wtedy odbyli...rozmowę. Z ust Fibaka p...propozycja, żebym przyjechał ...USA i żebyśmy wspólnie pr...wali. Było to dla mnie ogro...zaskoczenie i bardzo chcia...wykorzystać wielką szansę. J...nak nie wyjechałem i do dziś ...wiem, dlaczego. Ktoś nie k...biletu, ktoś nie napisał poda...ktoś zapomniał. A ja długo ...rzyłem w słowa działaczy, ...wszystko, jest na dobrej dro...Ale wtedy byłem bardziej grz...nym chłopcem i tylko słuchał...Zresztą wówczas bardziej na...wałem się na ministranta, ...na mistrza rakiety...

Tak mówi 5-krotny mistrz P...ski w sierpniu 1988 roku.

A co na ten sam temat stwi...dził Fibak („PS" z 25 listop...1987).

— Wojtek wpadł mi w ...kiedy przygotowywaliśmy się ...Warszawie do meczu z Grekami. Grałem z nim w debla i to z ...wodzeniem, później kiedy przy...chałem do Anglii na wimbled...ski turniej juniorów (załatwił ...mu mieszkanie u znajomych) ...szedłem specjalnie zobaczyć ...sobie daje radę. Przegrał z An...kiem słabszym od niego. Uzn...łem jednak, że jest w nim ...więc zaproponowałem mu wy...sażenie w sprzęt (Voelkl) i pr...jazd do mnie do Ameryki. Ok...zało się, że pokierował sobą l...czej. Zresztą z tego co wiem

ziak

– Nie czujesz się w ogóle zobo-iązany wobec Fibaka?

– Nie w tym sensie, jaki sugeru-sz i nie sądzę, żeby Fibak miał zuć się zobowiązany wobec mnie a to, iż napisałem książkę, jaką nie-órzy czytelnicy już po przeczyta-u pierwszego odcinka w piśmie „Literatura" mają mi za złe. Odczu-am wdzięczność wobec Wojtka, a to, co zrobił dla polskiego tenisa, la nas wszystkich oraz, że wśród cznych młodych polskich tenisis-k i tenisistów, którym pomógł za ranicą, znalazła się również moja órka. Kilka lat temu, kiedy była w meryce, załundował jej pięć ty-odni na obozie tenisowym. Fibak omaga różnym ludziom, ale są-zić, że robi to z wyrachowania by-by obraźliwe. Dopatrywanie się e wszystkim wyrachowania, to na-za polska specjalność, wiem o tym ównie dobrze jak Wojtek. On robi le, ile chce – wymagać więcej by-by nie fair, podobnie jak nie fair st wymaganie, żeby ci którym po-mógł mieli mu się odwdzięczać.

– Miała to być książka o Fibaku, okazuje się o tenisie, businessie i alarstwie. Czy to jest fair?

– Kto mówi, że miała być książką Fibaku? Sądziłem, że nie należy graniczać się do samego Fibaka, cz pokazać „Świat Fibaka" i taki ył pierwotny tytuł tej książki. Sto-unki w Polskim Związku Tenisowym, tradycje AZS Poznań, przewodniczący sekcji tenisowej tego lubu prof. Jan Fibak, a następnie Walery Grzędzielski, aukcje obra-ów w domu aukcyjnym Sotheby's, o którego zabrali mnie państwo Fi-akowie, prezes agencji tenisowej ProServ Donald Dell, menadżer endla i Fibaka Jerry Solomonm, łaściciel galerii malarstwa polskie-o w Nowym Jorku Zbigniew Legut-o, słowem cała galeria typów i ka-alog spraw. Wojtek jest jak gdyby rzegostupem, który dźwiga na so-ie tę książkę. Trochę tak, jak w ży-iu – wokół człowieka takiego jak Wojtek obraca się wiele spraw, jest n uwikłany w najrozmaitsze zainte-esowania oraz interesy.

– Czy w trakcie pracy nad książ-ką byliście wobec siebie całkiem zczerzy?

– Całkiem, to chyba nie. Sądzę, e każdy ma swoje sekrety, którymi ie dzieli się z obcymi, a byłem Fi-akowi całkiem obcy gdy przystąpi-em do pisania. Fibak był wobec nnie bardzo uczynny, wychodził mi a przeciw w takim stopniu, w jakim uznał to za wskazane, ułatwił mi maksymalnie moją pracę, ale prag-ę podkreślić bardzo wyraźnie, iż est to książka wyłącznie moja, w ym sensie, iż to ja za nią odpowia-dam. Wojtek był mi pomocny, zre-sztą nie on jeden, pomogło mi wiele osób, którym jestem bardzo wdzięczny, ale niczego mi nie dyk-tował i w najmniejszym stopniu nie ponosi odpowiedzialności za to, co napisałem, podobnie jak modelka nie odpowiada za swój portret. Je-stem pewien, że nie podpisałby się pod tą książką.

– Czy nie żałujesz, że ją napisa-łeś?

– Skąd ci to przyszło do głowy? Przeciwnie, jestem bardzo zadowolony – nie z książki, bo chciałbym, żeby była lepsza, ale z faktu, że mogłem ją pisać, że dzięki tej pracy poznałem wielu ciekawych ludzi, na czele z Wojtkiem i poznałem troszkę egzotyczny dla mnie świat zawodowego tenisa, malarstwa polsko-żydowskiego szkoły paryskiej, które kolekcjonują Fibakowie, wreszcie oglądałem wielki tenis na kortach Roland Garros i Forest Hills w dwóch tak wspaniałych miastach jak Paryż i Nowy Jork. Jak najwięcej tej radości chciałem przekazać czytelnikom. Mam też nadzieję, że ludzie którzy przeczytają tę książkę polubią tenis, tak jak my dwaj albo i bardziej.

– Ale nie liczysz chyba na to, że książka będzie odebrana wyłącznie dobrze. Nie sądzisz chyba, że to arcydzieło.

– Oczywiście każda praca, zwłaszcza tak niedoskonała, zasługuje również na krytykę. Trzeba poddać się jej z pokorą. Od osób, które znają fragmenty, usłyszałem już obok pochwał, również cierpkie słowa. Książka o współczesnym, żywym człowieku jest również dla mnie nowym i trudnym doświadczeniem. Muszę, jeśli tak można powiedzieć, dorosnąć do roli autora, tak jak Fibak musi stanąć na wysokości zadania jako bohater. Oprócz krytyki poważnej jest także krytyka małostkowa. Tak np. już po pierwszym odcinku ktoś, kto nota bene całe życie spędził w tenisie, miał mi za złe pogląd, iż gdyby Fibak poświęcił się cały tenisowi, a nie także rodzinie, businessowi i kolekcjonerstwu, to na kortach zaszedłby wyżej. Zdaniem niektórych Wojtek zaszedł maksymalnie wysoko w klasyfikacji światowej – ale miałem także rozmówców, nie mniej fachowych, którzy byli zdania, że Wojtek nie wykorzystał wszystkich swoich możliwości. Nie zdajesz sobie sprawy, jacy małostkowi i zawistni potrafią być u nas ludzie. Kiedy prowadziłem rozmowę telewizyjną z Fibakiem i Danielem Olbrychskim, do telewizji nadeszły pełne agresji listy, że Wojtek miał zbyt wysoko założoną nogę na nogę, dziennikarz Władysław Gruda z Tarnowa miał za złe że Fibak ma „zadowoloną z życia twarz" i że „amerykańsko eksponował swoją rodzinę", że nie rozpoczynał swojej kariery od podawania piłek na korcie, że nie dzieli się swoimi obrazami z Polską i różne inne bzdury, zaś inni mieli za złe, że za mało pytań było skierowanych do Daniela Olbrychskiego, bądź, że podpierał on głowę na ręku i nie nosił krawata. A Daniel przyszedł wówczas do studia chory, z gorączką i prosił, aby bohaterem rozmowy był Wojtek, a nie on. Czasami nie zdajemy sobie sprawy, ile jest małości wokół nas i jak bardzo dotyczy ona kogoś, kto się z tego wyrwał i nie można się do niego przyczepić, bo wszystko zawdzięcza sobie. Ludzie wymagają od niego, żeby był aniołem. Anioły podobno są, ale – o ile wiem – nie grają w tenisa i nie piszą książek.



W piątek na kortach Warty zakończył się trzeci turniej o nagrody Wojciecha Fibaka. Grało ponad 200 dziewcząt i chłopców z kilkudziesięciu klubów z całej Polski. Powyżej Marcin Simon i Maciej Hrycyszyn po zakończonej partii. Katowiczanin Hrycyszyn zademonstrował już spore umiejętności. Może pójdzie śladem najpopularniejszego polskiego tenisisty? Na razie zdobył jego rakietę. Fot. R. Gostomski

Dziesięć lat później (II)

Najlepsze rakiety świata ocenia Wojciech Fibak

Dwa słowa przypomnienia. Z okazji wakacyjnej wizyty Wojtka Fibaka w Poznaniu (czy ktoś zauważył, że tym razem poprzestał na odwiedzeniu starych kątów, rezygnując np. z kuszących propozycji stołecznych przyjaciół?) odbyliśmy kilka dłuższych rozmów. Z wyjątkiem jednej — bilansującej, wszystkie odbyły się na kortach AZS i Olimpii. Bowiem ogromnie balamutna jest pewna relacja opisująca mistrza niemal wyłącznie w środowisku „poznańskich milionerów" i przy zakupie platerów Czartoryskich.

Wojciech Fibak jest rzeczywiście bogatym człowiekiem, autentycznie interesuje się polityką, gospodarką, malarstwem, ba, nawet życiem artystycznym, ale równocześnie rodzina i tenis pozostały nadal jego największymi namiętnościami. Ciągnie wilka do lasu i dlatego właśnie mistrz rakiety znalazł sporo czasu, by niemal codziennie — mimo kontuzji — trenować na ceglanych placach, obok betonowego wiaduktu z ustawicznie przelatującymi pociągami.

W jednym z nich podróżowała drużyna młodzików Legii. Następnego dnia mieli mecz z młodzieżą Olimpii.

Dalej cytuję dawnego rywala Wojtka, dziś trenera stołecznego klubu Bronka Lewandowskiego.

— Wyobraź sobie, pakujemy się do wyjścia, raptem gapiący się w okno chłopak wrzeszczy, że widział Fibaka na korcie. Mówię, uspokój się. To jest niemożliwe. On jest w Paryżu, albo jeszcze dalej, i w dodatku nie może grać, bo ma chore kolano. Po prostu nic nie wiedziałem o przyjeździe Fibaka. Co jednak najdziwniejsze. Jak ten chłopak mógł go poznać, z daleka, w jadącym pociągu, przez brudną szybę i w dodatku... znając Fibaka tylko z telewizji i paru zdjęć w gazetach?!

Zdumienie tłumaczy się w prosty sposób. Zainteresowanie osobą sławnego poznaniaka wcale nie zmalało. Ba, może jest nawet jeszcze większe niż w czasach, gdy potrafił zwyciężać Borga, Vilasa i McEnroa?...

Jest po prostu — i długo pozostanie — niedoścignionym wzorem tenisisty światowego formatu. Kto ma wątpliwości niech się wybierze na jakiekolwiek polskie korty, albo przeczyta ostatni („Razem", nr 605) wywiad ze świeżo upieczonym olimpijczykiem... Wojciechem Kowalskim.

Oto najbardziej istotny, gdyż często różne interpretowany, fakt w ocenie bezpośrednio zainteresowanego.

— Kiedy miałem 17 lat, startowałem w turnieju juniorów na Wimbledonie i wtedy odbyliśmy rozmowę. Z ust Fibaka padła propozycja, żebym przyjechał do USA i żebyśmy wspólnie pracowali. Było to dla mnie ogromne zaskoczenie i bardzo chciałem wykorzystać wielką szansę. Jednak nie wyjechałem i do dziś nie wiem, dlaczego. Ktoś nie kupił biletu, ktoś nie napisał podania, ktoś zapomniał. A ja długo wierzyłem w słowa działaczy, że wszystko, jest na dobrej drodze. Ale wtedy byłem bardziej grzecznym chłopcem i tylko słuchałem. Zresztą wówczas bardziej nadawałem się na ministranta, niż na mistrza rakiety...

Tak mówi 5-krotny mistrz Polski w sierpniu 1988 roku.

A co na ten sam temat stwierdził Fibak („PS" z 25 listopada 1987).

— Wojtek wpadł mi w oko, kiedy przygotowywaliśmy się w Warszawie do meczu z Grekami. Grałem z nim w debla i to z powodzeniem, później kiedy przyjechałem do Anglii na wimbledoński turniej juniorów (załatwiłem mu mieszkanie u znajomych) poszedłem specjalnie zobaczyć jak sobie daje radę. Przegrał z Anglikiem słabszym od niego. Uznałem jednak, że jest w nim coś, więc zaproponowałem mu wyposażenie w sprzęt (Voelkl) i przyjazd do mnie do Ameryki. Okazało się, że pokierował sobą inaczej. Zresztą z tego co wiem — nieźle, bo Snauweart stworzył mu zadowalające warunki rozwoju. Myślę, że nadal ma szansę, żeby się dostać do grupy dobrych graczy międzynarodowych.

Jak widać wszystko jest w porządku, skąd więc pojawiające się tu i tam złośliwości? Cóż ludzie są ułomni i kochają plotki. Nawet te z palca wyssane.

Wróćmy jednak do tematu. Fibak w swym pełnym różnych pasji życiu znajduje czas na prowadzenie sławnych graczy. Wcześniej prowadził samego siebie, później była dłuższa współpraca z obecnym mistrzem świata Ivanem Lendlem i teraz z Francuzem Henri Lecontem.

— Przejąłem Henriego — mówi Fibak z rąk Patricka Dimingueza. Doskonale się rozumiemy. To bardzo skomplikowana natura, ale wywalczenie finału w tegorocznych międzynarodowych mistrzostwach Francji na kortach Rolanda Garossa to jego życiowy sukces. Później przyszły gorsze wyniki, lecz na pewno nieraz jeszcze będzie o nim głośno i zobaczycie jego zdjęcia na pierwszych stronach gazet. Wiąże nas umowa, którą każda ze stron może wymówić, kiedy uzna, że współpraca nie przynosi spodziewanych wyników. Ja nie zamierzam za nikim nosić rakiet, jak kiedyś Tiriac za Vilasem. Moją rolą jest usunięcie braków, zarówno w przygotowaniu czysto technicznym, jak i psychicznym.

A propos. Znów chwyciłeś za pióro. Bardzo interesujące są twoje uwagi na temat czołówki światowych rakiet.

— To bardzo ciekawe, nawet momentami pasjonujące zajęcie. Analizując grę najlepszych dokonuję porównań z graczami, których widziałem na kortach całego świata. Przed 10 laty pokusiłem się („Tenis dla wszystkich") scharakteryzować wszystkie elementy i poszczególne uderzenia ówczesnej czołówki. Teraz wprowadzam pewne korekty. W lipcowym numerze paryskiego „Tennis'a" analizuję np. grę Andre Agassi. Chłopak ma 18 lat, wyjątkowo wszechstronny repertuar uderzeń, i już „potężnie" narozrabiał. Tacy właśnie jak on powinni być przykładem dla naszej młodzieży. Do nich należy przyszłość!

A kto na świecie najlepiej serwuje, uderza z bekhendu i smeczuje dowiemy się z następnego odcinka.

ST. GARCZARCZYK



Z kilkunastu godzin jakie Fibak spędził na kortach macierzystego AZS skorzystali także jego młodzi następcy. Były rozmowy i treningi, kto chciał mógł także posłuchać nowinek ze świata. Jednym z nich był Tomasz Schefke występujący w I-ligowym zespole AZS.
Fot. R. Gostomski

Arena, sierpień 88

Wojciech Fibak nadal rozdaje autografy



Wrzesień roku 1975. Poznaniak Wojciech Fibak rozpoczyna marsz na szczyty tenisowego Olimpu. Zanim został dwukrotnym mistrzem świata w deblu i odniósł sporo sukcesów w turniejach singla (wygrał ich 16), na kortach Olimpii dokonał sztuki niezwykłej. Powyższe ujęcie wykonano podczas meczu o Puchar Davisa z Norwegią. Fibak wygrał z Fosse 6:0, 6:0, 6:0. Jest to rekord nie do pobicia!

Fot. Tadeusz Kowalski

Jak ten czas leci... Już minęło ponad 8 miesięcy od ukazania się w wielkopolskich kioskach pierwszego numeru „Areny Sportowej". Właśnie w pierwszym numerze, który znalazł się w rękach czytelników kilka dni przed ostatnią Gwiazdką, zamieściliśmy obszerny materiał poświęcony najsłynniejszemu polskiemu tenisiście Wojciechowi Fibakowi.

Grudniowy pobyt poznaniaka w rodzinnym mieście został wykorzystany w sposób maksymalny. W hali stołecznej Mery trenował z czołowymi polskimi zawodnikami m.in. Sidorem i Iwańskim. Wspólnie z przyjaciółmi i wybitnymi fachowcami nagrał kilka szkoleniowych kaset video, które następnie (z jego komentarzem), były pokazywane szerokiej publiczności na ekranie telewizyjnym. Wyjeżdżając Fibak zapowiedział, że nie zamierza jeszcze wieszać rakiety na kołku.

— Będę grał tak długo — powiedział — jak pozwoli mi na to zdrowie i dokąd będę odczuwał przyjemność z przebywania na korcie. Moje najbliższe plany związane są z Paryżem. Córki Agnieszka i Paulina podjęły naukę języka francuskiego. Równocześnie postanowiłem podjąć opiekę nad utalentowanym Francuzem Henri Leconte. Chętnie się zgodziłem na taką propozycję chociażby dlatego, iż Henri swym sposobem gry w pewnym sensie kontynuuje to co ja robiłem na korcie.

Kolejny przyjazd miał miejsce w ostatnich dniach lipca była więc wyjątkowa okazja do rozmowy na wcześniej poruszone tematy oraz zastanowienie się nad przyszłością.

— No cóż — powiedział Fibak — musiałem na dłuższy czas zawiesić rakietę na korcie. Od wczesnej młodości bardzo lubiłem grać w piłkę nożną. Podczas jednego z towarzyskich spotkań odnowiła mi się zadawniona kontuzja prawego kolana. Przeszedłem dość skomplikowaną operację w paryskim Centrum Medycyny Sportowej. Było to w maju, noga jest wciąż spuchnięta. Tak więc z miesiąca na miesiąc obserwuję swe nazwisko na coraz dalszych miejscach w tabelach. W singlu jestem pod koniec tysiąca osób sklasyfikowanych na liście ATP. Nieco lepiej jest w deblu — tam jestem na około 60 pozycji.

• Pięćdziesiąta pozycja w świecie to szczyt marzeń wielu innych tenisistów i zapewne rezultat wygranego na początku roku turnieju „Grand Prix" w Rotterdamie. Czyżby więc pozostała rekreacja?

— Nie grałem od lutego i muszę się przyznać, że bardzo mi tego brakowało. Pierwsze próby podjąłem przed kilku dniami na kortach macierzystego AZS. Ale co to za gra, gdy praktycznie mogę poruszać się tylko na jednej nodze. Mam świadomość, że właśnie w sierpniu kończę 36 lat. Przy totalnej inwazji młodych, utalentowanych rakiet nie mogę sobie zbyt wiele obiecywać. Z drugiej jednak strony przyzwyczajenie to druga natura. Jeśli wykuruję to pechowe kolano nie wykluczam powrotu na kort, raczej jednak w charakterze deblisty.

• Właśnie w tych dniach nadeszła informacja, że Wojciech Kowalski uzyskał prawo gry w turnieju nowojorskim, a także wywalczył sobie w Austrii awans do turnieju olimpijskiego.

— Szczerze mu tego gratuluję. Będę w Nowym Jorku i chętnie zobaczę co teraz umie. Przy okazji raz jeszcze chciałbym wyjaśnić moje z nim kontakty. Kiedyś grywaliśmy razem debla — zresztą na mój wniosek. Przed dwoma laty, podczas turnieju wimbledońskiego rozmawiałem z Wojtkiem. Proponowałem mu opiekę. Wybrał Snauwearata i innego menażera. Miał do tego prawo.

• Ty, jak zapowiadałeś, opiekujesz się Leconte i pomagasz polskim tenisistom?

— Owszem, od wielu lat wspieram polskich tenisistów na całym świecie. Rodzice od 11 lat organizują turniej w Poznaniu, ja funduję nagrody, jakieś rakiety, koszulki, piłki. Jak miałem okazję ostatnio się przekonać polskie kluby tenisowe mają masę problemów ze sprzętem. Nie dziwię się. Wysokiej klasy sprzęt rośnie w cenie i wiąże się to nie tylko z ogromnym napływem nowych rzesz entuzjastów „białego sportu", ale także z coraz droższymi surowcami i technologią. Dla przykładu fabryki rakiet, z którymi współpracuję, to niemal laboratoria. Jeśli zaś chodzi o prowadzenie Leconte doskonale się rozumiemy. To bardzo skomplikowana natura, ale wywalczenie finału w tegorocznych międzynarodowych mistrzostwach Francji na kortach Rolanda Garossa to jego życiowy sukces. Później przyszły gorsze wyniki, lecz na pewno nieraz jeszcze będzie o nim głośno na pierwszych stronach gazet. Razem rozdajemy autografy.

• A propos. Znów chwyciłeś za pióro. Bardzo interesujące są twoje uwagi na temat czołówki światowych rakiet.

— To bardzo ciekawe zajęcie. W ostatnim numerze paryskiego „Tennis'a" analizuję grę Andre AGASSI. Chłopak ma 18 lat i już „potężnie narozrabiał". Do takich należy przyszłość.

• Co sądzisz o książce D. Passenta, której pierwsze odcinki ukazały się na łamach „Literatury" i „Polityki". Zaopatrzono je nadtytułem, „Wszystko o Fibaku"?

— Za wcześnie, przed ukazaniem się całości, na wyrażanie mej opinii. Tu, w Polsce, kilka już osób zwracało mi uwagę, że Passent prawie nic nie pisze o tenisie. To prawda, że posiadam wiele innych zainteresowań, mam wielu znajomych, różne hobby i interesy, wiele czasu poświęcam rodzinie, lecz przecież największą moją pasją był i pozostał tenis. To się nigdy nie zmieni.

• Mówi się w środowisku, że masz pewne plany, nazwijmy je sportowo-inwestycyjne, związane z Poznaniem?

— Chciałbym coś po sobie pozostawić...

• Po latach przerwy tenis wraca na arenę olimpijską. Kto ma szanse na złote medale?

— Nie znam i chyba nikt jeszcze nie wie jaka jest pełna lista zgłoszeń. Może wygra Kowalski? Na świecie obowiązuje teraz agresywny, ale i bardzo wszechstronny tenis. Podczas tegorocznego Wimbledonu obserwowałem wspaniałą postawę pacy deblowej ZSRR Natalia Zwiereiewa, Larysa Sawczenko. Sprawiły one największą sensację eliminując w 1/8 finału rozstawione z nr 1 Martinę Navratilową i Pam Shriver. Dotarły do finału przegrywając minimalnie z Graf i Sabatini. Podopieczne Olgi Morozowej mają realne szanse zdobycia złotego medalu.

• A kto w grudniu wygra finał Pucharu Davisa?

— W Goeteborgu co najmniej 70 proc. szans mają gospodarze. Becker na wolnych, ziemnych kortach traci połowę swojej wartości.

St. GARCZARCZYK



W. Fibak i trzy damy jego serca — żona Ewa oraz córeczki Agnieszka i Pusia spędzają wakacje w Poznaniu w domu rodzinnym sławnego tenisisty. Na zdjęciu — spacer w ogrodzie.

Fot. — CAF

Idą młodzi

Marzeni

Młodzieżowy maraton t „Grand Prix" W. Fibaka, ny DRACZ z Górnika W donu. Obydwoje urodzili s

Przewaga Anki i Macie była wyraźna. Dracz wy wyczynem pochwalić się n

Rozmawiałem z tym o tuż po zakończeniu turnie odebrał okazały puchar i niałą rakietę. Spytałem ja nia swój występ w Pozn

— Nie jestem tu pierwsz ale po raz pierwszy zd główną nagrodę. Dotychcz największe swe osiągnięc ważałem wygranie turnie Jadwigi Jędrzejowskiej. czny sukces wydaje się ważniejszy, gdyż konkuren ła znacznie silniejsza. W datku było bardzo przy gdyż zawody miały dobrą nizację i dopisała wspani neczna pogoda.

Wśród kibiców, którzy li się kolejno na kortach pii, AZS i Warty większo nowili rodzice. Niektórzy o sławnych nazwiskach były mistrz Polski i trener kadry narodowej Meres, lub też ludzie znaj na tenisie tylko ze sł Wszyścy marzą o tym, by ciechy potrafiły w prz grać przynajmniej na p ligowym. Jak twierdzi pan nisława Jaśkowiak z ro jest właśnie najwięcej kło Ktoś bardziej radykalny w nawet postulat, by nie mi prawa interweniować u s



NAJSŁYNNIEJSZY pol *zista Wojciech Fibak Ewą oraz córkami Agni Pusią spędzają wakacje dzinnym domu w Pozna zdjęciu: cała rodzina ze sprzed 11 lat, kiedy A była jeszcze niemowlę Pusi nie było na świec*

CAF — S

sierpień 88



aniak Wojciech Fibak rozpoczyna mecz
pu. Zanim został dwukrotnym mistrzem
poro sukcesów w turniejach singla (wy-
impii dokonał sztuki niezwykłej. Powyż-
as meczu o Puchar Davisa z Norwegią
6:0, 6:0. Jest to rekord nie do pobicia!

Fot. Tadeusz Kowalski

Wojciech Fibak nadal rozdaje autografy

Idę nie mogę sobie zbyt wiele obiecywać. Z drugiej jednak strony przyzwyczajenie to druga natura. Jeśli wykuruję to pechowe kolano nie wykluczam powrotu na kort, raczej jednak w charakterze deblisty.

• Właśnie w tych dniach nadeszła informacja, że Wojciech Kowalski uzyskał prawo gry w turnieju nowojorskim, a także wywalczył sobie w Austrii awans do turnieju olimpijskiego.

— Szczerze mu tego gratuluje. Będę w Nowym Jorku i chętnie zobaczę co teraz umie. Przy okazji raz jeszcze chciałbym wyjaśnić moje z nim kontakty. Kiedyś grywaliśmy razem debla — zresztą na mój wniosek. Przed dwoma laty, podczas turnieju wimbledońskiego rozmawiałem z Wojtkiem. Proponowałem mu opiekę. Wybrał Snauwearata i innego menażera. Miał do tego prawo.

• Ty, jak zapowiadałeś, opiekujesz się Leconte i pomagasz polskim tenisistom?

— Owszem, od wielu lat wspieram polskich tenisistów na całym świecie. Rodzice od 11 lat organizują turniej w Poznaniu, ja funduję nagrody, jakieś rakiety, koszulki, piłki. Jak miałem okazję ostatnio się przekonać polskie kluby tenisowe mają masę problemów ze sprzętem. Nie dziwię się. Wysokiej klasy sprzęt rośnie w cenie i wiąże się to nie tylko z ogromnym napływem nowych rzesz entuzjastów „białego sportu", ale także z coraz droższymi surowcami i technologią. Dla przykładu fabryki rakiet, z którymi współpracuję, to niemal laboratoria. Jeśli zaś chodzi o prowadzenie Leconte doskonale się rozumiemy. To bardzo skomplikowana natura, ale wywalczenie finału w tegorocznych międzynarodowych mistrzostwach Francji na kortach Rolanda Garossa to jego życiowy sukces. Później przyszły gorsze wyniki, lecz na pewno nieraz jeszcze będzie o nim głośno na pierwszych stronach gazet. Razem rozdajemy autografy.

• A propos. Znów chwyciłeś za pióro. Bardzo interesujące są twoje uwagi na temat czołówki światowych rakiet.

— To bardzo ciekawe zajęcie. W ostatnim numerze paryskiego „Tennis'a" analizuję grę Andre AGASSI. Chłopak ma 18 lat i już „potężnie narozrabiał". Do takich należy przyszłość.

• Co sądzisz o książce D. Passenta, której pierwsze odcinki ukazały się na łamach „Literatury" i „Polityki". Zaopatrzono je nadtytułem, „Wszystko o Fibaku"?

— Za wcześnie, przed ukazaniem się całości, na wyrażanie mej opinii. Tu, w Polsce, kilka już osób zwracało mi uwagę, że Passent prawie nic nie pisze o tenisie. To prawda, że posiadam wiele innych zainteresowań, mam wielu znajomych, różne hobby i interesy, wiele czasu poświęcam rodzinie, lecz przecież największą moją pasją był i pozostał tenis. To się nigdy nie zmieni.

• Mówi się w środowisku, że masz pewne plany, nazwijmy je sportowo-inwestycyjne, związane z Poznaniem?

— Chciałbym coś po sobie pozostawić...

• Po latach przerwy tenis wraca na arenę olimpijską. Kto ma szanse na złote medale?

— Nie znam i chyba nikt jeszcze nie wie jaka jest pełna lista zgłoszeń. Może wygra Kowalski? Na świecie obowiązuje teraz agresywny, ale i bardzo wszechstronny tenis. Podczas tegorocznego Wimbledonu obserwowałem wspaniałą postawę pary deblowej ZSRR Natalia Zwiereiwa, Larysa Sawczenko. Sprawiły one największą sensację eliminując w 1/8 finału rozstawione z nr 1 Martinę Navratilową i Pam Shriver. Dotarły do finału przegrywając minimalnie z Graf i Sabatini. Podopieczne Olgi Morozowej mają realne szanse zdobycia złotego medalu.

• A kto w grudniu wygra finał Pucharu Davisa?

— W Goeteborgu co najmniej 70 proc. szans mają gospodarze. Becker na wolnych, ziemnych kortach traci połowę swojej wartości.

St. GARCZARCZYK

Kolejny przyjazd miał miejsce w ostatnich dniach lipca była więc wyjątkowa okazja do rozmowy na wcześniej poruszone tematy oraz zastanowienie się nad przyszłością.

— No cóż — powiedział Fibak — musiałem na dłuższy czas zawiesić rakietę na kołcie. Od wczesnej młodości bardzo lubiłem grać w piłkę nożną. Podczas jednego z towarzyskich spotkań odnowiła mi się zadawniona kontuzja prawego kolana. Przeszedłem dość skomplikowaną operację w paryskim Centrum Medycyny Sportowej. Było to w maju, noga jest wciąż spuchnięta. Tak więc z miesiąca na miesiąc obserwuję swe nazwisko na coraz dalszych miejscach w tabelach. W singlu jestem pod koniec tysiąca osób sklasyfikowanych na liście ATP. Nieco lepiej jest w deblu — tam jestem na około 60 pozycji.

• Pięćdziesiąta pozycja w świecie to szczyt marzeń wielu innych tenisistów i zapewne rozuiłał wygranego na początku roku turnieju „Grand Prix" w Rotterdamie. Czyżby więc pozostała rekreacja?

— Nie grałem od lutego i muszę się przyznać, że bardzo mi tego brakowało. Pierwsze próby podjąłem przed kilku dniami na kortach macierzystego AZS. Ale co to za gra, gdy praktycznie mogę poruszać się tylko na jednej nodze. Mam świadomość, że właśnie w sierpniu kończę 36 lat. Przy totalnej inwazji młodych, utalentowanych ra-



W. Fibak i trzy damy jego serca — żona Ewa oraz córeczki Agnieszka i Pusia spędzają wakacje w Poznaniu w domu rodzinnym sławnego tenisisty. Na zdjęciu — spacer w ogrodzie.

Fot. — CAF

Idą młodzi

Marzenie 15-latka

Młodzieżowy maraton tenisowy, czyli 11 dni trwające rozgrywki „Grand Prix" W. Fibaka, zakończyły się pewnymi zwycięstwami Anny DRACZ z Górnika Wieliczka i Macieja HRYCZYSZYNA z Baildonu. Obydwoje urodzili się w roku 1973.

Przewaga Anki i Macieja nad ponad 200 rywalkami i rywalami była wyraźna. Dracz wygrała dwa z trzech turniejów, podobnym wyczynem pochwalić się może Hryczyszyn.

Rozmawiałem z tym ostatnim tuż po zakończeniu turnieju, gdy odebrał okazały puchar i wspaniałą rakietę. Spytałem jak ocenia swój występ w Poznaniu.

— Nie jestem tu pierwszy raz, ale po raz pierwszy zdobyłem główną nagrodę. Dotychczas za największe swe osiągnięcie uważałem wygranie turnieju im. Jadwigi Jędrzejowskiej. Tegoroczny sukces wydaje się jednak ważniejszy, gdyż konkurencja była znacznie silniejsza. W dodatku było bardzo przyjemnie, gdyż zawody miały dobrą organizację i dopisała wspaniała, słoneczna pogoda.

Wśród kibiców, którzy zbierali się kolejno na kortach Olimpii, AZS i Warty większość stanowili rodzice. Niektórzy z nich o sławnych nazwiskach jak np. były mistrz Polski i później trener kadry narodowej Witold Meres, lub też ludzie znający się na tenisie tylko ze słyszenia. Wszyscy marzą o tym, by ich pociechy potrafiły w przyszłości grać przynajmniej na poziomie ligowym. Jak twierdzi pani Bronisława Jaśkowiak z rodzicami jest właśnie najwięcej kłopotów. Ktoś bardziej radykalny wysunął nawet postulat, by nie mieli oni prawa interweniować u sędziów, czy w komitecie organizacyjnym.

Bardzo wysoką lokatę w XI „GP" Fibaka zajął Adam Górecki. On również zbliżył się do górnego pułapu limitu wiekowego. Dzisiejszy 15-latek zaczął grać w tenisa za namową dyr. Jacka Durskiego w roku 1982. Jest reprezentantem LZS Pobiedzisko, gdzie biały sport zyskał sobie pełne prawa obywatelskie. Adaś zajął w turnieju trzecią lokatę wyprzedzony jedynie przez M. Hryczyszyna i P. Meresa. Uważa to za swe życiowe osiągnięcie, gdyż w czterech dotychczasowych startach tylko dwukrotnie udało mu się przebić z eliminacji do turnieju głównego. Jego marzeniem jest zagrać bodaj raz w życiu z Wojciechem Fibakiem. Na razie chlubi się jego autografem, który uzyskał przed kilkoma laty podczas turnieju „skrzatów".

Adaś Górecki wyróżnia się jeszcze jedną cechą. Jest niezwykle opanowany, ba, nawet grzeczny podczas każdej partii. Nie rzuca, jak inni, rakietą nie kwestionuje orzeczeń sędziów. Słusznie więc obok nagrody za wysoką lokatę został wyróżniony nagrodą „Fair Play". Na pewno o nim jeszcze nieraz usłyszymy!

STAGAR



2. VIII. 88

NAJSŁYNNIEJSZY polski tenisista Wojciech Fibak z żoną Ewą oraz córkami Agnieszką i Pusią spędzają wakacje w rodzinnym domu w Poznaniu. Na zdjęciu: cała rodzina ze zdjęciem sprzed 11 lat, kiedy Agnieszka była jeszcze niemowlęciem, a Pusi nie było na świecie.

CAF — Staszyszyn

ROLAND GARROS

LE MOT DU JOUR

Jonas B. Svensson

A la question : Comment expliquez-vous votre différence de rendement entre le match contre Lendl et ce quart de finale, il se contenta de répondre : « Leconte... »

LA PERF DU JOUR

André Agassi

Même s'il ne s'est pas qualifié pour la finale Agassi a poussé Wilander dans une âpre lutte en cinq sets, dont le Suédois ne sortit vainqueur qu'après 3 h 50 minutes.

LE CHIFFRE DU JOUR

5

Le nombre de Français a s'être qualifiés pour la finale de Roland-Garros depuis la guerre. Rappelons qu'il y eut : Marcel Bernard (1946), Pierre Darmon (1963), Patrick Proisy (1972), Yannick Noah (1983)... et aujourd'hui Leconte.

L'autre combat d'Henri



Et encore une balle que Svensson ne pourra pas aller chercher !

Avec cette place en finale, Henri Leconte trouvera-t-il enfin un support populaire à la mesure de son talent ?

L'AN passé à même époque, le Coq Sportif avait sorti un badge à l'effigie de Yannick Noah, qui fit fureur, avant qu'une foule de « pins » — puisque c'est ainsi qu'on nomme désormais ces minuscules objets de culte — ne vienne transformer la plus charmante des poitrines de spectatrice en avant-scène de maréchal soviétique.

Henri Leconte aura beau gagner Roland-Garros à son tour, il n'y a pratiquement aucune chance que Lacoste sorte un badge à son effigie. Que voulez-vous ? c'est comme ça, le propre du génie c'est d'être méconnu, et il a fallu presque dix ans à John McEnroe pour se faire enfin applaudir de bon cœur. Sur la ligne Vincennes-Neuilly qui l'a mené de l'endroit où il a grandi à l'ombre de ses parents à celui où il s'épanouit aujourd'hui dans le sillage de Brigitte, son épouse, quand il ne réside pas en Suisse, le trajet d'Henri Leconte s'est arrêté à Hôtel-de-Ville plutôt qu'à Nation.

Et si aujourd'hui l'un de ses plus chauds supporters se nomme Lagardère, c'est plutôt au mousquetaire Agassi que les teen-agers aujourd'hui s'identifient.

« *Vive la France, et ses joueurs d'accordéon* », les mômes qui rêvent aujourd'hui du short de Dédé de Las Vegas, ça les chèbran pas des masses.

Dommage vraiment que la manifestation la plus nette de sympathie à l'adresse d'Henri Leconte ait été quelques sifflets à l'imitation de l'œil à juger les services qui poussaient Jonas B. Svenson à commettre une double faute à 4-3 au troisième alors que le Français avait déjà gâché deux balles de break. Oui, dommage ! parce que le talent de Leconte méritait mieux, même si un public trop usé aux longues joutes de la terre battue est toujours aussi peu indulgent à chacune de ses incartades.

Dommage encore, parce que si le match contre Chesnokov tint plus de l'équarissage que d'un quart de finale, celui d'hier fut d'une toute autre tenue. De ce Svensson qu'il n'avait joué qu'une fois dans une vague exhibition, Leconte se méfiait comme de la peste. Il avait sans doute raison, même si cela donna lieu à un premier set extrêmement crispé : « *Nous savions que nous avions chacun une chance d'arriver en finale, et Svensson était aussi noué que moi. Et puis, dans le tie-break, j'ai enfin retrouvé mon service et je suis monté plus souvent. Dans ce cas-là, c'est celui qui prend le plus de risques qui fait pencher la balance de son côté.* »

« L'offensivité »

Et Henri Leconte soucieux de ne pas s'embarquer dans une aventure en quatre ou cinq sets eut encore le mérite de serrer le jeu, d'imposer sa conception des choses, son idée du beau jeu. Lui dont la pince à sucre était rouillée, dont le service n'était plus compris et le coup droit de travers retrouva d'un coup tous ses coups sans pour autant céder à une euphorie coupable. Il passa donc l'overdrive, ce qui, contrairement à ce que pourrait croire quelque vieux connaisseur anglophile, ne veut pas dire balancer son coup droit par- dessus les tribunes. Et dut attendre le dernier jeu du match pour sentir enfin le public pencher définitivement de son côté.

Dommage, encore une fois, parce que le parcours d'Henri Leconte dans un tournoi du Grand Chelem, et à plus forte raison sur terre battue, c'est celui d'un fil-de-feriste atteint de rhume des foins. Tenez, s'il n'avait pas fait une grosse colère après sa défaite contre Becker le 19 février à Milan, si il n'avait pas balancé un énorme marron à un panneau mobile, immobilisé dit-on par la main du destin, il n'en serait sans doute pas là aujourd'hui. « *C'est vrai que ce coup de poing m'a fait beaucoup réfléchir. Je suis revenu sur le circuit avec une tête différente, vide.* »

Cette économie d'effort, cette concentration complète sur la saison de terre battue, ainsi qu'une préparation collective poussée à l'occasion du match de Coupe Davis disputé à Clermont-Ferrand furent autant de circonstances favorables préalables au tournoi : « *C'est vrai que depuis ce coup de poing, je n'ai pratiquement plus perdu.* » C'est faux, mais ça n'est pas grave. Car cette faculté d'oublier des défaites aussi marquantes que celle subie face à Noah à Monte-Carlo, c'est aussi la force d'Henri Leconte.

Une force qu'il est aujourd'hui, et c'est sans doute la grande nouveauté 1988, capable d'appliquer à chacun des points de ses matches, à chacun de ses jeux : « *Autrefois, quand je ratais un point, j'avais tendance à y repenser, à me reculer et à jouer étriqué. Aujourd'hui je me connais mieux. Dans le passé, j'ai essayé de rester au fond. C'est peut-être moins fatiguant mentalement, mais c'est un jeu qui m'embête. « L'offensivité », c'est un état d'esprit. Grâce à Vojtek Fibak, j'en ai pris conscience.* »

Vojtek Fibak, le coach arthritique, le diable boiteux, le Talleyrand de l'Open. Un sacré malin, plus conseiller qu'entraîneur, qui a réussi jusque-là à maintenir l'alchimie bizarre entre spontanéité et maîtrise, entre tempérament et raison. Jusqu'où ?

Réponse dimanche à 15 h 15, comme Marignan. Après que Michel Sardou eut exécuté *la Marseillaise* « a Cappella ». Rendez-vous avec l'histoire. Cinq ans plus tard même heure, même court, même adversaire. « 50 millions de Noah » titrait alors *L'Équipe*. « 50 millions de Leconte » ?

« *Je ne sais pas. Tout ce que je sais, c'est que le public commence à cerner mon jeu, qu'il m'apprécie plus depuis mon retour face à Becker. Yannick a gagné ici. Et le public lui en est reconnaissant. A moi de renverser la vapeur.* »

En battant Wilander. Rude projet. Mais serait-ce suffisant ? Pas sûr.

Pierre-Michel BONNOT

Fibak : « Wilander aura la pression »

« Quelles sont les chances d'Henri Leconte en finale ?

— D'abord, je veux dire que le favori de la finale sera Wilander. Même si je souhaite qu'Henri ait de plus en plus confiance en lui, c'est Wilander qui aura la pression parce qu'il a déjà gagné ici et que c'est lui qui deviendra premier mondial s'il gagne.

— Vous trouvez Wilander si impressionnant ?

— D'une certaine manière, car on peut dire qu'il n'a jamais bien joué au cours de ce tournoi et pourtant le voilà en finale. Cela donne une idée de la qualité de son jeu sur terre battue. Il est capable de se sortir de toutes les situations.

— Que pensez-vous du jeu de Leconte au cours du tournoi ?

— C'est amusant. Henri s'est mis à dire récemment qu'il joue un peu comme McEnroe. C'est assez vrai, mais ça ne date pas d'hier. A Bercy contre Cash déjà où à Wembley contre Lendl on aurait pu dire la même chose. D'ailleurs, il ne joue pas tout à fait comme McEnroe. Mac frappe par exemple son coup droit toujours à plat. Henri,lui,le varie énormément. Il est capable de le lifter, de le taper à plat, de changer sans arrêt. C'est d'ailleurs pour cette raison qu'il fait parfois des fautes grossières.

— Finalement, vous êtes plutôt content de lui...

— Bien sûr. Ce qui m'a surtout plu, bien plus que sa victoire contre Becker, c'est la façon dont il a enchaîné six sets gagnants contre Chesnokov et Svensson. Pour moi, dans ce tournoi, il est devenu un homme. »

25-milionowy meczbol Ivana Lendla

Przed niedawnym czasem mogliśmy przeczytać obszerny fragment przygotowanej do druku książki Daniela Passenta o Wojciechu Fibaku. Rozdział zamieszczony na całej kolumnie „Polityki" traktował właściwie o jednej tylko sprawie: związkach jakie łączyły naszego najlepszego tenisistę z aktualnym najlepszym tenisistą świata Ivanem Lendlem. Kibicom tenisa znane były ich początkowo partnerskie układy, menedżerska działalność Fibaka, prywatna zażyłość ich łącząca. Potem dotarły plotki o konfliktach jakie zaczęły ich dzielić. Sam Fibak był bardzo oszczędny w słowach na ten temat, a publikacja Daniela Passenta zdawała się sprawę potwierdzać.

Alilci w jednym z ostatnich numerów hamburskiego tygodnika „Der Spiegel" sprawę naświetlono z nieco innego punktu widzenia i jakby odmiennie od łagodnej wersji Passenta. Jeżeli bowiem wierzyć autorowi zachodnioniemieckiego czasopisma, Wojciech Fibak miałby być jednym z współoskarżonych przed amerykańskim sądem „wyzyskiwaczy" Lendla!

— Trzy kłopoty ma obecnie Ivan Lendl — rozpoczyna swój artykuł „Der Spiegel" — przeciągająca się sprawa jego amerykańskiego obywatelstwa, katar sienny oraz dwa procesy jakie rozpatrują amerykańskie sądy. W jednym z nich Lendl występuje jako oskarżony, przy czym pretensje skarżącego wynoszą siedem milionów dolarów, w drugim zaś, jako oskarżyciel. Tutaj stawka wynosi dwadzieścia pięć milionów dolarów!

I w jednym i w drugim wypadku idzie o firmę ProServ Inc., w której „stajni" Lendl przez siedem lat występował, biorąc udział w organizowanych przez nich lub za ich pośrednictwem turniejach, udzielając grach pokazowych od Osaki i Melbourne do Nowego Jorku. 15 grudnia u.br. Lendl ostatecznie zerwał z ProServ, usamodzielniając się i wchodząc w bliską konkurencję z konkurentem ProServu — firmą Mark McCormack — International Management Group.

ProServ zarzucił Lendlowi „zerwanie kontraktu bez wyraźnych powodów". Następnie adwokaci obu stron podjęli próbę polubownego załatwienia sporu. Nic z tego nie wyszło, a że atak jest najlepszą obroną — ludzie Lendla zarzucili jego byłym menedżerom, że „oszukali, podeszli Lendla" a w ostatecznym rachunku „interesy Lendla poświęcili dla pomnażania własnych zysków" czym naruszyli cały rząd przepisów prawa. Jak twierdzi „Der Spiegel" argumenty jakie przy tej okazji padły wyglądają na przekonywające.

A zaczęło się wszystko w roku 1980 gdy Lendl wyjądował w Stanach i podjął próbę wpasowania się w tamtejszy tenisowy byznes. Opiekunem i przewodnikiem był, również klient ProServu, Wojciech Fibak. „Der Spiegel" potwierdza, że Fibak zakwaterował Lendla u siebie, trenował go, przywołł mu amerykańskie obyczaje i przepisy podatkowe, wreszcie wciągnął do „stajni" ProServu. Za to otrzymać miał wynagrodzenie w ustalonej wysokości.

Aby je uzyskać ProServ wynajmował starego klienta Fibaka i nowego — Lendla na turnieje i „pokazówki". Nie informując o tym Lendla ProServ umniejszał część mu przynależną — tak przynajmniej twierdzą jego adwokaci — i przekazywał pieniądze Fibakowi. Proceder ten, jak twierdzą oskarżyciele, trwał nawet wtedy gdy Lendli stał się już supergwiazdą światowego tenisa.

Artykuł wylicza następnie sumy jakimi operowano przy owych sportowych transakcjach. Wynika z tego, że ProServ „urywał" Lendlowi po kilkadziesiąt tysięcy dolarów z każdego kontraktu. Co z tego wyniknie nie wiadomo, w każdym razie Lendl, pomimo że zarabia rocznie — szacunkowo — około ośmiu milionów dolarów, nie zamierza popuścić. Takte — dawnemu przyjacielowi Wojciechowi Fibakowi.

BEZ

Gazeta Poznańska, lipiec 88

DANIEL PASSENT **(2)**

TO JEST MOJA GRA

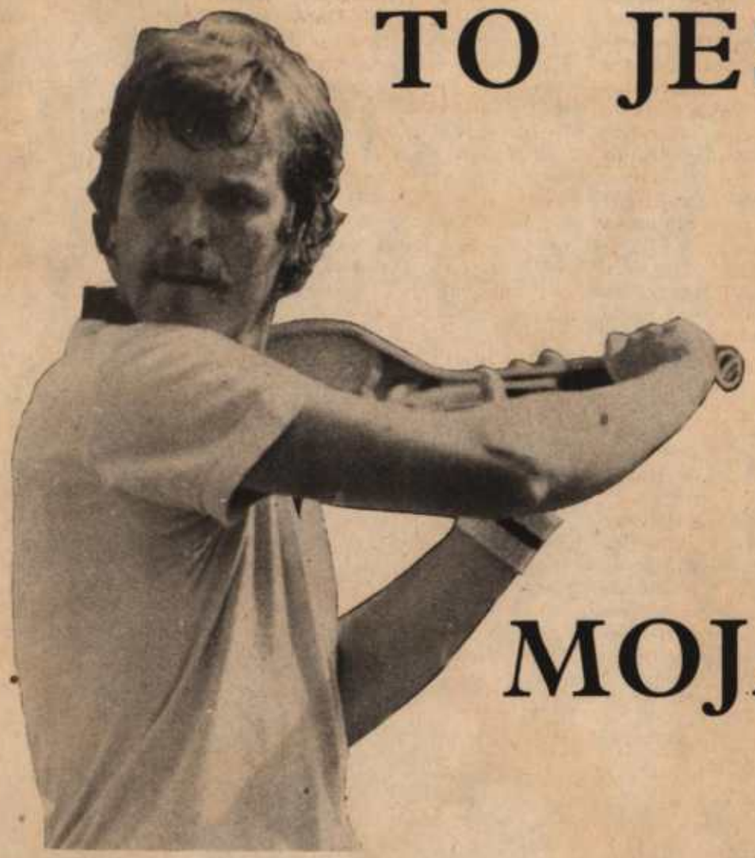

KOLACJA U MAXIMA

Kiedy 1 czerwca 1987 Fibak wygrał, acz niełatwo, ów pamiętny zakład z Tadeuszem Bugajem, udaliśmy się na kolację do Maxima. Przed słynną restauracją czekał już na nas fundator wieczerzy, zdenerwowany z powodu naszego spóźnienia. Nie bardzo przyjmował usprawiedliwienia. — W Ameryce po pół godziny już nikt nie czeka — mówił. — Ale jesteśmy w Paryżu i spóźniliśmy się tylko o 17 minut — tłumaczył się Fibak. Atmosfera była lekko napięta, bądź co bądź Bugaj przegrał na korcie kolację dla dużego towarzystwa — ośmiu osób — w jednej z droższych restauracji Paryża. Dla wielu z nas była to pierwsza i zapewne jedyna wizyta w tym lokalu, przeznaczonym raczej dla zamożnych turystów z Ameryki, Japonii czy RFN niż dla Polaków.

Doceniając powagę chwili zasiedliśmy dookoła stołu: Ewa i Wojtek Fibakowie, jako goście honorowi, Tadeusz Bugaj jako gospodarz, Grażyna Hase, Marek Ruth, Żenia Priwieziencow, Andrzej Roman, Janusz Dorosiewicz i ja — jako świadkowie zakładu i dodatkowe gęby do wykarmienia. Siedliśmy w takim punkcie sali, iż niewiele było widać, poza tym, że gości tego wieczoru było mało (może dlatego, że był to poniedziałek), a kelnerów dużo, z innego końca restauracji dochodziła muzyka typowa dla lokali tego typu — mieszanina przebojów sprzed lat dwudziestu i starych melodii cygańskich, w sam raz dla gości, dla których dobra stara muzyka byłaby za trudna, a najnowsze przeboje brzmiałyby zbyt nowocześnie. Goście byli nieliczni i bez wyrazu, a o tym, że znajdujemy się w restauracji wyjątkowej, można było zorientować się po licznej i dobrej obsłudze, eleganckiej karcie dań drukowanej każdego dnia z nową datą, dobrej — ale jak na Paryż wcale nie niezwykłej — kuchni i wreszcie po rachunku — słonym nawet jak na stolicę Francji.

Początek kolacji był elegancki i kurtuazyjny, jak przystało na miejsce i okazję. Fibak i pozostali goście chwalili grę gospodarza wieczoru, jego dzielną postawę na korcie i — mamy nadzieję — przy płaceniu rachunku. Niestety, podszedł kelner, by zaoferować aperitify. Ludzie na stałe mieszkający na Zachodzie, wiedzą od czego lubią zaczynać posiłek, ostatnio w modzie jest cocktail z szampana i soku owocowego, np. brzoskwiniowego, zwany Mimoza. Bertrand Djian, przyjaciel Fibaka, ma nawet gotowe butelki tego napoju z nalepką, na której wydrukowano jego nazwisko. My, prości ludzie ze Wschodu, nie mamy ani takich upodobań, ani butelek ze swoim nazwiskiem, nawet pustych. Z butelką taką trudno byłoby się rozstać i prędzej człowiek przerobiłby ją na lampę niż wyrzucił, a do skupu nie przyjmują. W Polsce butelka przyjmowana z powrotem do sklepu za kaucją, jest egzaminowana, czy aby czysta, nieobtłuczona, bez resztek nakrętki, dokładniej niż gdy jako nowa i pełna sprzedawana jest w sklepie — tam nikt nie odważy się grymasić, że przybrudzona, naklejka krzywo nalepiona, a w środku pływają paprochy — najważniejsze, że jest piwo, a że „Królewskie" jest tylko z nazwy — kogo to dziś obchodzi? Nic więc dziwnego, że trochę skrępowany (miałem wyrzuty, iż gdyby nie przegrana z Fibakiem, Bugaj nie miał żadnego powodu stawiać mi kolacji) podziękowałem za aperitif. Przez pięćdziesiąt lat nie nabrałem tego zwyczaju, po cóż więc zmuszać się teraz i bić po kieszeni niewinnego człowieka, który przegrał już rano na korcie? Sama idea, że ten kto przegra — stawia, nie jest dla mnie do końca przekonująca. Z jednej strony można powiedzieć, iż sam tego chciałeś, Grzegorzu Dyndało, jeśli ktoś chce się mierzyć z jednym z bardziej znanych tenisistów na świecie, to pycha jego musi być ukarana, zwłaszcza że warunki zakładu były bardzo dla Bugaja pomyślne. Z drugiej jednak strony, Bugaj jest o kilkanaście lat od Fibaka starszy, acz zachowuje się nie zawsze poważnie, trochę infantylnie, nadto skoro już przegrał na korcie — dlaczego ma jeszcze płacić za aperitif dla mnie i innych?

Życie toczy się jednak wedle ustalonych reguł. Moja wspaniała sąsiadka zamówiła po prostu kieliszek wina. Ewa Fibakowa ma specjalny stosunek do wina — nie tyle pije, co kolekcjonuje, w podziemiach domu w Greenwich posiada specjalną piwniczkę, oczywiście, a jakże, z regulowaną temperaturą, gdzie kolekcjonuje ciekawsze roczniki czerwonych win francuskich i posiada w tej dziedzinie stosowną wiedzę kolekcjonera. Mój vis a vis, Marek Ruth poprosił o szampana z sokiem, co natychmiast podchwycił Janusz Dorosiewicz i zawołał — „tak, szampan dla wszystkich", gdyż lubi być duszą towarzystwa. Fibak na ogół płaci za takie gesty. Jednak ten rozmach Janusza zaniepokoił Tadeusza Bugaja, który zareagował mówiąc, iż we Francji jest demokracja i dlaczego wszyscy mają pić szampana, skoro każdy może pić co innego lub nie mieć ochoty na nic. W ten sposób demokracja pozbawiła mnie kieliszka szampana, który otrzymałbym, gdyby dyktatura Janusza wzięła górę.

Zrezygnowałem więc z aperitifu i zagłębiłem się w karcie dań studiując zarówno ich nazwy jak i ceny (w tym okresie za jednego dolara płacono ok. 6–7 franków). Przekąski: kawior irański — 630 franków, łosoś wędzony 185, langusty 210, szynka, pasztet, sałatki, wreszcie zatrzymałem się na chiffounade de fruits de mer — za 265 franków i tę wybrałem, ponieważ w Polsce owoców morza — różnych krewetek, krabów i langusty nie uświadczysz mimo szerokiego dostępu do morza i osiągnięć naszej floty rybackiej, widocznych bardziej w telewizji niż na talerzu.

Trzymałem się z dala od tej części karty, w której zebrane były sugestie szefa, takie jak szparagi z truflami, homary czy langusty na sałacie ze szpinaku. Moja wiedza na temat trufli ogranicza się do tego, co przeczytałem przed laty w pięknej książeczce Zbigniewa Herberta *Barbarzyńca w ogrodzie* i nie zamierzam konfrontować jej z rzeczywistością. Nie chciałbym, żeby trufle okazały się mniej smakowite niż ta książka.

Przez chwilę zatrzymałem się przy pasztecie z wątróbek kaczych (220), gdyż jest to jedna ze specjalności francuskich, a mam słabość do pasztetów, których jest w tym kraju moc, ale cóż mogłem zrobić, skoro pokusa owoców morza też była silna? Przeżyłem także rozterkę przy zupach. Nie mam na myśli kremu z selerów, chłodnika czy bliżej mi nieznanego kremu Vichyssoise glacée, lecz zupę cebulową. Sądziłem

OKLADKA KARTY DAŃ RESTAURACJI MAXIMA W PARYŻU



mianowicie, że być we Francji już drugi tydzień i nie tknąć zupy cebulowej to grzech i podobna okazja nieprędko się wydarzy. Niestety, byłem jedynym zainteresowanym zupą i wypadało się wycofać. Nikt nie docenił, że zrezygnowałem z aperitifu, ale wszyscy by zauważyli, gdybym zamawiał zupę jako jedyny.

Kiedy więc doszło do wyboru dania głównego, byłem już w nastroju defensywnym i wraz z moim sąsiadem z vis a vis przy stoliku zamówiliśmy danie dwuosobowe: doskonałą baraninę nadziewaną „a la creme de basilic" za 500 franków na dwóch, aczkolwiek były i inne dania, nie mniej pociągające, jak couer de filet de boeuf au foie gras (300), pularda w winie xeres czy medalion w młodym winie. Nie wiedziałem jednak co lepsze — stary medalion w młodym winie czy odwrotnie, zdałem się więc na gust Marka Ruth a i zgodziłem się dzielić z nim baraninę. Po pierwsze — było to pierwsze danie z brzegu, będę więc wyglądał lepiej w oczach Bugaja, po drugie — decyzja Marka zwalnia mnie z obowiązku wyboru, a jestem z natury niezdecydowany, zwłaszcza przy karcie dań, wreszcie każde z tych dań brzmi na tyle egzotycznie, że cóż za różnica co się zje? Nie żałowałem, bo jedzenie było doskonałe, acz bywalcy stwierdzili jednomyślnie, że jest w Paryżu wiele restauracji, gdzie można zjeść nie gorzej, a może nawet lepiej i taniej, ale nie na cudzy koszt. Nie wątpię.

Przed naszym powrotem do Polski, Fibakowie zaprosili Ambroziaka i mnie, wydawałoby się, do zwyczajnej restauracji francuskiej, o charakterze rodzinnym, bezpretensjonalnej w formie, doskonałej w treści, wyspecjalizowanej w przygotowywaniu mięsa. Wniesiono nam tam na stół kawał wybornej wołowiny, rozmiaru pokaźnego bochenka chleba, z wierzchu rumianej, w środku różowej, a wszystko to au poivre, w sosie pieprznym, że nawet Ambroziak, który ma dwa metry wzrostu i odpowiedni żołądek, nie mógł podołać.

Dość jednak o jedzeniu, o winach nie wspomnę, gdyż kolacja u Maxima przybrała charakterystyczny dla Polaków obrót. Otóż Fibak zaczął zadawać gościom z kraju poważne pytania polityczne. Fibak nie jest człowiekiem, który lubi tracić czas, aczkolwiek kiedyś o drugiej w nocy widziałem przez okno jak gra z Markiem w trik-traka. W zasadzie jednak nie jest taki rozluźniony, by spędzić cały wieczór na rozkosznym ćwierkaniu o niczym. Interesuje się polityką, biznesem, tenisem, malarstwem — nie zajmuje go literatura czy muzyka, w domu w Greenwich ma tzw. pokój muzyczny z nowoczesną aparaturą, której przez miesiąc moich wizyt nikt nie włączył, a w remontowanym mieszkaniu na Park Avenue widziałem specjalistę, który zakładał instalację kwadrofoniczną we wszystkich pokojach, włącznie z kuchnią, chyba głównie dlatego, że jest to dziś ważny element wyposażenia, bo sam Fibak słucha muzyki wyłącznie w samochodzie, dość zresztą niecierpliwie zmienia stacje co kilka minut, szukając coraz to nowych melodii. Ta niecierpliwość jest dla niego typowa, również na korcie i nie miałby chyba nic przeciwko temu, żeby w tenisa grało się tylko jednego seta.

Fibak nie tyle słucha muzyki, co nasłuchuje wszelkich odgłosów, niczym czujne zwierzę w lesie. W ten sposób, nie ruszając się z miejsca, uzyskuje poczucie bezpieczeństwa i kontroluje sytuację. Lubi jak dochodzą go dźwięki domowej krzątaniny, rozmowy Mariusza z Januszem, pluskanina w basenie, szczekanie psów, nawoływania dzieci, dyspozycje Ewy i dzwonki telefonów. Pół życia w domu spędza przy telefonie. Jego przyjaciel, Michael Buckley, który chętnie dzwoni z samochodu, przekonany, że Fibak akurat rozmawia przez drugą linię, zawsze rozpoczyna swój telefon tak samo: — Cześć Wojtek. Czy ktoś ważny czeka na drugiej linii?

W każdym razie Fibak zakłócił beztroską atmosferę kolacji, zwracając się do Andrzeja Romana i do mnie z dwoma pytaniami. Co sądzimy o Solidarności i o stanie wojennym oraz co myślimy o rewelacjach pułkownika Kuklińskiego ze sztabu generalnego PRL, który zbiegł na Zachód w listopadzie 1981 roku i opisał przygotowania do stanu wojennego, w jakich brał udział. — Mamy tu dwóch inteligentnych i dobrze poinformowanych dziennikarzy z kraju i ciekawe co oni o tym myślą — powiedział niewinnie Fibak, a ja aż zamarłem, ponieważ nie znoszę dyskusji politycznych w towarzystwie, a już zwłaszcza kiedy człowiek raz w życiu jest u Maxima z Grażyną Hase, panem Bugajem, czy Markiem Ruthem. Z samym Fibakiem dyskutuje się doskonale, gdyż jest cierpliwym, uważnym i inteligentnym słuchaczem, a ponadto rozmówcą który autentycznie chce zrozumieć partnera, umie słuchać, nie zaś za wszelką cenę przygadać mu, wyłowić lukę w jego argumentacji, i pokazać, że jego na wierzchu. Takich rozmów prowadziliśmy wiele i nigdy ich nie żałowałem. Ale dyskusja o Solidarności i o stanie wojennym w środku kolacji u Maxima, w towarzystwie dość przypadkowym? Nie tak wyobrażałem sobie deser.

Ta interwencja Fibaka w błahą dotychczas rozmowę przy kolacji jest dla niego charakterystyczna. Fibak autentycznie interesuje się polityką, gospodarką, historią, tenisem, malarstwem i pieniędzmi. Wielokrotnie w dość niespodziewanych okolicznościach, np. podczas jazdy samochodem, kiedy czas ucieka bez sensu, wszczyna rozmowę o sprawach amerykańskich czy polskich, o gospodarce socjalistycznej czy kapitalistycznej, o amerykańskim sposobie rozwiązywania spraw, o porządku i wolności, o architekturze i obyczajach, o filmie i o ludziach, których zna wielu. Czuje się dobrze zarówno wśród kolegów, z którymi je kolacje u Maxima, jak i z Jerzym Kosińskim czy Zbigniewem Brzezińskim, których zgromadził w swoim salonie i z których żaden nie odmówi mu inteligencji ani zainteresowań.

Wiedza jego nie jest głęboka, nie jest w końcu profesorem, ale jest na tyle inteligentny, że nie palnie gaffy, nie mówi kiedy nie wie, nie popisuje się — chętnie słucha. Jest wtedy skupiony, aczkolwiek uwagę ma podzieloną i cały czas utrzymuje sytuację pod kontrolą, jego rozmówca nie ma wrażenia, że Fibak go nie słucha, tylko rozbieganymi oczyma wodzi po całej sali. Zawsze wie o czym jest mowa i śledzi tok rozumowania rozmówcy tak dobrze, że jest w stanie trafnie przewidzieć, co ten za chwilę powie.

Zainteresowania te częściowo pomagają mu w interesach. Handel nieruchomościami uprawia on szerzej niż tylko obracanie budynkami i ogrodami. Kiedy kupuje domy lub parcele, ważna jest nie tylko uroda budynku i stan murów, punkt i sąsiedztwo, ale również środowisko, które zamieszkuje okolicę, jak również przyszłość tych terenów, całych miejscowości. Czy w tę okolicę nie przesuwają się Murzyni z północnych części Manhattanu. Czy to nie jest zbyt daleko dla biznesmenów. Czy lekarzy, adwokatów, profesorów, którzy zamieszkują okolicę będzie stać na taką posiadłość? Jak przyszły klient będzie przyjęty przez dominującą w tej miejscowości społeczność żydowską? Jakie tu są podatki, szkoły, opłaty przy handlu nieruchomościami, czy są dobre kluby golfowe i tenisowe.

Pytań jest wiele i Fibak chętnie je rozważa. Wiedza jego wywodzi się z rozmów, obserwacji i gazet. Bez gazety nie może żyć. Rano przy śniadaniu ma już „New York Times" i gazetę miejscową z Greenwich, w Paryżu do porannej szklanki mleka czyta „International Herald Tribune", przy czym interesuje go nie tylko handel nieruchomościami oraz aukcje dzieł sztuki, ale również wiadomości polityczne, Gorbaczow i Jaruzelski, Reagan i Hart. Gdy w czasie trwania turnieju na Roland Garros, w Ameryce Paul Volcker ustąpił ze stanowiska przewodniczącego Banku Rezerw Federalnych USA, a jego miejsce zajął prof. Alan Greenspan, Fibak odebrał to jako duże wydarzenie i z Markiem Ruthem długo dyskutowali, jakie to będzie miało znaczenie dla interesów.

Pytałem kiedyś Fibaka, jaki wpływ ma ogólna koniunktura na jego handel nieruchomościami, nie był jednak w stanie wskazać prostej zależności. Jeżeli bowiem koniunktura jest dobra, interesy toczą się z powodzeniem, to ludzie kupują domy, pożyczają na ten cel pieniądze — choć kredyt wówczas jest drogi. Gdy natomiast hossa się kończy, wskaźniki są mniej pomyślne, to kupno domu i ziemi zawsze jeszcze wypada się lepszą inwestycją od niepewnych akcji i innych papierów wartościowych. Wedle statystyk, Amerykanie, którzy mają pieniądze, przede wszystkim inwestują w nieruchomości i na długą metę okazuje się to najbardziej sensowne. W 1987 roku, gdy nastąpił krach na giełdzie, popyt na nieruchomości gwałtownie spadł i Fibak poniósł straty, a w każdym razie nie zarobił, okazał się nieoczekiwanie właścicielem domów, które trudno było dobrze sprzedać, a kredyty bankowe musiał spłacać.

Fibak doskonale umie sprzedać swoje wiadomości. Dzięki pamięci, inteligencji i wyczuciu, potrafi stworzyć wrażenie, że faktycznie wie o wiele więcej. Na ludziach, którzy nie oczekują od niego wiele — jako od sportowca — robi to wrażenie. Jego żona mówi, że wiadomości, które przeczytał wczoraj w gazecie, potrafi dzisiaj sprzedać, jak gdyby znał je całe życie. Zazwyczaj osoba wykształcona pobieżnie, demaskuje się prędko, wystarczy jedno czy drugie niefortunne słowo, pomylenie Carlo Schmidta z Helmutem Schmidtem, Schumanna, z Schubertem, albo nie daj Boże Telemana z telemarkiem. Fibak jednak swoje wie, ponadto mało mówi, a dużo słucha, wreszcie ma spryt ulicy, dzięki któremu nie pozwala się zdemaskować.

Pewnego razu brał udział w naradzie z bankierem szwajcarskim, który opowiadał jak jego rodzina stara się zdobyć kontrolę nad jednym z banków w Monako. Fibak słuchał uważnie i zadawał pytania, na które Szwajcar odpowiadał cierpliwie. Wreszcie padło kolejne pytanie: — Dlaczego, mając już w Monako największe societe finansowe, jego rodzina chce kupić od Włochów bank prywatny, w dodatku niemiecki? Szwajcar odpowiedział, że potrzebny im jest ten bank, żeby wykonywać trzy rodzaje operacji: finansowanie handlu nieruchomościami, inwestowanie powierzonych im wkładów oraz... i tu zaciął się, zapomniał. Fibak, który wraz ze swoim przyjacielem z Paryża od kilku miesięcy miał już apetyt na bank, dodał od niechcenia: „... i operowanie mutual funds". Na Szwajcarze, który do tego momentu sądził, że odpowiadał na pytania zielonego sportowca, musiało to zrobić wrażenie.

Tak więc Fibak okazuje się człowiekiem, jak mówią Amerykanie, well polished, czyli dobrze oszlifowanym, wypolerowanym, nie tyle gładkim, co bywałym, otrzaskanym, umiejącym się znaleźć, zachować, prowadzić rozmowę. Jest to cecha głębsza niż ogólne obycie, którego nabrał podczas niezliczonych podróży sportowych oraz kontaktów. Fibak ma autentyczne zainteresowania, jest ciekaw świata i ludzi. Tenisista, który dużo z nim podróżował, Tom Okker, Holender, wieloletni partner deblowy Fibaka, mówił mi, że „Wojtek po meczu nie przesiadywał w hotelu", tylko ruszał na miasto, pytał, gdzie są piękne dzielnice, gdzie są ładne domy, gdzie mieszkają zamożni ludzie, zwiedzał miasta, zabytki i muzea, czego w dzieciństwie nauczył go ojciec. W ten sposób uczył się co jest ładne, uczył się całych dzielnic i miast, poznawał style i gusta. Mając dobrą orientację w terenie oraz pamięć, Fibak czuje się pewnie w Londynie i w Monachium, w Mediolanie i w Toronto, zna wszystkie główne hotele, lepsze ulice i lokale. Z odrobiną widocznej satysfakcji opowiada, w jakim hotelu zatrzymuje się zawsze w Waszyngtonie czy w Monte Carlo, że znają go już tam portierzy i dyrektorzy.

WRZESIEŃ 1985. SIEDZĄ OD LEWEJ: JERZY KOSIŃSKI, EWA FIBAKOWA, ZBIGNIEW BRZEZIŃSKI I JANUSZ DOROSIEWICZ



Najłatwiej byłoby zbyć to wszystko jako zwykły snobizm, jednakże jest w tym coś więcej — potrzeba komfortu, ale i chęć wpasowania się w starą mieszczańską kulturę Zachodu, skłonność do bycia tam, gdzie się być powinno, ale i zainteresowanie ludźmi z wielkiego świata, wśród których nie brak osób interesujących. Ostatecznie fakt, że ktoś jest bogaty, jeszcze go nie dyskwalifikuje — zwłaszcza w oczach Fibaka. Jak wspomniałem, Fibak jest dobrym rozmówcą, umie rozmawiać z ludźmi i wyciągać z tego korzyści. Zarówno w sensie dosłownym, gdy mówi do żony, by na przyjęciu porozmawiała z tym lub z tamtym „bo mi na tym zależy", jak i wówczas, kiedy nie wymagają tego interesy, tylko zwykłe zainteresowania.

Ja, siłą rzeczy, mogłem znaleźć się wyłącznie w tej drugiej kategorii, wśród ludzi, z którymi Fibak rozmawiał całkowicie bezinteresownie. Podczas wspomnianej kolacji u Maxima nie było nikogo, na kim Fibakowi mogłoby zależeć w wąskim, materialnym znaczeniu tego słowa, ale wówczas nie tracił wieczoru i wywołał pana Romana oraz mnie do odpowiedzi na temat co sądzimy o Solidarności, stanie wojennym i rewelacjach Kuklińskiego.

Dla Andrzeja Romana była to okazja wymarzona. Będąc z zawodu dziennikarzem sportowym, jak to często w Polsce bywa, okazał się człowiekiem rozpolitykowanym. Nie znałem go od tej strony, ale mnie to nie zdziwiło, gdyż Sierpień wyzwolił w Polakach wielkie zainteresowanie sprawami publicznymi. W dodatku Roman okazał się dobrym rozmówcą, który mówiąc jasno, dźwięcznym głosem (bywa czasami spikerem podczas ważnych imprez międzynarodowych na kortach „Legii") wyłożył swoje credo patrioty i zwolennika Solidarności. Solidarność — powiedział — popełniała oczywiście błędy, któż ich nie popełnia, popełniała je nawet moja ukochana mamusia, ale nie były to nigdy błędy natury strategicznej, wyłącznie taktycznej. Zapoznał emigrantów przy stoliku ze stosowaną czasami w jego środowisku nomenklaturą „czerwoni" („władza") i „czarni" (Kościół), po czym — o ile pamiętam — wyraził pogląd, że dziesięciomilionowej Solidarności nie można było skierować w inną stronę, zwłaszcza że „czerwony" nie tylko sam nie ustępował i nie dotrzymywał umów, ale jeszcze nasyłał prowokatorów.

W trakcie rozmowy kelnerzy wjechali z zakąskami. Mistrz ceremonii uniósł troskliwie, niczym świeżo urodzone niemowlę, salaterkę z moją szyfonadą z owoców morza i pokazał ją z dumą wszystkim biesiadnikom, zwłaszcza mnie, który ją zamówiłem, by podkreślić jak trafnego dokonałem wyboru. W jego oczach kryło się oczekiwanie, bym wyraził zachwyt dla dzieła kucharzy „Maxima" i pozwolił postawić przed sobą te wszystkie kraby, homary i inne skorupiaki. Ja tymczasem pochłonięty konwersacją, powiedziałem przekornie i trochę obcesowo do kelnera „może być", by wreszcie zakończył tę ceremonię, czym wywołałem zgorszenie Tadeusza Bugaja, który częściej ode mnie bywa w drogich restauracjach i był wyraźnie zbulwersowany moją dezynwolturą. Inni goście umieli lepiej znaleźć się wobec tej prezentacji zakąsek, ale my Polacy, nie chodzimy przecież po prostu się najeść. My musimy przy kolacji rozdrapać swoje rany narodowe, nam nie wystarczą krwiste befsztyki, nam jest potrzebna krew historii.

Andrzej Roman przeszedł więc do Powstania Warszawskiego. Wyraził pogląd, że jego wzniecenie nie było żadnym błędem. Niemcy zgromadzili wokół Warszawy takie siły, że Rosjanie i tak zdobyliby naszą stolicę po ciężkich bojach, w czasie których miasto tak czy owak zostałoby zrównane z ziemią. Los miasta był przesądzony — twierdził Roman — jego mieszkańców również. Młodzież AK-owska podzieliłaby losy wileńskiej AK — jak również wielu innych Polaków na terenach wschodnich — zostałaby wywieziona na Wschód, gdzie czekał ją tragiczny los.

Mój pogląd nie był taki oczywisty. Piszę tę książkę o Fibaku, a nie o Solidarności ani o sobie. Stwierdzę więc krótko, iż Solidarność podziwiałem, ale do czasu. Zgadzam się, że wielkie ruchy masowe mają swoją bezwładność i raz wywołane trudno je powstrzymać, lub skierować na inne tory. Ale jest również prawdą, że przywódcy tego ruchu nie byli na tyle dalekowzroczni i nie mieli tyle odwagi cywilnej, by w porę przeciwstawić się publicznie narastającym i coraz bardziej ryzykownym dla Polski żądaniom, choć potrafili przeciwstawiać się „czerwonemu", nie potrafili wyzwolić się ze zbiorowego uniesienia i ostrzec swoich szeregów dokąd zmierzają. Ponieważ pan Roman powiedział, iż bezbłędnie przewidział, kiedy zostanie wprowadzony stan wojenny, powiedziałem, że sprowadzenie stanu wojennego na Polskę trudno uznać za sukces Solidarności.

Co do Powstania Warszawskiego byłem odmiennego zdania niż Andrzej Roman. Być może dlatego, iż z usposobienia nie jestem romantykiem, lub dlatego, że cała moja rodzina zginęła w czasie wojny, a ja ocalałem cudem, jestem dość odporny na nurt straceńczo-martyrologiczny w naszej historii. Sądzę, że ojciec i matka zanim puszczą kilkunastoletniego syna na pewną śmierć, będą starali się go powstrzymać, nawet jeśli tysiące Polaków nigdy nie powróciły ze Wschodu. Dowódcy Powstania w Londynie i w Warszawie dobrze wiedzieli, że skazują młodzież i miasto na śmierć, świadczą o tym liczne dokumenty, książki, w tym Jana Nowaka Jeziorańskiego *Kurier z Warszawy*, której autor jest znajomym Fibaka i bywa u niego w domu — może go więc zapytać osobiście. Oczywiście, że dla młodzieży polskiej z AK, rządy proradzieckie nie były tym, czego oczekiwała, ale posyłanie jej na barykady uważam za tragiczne.

Wyłożyłem również krótko, na ile pozwalały niecodzienne okoliczności, swój szerszy punkt widzenia na role różnych sił w Polsce. Pisałem o tym wielokrotnie w „Polityce", więc będę się streszczał, zwłaszcza że książka jest nie o tym. Otóż jestem zdania, że władza, Kościół i opozycja — wszystko to jest Polsce niezbędne i historia czy opatrzność sprytnie rozdała role pomiędzy głównych protagonistów polskiego dramatu. Komunistyczna władza ponosi główną odpowiedzialność za państwo, jego bezpieczeństwo, granice, odbudowę, sojusze i po części również za jego wewnętrzne funkcjonowanie. Od 1944 roku po dziś dzień żadna inna siła polityczna nie byłaby w stanie tego zapewnić. Jednakże powtarzające się zapaści wewnętrzne spowodowały kryzys wartości socjalistycznych w społeczeństwie, które w większym stopniu zwróciło się ku Kościołowi, widząc w nim tradycyjną ostoję wartości indywidualnych i zbiorowych w Polsce. Kościół, sam od pewnego czasu doskonale w Polsce socjalistycznej prosperując, zręcznie wywiązuje się ze swej dwoistej roli. Z jednej strony dyskontuje porażki władzy, z drugiej wspiera ją w trudnych momentach i występuje jako czynnik stabilizacji, do pewnego stopnia faktyczny obrońca i zarazem krytyk panującego porządku, w której to roli obrońcy występował od stuleci. Władza i Kościół w Polsce nie mogą się wzajemnie zastąpić, a tylko współżyć i uzupełniać. Wreszcie jest czynnik trzeci — rozbudzone politycznie kręgi społeczeństwa na ogół krytyczne, nieraz opozycyjne. Dochodzą do głosu zwłaszcza w sytuacjach kryzysowych i działają jako forma nacisku na dwie główne siły, akcentując żądania nie będące specjalnością ani Państwa, ani Kościoła. Ten triumwirat może dla Polski

DOM FIBAKÓW W PARYŻU Z ZEWNĄTRZ...

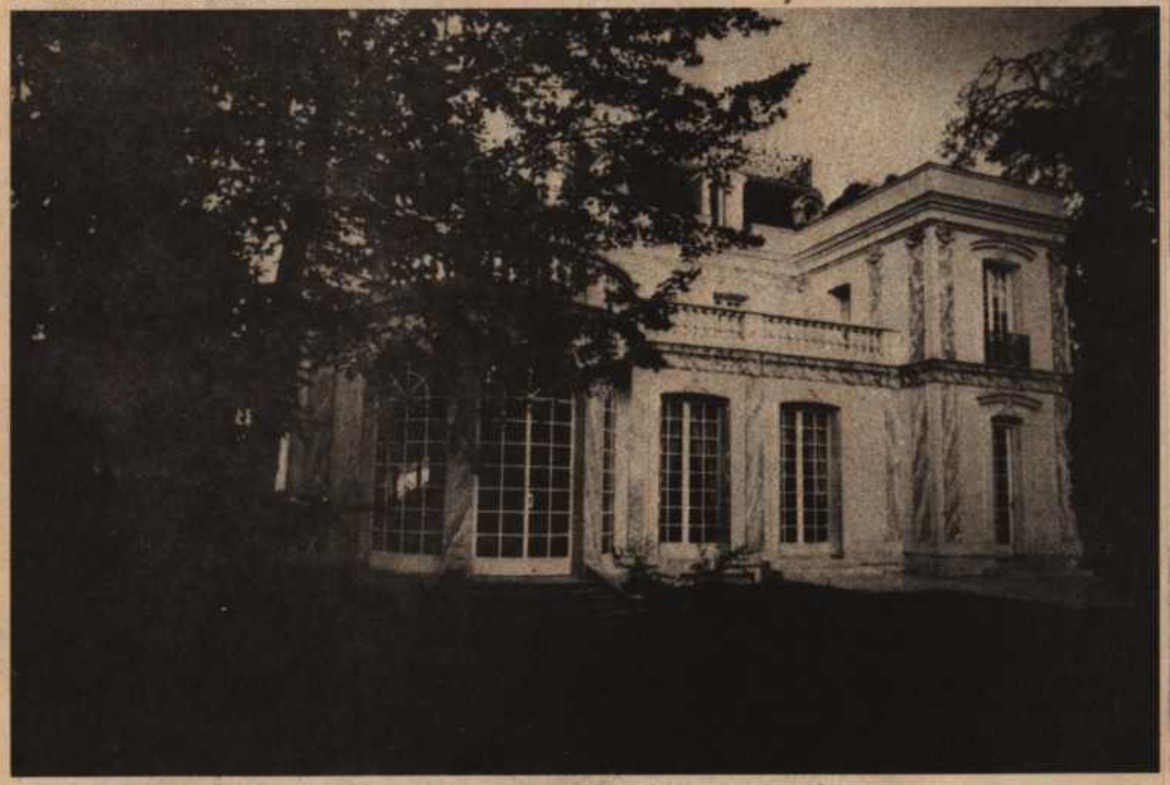

...I WEWNĄTRZ. NA ŚCIANACH M. IN. OBRAZY ŻAKA, MALICKIEJ I WEINGARTA

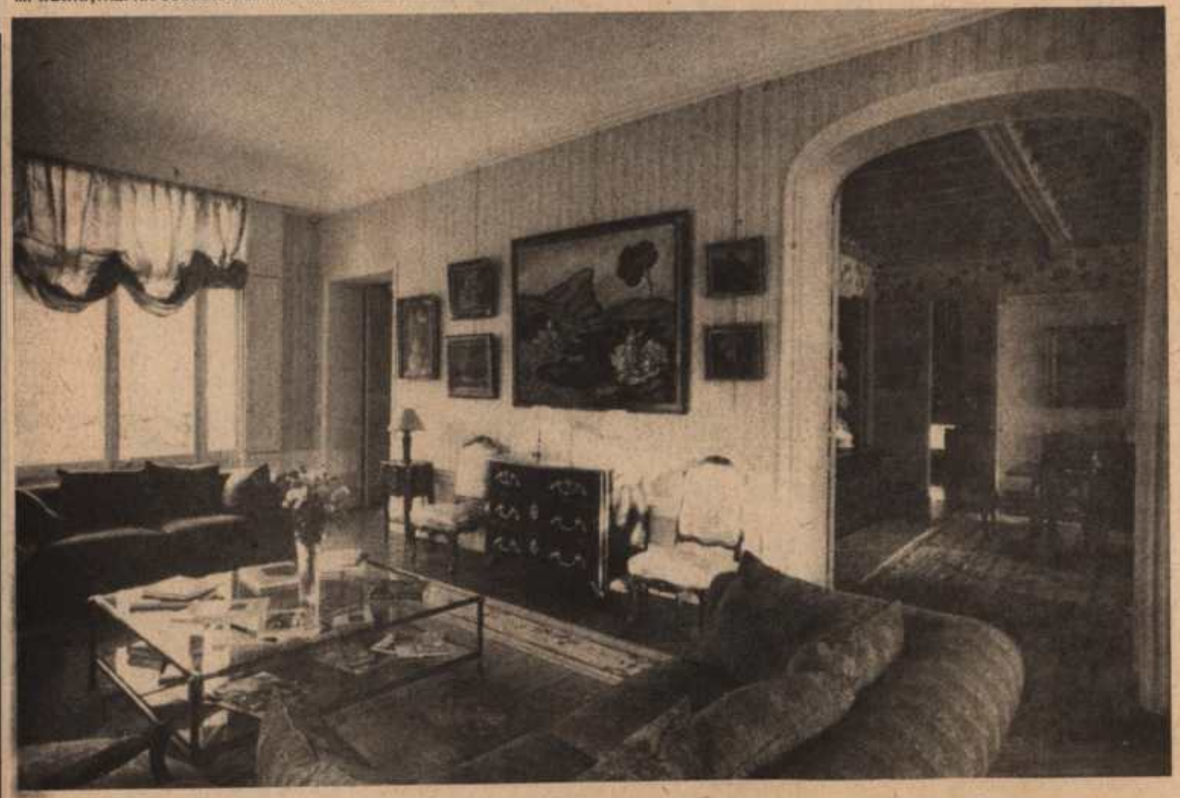



NA OKLADCE VOGUE

wiele zdziałać i rzecz nie w tym, czy ktoś jest „czarny" czy „czerwony", jak mówi kolega Roman, tylko jak się ze swojej roli wywiązuje. Moim zdaniem ocena ludzi aktywnych publicznie w Polsce nie powinna zależeć od tego, kto jaką grą rolę w polskim dramacie, gdyż w dramacie wszystkie role są potrzebne, tylko jak to robi.

Podczas naszych krótkich wystąpień, Andrzeja Romana i mojego, biesiadnicy byli cicho, słuchali, ale „Maxim" funkcjonował normalnie. Słowa nasze mieszały się z dźwiękami starego walca i tanga, brzękiem naczyń i krzątaniną kelnerów. Była to sytuacja bardzo polska. Na paryskim bruku w wygodnych fotelach, grono Polaków, zgromadzonych z okazji turnieju tenisowego i koleżeńskiego pojedynku na korcie, zamiast cieszyć się życiem, delektować przysmakami kuchni francuskiej, bądź — o zgrozo — ruszyć do tańca, jak inni goście, roztrząsało, czy Reagan i Wojtyła postąpili słusznie nie zawiadamiając Solidarności o zbliżającym się stanie wojennym. Rzecz w tym, że płk Kukliński zbiegłszy z Polski zawiadomił swoją amerykańską centralę o tym, co się święci, a jak wynika z prasy zachodniej, Biały Dom skontaktował się nawet z Watykanem, ale żadne ostrzeżenie nie nastąpiło i siły bezpieczeństwa wyłapały bez trudu kierownictwo opozycji.

Najbardziej słuchał Fibak, który znał sprawę z lektury rewelacji Kuklińskiego w paryskiej „Kulturze". Pismo to stanowiło kiedyś obowiązkową lekturę Fibaka, za plecami w jego pokoju w Greenwich stoją jeszcze stare egzemplarze, ale — jak sam mówi — dziś już tylko je przegląda, wybiera teksty ciekawsze, gdyż lektury jego stały się bardziej wszechstronne, mniej emigracyjne i jednostronne, stał się dojrzalszy. Wychowany najpierw na prasie i propagandzie krajowej, jak każdy inteligentny młody człowiek, ciekaw był stanowiska drugiej strony, spragniony przeciwnej interpretacji, którą czerpał z prasy emigracyjnej. W miarę jak lepiej władał językami, jak przekształcał się z wyjeżdżającego sportowca i emigranta w obywatela Zachodu, prasa emigracyjna traciła smak zakazanego owocu i powaby jedynego źródła prawdy. Jej miejsce zajęły poważniejsze pisma zachodnie, które jednak czasami drażnią go swoim liberalizmem i naiwnym stosunkiem do Wschodu, a nawet od czasu do czasu lektura prasy krajowej, gdzie zaczął nawet to i owo doceniać. Żona Fibaka, Ewa, z wykształcenia romanistka, czyta francuskie tygodniki i miesięczniki ilustrowane, dobrze czuje się we Francji i gdyby to zależało tylko od niej, państwo Fibakowie spędzaliby zapewne więcej czasu w Paryżu.

Tak więc Fibak słuchał naszych wywodów u „Maxima" z autentycznym zainteresowaniem, ucinając wtręty i Zwischenrufy pozostałych biesiadników. Andrzej Roman i ja byliśmy zgodni, że Zachód postąpił słusznie nie zawiadamiając opozycji polskiej o zbliżającym się stanie wojennym. Pamiętając ówczesną euforię i bojowy nastrój przywódców Solidarności oraz części mas członkowskich, wyobrażaliśmy sobie, że poszliby na szaniec i nastąpiłby poważny rozlew krwi, kto wie czy tylko polskiej. Wszak nie byłaby to walka regularnych oddziałów, ale trudne do wyobrażenia zajścia w miastach i na wsi. Zgodziliśmy się więc, że lepiej, iż do tego nie doszło. Pozostała jednak kwestia współodpowiedzialności moralnej i politycznej tych ludzi Zachodu, którzy wiedzieli o zbliżającym się stanie wojennym.

Kwestię tę rozpatrywał nowojorski profesor Mieczysław Maneli emigrant z Polski, w czasopiśmie „Politics and Morality" (nr 1/1986). „Należy także zaznaczyć — pisze Maneli — że wielu polityków i bankierów, zbliżonych do Waszyngtonu i Watykanu, odnosiło się podejrzliwie, a nawet wrogo do nowego polskiego ruchu związkowego. Woleli raczej rządy polskiej partii, a nawet Gierka niż to, co widzieli jako anarchię. Anarchia mogła prowadzić do bezpośredniej interwencji radzieckiej, krwawej łaźni i zniszczenia. W takiej sytuacji Zachód mógłby być tylko biernym obserwatorem, który potępia werbalnie i nadaje przez radio modlitwy, jak to uczynił podczas Powstania Warszawskiego w 1944 r. i rewolucji węgierskiej w 1956 r. Twierdzili oni, że aby uniknąć takiej porażki prestiżowej Zachodu, lepiej będzie pozwolić polskim dowódcom bezpieczeństwa i wojska zawiesić nieodpowiedzialne związki zawodowe i drogą pokojową wprowadzić ponownie „tradycyjny" reżim komunistyczny.

(...) Waszyngton i Watykan utrzymywały prywatnie, że gdyby ujawniono, że rząd Polski przygotowuje stłumienie Solidarności przy pomocy wojska i bezpieczeństwa, to dzięki ostrzeżeniu przywódcy opozycji mogliby uniknąć aresztowania, ukryć się, przygotować sieć łączności, wstrzymać podziemne wydawnictwa, prasę i radio. Uważali, że gdyby tak się stało, stan wojenny nie powiódłby się. Ale jaki byłby skutek takiej porażki? — pytali. Odpowiedź była prosta: anarchia i (albo) interwencja radziecka.

Pojawia się więc następne — kontynuuje Maneli — podstawowe pytanie polityczne i moralne, dylemat Hamleta: ujawnić czy nie ujawnić? Każda odpowiedź była politycznie i moralnie zła. Wobec tego pytanie brzmiało: jakie będzie mniejszo zło? Wydaje się, że ci, którzy mieli największe wpływy w Waszyngtonie i Watykanie, być może nawet polski Papież i Prymas Polski, oraz wysoko umiejscowieni, ale związani tajemnicą analitycy, doszli do wniosku, że najlepsze co mogą zrobić, to cicho siedzieć i czekać".

Takie poważne były też nasze rozmowy u „Maxima". Kilka tygodni później spotkałem się w Warszawie ze Zbigniewem Brzezińskim. Notabene Brzeziński zna Fibaka i był u niego w domu w Greenwich, gdzie Fibak organizuje corocznie swój prywatny turniej tenisowy. Gdy zreferowałem Brzezińskiemu rozumowanie Manelego, ten odrzucił je jako bezpodstawne i nieprawdziwe. Nie było już czasu by ten temat kontynuować.



WOJCIECH FIBAK

Kolacja u „Maxima" również dobiegała końca. Nadszedł czas deserów. Kelnerzy podjechali z apetycznym wózkiem, na którym stały różne wypieki i owoce. Postawili na stole miskę świeżych poziomek i zaczęli zbierać zamówienia. Ja, chcąc wynagrodzić sobie stratę aperitifu i zupy cebulowej, jak również wkład do dyskusji, wybrałem z karty suflet. Kelner uprzedził mnie, że przygotowanie sufletu trwa pół godziny. Nie miałem nic przeciwko temu. Gospodarz kolacji był jednak odmiennego zdania, uznał, że wszyscy nie będą czekali pół godziny aż ja dostanę suflet. Wobec tego zaciąłem się i kolejny raz nie zamówiłem nic, przez następną godzinę patrząc jak inni delektują się poziomkami, lodami i innymi delicjami.

Kiedy w nocy wyszliśmy przed „Maxima", odźwierny podprowadził pod drzwi mercedesa Fibaka. Bugaj i Fibak odeszli na stronę, widziałem jakieś pieniądze. Sądziłem, że szukają drobnych dla portiera, ale okazało się, że chodziło o grube pieniądze. Rachunek za kolację i przegrany zakład w tenisa wyniósł około tysiąca dolarów. Na ulicy pod latarnią Fibak zwracał za kolację swojego przyjaciela Marka, którego przyprowadził nadprogramowo, gdyż ten nie był rano na meczu z Bugajem. Nie wiem, czy Fibak wcześniej ustalił to z fundatorem, ale po kolacji gość honorowy zwracał za przyjaciela, a fundator — niestety — brał.

Nie było to smaczne. Janusz Piewcewicz, choć na meczu był, na kolację nie przyszedł, wiedziony dobrym przeczuciem. Ja swoją porcję goryczy zjadłem. Zazwyczaj dziennikarze piszą, żeby jeść. Co do mnie, to tego wieczoru jadłem, żeby pisać.

Byłem jednak szczęśliwy, że mam już tę kolację za sobą. ■

CDN.

DANIEL PASSENT

Aout 88

ANDRE AGASSI



VU PAR WOJTEK FIBAK

Quelles sont ses forces ? Ses faiblesses ? Quel est son schéma de jeu ? Quelle tactique doit-on employer contre lui (ou elle) ? Que peut-on penser de ses aptitudes physiques et mentales ? C'est en somme l'analyse du jeu du champion (ou de la championne) « élu » en poster de Tennis Magazine que nous vous proposons maintenant. Démarche délicate. A laquelle nous avons souhaité associer un nouveau collaborateur, le Polonais Wojtek Fibak. A 35 ans, au terme d'une carrière exemplaire de plus de 15 ans qui l'a vu remporter 15 tournois en simple et 48 en double, qui l'a aussi vu conseiller Lendl (et maintenant Leconte), Fibak est surtout considéré dans le monde comme l'un des observateurs les plus avisés du tennis. Il connaît bien — pour les avoir souvent affrontés — les champions dont il parle. Ses opinions vont parfois à contre-courant de quelques idées reçues. Un regard neuf et enrichissant, doublé des grandes lignes du palmarès, telle se veut être la formule de notre « dos » de poster, consacrée ici à André Agassi.

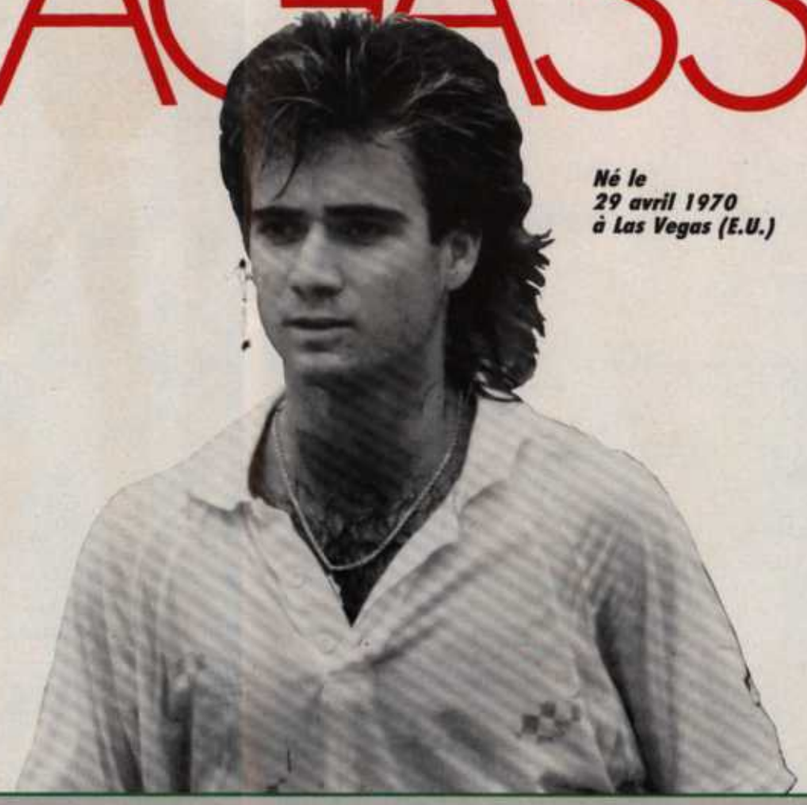

Né le
29 avril 1970
à Las Vegas (E.U.)

Son palmarès

GRAND CHELEM

Roland-Garros
1987 : *2ème tour (p.c. Kuchna).* ***1988 :*** *1/2 finaliste (p.c. Wilander).*

Wimbledon
1987 : *1er tour (p.c. Leconte).*

U.S. Open
1987 : *1er tour (p.c. Leconte).*

TOURNOIS GAGNÉS

au 19 juin (4).

1987 : *Itaparica (b. Mattar).* ***1988 :*** *Memphis (b. Pernfors); Charleston (b. Arias); Forest Hills (b. Zivojinovic).*

FINALES

au 19 juin (1).

1987 : *Séoul (p.c. Grabb).*

S'il doit y avoir actuellement dans le tennis une « idole des jeunes », et pour le monde entier, c'est André Agassi. Son côté « américanisé », son enthousiasme, sa fraîcheur sont transposés chez lui dans son style, sa façon de s'habiller, de se coiffer et de se comporter. Agassi est le symbole de la nouveauté. Il exerce toute la fascination de la jeunesse. Une jeunesse qui s'exprime aussi dans son tennis, fait de vitalité et de joie de jouer. ***W.F.***

Points forts

Le coup droit
Un coup chez lui totalement naturel. Son geste est très court, tant dans la préparation que dans l'accompagnement. André n'est pas physiquement puissant mais grâce à son timing, il peut frapper la balle avec beaucoup de puissance. Comme McEnroe au service... Ainsi que le fait Becker, Agassi peut placer son coup droit où il veut, quand il veut, de n'importe quel endroit du terrain. Avec une frappe soit « plate », soit liftée. Petite restriction : quand il est un peu en retard sur la balle, il essaie de la slicer, mais c'est un coup qu'il ne maîtrise pas bien, qu'il le fasse en défense ou en amortie. C'est exactement le contraire de Yannick Noah qui a des difficultés pour bien frapper en coup droit, mais qui retrouve l'efficacité en frappant slicé en défense ou dans l'offensive avec l'amortie.

Le revers
Là encore, son geste est très court. Son revers est très régulier. D'ailleurs la régularité avec laquelle André frappe les coups gagnants est étonnante. (Ah, si Henri Leconte pouvait avoir cette régularité de coups gagnants avec son coup droit... Mais passons). Mais, le revers d'Agassi est exécuté sur un rythme un peu monocorde. Il n'a rien de fascinant (comme son coup droit) mais il est là : en passing, en coup lifté court croisé qui lui ouvre le terrain, et il peut aussi accélérer croisé ou le long de la ligne. On voit beaucoup le coup droit chez Agassi mais son revers est aussi très solide. Il ne faut pas l'oublier. Mais quand il est en retard et qu'il doit le slicer à une main, son revers est moins bon que frappé à deux mains.

Le jeu des jambes
Agassi est partout. Comme Borg, comme Wilander. Il se déplace vite et naturellement, avec légèreté. Il n'est pas encore très endurant. On l'a vu à Roland-Garros. Mais c'est d'une part parce qu'il est très jeune et d'autre part parce qu'il a grandi sur ciment et non sur terre battue. Sur terre battue, il n'est pas « chez lui », comme l'était Borg ou Sanchez aujourd'hui, qui pourrait rester la journée entière sur le court. Sur ciment — et particulièrement à Las Vegas par 40 degrés à l'ombre ! — on ne « reste » pas sur le court. Si Agassi avait grandi sur la terre battue en Europe, il serait encore plus fort et il utiliserait mieux la « glisse » pour atteindre les balles. A l'image de Noah, de Wilander ou Sanchez.

L'assurance
Il est très sûr de lui, et il le montre. Dans sa façon de jouer mais aussi dans son comportement et même sa façon de s'habiller, de se coiffer. Cette joie de jouer qui sort de lui renforce encore sa confiance, le fait jouer dans l'euphorie. Il n'a rien à perdre. Il est content en toutes circonstances et le public avec lui. Il y a comme de l'arrogance chez lui, mais en positif.

Points faibles

Le jeu au filet
Il ne peut pas jouer service-volée. Quand il est au filet, il manque d'envergure, particulièrement côté revers. Il a les problèmes typiques au filet de ceux qui ont des coups à 2 mains. Sur les balles hautes il essaie de volleyer à 2 mains et cela le limite.

Le manque de diversité
Avec son jeu, Agassi ne peut pas encore être dangereux sur toutes les surfaces, alors que Becker et d'autres peuvent bien jouer partout. Il ne va pas à Wimbledon cette année. Toutefois, Agassi sort de l'image typique de l'école Bollettieri (grand coup droit, jeu défensif...) parce qu'il est un joueur offensif du fond du court. Quand il va au filet, c'est après un coup d'attaque qui lui ouvre tout le court. Il n'a plus qu'à poser sa volée. Mais sur gazon, il faut monter en prenant des risques. Et ça, il ne peut pas encore le faire.

Tactique

Agassi a un jeu offensif du fond du court. Il cherche l'ouverture et quand il la voit, il frappe avec le coup droit ou avec le revers, il place la balle où il veut, il monte et joue une volée de la mi-court. Il joue un ou deux mètres dans le terrain et entre les coups il attend sans bouger que la balle revienne, au contraire des joueurs de terre battue classiques. Et il frappe la balle très tôt, des deux côtés.

Pour jouer contre lui
Il faut être plus régulier que lui, comme Wilander, et il va faire la faute. Ou alors l'attaquer sans cesse notamment en retour de service, pour l'empêcher d'organiser son jeu. Mais surtout il ne faut pas hésiter à jouer carrément sur son coup droit. Par exemple quand il sert dans le coin du terrain pour frapper ensuite en coup droit. Il faut renvoyer le long de la ligne et ne pas chercher à éviter son coup droit en renvoyant au centre au côté revers. Car c'est là qu'il est le plus dangereux, comme tous ceux qui ont un grand coup droit.

Physique

Ses qualités physiques — vitesse, légèreté, vivacité — sont entièrement naturelles. Comme Borg à ses débuts et comme Wilander, il n'est pas encombré de muscles. Tout est fluide chez lui, les jambes comme les bras. Son manque de puissance ne le gêne pas trop au service et sa petite taille ne l'handicape pas vraiment sur la volée de revers. Il lui reste à acquérir l'endurance pour pouvoir tenir de longs matches en 5 sets.

Mental

Mentalement, il est fort, il ne souffre d'aucun complexe et se sent toujours à l'aise, quel que soit l'adversaire. Qu'il gagne ou qu'il perde, il garde le sourire, et c'est formidable. Ce n'est pas un « combattant » comme Connors ou McEnroe. Il ne semble pas « détester la défaite ». Ce qui pourrait être une certaine limite. Car s'il est « bon perdant » après le match, il peut l'être aussi « pendant », comme on l'a vu dans son 5e set contre Wilander à Roland-Garros. L'on sentait dans cette demi-finale, que s'il avait pris 3 fois 6-0, il aurait gardé sa bonne humeur... ■

Z Andrzejem Zielińskim wywiad przeprowadza Andrzej Krajewski. Obok — Wojciech Fibak, w głębi Jerzy Kosiński.

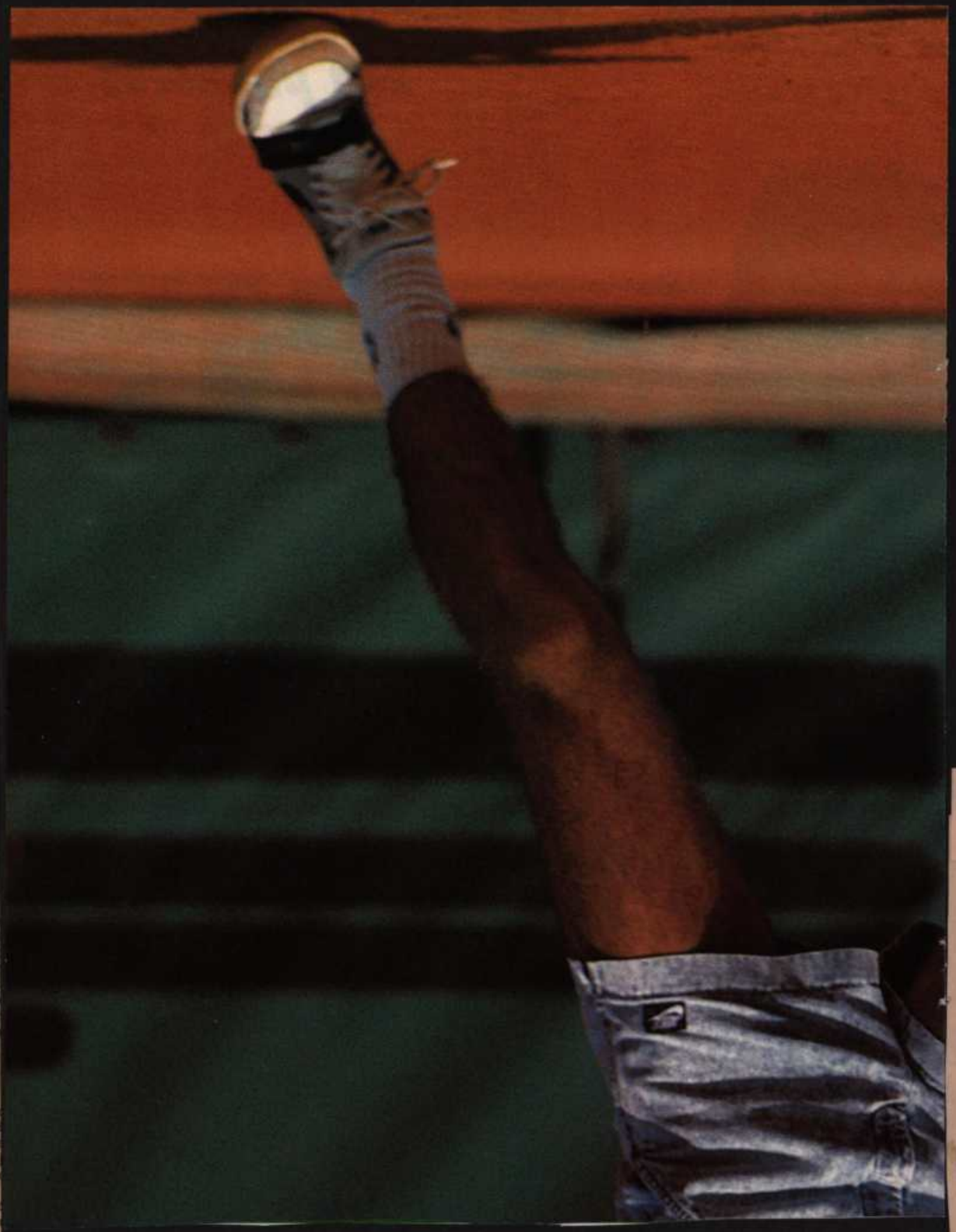

Expres

Grand Prix Wojciecha Fibaka

Ponad 230 dziewcząt i chłopców rywalizowało przez 11 dni — kolejno na kortach poznańskiej Olimpii, AZS-u i Warty o zwycięstwo w jednej nastej edycji turnieju przeznaczonego dla najmłodszych (zawodnicy do lat 15) — Grand Prix Wojciecha Fibaka.

Poznański turniej — zaliczany do największych w kraju — stał w tym roku na całkiem przyzwoitym poziomie. Byli mistrzowie białego sportu zarzucali jednak młodzież, która przybyła na poznańskie korty niemal z całej Polski — że ograniczają swój repertuar do zaledwie kilku uderzeń.

Podczas wielodniowych zmagań młodzi tenisiści wykazali sporo chęci do gry. Adepci tenisa dysponują już niezłym sprzętem. Niektórzy z nich wyjechali z Poznania z rakietami i ubraniami tradycyjnie już fundowanymi w tym turnieju przez najlepszego polskiego tenisistę.

Ostatni turniej Grand Prix Fibaka — rozegrany na kortach Warty wygrała A. Drucz (w finale pokonała B. Hładiuk 6:4, 6:2) w finale chłopców na kortach „ziemnych" M. Komorowski wygrał 6:4, 7:5 z M. Hryczyszynem.

Po podsumowaniu rezultatów trzech turniejów poznaliśmy triumfatorów Grand Prix. Dziewczęta: 1. A. Drucz — Górnik Wieliczka, 2. B. Hładiuk Energomontaż Wrocław, 3. J. Jurowska Energomontaż, 4. J. Wieruszewska Olimpia Poznań; chłopcy: 1. M. Hryszczyn Baildon, 2. P. Meres Nadwiślanin, 3-4. A. Górecki LZP Pobiedziska i G. Malewski Legia Warszawa.

Zwycięzcy otrzymali z rąk matki sponsora turnieju — Joanny Fibak puchary, wyczynowe rakiety, oraz dyplomy. Za wyróżniającą się postawę na korcie nagrody specjalne otrzymali Hryszczyn i Górecki („fair play") oraz J. Gawłowski (troski).

ANDRZEJKI'88



Z Andrzejem Zielińskim wywiad przeprowadza Andrzej Krajewski. Obok — Wojciech Fibak, w głębi Jerzy Kosiński.

WOJCIECH FIBAK
O życiu i tenisie
— str. 8
PZPR w Katowicach

Wojciech Fibak, od prawie 10 lat przebywa stale za granicą. Do nas, docierały informacje o pokonywaniu przez niego kolejnych szczebli tenisowej drabinki. Jego akcje w kraju, to rosły, to znów spadały, w zależności od rozwoju wydarzeń. Mówiło się o nim różnie. Niedawno pojawił się w TV, najpierw komentując swoje występy w Antwerpii, w turnieju o „Diamentową Rakietę", później jako sprawozdawca Międzynarodowych Mistrzostw Francji na Roland Garros. W lipcu br. przebywając z rodziną na 2-tygodniowym urlopie, w krótkiej wypowiedzi dla DTV zastrzegł sobie wakacyjny i rodzinny charakter tego pobytu. W ostatnim dniu, tuż przed wyjazdem, przystał jednak na propozycję rozmowy i w ten sposób powstał poniższy tekst. Oto refleksje, komentarze i myśli najwybitniejszego — obok Jadwigi Jędrzejowskiej — tenisisty Polski. Człowieka, któremu się powiodło, tenisisty zawodowego, kolekcjonera i biznesmena..

Z WOJCIECHEM FIBAKIEM
specjalnie dla „Trybuny Robotniczej"
rozmawia JAN MATUSZYŃSKI



Wojciech Fibak i trzy damy jego serca: żona Ewa oraz córki Agnieszka i Pusia. Foto CAF

TENIS -MOJE ŻYCIE!

● Ile w państwa pobycie w Polsce tym razem, było z prawdziwego urlopu, bo miał to być właśnie urlop...

— I na szczęście był! Prawie cały czas spędziliśmy z rodziną: moją i żony. Dla moich córek 12-letniej Agnieszki i 9-letniej Pusi był to pierwszy tego typu wyjazd do Polski. Do tej pory zawsze na wszystko brakowało czasu. Zwykle przyjeżdżałem na krótko, wchodziły w to wyjazdy do Warszawy i cały pobyt przybierał raczej wymiar służbowy. Tym razem udało się spędzić czas nieco inaczej. Odwiedziliśmy stare kąty w Poznaniu i poza miastem, byłem w swoim liceum, na kortach. Do minimum ograniczyliśmy kontakty oficjalne i zawodowe. Tak więc plan powiódł się w pełni.

● Jaki jest status formalny pana i pańskiej rodziny?

— Żyjemy w zgodzie z przepisami. Jesteśmy obywatelami polskimi stale zamieszkującymi za granicą. Mamy paszporty konsularne a od ich posiadaczy nie wymaga się polskich wiz, jednak wymiana dewiz jest po prostu obowiązkowa...

● Stwierdził pan w TV, że w rubryce: zawód wpisuje pan TENISISTA dodając: ZAWODOWY. Powszechnie jednak wiadomo że jest pan biznesmenem i kolekcjonerem. Czy mógłby pan nam przybliżyć swoje zbiory, kolekcja malarstwa ma już renomę...

— Jest to zbiór obrazów można by rzec malarstwa polskiego szkoły nowskiej. Obejmuje twórczość artystów którzy w pierwszych 30 latach naszego wieku kształcili się i zaczynali w Polsce by później doskonalić swój warsztat pod okiem mistrzów Paryża.

● Czy nosi się pan z zamiarem zaprezentowania jej w Polsce, niedawno z ust jednego z animatorów polskiej kultury za granicą, padło tego typu stwierdzenie...

— Oczywiście chciałbym by do tego doszło. Na razie jednak nie ma sprecyzowanych planów. Nie przeprowadzałem żadnych konkretnych rozmów na ten temat. Muszę zaznaczyć że gdyby tylko powstała taka inicjatywa chętnie bym ją podjął.

● Jest to jednak kwestia, prawdopodobnie dalszej przyszłości, wróćmy do dnia dzisiejszego i stawianej ciągle jak wiem na czołowym miejscu sprawy tenisa w pana życiu. Jest pan menażerem francuskiego internacjonała Henri Leconta...

— Menażerem to za dużo powiedziane. Jestem jego coachem, a nie należy tego rozumieć inaczej jak tylko że jestem po prostu trenerem. Wyłącznie w ujęciu sportowym. Henri w sierpniu 1987 zwrócił się do mnie z propozycją zajęcia się jego sprawami. Był wtedy po kontuzji i wypadł ze ścisłej czołówki, gdzieś do piątej dziesiątki rankingu ATP. Bardzo chciał wrócić do grona najlepszych. Zgodziłem się, podpisaliśmy kontrakt który jest w fazie realizacji. Skutecznej. — Leconte dzięki ogromie wszystkim własnej ciężkiej pracy znowu plasuje się wysoko na liście ATP. Finał w Roland Garros, sukcesy w Grand Prix, umocniły te pozycję. Mam tu również trochę własnej satysfakcji.

● Poprzedni podopieczny to dziś pierwsza rakieta w świecie mimo kolejnego niepowodzenia w Wimbledonie. Jednak są istotne różnice w sposobie prowadzenia dawniej Lendla i obecnie Leconte'a...

— Tak oczywiście! Właśnie w przypadku Ivana można mówić o menażerstwie. Zajmowałem się prawie wszystkimi jego sprawami związanymi z tenisem. Strona sportowa: treningami, sparringami, turniejami, wszystkim co wiąże się z grą. A oprócz tego cała „otoczka" z tej gry wynikająca, mówiąc krótko, biznesem Lendla. W ogóle to najpierw razem graliśmy, co znacznie zacieśniało nasz kontakt. Później Ivan skupił się na singlu, a ja na doskonaleniu jego umiejętności. Z Lecontem jest inaczej. Jak już wspomniałem, nie obchodzą mnie jego interesy i jego pieniądze. Dbam o przygotowanie taktyczne, psychofizyczne, razem planujemy program zajęć. Zresztą takie były warunki umowy postawione przeze mnie. Nie chciałem by nasza współpraca wykraczała poza kort. Taki układ odpowiada obu stronom. Henri jest samodzielnym graczem, nie muszę jeździć z nim po wszystkich turniejach w których bierze udział. Spotykamy się regularnie i to wystarcza. Ivanowi siła rzeczy musiałem poświęcać znacznie więcej czasu. Leconte nie potrzebuje „baby-sitter"...

● ...zbiera ciężki od Wilandera, a pan spokojnie odpoczywa w rodzinnym mieście...

— To się oczywiście zdarza. Jedna czy kilka porażek, jak choćby ta w ćwierćfinale Pucharu Davisa nie świadczą o jakiejś totalnej klęsce. Dla mnie najważniejsze jest to, że Henri udał się „come-back" do ścisłej czołówki. Nie można rozpamiętywać każdego zwycięstwa czy przegranej z osobna. On znowu osiągnął poziom który pozwala mu być w szpicy.

● Pięcioletnia opieka nad Ivanem Lendlem pozostawiła pewien niesmak...

— Prywatnie jesteśmy ciągle dobrymi znajomymi. Spotykamy się trudno żeby było inaczej. Ivan dobrze wie że ma mi coś do zawdzięczenia, ale nie łączą nas już żadne interesy na korcie i poza nim. Ten rozdział został zakończony i nie mam ochoty podejmować po raz kolejny wspólnej pracy w takiej formie dlatego z Lecontem ma ona ograniczony wymiar. A Lendl? Cóż jest to duża indywidualność i taka pozostanie.

● Parę słów o naszym imienniku który sukcesywnie zdobywa kolejne stopnie tenisowego i profesjonalnego wtajemniczenia. Myśle o Wojtku Kowalskim...

— Niestety nie widziałem go już ok 2 lat wiem jednak że czyni systematyczne postępy. Powinien mojm zdaniem zagrać jakiś poważny turniej ma już chyba dostatecznie wysoką pozycję.

● Prawdopodobnie zagra w głównym turnieju na Flushing Meadow...

— To wspaniale będę miał okazję zobaczyć go znowu. To bardzo solidny chłopak z tego co pamiętam myślę że również jego młodszy kolega Lech Sidor pójdzie tym tropem. Miałem okazję nawet zagrać z nim podczas pobytu w Warszawie. Jest to bardzo dobry materiał na tenisistę mocny sprawny i inteligentny czyli ma odpowiednie predyspozycje.

● Pańskie, tenisowe sukcesy mają pewną hierarchię. Czy dla pana któryś z jej elementów ma jakieś „specjalne znaczenie, może wygrana z Nastase przed laty w Sztokholmie, lub prymat w WCT z Kariem Mellerem, czy też np. ostatnie zwycięstwa w turnieju o „Diamentową Rakietę" w Antwerpii...

— Taka hierarchia dla mnie nie istnieje. Zawsze uważałem za najcenniejszy fakt że przez 10 lat mogłem tułać się po świecie w towarzystwie takich ludzi jak Nastase, Okker, Borg i inni. Udało mi się osiągnąć to o czym mówiłem przy okazji związku z Henri Lecontem. Miałem powody do zadowolenia. Trzeba dodać, że był taki czas, kiedy znaczyłem coś i w singlu i w deblu. Przy obecnym stopniu specjalizacji jest to niezwykle trudne. Cieszyło mnie że ja Polak jedyny w tym towarzystwie może grać z najlepszymi, że właściwie wkradłem się do tej elity i zdołałem się w niej utrzymać. Mam nadzieję że w niedługim czasie znów któryś z polskich graczy zajdzie wysoko w tenisowym światku.

● Jak forma?

— Nie najlepiej szczerze mówiąc. Byłem kontuzjowany, co prawda jestem „na chodzie" ale tylko „na chodzie" nie ma mowy o żadnym treningu. Tak więc sportowo jestem na razie nieczynny. Wystąpię w roli obserwatora w Międzynarodowych Mistrzostwach USA.

● Dziękuję za rozmowę. Życzymy szybkiego powrotu na kort...

DANIEL PASSENT (3)



RACJA STANU I RACJA SPORTU

Każdy dobry tenisista trafia w swojej karierze wcześniej czy później na Polski Związek Tenisowy. Związek skupia całość spraw polskiego tenisa — szkolenie i sprzęt, sport wyczynowy i masowy, wyjazdy i przyjazdy, zawody wszelkiego typu. Związek prowadzi listy klasyfikacyjne, czyli bieżące spisy zawodników według ilości zdobytych przez nich punktów w różnych rozgrywkach. Związek powołuje do reprezentacji kraju, wzywa na zgrupowania szkoleniowe, decyduje o rozdziale importowanych rakiet, piłek, ubiorów sportowych. Związek płaci, Związek wysyła do Soczi albo do Wimbledonu, słowem bez Związku nie można zrobić kariery.

Polski Związek Tenisowy teoretycznie jest organizacją społeczną, ale ponieważ sport dzisiaj to nie jest prywatne hobby, lecz poważna i kosztowna działalność, wobec tego związki sportowe pozostają w bliskich kontaktach z władzą. Zwłaszcza, kiedy władza dużo może pomóc lub zaszkodzić (pieniądze, paszporty, inwestycje), a ponadto próbuje swoimi rękoma i rękoma swoich ludzi wszystko objąć. Co prawda mądre przysłowie powiada, że kto dużo obejmuje ten mało ściska, ale kiedy kontroluje się prawie wszystko — dlaczegóż by nie kontrolować i tenisa? Ładny sport, przyjemna gra, tu rakieta, tam kort, ówdzie wyjazd — tenis może być dla świeżo upieczonego działacza przyjemny i pożyteczny.

Po rozmowie z czterema kolejnymi prezesami Polskiego Związku Tenisowego — J. Olszowskim, A. Jucewiczem, M. Borowym, i R. Garbaczewskim — nietrudno dojść do wniosku, że doskonałym prezesem byłby Wojciech Fibak, najwybitniejszy polski tenisista, inteligentny, rzutki, znany w świecie tenisowym, władający językami, doskonale ustosunkowany, człowiek który umie być czarujący, a jednocześnie przytomny jak mało kto, wie czego chce, osoba, której trudno byłoby odmówić, i którą nie sposób przechytrzyć. Jako prezes, Fibak mógłby wygrać dla polskiego tenisa drugie tyle ile wygrał na kortach. Ba, ale cóż począć, jeśli każdy, kto umie zarobić rakietą, woli zarabiać dolary niż złotówki, a co drugi mości sobie życie za granicą zamiast w Polsce? Wojciech Fibak, Tadeusz Nowicki, Jacek Niedźwiedzki — trzej muszkieterowie lat siedemdziesiątych — wszyscy są dziś za granicą. Z nich tylko Fibak nadawał się na prezesa. Chociaż, czy można mówić, że nadawał się ktoś, kto wybrał zagranicę? Prawdziwy działacz to człowiek, który sprawy społeczne stawia ponad własnymi. Nie od każdego można tyle wymagać.

Pierwszy powojenny prezes PZT, Aleksander Olchowicz, był działaczem jeszcze przed wojną, zajmował stanowisko kapitana sportowego Związku, był posłem na Sejm z ramienia Stronnictwa Narodowego. Jego następcą był inżynier Bronisław Wajdowski, przed wojną działał we Lwowie, a po wojnie w Krakowie, gdyż tam mieściła się wówczas siedziba Związku.

Wraz z przeniesieniem Związku do Warszawy w 1952 roku, kończy się jak gdyby epoka lwowsko-krakowska. Tenis nie był wówczas

modny ani forowany, była to epoka masowości sportu, okres Biegów Narodowych i zdobywania odznaki Sprawny do Pracy i Obrony (SPO). Tenis, relikt przeszłości inteligencko-burżuazyjnej, nie był tępiony, ale był zaledwie tolerowany, jako nieszkodliwe prywatne zamiłowanie w rodzaju równie prywatnej nauki gry na fortepianie. Państwo nie dotuje nauki gry na fortepianie i nie istnieje Polski Związek Grających na Pianinie.

Starzy działacze, chcąc ocalić swój ulubiony sport, zaczęli rozglądać się za prezesem nowego typu, na miarę ówczesnej epoki. Widzieli oni, że piłka nożna rozwija się pomyślnie pod opieką prezesa Polskiego Związku Piłki Nożnej, gen. Bordziłowskiego, wiceministra obrony narodowej. Pozostawiając sprawy polityczne poza linią autorską naszej książki, możemy tylko wspomnieć, że generał Bordziłowski miał słabość do sportu, czemu zresztą nietrudno się dziwić, gdyż w ZSRR oraz w wojsku sport był zawsze w cenie, silna władza zawsze lubi mieć zdrowy, silny naród, który ładnie wygląda w pochodzie.

DAMY WAM MOCNEGO PREZESA

Gdy działacze poszli w sprawach tenisowych do Bordziłowskiego, ten odpowiedział: — Ja wam pomóc nie mogę, bo na tenisie się nie znam, ale radzę wam — weźcie sobie mocnego prezesa. Jest tu u nas wiceminister Piotr Jaroszewicz, młody generał, dobry organizator, wiem że poluje, czy gra w tenisa — tego nie wiem, ale ja z nim pogadam.

Środowisko tenisowe było wówczas nieliczne i słabe, część sądziła, że jeśli już ma być prezesem człowiek z zewnątrz, to lepiej żeby był to wiceminister obrony, Główny Kwatermistrz Wojska Polskiego, niż urzędnik przyniesiony w teczce, który sam nic nie może. Jaroszewicz zgodził się i przyszedł na walne zebranie Związku. Działacze napisali krótką notatkę-konspekt o tenisie, w oparciu o którą generał wygłosił całkiem udane półgodzinne przemówienie. Przedwojenny nauczyciel z Garwolina umiał prowadzić zajęcia z kartki. Na niektórych uczestnikach, usposobionych raczej niechętnie do ustroju i jego zbrojnego ramienia, fakt że przyszły prezes nieoczekiwanie ma jakie takie pojęcie o sprawie, wywarł dobre wrażenie.

— Skąd oni wytrzasnęli generała, który tyle wie o tenisie? — pytano w przerwie zebrania.

W ten sposób Piotr Jaroszewicz, zanim wziął w ręce rząd i sprawy całego kraju, kierował Polskim Związkiem Tenisowym. Były to lata 1949–1952. Związki partii i wojska ze sportem były wówczas silne. Na czele władz sportowych stał działacz partyjny Lucjan Motyka, późniejszy minister kultury, I sekretarz KW PZPR w Krakowie, obecnie członek Rady Konsultacyjnej przy Przewodniczącym Rady Państwa.



PIOTR JAROSZEWICZ

Motyka znajdował się pod pewnym naciskiem ze strony swojego aparatu sportowo-politycznego („grupy pułkowników, których skierowano do sportu"), aby prezesami związków sportowych nie byli tacy silni ludzie ze świecznika, jak Jerzy Putrament (szachy), czy Piotr Jaroszewicz, bo to nie pozwala autentycznym działaczom działać. Opieram się tu na relacji inż. Olszowskiego, do którego pamięci mam zaufanie, natomiast jego interpretacja jest własna, subiektywna, ponieważ jest „cholernie kontrowersyjny", jak mówi o nim późniejszy prezes PZT Borowy i wiele innych osób, które nie darzą go sympatią.

— Dziwak, śruba, grafoman, ani do współżycia, ani do współpracy — mówi o nim Fibak.

W każdym razie Jaroszewicz postanowił więcej nie kandydować, wezwał Olszowskiego i zakomunikował mu, że teraz on może zostać prezesem. Ja to wszystko uzgodniłem z Motyką, on was ceni, więc kolej na was, wy zostaniecie prezesem — powiedział.

Następne lata upłynęły pod znakiem inż. Jerzego Olszowskiego i Andrzeja Majewskiego, którzy zmieniali się na stanowiskach prezesa i wiceprezesa. Olszowski — partyjny, energiczny, ambitny inżynier zaprawiony na froncie inwestycyjnym i personalnym, przez całe życie gra w tenisa i energicznie chodzi wokół swoich spraw — przed wojną jako junior, a obecnie jako old boy. Majewski z kolei, również miłośnik i pasjonat tenisa, nie był co prawda partyjny, ale znał języki, również w tym sensie, że umiał dogadywać się z ludźmi w kraju. Łagodny, rozmowny, towarzyski, do dziś przychodzi na korty Legii i paląc papierosa za papierosem, komentuje grę na kortach. Dobrze uzupełniał niezbyt czarującego Olszowskiego, z którym obaj zjedli zęby na tenisie, a ten drugi przekazał tę namiętność swojej córce Barbarze (kiedyś znana pingpongistka, obecnie wiceprezes PZT do spraw szkolenia, niezmordowana entuzjastka i wulkan inicjatywy), a ona z dziadkiem z kolei przekazali geny tenisowe córce, której jakby zabrakło jednak wulkanicznej energii mamusi.

Tamci działacze tkwili po uszy w tenisie, w odróżnieniu od surowych i zielonych funkcjonariuszy, których „stawiano" na tenisie, albo „kierowano do sportu". Andrzej Majewski, jako jedyny w historii działacz polski, wszedł do prezydium Międzynarodowej Federacji Tenisowej. Nie można tego powiedzieć o ich następcy na stanowisku prezesa — Mieczysławie Borowym, skądinąd sympatyku sportu, ale grającym w tenisa wyłącznie rekreacyjnie. O tym jednak za chwilę, gdyż za czasów Olszowskiego-Majewskiego pojawiła się tzw. sprawa Fibaka. Dziś, oczywiście, spotykamy wyłącznie jego przyjaciół.

CZY FIBAK MIAŁ SAMYCH PRZYJACIÓŁ?

— Odebrałem niesłychanie pozytywnie pańską rozmowę telewizyjną z Fibakiem (20 grudnią 1987 r.). Niesłychanie pozytywnie dla Fibaka — mówi mi inż. Olszowski i dodaje: Ja byłem — i mam na to dowody — największym w ogóle zwolennikiem Fibaka. Wbrew pewnym lansowanym poglądom, zawsze działałem dla jego dobra. Na zebraniu Zarządu trzykrotnie przeforsowałem wstawienie Fibaka do reprezentacji Polski. Mimo że mówi się inaczej, ja mam na to dowody. Po prostu jako prezes trzy razy skorzystałem ze swojej władzy, powiedziałem: „Fibak gra i kropka". Naruszyłem tym samym demokrację związkową, ale do dziś uważam, że Fibak jest to osobowość wybitna. Tym niemniej jako obywatel i starszy człowiek mam prawo oceniać jego postępowanie, ogólnie bardzo pozytywnie, mam jednak pewne „ale".

Najpierw fakty, tak jak je widzi mój rozmówca. Wojtek się wybijał, ale w środowisku tenisowym napotykał opory, ponieważ był zbyt inteligentny i mądry. Środowisko tenisowe nie składa się z Einsteinów. Fibak różnił się od przeciętnych tenisistów, zdawał sobie z tego sprawę, dawał to odczuć, separował się, trochę „się nosił". Pomagał mu w tym, niestety, ojciec, zapatrzony w syna, przekonany o jego wyższości, popychał go jak mógł, nie wahając się, gdy trzeba było na przykład telefonować do prezesa. (Jest to praktyka rozpowszechniona tylko przez Fibaka — D.P.) Pomaganie Wojtkowi czy lansowanie go było niełatwe, ponieważ nie był popularny. Częściowo była to normalna zazdrość, a częściowo reakcja na to jego noszenie się.

— Doszło do tego, że pewnego razu Wojtek zadzwonił do mnie z Riwiery, że chce zostać dłużej za granicą — wspomina Olszowski. Ja byłem wówczas prezesem i wyraziłem zgodę. Na to Wojtek, że dobrze, ale on nie ma pieniędzy. Wtedy ja zadzwoniłem do konsula do Lyonu, żeby mu dał pieniądze. I tak się stało. Za to zapłaciłem dwa tysiące złotych kary, wymierzonej mi przez Izbę Skarbową za przekroczenie przepisów dewizowych. Bo GKKFiT zwrócił te pieniądze konsulowi, ale słuszności mojej decyzji, a zwłaszcza samowolności nie uznał i skierował sprawę przeciw mnie do postępowania administracyjnego. Z tego wyjazdu Wojtek wrócił, moja kadencja dobiegła

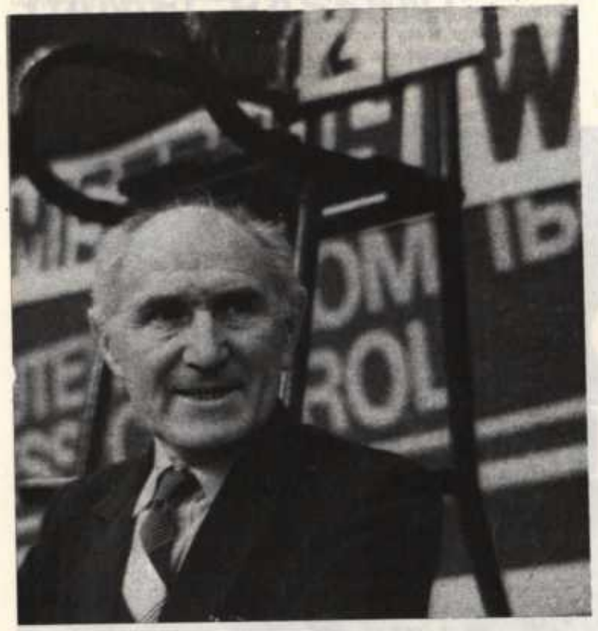

JERZY OLSZOWSKI

końca, czyli za mojej prezesury żadnych konfliktów z Fibakiem nie było. Po mnie nastał Borowy, a wiceprezesem do spraw sportowych został Zbigniew Bałdowski, którego ja szanuję jako szkoleniowca, ale stosunki z nim nie układały mi się dobrze. (Nie z nim jednym — D.P.).

O tym, że Olszowski jest nielubiany, mówiło mi wiele osób i wskazywały konkretne powody. Jego znajomy od pół wieku Walery Grzędzielski, opowiada: „Znam Jurka od 1935 roku, to jest mój kumpel, graliśmy w tenisa jeszcze w czasie wakacji szkolnych, na łące w Beskidach. To nie jest człowiek życzliwy, komunikatywny, tolerancyjny i wielkoduszny, który byłby lubiany i miał wielu przyjaciół. Nawet do mnie się najeżył. Spotykamy się po wojnie, a on mi mówi per „pan" — Jurek, co ty się wygłupiasz? — pytam. Całe życie graliśmy w tenisa, a teraz nagle „pan"?

Oto pismo Bogusława Urbana, dyrektora Departamentu Finansowego GKKFiT z 6 kwietnia 1973 r.:

Prezydium Rady Narodowej
w m. st. Warszawie
Wydział Finansowy
ul. Lindleya 14

(...) Na prośbę Prezesa Polskiego Związku Tenisowego ob. inż. Jerzego Olszowskiego Konsulat PRL w Lyonie wypłacił dodatkowo bez wiedzy i zgody GKKFiT 300,-Ffr przebywającemu we Francji zawodnikowi ob. Wojciechowi Fibakowi.

Wyjaśnienie jakie PZT złożył w tej sprawie w Komitecie nie usprawiedliwia przekroczenia kompetencji przez Prezesa PZT inż. J. Olszowskiego.

(...) Informując o powyższym GKKFiT w oparciu o Karną Ustawę z dnia 26.X.1971 r. prosi o wymierzenie ob. inż. J. Olszowskiemu grzywny pieniężnej.

Dyrektor Departamentu
Finansowego
Bogusław Urban

Kuriozalny to jest dokument. Można zrozumieć, że dyrektor Urban nie lubił telefonowania do konsulatów bez jego wiedzy. Ale wiedząc, że Fibak się rozliczy (albo już rozliczył) i że pieniądze na ten cel były przewidziane przez GKKFiT, żeby — mimo to — nie uprać brudów we własnym domu, lecz wnioskować wymierzenie grzywny w oparciu o ustawę karną — to o czymś świadczy. Może o stosunku biurokracji do działaczy społecznych w związkach sportowych, a może o arogancji głównego urzędnika.

W każdym razie Wydział Finansowy po rozpatrzeniu sprawy, która wlokła się pół roku, w listopadzie 1973 r. postępowanie przeciw obwinionemu umorzył, ponieważ — jak czytamy w uzasadnieniu — obwiniony wybrał „jedyne wyjście", które „nie było sprzeczne ze stanowiskiem GKKFiT przyznającym środki dewizowe w wyższej kwocie". Pod orzeczeniem widnieją podpisy wieloletniego kierownika Wydziału Finansowego L.W. Niemirowskiego oraz inspektora K. Kolczyńskiego.

Cała ta opowieść zakłada, że Związek utrzymywał Fibaka na Zachodzie. Ale jak to wyglądało z jego strony? Był rok 1974. Jak zwykle czołówka polska nie była przygotowana dobrze do Pucharu Davisa. Zimą grało się u nas bardzo mało. Związek zabiegał, żeby chociaż na krótko wysłać najlepszych za granicę. Otrzymał niezbędne minimum i wysłał Nowickiego, Rybarczyka, Niedźwiedzkiego oraz Fibaka. Podzielili te niby diety i pojechali na kilka tygodni na małe turnieje w Egipcie i na Riwierze. Żyli jak to Polacy za granicą — pomoc znajomych, puszki, mieszkanie po dwóch–trzech w najtańszych pokoikach najmniejszych hoteli-pensjonatów. Czasami wpadło parę groszy z nędznych wówczas nagród.

Słowem to, co wydawało się szumnie dewizowym wyjazdem na Zachód, było faktycznie kroplą w morzu potrzeb czterech młodych osiłków, którzy musieli się najeść, wyspać, od czasu do czasu kupić coś niezbędnego, jeździć z miasta do miasta i po mieście. Krótko mówiąc, przypominało to normalne polskie wyjazdy służbowe, z liczeniem na jakiś proszony obiad i z puszką konserw oraz grzałką do herbaty w walizce. Tak Polacy podróżują do dziś, ale sportowcy muszą być wykarmieni, wypoczęci i zdolni do wysiłku. Panowie i panie w delegacjach służbowych mogą na sobie oszczędzać, miejscowym pieczywem dopychać suszoną kiełbasę z walizki, sportowcy — nie bardzo. Nie wszystko da się też załatwić za przywiezioną na upominki polską wódkę i serwetki z Cepelii, oczywiście za własne pieniądze. — Gdyby nie to samozaparcie — wspomina Fibak, gdyby nie odporne polskie żołądki i spryt nabyty dla przeżycia w realnym socjalizmie, polscy tenisiści wcale by sobie nie pograli wczesną wiosną w ciepłych krajach.

A więc to nie jest tak, że rozkapryszony Fibak dopomina się o pieniądze, żeby mógł dalej dokazywać na Riwierze. Znamienne, że on, który ma doskonałą pamięć, tamtego incydentu nie pamięta i zaprzecza, jakoby prosił o jakąkolwiek zgodę na przedłużenie pobytu. Rybarczyk i Nowicki wrócili do kraju, a on z Niedźwiedzkim jechali całą noc pociągiem z Nicei do Strasburga i dalej do Augsburga na eliminacje WCT. Przedtem Fibak, jako najbardziej inteligentny i zaradny, jechał też pociągiem z Nicei do konsulatu RFN w Marsylii, żeby załatwić wizy. To, co z Polski wygląda jako dobrodziejstwo na Riwierze, tam okazuje się liczeniem każdego grosza i furą kłopotów organizacyjnych, a przecież przede wszystkim należało grać i wygrywać.

Rok wcześniej przemyśliwano, aby Fibaka urządzić na studiach w USA. Prezes PZT rozmawiał w tej sprawie z ówczesnym docentem Marianem Dobrosielskim, skądinąd grającym w tenisa, a jesienią 1972 r. członkiem delegacji polskiej na XXVII Sesję Zgromadzenia Ogólnego ONZ. „Ze sportowym pozdrowieniem" prezes prosił o udzielenie pomocy i załączył notatkę o kandydacie na studia w USA: *Wojciech Fibak — ur. 30 sierpnia 1952 r. w Poznaniu, zamieszkały w Poznaniu ul. Wielkopolska 63 m 2, student II semestru Wydziału Prawa Uniwersytetu Poznańskiego, znajomość języka angielskiego średnia, ale intensywnie doskonalona (języki: francuski, niemiecki, rosyjski opanowane dobrze). Mistrz Polski juniorów 1970, halowy mistrz Polski seniorów 1971 itd.* Załączona lista uczelni obejmowała m. in. Trinity University w Teksasie, Uniwersytet Stanforda w Kalifornii i inne. Sprawa, jak widać, nie została sfinalizowana. Wedle prof. Jana Fibaka, Związek podjął starania za późno i zmarnował okazję dla jego syna lub innej młodej osoby. Fibak wkrótce rozstał się z uczelnią definitywnie. Po dziś dzień PZT próbuje urządzić za granicą polską młodzież tenisową w szkole lub na studiach, ale idzie to opornie z braku sponsorów. Kiedy w styczniu 1987 roku, a więc piętnaście lat po tamtych wysiłkach, rozmawiałem z obecnym prezesem PZT Garbaczewskim, dowiedziałem się, że pierwsze dwa stypendia dla młodzików z inicjatywy kół polonijnych w USA są w załatwianiu i będą chyba aktualne od jesieni. Co do Fibaka, to jego formalna edukacja zbliżała się wówczas do końca.

Fibakowi marzył się Uniwersytet Stanforda w południowej Kalifornii — jedna z najlepszych uczelni w USA, a ponadto idealne miejsce dla młodego tenisisty. Błogosławiony klimat pozwala grać cały rok i to na różnych nawierzchniach, także cementowej, której Polakowi brakowało. Tam grali tak doskonali zawodnicy jak Sandy Mayer i Roscoe Tanner, pod kierunkiem na pewno najświetniejszych trenerów. Na szybkiej twardej nawierzchni, pod dobrym okiem, Fibak — pozba-

Śmieszny szantaż

Jeszcze nie zapłonął znicz Olimpiady a już mamy kilka olimpijskich afer. Jedną z nich, której niechlubnym bohaterem stał się Polski Związek Tenisa obwieścił „Sztandar Młodych".

Okazało się, że w przeddzień olimpijskiego debiutu, od Wojtka Kowalskiego domaga się zerwania współpracy z twórcami jego sukcesów pp. Profusem i Straussem. Niepodporządkowanie się tej decyzji grozi konsekwencjami. Co to oznacza dla Wojtka łatwo się domyślić. Dzięki wsparciu życzliwych ludzi powoli wspinał się po szczebelkach zawodowej kariery, teraz ma ze wszystkiego zrezygnować bo jakiś „mądrala" wymyślił, że splendory i banknoty z wizerunkiem Washingtona powiny płynąć do Związku.

PZT pragnący brutalnie „przechwycić" Kowalskiego nie ma niestety ani kompetentnych ludzi ani środków by na profesjonalnym pułapie prowadzić Wojtka. Najbardziej spektakularnymi przykładami są „kariery" Rogowskiego, Binkowskiego i spółki którym nigdy nie uda się z pomocą PZT uciec z tenisowego zaścianka.

„To jednak nie ma znaczenia. Jak nie ma również fakt, że z wielkim trudem udało się wejść Wojtkowi do ekskluzywnej szwedzkiej szkoły tenisa dzięki autorytetowi trenera Straussa. (...) Cała akcja jest sprytnie pomyślana. Najpierw wykańcza się psychicznie Kowalskiego i czeka na wyniki jego startu w USA i w Seulu. Kiedy przegra przystąpi się do ataku. Dziś łatwej zrozumieć dlaczego PZT nie zgłosił w ekipie trenera. Na wszelki wypadek, aby nie pojechał Strauss. Nawet gdyby chciał pojechać za własne pieniądze a taka możliwość istniała nie miał szans. Nie został przecież zgłoszony... Ponoć PZT załatwił, że z Kowalem będą sparowali w Seulu Austriacy. Kto gdzie załatwił? Może wysłał telex? Śmiech i jeszcze jeden dowód dyletanctwa" — pisze dziennikarz „SM" i ma 100 proc. rację.

Jak w czarnym śnie powracają natychmiast wspomnienia z historii Wojciecha Fibaka. Znużony głupotą urzędników, Fibak wbrew zakazowi Związku rozpoczął karierę za granicą i dziś jest jednym z najsłynniejszych Polaków. Na podobny krok zdecyduje się być może Kowalski. I nie będzie można mu się dziwić, bo różnicy między turniejem we Włoszech, a we Włochach pod Warszawą nie trzeba chyba nikomu wyjaśniać. (l)

Na szczęście, młodego adepta wyręczył Tomasz Wolfke z „Przeglądu Sportowego" (6.IX), całą sprawę opisał bardziej obiektywnie, pod wymownym tytułem „Kowal w maglu".

„Historia lubi się powtarzać. Analogia z podobnymi przygodami Wojciecha Fibaka nasuwa się sama. Finał może być identyczny" — ostrzega w ostatnim słowie dziennikarz „SM". — To cudownie! — odpowiem na to. Trudno o lepszy finał niż ten, który spotkał Fibaka. Można tylko życzyć Kowalskiemu, żeby poszedł w ślady swojego imiennika, trafił do pierwszej dziesiątki na świecie i żeby wyrósł z niego taki gracz i obywatel jak Fibak.

Kilkakrotnie rozmawiałem z Fibakiem i nagrywałem na taśmę (do książki) jego opinie o PZT w różnych epokach, pod różnym kierownictwem i o różnych działaczach. Z wyjątkiem jednego starszego pana, o którym mówi „śruba" i nie chce o nim rozmawiać, nigdy nie powiedział mi o nich złego słowa, choć też przecież miał konflikty. Nie tylko myślał o tym, ile z Polski wyciągnąć, ale również, żeby Polsce i polskiemu tenisowi dać. Młodzi sportowcy i dziennikarze mają więc u kogo się uczyć.

Ponieważ sprawa, ogólnie biorąc, jest mętna, mam nadzieję, że „Sztandar" wróci do niej po bardziej wnikliwym zbadaniu obu stron w sposób rzeczowy, żebyśmy wiedzieli co jest grane. Wydaje się, że red. Starzyński zbyt dosłownie wziął apel i „sięgnął do upadłości" (dziennikarstwa).

Polityka Passent

Fibak o rozstaniu

Kilka dni temu w „l'Equipe" ukazała się krótka informacja o rozstaniu Henri Leconte'a z Wojciechem Fibakiem oraz wypowiedź francuskiego tenisisty.

Teraz mówi — takie na łamach „l'Equipe" — Wojciech Fibak:

— Henri poprosił mnie o współpracę w sierpniu 1987, gdy po operacji nie wierzył w siebie, był słaby technicznie i psychicznie. Nie chciałem nikim się opiekować po rozstaniu z Lendlem. Ale godziłem się na współpracę, bo Henri to miły chłopak, a poza to zdolny gracz. Z czterdziestego miejsca ATP awansował na 10. Moim celem było właśnie to — awans do czołowej dziesiątki i dobry wynik w przynajmniej jednym turnieju wielkoszlemowym. Henri był w finale Roland Garros. Cel osiągnąłem. Umowa zawarta była na rok, nic więc dziwnego, że się rozstaliśmy. Henri nie potrzebuje już coacha, wystarczy mu sparring-partner.

TO JEST MOJA GRA

„Jucewicz nie pierwszy i nie jedyny zestawia nazwiska Pendereckiego i Fibaka jako przykłady dobrze zorganizowanej kariery... Na Zachodzie to się liczy. Tam nikt nie ciągnie ich za nogi."

32 *DANIEL PASSENT*

W. Fibak rozstał się z H. Lecontem

(PAP) Wojciech Fibak nie będzie już trenerem czołowego tenisisty świata, Francuza Henri Leconte'a. Jak wynika z informacji agencyjnych — na mocy polubownego porozumienia nastąpiło rozwiązanie umowy obu stron.

Agencje przypominają, że przed Fibakiem trenerami Leconte'a byli Rumun Ion Tiriac, Hiszpan Manuel Santana i Francuz Patrice Dominguez. Dodają także, iż Fibak wcześniej był trenerem Ivana Lendla.

H. Leconte o W. Fibaku

(PAP) Współpraca francuskiego tenisisty Henri Leconte'a z Wojciechem Fibakiem trwała rok. Oto jak wspomina ją na łamach „L'Equipe" Henri Leconte: „Przeżyliśmy dobre momenty. Wojtek wiele mi pomógł w sprawach taktyki, ale podróżował ze mną tylko na wielkoszlemowe turnieje, a przecież nie zrobi się dobrej roboty na dwa dni przed ważnym meczem. A Wojtek miał wiele zajęć związanych ze swymi interesami".

Biorąc jeszcze pod uwagę to, że Fibak przed ostatnim turniejem Roland Garros doznał kontuzji kolana i nie mógł grać, konwersacje między tenisistą i jego mentorem odbywały się głównie przez telefon.

Przy okazji ciekawostka zza Oceanu. Okazuje się, że Fibak sponsoruje także turniejom polonijnym. Kilkudziesięciu graczy stanęło na kortach w Chicago. Turniej rozgrywano w ramach „Roku Polonijnego". Zwycięzcy J. Mierczyński (kategoria „Open") i A. Przybylski obok pucharów otrzymali rakiety wyczynowe ufundowane przez Wojciecha Fibaka. (SG)

Za kilka dni kończę 21 lat. Jestem dorosłym mężczyzną i chcę sam decydować o tym, kto będzie moim opiekunem. Zawsze mam i miał będę dużo serca dla każdego, kto kocha tenis i chce sprawiedliwie na temat mojej kariery porozmawiać, jak choćby niedawno Wojciech Fibak. Tacy ludzie jak Paweł Strauss, dr Jacek Kwarecki, prof. Świętosław Ziemiański, psycholog Jan Pecha i Marek Profus pomogli mi w odniesieniu pierwszych sukcesów. Nie pozwolę by czyjaś zawiść zakłóciła naszą pracę i przyjaźń, burzyła wzajemne zaufanie. Kowelski

Kiedy zaprosił go do swojej siedziby **Wojciech Fibak**, by pomóc jak Polak Polakowi, tuż przed turniejem zaocwaniając rodzinną atmosferę i treningi z Laconiem i Musterem nie mógł zrozumieć dlaczego Kowalski nie realizuje założeń, o których rozmawiali podczas treningów. Nie znał... szczegółów. Stanisław Miodyński

wiony już wtedy trenera i opiekuna — mógłby poprawić serwis i nauczyć się wielu arkanów, które dla Amerykanów były proste, gdyż posiedli je wcześniej, np. mechanizm ruchu.

Profesor Jan Fibak nawiązał kontakt z trenerem uniwersytetu i załatwił zaproszenie, które przeleżało w PZT, aż się zmarnowało — wspomina jego syn. — Dlaczego nie pojechałem do Stanford, dlaczego Polska zmarnowała taką szansę, żebym wyrósł na kto wie, może najlepszego tenisistę, może wygrałbym Wimbledon? I sam odpowiada na swoje pytanie: — Ponieważ się bali. Wysłać do Ameryki? Na studia? Na długo? A jeśli nie wróci? Kto będzie odpowiedzialny? A jeśli nie przyjedzie na mecz międzypaństwowy? Po co nam to? Wszyscy nagle mnie docenili i nie chcieli mnie stracić. Ewa też.

Była to pierwsze wielka szansa stworzenia Fibakowi warunków na miarę jego talentu. Bo to, że był niezwykle utalentowany, przyznają wszyscy. Ale tego, że zrobiono wszystko, aby ten talent rozkwitł odpowiednio wcześniej i został maksymalnie wykorzystany — nie twierdzi nikt.

Drugi raz taka potrzeba zaistniała wiosną 1977 roku. Fibak w Polsce nie miał czego szukać ani u kogo się uczyć. Potrzebny mu był dobry trener, opiekun, mecenas i menedżer w jednej osobie, ktoś, komu by wierzył pod wieloma względami — techniki gry, metody treningu, kalendarza startów. Zwrócił się w tej sprawie do Okkera, z którym już wygrywał w grze pojedynczej, a w deblu byli partnerami. Niestety, inteligentny i doświadczony Okker, który długo jeszcze był jego partnerem, nie chciał wziąć na siebie roli opiekuna. A warto było, ponieważ Fibak był wówczas w pierwszej piętnastce na świecie i mógł jeszcze wiele osiągnąć. Okker miał jednak inne plany prywatne. W stosunku do Fibaka nikt nie odegrał takiej roli, jaką on odegrał wkrótce wobec Lendla — roli przyjaciela, opiekuna, przewodnika po tenisie, po świecie i w życiu.

Wracając do zmarnowanej szansy, jaką mógł być Stanford, to wobec dawnych działaczy, również tych, którzy go skrzywdzili lub mieli z nim kłopoty, Fibak jest dziś wielkoduszny. I tyle osiągnął, że ze swej wysokości ogłosił amnestię. Ma doskonałą pamięć, zwłaszcza w swoich sprawach i jeśli odnosi się elegancko do starych działaczy, to nie dlatego, że zapomniał, ale ponieważ wybaczył. Jest dobrze wychowany i potrafi przejść do porządku dziennego. Ale nie zapomniał i kilkakrotnie w rozmowach ze mną wracał do, wydawałoby się, nieważnych opinii dziennikarskich, np. jakoby grał za dużo pokazówek, co świadczy, iż te opinie głęboko zapadły mu w pamięci. Na krytykę jest Fibak wyczulony, nie przepada za nią, jak każdy. Działaczom wybaczył, ponieważ jest zdania, iż robili swoje, działali tak jak się wówczas działało, udzielali się społecznie, poświęcali się dla tenisa i to jest najważniejsze. Tak mi mówił leżąc na leżaku, na pięknej murawie, obok prywatnego kortu swojego przyjaciela Janisa w Greenwich i stać go dzisiaj na tę wielkoduszność.

Inżynier Olszowski w Warszawie jest jednak bardziej dokładny w tym, co myśli o Fibaku. Podziwia go, ale nie bez zastrzeżeń. — Dwa razy mógł wygrać turniej w Wimbledonie — mówi, miał szanse, gdyby lepiej się przygotował, zwłaszcza na trawie, gdyby więcej pracował nad serwisem i nad siłą. Ale on jeździł do Wimbledonu nieprzygotowany, bo w tym czasie zamiast trenować — zbierał pieniądze na innych kortach. — Bzdura — mówi Fibak, gdy mu o tym wspominam. Wiadomo, że najsłabszym elementem Fibaka był serwis. Wygrywał on gemy najtrudniejsze, returnowe, kiedy trzeba było odbierać silne podania przeciwników, a wtedy dominowała już gra serwis — wolej. Czyli to, co najtrudniejsze — przełamanie serwisu przeciwnika. Wojtek opanował, a swój serwis zaniedbał. Drugie to kondycja, która nie była jego mocną stroną. Kiedy miał już trochę oszczędności, jak na polskie stosunki był urządzony, trzeba było doskonalić grę, a nie zbierać pieniądze na różnych kortach. To samo było — mówi — kiedy stał później wobec wyboru: zagrać w barwach narodowych czy w barwach finansowych.

— Olszowski plecie bzdury, również życzliwi, rozsądni ludzie mylą się w tej sprawie — wyjaśnia Fibak. Przed wielkimi turniejami byłem zawsze zdyscyplinowany i poważny. Trenowałem bardzo dużo i chętnie. Żadne pokazówki nie były mi w głowie. Grałem w turniejach WCT i Grand Prix dla samej przyjemności tenisa, dla satysfakcji wygrywania, żeby zbierać punkty potrzebne do klasyfikacji. Lubiłem grać o coś, o finał. Podejmowałem każde kolejne wyzwanie jakim był nowy turniej, nowy przeciwnik, nowy kort, nowe piłki, nowy kraj i miasto. To lubiłem. Natomiast pokazówki, gwarantowane sumy i mecze z góry ukartowane mnie nudziły. Dell i inni namawiali mnie bym grał pokazówki na wszystkich kontynentach. Za każdy występ dostałbym kolosalne, gwarantowane pieniądze, pewne i wyższe od niepewnych nagród. A mimo to wybierałem turnieje. Z czołowej dwudziestki zawodników na świecie przez dziesięć lat rozegrałem najmniej pokazówek, zaledwie kilka. I nie to było przyczyną, że nie wygrałem więcej w Wimbledonie, tylko raczej brak siły serwisu oraz pewnego automatyzmu gry na szybkiej nawierzchni. To mściły się zmarnowane możliwości, najpierw niedoszły wyjazd do Stanfordu, a później brak trenera.

JAKI PAN MA INTERES, ŻEBY PRACOWAĆ ZA GROSZE?

Kiedy Fibak miał osiemnaście lat — wspomina ówczesny prezes PZT — jechaliśmy pociągiem na mistrzostwa Europy amatorów do Pesaro. Podróż była długa, inni już spali, a prezes z Fibakiem jeszcze rozmawiali (obaj są rozmowni). — Jaki pan ma interes — zapytał mnie Wojtek — żeby pracować za grosze jako inżynier i społecznie być prezesem? Pan powinien być menedżerem tenisowym na Zachodzie — dodał.

To jest dla mojego rozmówcy przykład, jak od wczesnej młodości Fibak myślał kategoriami przedsiębiorcy. Miał zakodowany trzeźwy sposób myślenia, umiał liczyć zanim umiał pisać. Pieniądze zajmują wysokie miejsce w jego hierarchii wartości i zainteresowań. Poznańska mentalność, którą mój rozmówca charakteryzuje ruchem dłoni symbolizującym liczenie banknotów.

Andrzej Jucewicz, późniejszy prezes PZT jest również tego zdania. Chociaż jego stosunki z Fibakiem układały się nienagannie, również on podkreśla jego wielki zmysł i zainteresowanie pieniędzmi. Jucewicz, podobnie jak Olszowski, wyraża przekonanie, że Fibak mając do wyboru zarobek albo trening i wynik sportowy zbyt często wybierał to pierwsze. Wolał pewny zarobek od niepewnego sukcesu. W rozmowie ze mną Fibak odrzucił spekulacje „co by było, gdyby", skupił się bardziej na tenisie. Jucewicz nie ma wątpliwości, że sukcesy tenisowe Fibaka byłyby większe. Wspomina jak towarzyszył polskiemu tenisiście w Wimbledonie. Było to kilka chwil po przegranym meczu. Jeszcze ociekał potem, jeszcze złakniony gasił pragnienie, a już dookoła niego stało kilku panów i z żadnym nie rozmawiał o grze — ze wszystkimi o interesach. Zaraz po zejściu z kortu prędko dochodził w nim do głosu biznesmen i zagłuszał sportowca. Innym razem, gdy Jucewicz i Jan Wejchert (wówczas dyrektor firmy polonijnej Konsuprod) mieli omawiać z Fibakiem interesy, ten ostatni zaprosił ich do SPATiF.

— Wojtek — wspomina Jucewicz „dla charakterystyki Fibaka" — wyszedł jednak pierwszy i zapomniał zapłacić. Od siebie mogę dodać, że obecnie jest odwrotnie i byłem wraz z Fibakiem i jego żoną Ewą, zaproszony przez jednego z ich przyjaciół do kosztownej włoskiej restauracji na V Avenue w Nowym Jorku. Gdy przyszło do płacenia, nasz „gospodarz" bez zmrużenia oka pozwolił, by Fibak uiścił rachunek nie tylko za naszą trójkę, ale również za niego i jego panienkę — skądinąd atrakcyjną modelkę. Był to rachunek o wiele wyższy od tych, jakie płaci się (lub nie) w SPATiF-ie. Wejchert potwierdza jednak opinię Jucewicza. — Moim zdaniem przybyły do Warszawy sportowiec, jeśli spotyka się z prezesem PZT Jucewiczem i ówczesnym dyrektorem Konsuprodu Wejchertem, na ich terenie, nie ma obowiązku płacić i fundować jak panience. W tym okresie Fibak pożyczył Wejchertowi na Konsuprod sto tysięcy marek na dwa lata bez odsetek. Inwalida z Australii, który zdeponował u Fibaka w Paryżu swoje sto tysięcy dolarów, otrzymał od niego dużo lepsze warunki.

Na kortach old boy Olszowski potrafi niespodziewanie skrócić piłkę. W rozmowie również operuje skrótem. Skrót, zarówno w tenisie jak w rozmowie, jest bronią obosieczną, o czym wie każdy tenisista. Za krótki — ląduje w siatce. Za długi — pozwala przeciwnikowi, jeśli dobiegnie, znaleźć się w bardzo dogodnej pozycji. To samo w rozmowie. Dlatego inżynier Olszowski przyznaje, że nie jest człowiekiem łatwym. Mówiąc delikatnie — trudno spotkać kogoś, kto by temu zaprzeczył.

W sporcie trudno jest być aniołem i niewielu tam jest działaczy, którzy przypominają lordów angielskich. W boksie na przykład, działają co prawda często ludzie prości, bardziej bezpretensjonalni, ale za to mniej łasi na pieniądze i apanaże. Całe ich życie to hak, prosty, kontra i unik. Pieniędzy przy tym mało, a wyjazdów tyle co nic. W tenisie natomiast tu sprzęt można sprzedać, tam pojechać, gdzie indziej ulokować swoje dziecko. Pod tym względem PZT bardziej przypomina środowisko łyżwiarstwa figurowego, gdzie ten i ów myśli, jakby urządzić swoje dziecko w dobrej rewii na lodzie, żeby ślizgało się za prawdziwe pieniądze.

Środowisko też jest niełatwe. Mecenas Jerzy Lewiński, zasłużony prezes sekcji tenisowej CWKS Legia, który ciągle gra, mimo że jest już po siedemdziesiątce, opowiada, że nigdy nie najadł się tylu nieprzyjemności co w tenisie, chociaż był w swoim długim życiu nawet

prezesem Związku Sądowników, szefem Kinematografii i często stawał jako adwokat przed sądem. Legendarną postacią w powojennym tenisie polskim był Władysław Skonecki — jeden z najlepszych w Polsce i swojego czasu w Europie. Po meczu w Szwajcarii o Puchar Davisa, Skonecki pozostał na Zachodzie, mimo że towarzyszący wówczas ekipie prezes PZT usiłował temu za wszelką cenę zapobiec i pojechał nawet za nim do Paryża, gdzie ten chciał grać bez pozwolenia (!) w międzynarodowych mistrzostwach Francji, co wówczas było w Polsce nie do pomyślenia. Skonecki bardzo różnił się od Fibaka — był hazardzistą, bon vivant, nie stronił od kart, kobiet i kieliszka, był bohaterem różnych anegdot i zakładów, umiał dla hecy lub pieniędzy grać w tenisa nawet butelką. Jego kariera przypadła na okres, gdy tenis nie był tak skomercjalizowany jak obecnie, na Zachodzie był Skonecki raz na wozie raz pod wozem. Był ogólnie lubiany ze względu na swój tenis i fantazję.

Kiedyś Władysław Skonecki grał w Szczecinie w finale mistrzostw Polski z Andrzejem Licisem. Wyjechał z hotelu samochodem na mecz trochę wcześniej, żeby się rozgrzać, chociaż bardzo tego nie lubił. (Krążyły opowieści o tym, że chętniej rozgrzewał się w szatni w damskim towarzystwie.) Pół godziny później ruszyli samochodem Jerzy Lewiński — prezes sekcji Legii, której członkiem był Skonecki, oraz Ksawery Tłoczyński. Po drodze widzą jakieś zajście samochodowe na ulicy; Skonecki, jego samochód, tramwaj, zbiegowisko. Co jest? — pyta Lewiński, swoim charakterystycznym akcentem, godnym pióra Izaaka Singera, a nie mojego. Nic, mówi Skonecki, ale mnie chodzi o pryncesy. — Jakie pryncesy? — dziwi się Lewiński, który mi tę anegdotę opowiadał po latach. Tłoczyński, który dobrze rozumiał swoisty język Skoneckiego, przetłumaczył Lewińskiemu, że nie chodzi o pryncesy, tylko o pryncypia, a konkretnie o to, kto miał pierwszeństwo na jezdni — samochód czy tramwaj. W każdym razie dojechali na korty i tam pryncesy zdobył Licis wygrywając w pięciu setach mistrzostwo Polski.

Olszowskiemu nie udało się zawrócić na właściwą drogę ani Skoneckiego, ani Fibaka. Być może nie była to właściwa droga.

Kiedy ktoś powiada, że jak na polskie stosunki Fibak był urządzony i nie musiał gorączkowo zarabiać, to nie docenia jego aspiracji. Fibaka „nie urządza być urządzonym" na polskie stosunki. Jego interesowało o wiele więcej, również w sensie finansowym.

Człowiek, który robi karierę, staje — świadomie lub nie — wobec wyboru: być czy mieć. Normalna kolej rzeczy wśród inteligencji polega na tym, że najpierw jest się wynalazcą, konstruktorem, adwokatem czy lekarzem i w oparciu o to „być" — buduje się „mieć", rośnie materialny dorobek życia — samochód, mieszkanie, działka. Najpierw zostaje się cenionym fachowcem, później ta ocena daje się przeliczyć na pieniądze. Najpierw się jest — a później się ma. Pomijam ludzi skupionych wyłącznie na zarabianiu, dla których pieniądze są celem ostatecznym i mnożą je bez końca po to, żeby mieć, mieć i jeszcze raz mieć. U Fibaka kolejność jest odwrotna — zaistniał on jako sportowiec, co w polskich warunkach nie kojarzyło się z dużymi pieniędzmi. Owszem, kolarz Królak miał szklarnie, bokser Kulej restaurację, ale to było później, po karierze sportowej. Fibak, jako pierwszy polski zawodowiec sportowy na tę skalę, zaistniał przez sport i pieniądze. Z biegiem lat odczuł potrzebę, żeby nie tylko mieć — sukces i bogactwo — ale i być. Na solidnym fundamencie pieniężnym zaczął budować pałacyk swojej osobowości.

Przebijanie się Fibaka przez rygory sportu państwowo-amatorskiego, na Zachód, do tenisa i do biznesu sportowego, przypadły w Polsce na lata siedemdziesiąte, kiedy prezesem PZT był Mieczysław Borowy. W odróżnieniu od wielu działaczy, Borowy nie urodził się na kortach, uprawiał sport rekreacyjnie, po amatorsku, grywał na Legii, skąd wspomina mile Janka Radzio, Bronka Lewandowskiego, Tadka Nowickiego, Adama Mincberga, no i oczywiście wieloletniego przewodniczącego komisji rewizyjnej PZT, również za czasów Borowego mecenasa Jerzego Lewińskiego.

STARE METODY I NOWA RZECZYWISTOŚĆ

Mieczysław Borowy, z którym rozmawiamy w jego gabinecie prezesa TKKF w Warszawie, nie ukrywa jak trafił do Polskiego Związku Tenisowego i został prezesem. Na początku lat siedemdziesiątych był działaczem ZMS. Na czele tej organizacji stał wówczas Andrzej Żabiński, wschodząca gwiazda polityczna ze stajni gierkowskiej, już członek KC partii, późniejszy I sekretarz w Katowicach. Żabiński, Witold Dłużniak — ówczesny pracownik KC, później prezes Polskiego Związku Kolarskiego, aktywista ZMS Borowy, związany z nimi Stanisław Nowosielski — wtedy kierownik Wydziału Sportu w Zarządzie Głównym Związku Młodzieży Polskiej, później prezes Polskiej Federacji Sportu, po jej likwidacji został przedstawicielem Orbisu w ZSRR („poszedł na Orbis do Moskwy"), postanowili obstawić sport swoimi ludźmi. Pasowało to do klimatu lat siedemdziesiątych — dostatek, rekreacja, sport i brak zahamowań w braniu tego, co atrakcyjne.



MIECZYSŁAW BOROWY

— Doszliśmy do wniosku, wspomina Borowy — że trzeba wesprzeć działaczy w związkach sportowych, gdyż — jak się wyraził — „jest tam constans od roku 1947". Starzy powojenni działacze wymagali podobno pomocy i dopływu świeżej krwi. Aktyw polityczno-młodzieżowy postanowił skierować tam swoich ludzi, niech się uczą przy starych i wniosą powiew młodości. — Było bardzo trudno rozmawiać ze związkami — przyznaje Borowy — wobec tego uknuliśmy w cudzysłowie „komisarzy", niby nic nowego, ale w polskich warunkach coś nowego, mianowicie funkcje wiceprezesa ideowo-wychowywczego, żeby przez tę furtkę wejść do związków, bo kto odda dobrowolnie prezesurę. Nikt nie oddawał, nie? Tak skierowaliśmy wielu ludzi, czasami przyjmowano ich z otwartymi ramionami. Jurek Dachowski, którego skierowaliśmy do ping-ponga po jednej kadencji jako wiceprezes i ideowo-wychowawczy, został wybrany prezesem i jest nim do dzisiaj, to pod jego kierownictwem polscy pingpongiści odnieśli największe sukcesy.

Andrzej Majkowski poszedł wtedy do lekkiej atletyki, Romański, później Tadzio Sąsarz do piłki siatkowej, Dłużniak został prezesem — wszyscy oni mieli w rodowodzie ZMS. Tak Borowy trafił do PZT. Grałem niegdyś na Legii, mecenas Lewiński mówi: „a dlaczego ty, Mietek, nie miałbyś być prezesem?" i Borowy został. Bał się, że jego poprzednik, Olszowski, który całe życie tkwił w tenisie i jeszcze przez rok pozostał wiceprezesem, „wpuści go w maliny", ale tak się nie stało. Zamiast żeby rozliczono prezesa — rozliczono wiceprezesa i Olszowski zrezygnował. Borowy wziął sobie na wiceprezesa i ideowo-wychowawczego Czesława Pilarza wówczas jak i dziś pracownika KC PZPR (obecnie na stanowisku zastępcy kierownika Wydziału Ogólnego), często gra na Legii, jeden z „katorżników tenisa". Tak więc to, co zaczęło się jako inicjatywy Komisji Sportu ZG ZMS, którym kierował Żabiński, zostało zrealizowane. Komisja wystąpiła do Polskiej Federacji Sportu (Nowosielski) z imienną listą około trzydziestu działaczy, których należałoby skierować do związków sportowych. Inicjatywa ta cieszyła się poparciem KC (Dłużniak).

W ten sposób spotkali się w życiu tenisowym polityczny komisarz Borowy, który przybył z zadaniem krzewienia pracy ideowo-wychowawczej zgodnie z zasadami socjalistycznego pojmowania sportu oraz Wojtek Fibak — przedstawiciel nowych realiów tenisowych, który wcielał w życie odmienne pojmowanie sportu. Tak oto zetknęły się dwa światy, świat działaczy młodzieżowych, partyjnych i państwowych oraz świat zawodowego sportu, który coraz częściej trafiał przez kieszeń do umysłów polskiej kultury fizycznej. Zetknięcie z Fibakiem, Nowickim, Niedźwiedzkim i innymi, ocenia dziś Borowy jako swoją największą przygodę. (W tym miejscu nie od rzeczy będzie uzupełnić, że wszyscy trzej tenisiści są dziś z rodzinami na stałe za granicą, co wyjaśnia wiele jeśli chodzi o poziom tenisa w Polsce. W kraju pozostają działacze, którzy za granicą nie mają czego szukać, a w Polsce umieją działać, ale nie umieją grać.) Borowy z rozrzewnieniem wspomina za swojej kadencji mecz Polaków ze Szwedami (Borg!) czy z Węgrami, kiedy Fibak wygrał dramatyczny pojedynek z Taroczym i pierwsze tenisowe mistrzostwa Europy we Wrocławiu, gdy na szerokie wody wypłynęła Navratilova. To były najlepsze czasy polskiego tenisa. Były, ale minęły.

Wtedy wydarzył się następujący incydent. Jak co roku Polacy mieli jechać na turniej do Soczi, dokąd jeżdżą po dziś dzień, gdyż ta impreza figuruje w kalendarzu PZT, zatwierdzonym przez GKKFiT. Fibak figurował w składzie polskiej ekipy. Paszporty i bilety były gotowe, tylko Wojtka nie było, ani nie dzwonił, ani nie zapowiedział nieobecności. Wielka konsternacja, bo to przecież wyjazd do ZSRR. Wkrótce Borowy i Związek dowiedzieli się, że Fibak jest w Barcelonie i Madrycie, gdzie osiągnął wspaniałe wyniki — ale niestety na przeciwległym krańcu Europy. Zwołano Zarząd, na którym rozszalała się burza mózgów. Lewa półkula mówiła: Jak to? Co to? Nie pojechał do Związku Radzieckiego? Siedzi w Hiszpanii bez zgody Związku (tenisowego). Tutaj są straty! To jest działanie niewychowawcze! Zawiesić — powiesić! Na to prawa półkula odpowiadała, że to pierwszy polski tenisista, który odniósł taki sukces od czasu Skoneckiego i tenisistów powojennych. Co tam Soczi — kiedy świat mówi o Barcelonie! W Soczi nigdy by Fibak nie wygrał z Ashem ani z żadnym czołowym tenisistą zawodowym, bo oni tam nie grają. Liczą się punkty, które zdobył w klasyfikacji światowej. Trzeba z nim porozmawiać wychowawczo, a nie od razu po łbie, bo jak po łbie, to można by go stracić, tak jak Czechosłowacy stracili Navratilovą, Lendla, gonią go z tą służbą wojskową, jak gdyby ich armia nie mogła obyć się bez jednego żołnierza.

Borowy zwlekał z decyzją, lawirował, radził się „co zrobić z tym tematem" ludzi bardzo wysoko postawionych. Jeden z nich powiedział: „Mietek, zrobisz jak chcesz, tego nie możesz puścić płazem, ale z drugiej strony Fibak to przyszłość tenisa". Wojtek wrócił i ciężka była z nim rozmowa. Było po sukcesie. Pojechał, bo miał zaproszenie, paszport, a gdyby coś powiedział, „to byśmy mu zablokowali paszport" — przyznaje Borowy. Deliberowano długo. Nie wolno łamać kariery — to fakt, ale postąpił niewłaściwie, powinien był powiedzieć, że nie pojedzie do Soczi, bo jest chory, chociaż szczerze powiedzieć, że wybiera się do Hiszpanii nie mógł, bo „przeszkodziliśmy mu w tym temacie". Po wielkich dyskusjach podjęto decyzję salomonową — niefortunną, jak przyznaje Borowy — ukarano Fibaka z zawieszeniem, żeby mógł dalej grać. Wilk był syty i owca cała. W liście do prof. Jana Fibaka, Borowy pisał: *...poczyniłem wiele starań, ale była to jedyna kara jaką GKKFiT i MSW podejmuje w stosunku do naszych czołowych zawodników (groził im zakaz wyjazdu na okres 6 miesięcy).*

A jak te sprawy widział Fibak? Otóż całkiem inaczej. — Nie było żadnego Soczi jesienią, mówi, Soczi bywało wiosną. Był natomiast mecz w Poznaniu przeciwko słabej skądinąd Portugalii w ramach Pucharu Davisa. Wiadomo było, że Nowicki, Niedźwiedzki i ja łatwo ich ogramy. Bardzo mi zależało, żeby wystąpić w tym meczu przed własną, poznańską publicznością. Ale kapitan PZT Piątek, również poznaniak, na złość mnie, wystawił do gier pojedynczych Nowickiego i Niedźwiedzkiego, a ja miałem grać tylko debla, którego wygraliśmy.

Po wygranym meczu Niedźwiedzki i ja poprosiliśmy trenera Gąsiorka i Piątka (obaj z Poznania) o zgodę na grę w cyklu eliminacji Grand Prix na Południu Europy. Obaj odmówili. Ponownie prosiliśmy i znów bezskutecznie. Usiłował nam pomóc Golimowski — bezskutecznie. — Musicie odpocząć po Portugalii (!) — mówili Piątek i Gąsiorek. — A za dwa tygodnie zorganizujemy obóz (!) w Wałbrzychu przed rozgrywkami o Puchar Króla.

Fibak i Niedźwiedzki nie chcieli odpoczywać po łatwym meczu i zamiast perspektywy duszenia się we własnym sosie wałbrzyskim, wyrywali się do gry, w świat. Nic z tego. Fibak był rozgoryczony. On, najlepszy gracz w Poznaniu, na kortach swojej Olimpii, nie został wystawiony do gry pojedynczej. Odebrał to jako afront, jako „policzek" — mówi. Wtedy wyjechał do Madrytu, Barcelony i Teheranu. Widząc co się dzieje, Piątek i PZT przerwali obóz w Wałbrzychu i wysłali pozostałych zawodników do Wiednia, na turniej eliminacyjny, na który się... spóźnili i nie grali, tylko chodzili oglądać gry Fibaka. Ale nielegalnie, ponieważ Piątek zakazał im spotkania ze mną — wspomina Fibak. Poszedł więc Fibak sam do Piątka, do hotelu i wyraził gotowość pojechania na Puchar Króla prosto z Wiednia, ale kapitan sportowy PZT odmówił, chcąc widać dać lekcję naszemu tenisiście. Czas wkrótce pokazał, że uczeń lepiej rozumiał naturę współczesnego tenisa od nauczyciela.

Dziś Borowy jest pełen uznania dla Wojtka Fibaka i jego ojca — profesora, którzy konsekwentnie zmierzali do celu, jakim była kariera tenisowa. Fibak coraz częściej jeździł na własny koszt, coraz więcej wygrywał i ...zarabiał. Te pieniądze zaczęły budzić rosnące zainteresowanie nie tylko kibiców, ale polskich władz sportowych i finansowych.

Działacze Polskiej Federacji Sportu natychmiast wygrzebali gdzieś pisma i biuletyny tenisowe, które zamieszczają informacje o wynikach, wysokości nagród i dochodów. — To, że dziś Wojtek uznaje się za Polaka i nie popełnił żadnej głupoty, jest także zasługą kilku osób w kraju — mówi Borowy. Najpierw chciano, żeby Wojtek oddawał jedną czwartą swoich wygranych. To były dramatyczne rozmowy w Federacji, których Wojtek w ogóle nie chciał prowadzić. Wskazywał, że ponosi koszty zawsze, a wygrywa tylko niekiedy, płaci za bilety lotnicze, hotele itp. To oni na to, żeby gromadził rachunki za hotele, na co on, że nie będzie prowadził biura i bawił się w księgowego. To była główna kość niezgody z Navratilovą, która m.in. z tego powodu rozstała się z Czechosłowacją. Polscy działacze okazali więcej umiaru. Borowy przekonywał wicemjnistra finansów, a sekretarz generalny PZT, nieżyjący dziś Zdzisław Bill, wszystko skrzętnie notował. Fibak tłumaczył, że on nie będzie mieszkał w hotelach za piętnaście dolarów jak na delegacji, bo musi odpoczywać i regenerować się w dobrych warunkach i że taka dyscyplina finansowa oraz 25 procent daniny mu nie odpowiada. Stawiał sprawę na ostrzu noża, gdy Polska Federacja Sportu dotykała go w czułe miejsce. Gdyby Federacja, GKKF lub ministerstwo nie ustąpiły i powiedziały: albo 25 procent, albo nie ma wyjazdów, to Fibaka byśmy stracili — mówi Borowy. — Skończyło się dobrze. Wojtek był zawsze fair, nawet w trudnych męskich rozmowach, a Staś Nowosielski bardzo pomógł nam. Początkowo Wojtek dostarczał tyle sprzętu ile mógł, a potem ustaliliśmy ryczałt 10 tys. dolarów rocznie, z którego Fibak się wywiązywał, z czasem zmniejszył go do 5 tysięcy. Za moich czasów wywiązywał się z każdej naszej prośby, grał w Pucharze Davisa, gdzie poprosiliśmy — tam był, przyjeżdżał na własny koszt. Ponadto, już społecznie, z własnej inicjatywy, pomagał zawodniczkom i zawodnikom za granicą i robi to do dziś. Wtedy, to był dopiero początek — nie wiadomo było czy i ile Fibak zarobi, raz wygrał, raz przegrał, raz odpadł raz przeszedł i niezbyt wiedziano co robić z nim, a przede wszystkim z jego dochodami. Dzięki ryczałtowi udało się załatwić sprawę.

W czerwcu 1976 roku Borowy z ramienia Wydziału Zagranicznego KC został wysłany na posadę I sekretarza organizacji partyjnej na polskich budowach eksportowych w Czechosłowacji i zaczęły się poszukiwania nowego prezesa PZT. Został nim Andrzej Jucewicz, szef sportu w telewizji, postać bardziej chyba związana z ówczesnymi szefami propagandy niż z tenisem. Niektórym ta kandydatura wydała się słuszna, gdyż Jucewicz był mocnym człowiekiem, blisko prezesa telewizji, Macieja Szczepańskiego i aparatu, mógł pomóc tenisowi. Działacze, którzy całe życie poświęcają dla tenisa, ale nie mają wystarczającej pozycji, szukają kogoś, kto ma tzw. dojścia i możliwości większe od nich. Oni dadzą argumenty, a on ma otworzyć drzwi, przekazać je wyżej. Takim człowiekiem wydał się Jucewicz, który dysponował telewizją i wstępem do KC. Jednak później po sierpniu zniknął wraz z częścią kadry Łukaszewicza i Szczepańskiego. Również obecny prezes PZT, Garbaczewski, reprezentuje atuty potrzebne tenisowi. Jako dyrektor Centralnego Ośrodka Sportu jest dysponentem wielu środków materialnych, w tym również dewizowych, od sprzętu i inwestycji, po miejsca w ośrodkach nawet wczasowych, nic więc dziwnego, że taki człowiek wydawał się bardziej na miejscu niż redaktor z epoki dynamicznego sukcesu.

Dla Fibaka nie miało to jednak większego znaczenia. Był już gwiazdą tenisa światowego, która świeciła własnym blaskiem, niezależnie od tego, kto jest prezesem w Warszawie i jaką uprawia politykę. Warszawa jest na Wschód od Poznania — Fibaka interesował Zachód. Teraz po latach mówi, że prezesów pamięta ledwo-ledwo, albo wcale! Przy próbie identyfikacji, nie rozpoznałby Borowego za żadną cenę, Jucewicza być może, a Olszowskiego pamięta głównie jako dziwaka, który do dziś zamęcza jego rodzinę listami. ■

CDN.

DANIEL PASSENT

HENRI LECONTE



VU PAR WOJTEK FIBAK

Quelles sont ses forces ? Ses faiblesses ? Quel est son schéma de jeu ? Quelle tactique doit-on employer contre lui (ou elle) ? Que peut-on penser de ses aptitudes physiques et mentales ? C'est en somme l'analyse du jeu du champion (ou de la championne) « élu » en poster de Tennis Magazine que nous vous proposons maintenant. Démarche délicate. A laquelle nous avons souhaité associer un nouveau collaborateur, le Polonais Wojtek Fibak. A 36 ans, au terme d'une carrière exemplaire de plus de 15 ans qui l'a vu remporter 15 tournois en simple et 48 en double, qui l'a aussi vu conseiller Lendl (et maintenant Leconte), Fibak est surtout considéré dans le monde comme l'un des observateurs les plus avisés du tennis. Il connaît bien — pour les avoir souvent affrontés — les champions dont il parle. Ses opinions vont parfois à contre-courant de quelques idées reçues. Un regard neuf et enrichissant, doublé des grandes lignes du palmarès, telle se veut être la formule de notre « dos » de poster, consacrée ici à Henri Leconte.



Né le 4 juillet 1963 à Lillers

Son palmarès

GRAND CHELEM

Australian Open
1985 : *1/8 de finaliste (p.c. McEnroe).* ***1988 :*** *3e tour (p.c. Witsken).*

Roland-Garros
1980 : *1er tour (p.c. Simonsson).* ***1981 :*** *1er tour (p.c. Bengoechea).* ***1982 :*** *1er tour (p.c. McNamara).* ***1983 :*** *2e tour (p.c. Higueras).* ***1984 :*** *2e tour (p.c. McNamee).* ***1985 :*** *1/4 de finaliste (p.c. Wilander).* ***1986 :*** *1/2 finaliste (p.c. Pernfors).* ***1987 :*** *1er tour (p.c. Osterthun).* ***1988 :*** *finaliste (p.c. Wilander).*

Wimbledon
1981 : *2e tour (p.c. Wilander).* ***1982 :*** *1er tour (p.c. Tanner).* ***1983 :*** *2e tour (p.c. Van't Hof).* ***1985 :*** *1/4 de finaliste (p.c. Becker).* ***1986 :*** *1/2 finaliste (p.c. Becker).* ***1987 :*** *1/4 de finaliste (p.c. Lendl).* ***1988 :*** *1/8 de finaliste (p.c. Mayotte).*

U.S. Open
1982 : *1er tour (p.c. Denton).* ***1984 :*** *3e tour (p.c. Connors).* ***1985 :*** *1/8 de finaliste (p.c. Gunthardt).* ***1986 :*** *1/4 de finaliste (p.c. Lendl).* ***1987 :*** *1/8 de finaliste (p.c. Connors).*

VICTOIRES

au 25 juillet (7)
1982 : *Stockholm (b. Wilander).* ***1984 :*** *Stuttgart (b. G. Mayer).* ***1985 :*** *Nice (b. Pecci), Sydney NSW (b. Evernden).* ***1986 :*** *Genève (b. Tulasne), Hambourg (b. Mecir).* ***1988 :*** *Nice (b. Carlsson).*

FINALES

au 25 juillet (6)
1983 : *Kitzbuhel (p.c. Vilas), Sydney indoor (p.c. McEnroe).* ***1984 :*** *Memphis (p.c. Connors).* ***1985 :*** *Sydney indoor (p.c. Lendl).* ***1986 :*** *Bristol (p.c. V. Amritraj).* ***1988 :*** *Hambourg (p.c. Carlsson).*

Tous ceux qui connaissent et aiment le tennis ne peuvent être indifférents à Henri Leconte. Sa manière de trapper la balle, sa capacité à jouer des coups extraordinaires, à prendre tous les risques, en font l'un des joueurs les plus spectaculaires, mais aussi l'un des derniers stylistes du jeu. Partout dans le monde, Henri suscite admiration et sympathie. Tant par son tennis que par sa personnalité, empreinte de cette « French touch », ce cachet français qui est partout synonyme de brillant, d'enthousiasme, d'inspiration et de qualité. Progressivement Henri Leconte affirme son tennis et son style. ***W.F.***

Points forts

Le revers.

Henri fait de ce coup ce qu'il veut, d'une manière naturelle. Qu'il le joue à plat, slicé ou lifté il **frappe** toujours la balle. En fond de court, que ce soit dans l'échange, en passing ou en retour, son revers fait penser à celui de Rod Laver. Mais Henri, de ce côté, est tout aussi à l'aise au filet.

La volée de revers.

A la volée, le revers d'Henri évoquerait plutôt, cette fois, McEnroe. Il est toujours bien placé sur ce coup. Son attitude générale (main, bras, poignet, tête, œil) est excellente. Il peut aussi bien frapper cette volée de revers que la « glisser » ou encore l'amortir...

Le service.

Plus varié que puissant, son service est spontané, mais aussi très technique. Henri peut le slicer, lui donner du « kick » ou du lift. Son engagement de gaucher est gênant pour l'adversaire. Quand il est dans le rythme, Henri sait utiliser tout le poids de son corps, au lieu de se servir exclusivement de l'ensemble bras-poignet-main.

Le coup droit.

Encore un coup très naturel chez Leconte et sur lequel il prend beaucoup de risques, quand il le trappe à plat. Mais il peut aussi avec la même aisance et plus de sécurité le lifter pour s'ouvrir le court.

Le retour de service.

Efficace, il l'est surtout quand Henri entre dans le court pour trapper le retour balle montante comme Becker. Il sait le faire des deux côtés (coup droit et revers) et retourner aussi bien croisé que le long de la ligne.

Points faibles

Henri n'a, techniquement parlant, pas de vrais points faibles. Il sait et peut tout faire — à l'image de McEnroe — et c'est pourquoi certains parlent de lui comme d'un « génie » du tennis. Mais qu'il se sente moins en confiance, que son physique ne soit pas au point, que sa santé soit perturbée et ses points forts peuvent devenir... des faiblesses ! Et dans ces moments-là, c'est tout son jeu, dans tous les domaines, qui se trouve frappé d'irrégularité. Il y a là pour Henri comme une sorte de tribut à payer à un talent hors du commun.

Tactique

Henri commence maintenant à utiliser son talent au maximum. Il peut trapper des coups gagnants dans n'importe quelle situation mais il sait aussi attendre que l'ouverture se présente. Cette année il a retrouvé sur terre batue — surface naturelle pour lui — son meilleur sens tactique. En revanche, sur gazon, il n'a pas été cette saison à 100 % de sa concentration en partie en raison de son parcours à Roland-Garros. Le problème d'Henri sur cette surface est un peu, dans une certaine mesure celui de Yannick Noah. Il a parfois du mal à s'enfermer dans le système rigoureux et systématique du service-volée, (Smith et Newcombe y excellaient naguère, et aujourd'hui Mayotte) système qui finit par lui paraître, compte tenu de la richesse et de la variété de son jeu, une épreuve monocorde et ennuyeuse. Mais l'on sait que techniquement et tactiquement, Henri peut bien jouer sur toutes les surfaces. Y compris en « indoor », sur moquette, où il a fait de gros progrès, comme l'avait montré sa victoire sur Cash à Bercy fin 87.

Pour jouer contre lui

Chers amis lecteurs, je ne suis pas le mieux placé pour répondre à cette question. Pas tellement parce que je suis son conseiller, mais parce que les trois dernières fois que j'ai joué contre lui dans un tournoi du Grand Prix — à Vienne, Stockholm et Memphis — j'ai mené 4-1 au 3e set... et j'ai perdu trois fois 6-4 !

Physique

Hélas pour lui, les dernières saisons de Leconte ont été contrariées par divers problèmes d'ordre physique : hernie discale, mononucléose... Par son organisme Henri est obligé de travailler beaucoup plus qu'un autre pour être au sommet de sa forme physique. Il s'y emploie maintenant : gymnastique, vélo, régime alimentaire etc... Il ne sera jamais un « athlète naturel pour le tennis » comme Borg ou Wilander qui pourraient jouer 4 heures de suite si on les tirait du lit à 3 heures du matin. Mais il devrait tout de même parvenir à rivaliser, physiquement, avec les meilleurs grâce à des qualités qui, elles, sont naturelles chez lui : la force et la puissance qui sont contenues dans son bras gauche.

Mental

Henri est par nature enthousiaste, gai, jovial, et spontané. Comme pourrait l'être un enfant. Quand quelque chose ne fonctionne pas bien, il en tire toujours du positif. Ce sont des atouts sur le plan mental. Mais Henri sait aussi maintenant assimiler les critiques constructives, dont tout champion a besoin pour progresser. Il sait tirer les vraies leçons de certains échecs. Il est en train de se stabiliser, de « devenir un homme » comme je l'ai dit lors du dernier Roland-Garros.

„Przegląd Tygodniowy" wrzesień 88

„DLA SZTUKI"

Wojciech Fibak podjął nową inicjatywę jako mecenas malarstwa.

Janusz Miliszkiewicz

LATEM 1987 roku rozpoczął się nowy rozdział w życiu kolekcjonera malarstwa — Wojciecha Fibaka. Wtedy właśnie w Nowym Jorku ukazał się pierwszy numer kwartalnika „Pro Arte" poświęconego polskiej sztuce poza krajem, wydawanego przez Ewę i Wojciecha Fibaków. Dziś, kiedy dotarły do kraju trzy numery (czwarty w drodze), kiedy zamiar okazał się przedsięwzięciem trwałym, warto sprawę odnotować. Zwłaszcza że nasza prasa przeoczyła ukazanie się „Pro Arte".

Kolejne numery czasopisma dają pewne wyobrażenie o zakresie zainteresowań W. Fibaka, zawierają bowiem reprodukcje obrazów z jego kolekcji. Nie wiem dlaczego Fibak uchodzi za kolekcjonera obrazów Wojciecha Kossaka... Być może decyduje o tym jakiś stereotyp społeczny, zgodnie z którym patriotyzm bogatego Polaka powinien uzewnętrzniać się w gromadzeniu wizerunków ułana, konia i dziewczyny. Od malarskiej produkcji Kossaka Fibak odciął się w wywiadzie udzielonym jednemu z kanadyjskich czasopism. Rozmowę tę, chyba nie bez złośliwych intencji, przedrukował stołeczny „Sportowiec", inspirując czytelników do dyskusji o postawie Fibaka, który ośmielił się skrytykować nasze dziewiętnastowieczne malarstwo i zaściankowe zainteresowania ówczesnych kolekcjonerów, którzy zamiast obrazów Cezanne'a, kupowali kicze p. Matejki.

W kolejnych numerach „Pro Arte" znajdujemy reprodukcje pochodzących z kolekcji Ewy i Wojciecha Fibaków obrazów Eugeniusza Zaka, Zygmunta Menkesa, Rajmunda Kanelby, Gustawa Gwozdeckiego. Fibak wysoko ceni sztukę Tadeusza Makowskiego (kilkadziesiąt pozycji w zbiorze) oraz Władysława Ślewińskiego. Jest w tym zbiorze też sporo płócien np. Piotra Michałowskiego, Leopolda Gottlieba, Józefa Pankiewicza, Eugeniusza Eibischa, Stanisława Eleszkiewicza, Romana Kramsztyka, Mojżesza Kislinga, Henryka Haydena, Alicji Halickiej. W sumie kolekcja liczy kilkaset dzieł polskich malarzy, którzy na przełomie XIX i XX stulecia lub później wyemigrowali z kraju. Są to obrazy kupowane na Zachodzie, nie zaś szmuglowane z Polski, jak sugerują niektórzy rodacy.

Kiedy w listopadzie ubiegłego roku z Ewą i Wojciechem Fibakami zwiedzaliśmy magazyny malarstwa stołecznego Muzeum Narodowego, Fibak najchętniej zatrzymywał się przy obrazach Boznańskiej, Ślewińskiego, Makowskiego. Później odwiedziliśmy galerię malarstwa Żydowskiego Instytutu Historycznego, skąd Fibak wyszedł nieco zawiedziony, sądził bowiem, że jest ona zasobniejsza w dorobek artystów, których dzieła ceni i zbiera. Pod koniec ubiegłorocznego spotkania po raz kolejny przeglądałem portfolio z fotografiami obrazów z kolekcji Fibaków. Utkwił mi wtedy w pamięci świetny obraz Tadeusza Kantora zakupiony, o ile mnie pamięć nie myli, w nowojorskiej firmie Sotheby.

Powróćmy do „Pro Arte". Pismo to jest wyjątkowo udanym przykładem zespolenia treści i formy. Odbiorcami kwartalnika są koneserzy sztuki, dla których nieobojętny jest układ graficzny i typograficzny tego, co czytają. Format 240 na 300 mm, 50 stron luksusowego papieru z filigranami, ręczna oprawa, wyklejki zdolne oszołomić wytrawnego bibliofila. W każdym numerze oryginalne grafiki sygnowane przez autora, naklejone na karton kolorem odpowiadającym graficznej odbitce. Dwuszpaltowa kolumna druku, jedna szpalta przedstawia tekst polski, druga powtarza to samo po angielsku. Już sam nakład — ekskluzywna numerowanych egzemplarzy — charakteryzuje odbiorców. Są nimi zazwyczaj zamożni kolekcjonerzy z USA, Skandynawii i Wielkiej Brytanii. Pismo rozchodzi się wyłącznie w subskrypcji. Na zakończenie podam, gdzie w Polsce można się starać o jego nabycie.

Lektura „Pro Arte" uświadamia istnienie ogromnej luki w naszej wiedzy o dziejach polskiego malarstwa. Mam tu na myśli wiedzę nie tylko statystycznego obywatela, ale w nie mniejszym stopniu również historyków i krytyków sztuki. Jakie skojarzenia wywołują nazwiska np. Menkesa, Kanelby, Tamary de Łempickiej? Dziesiątki nazwisk równie świetnych malarzy nie figurują w krajowych monografiach i albumach o sztuce. Chociaż artyści owi do końca swych dni deklarowali przywiązanie do Polski, często podkreślali, ile zawdzięczają swym polskim mistrzom, których wskazania zanegowali lub twórczo rozwinęli. Zatem „Pro Arte" może stać się niezastąpionym źródłem wiedzy dla naszych specjalistów mających ograniczoną możliwość podróżowania po świecie (brak dewiz!?) i zbierania materiałów źródłowych. Według słów inicjatora i redaktora „Pro Arte", słynnego nowojorskiego marszanda Zbigniewa M. Legutki, ma ono dowodzić i stale przypominać, że polska sztuka jest jedna, bez względu na to, gdzie powstaje.

Nasza nieznajomość biografii i dorobku wspomnianych artystów ma dodatkowe negatywne skutki. Tak się składa, że akurat ci artyści (np. Mela Muter, Jankiel Adler, Kisling, Louis Marcoussis) zyskali trwałe uznanie na Zachodzie. Niestety, marszandzi handlujący ich dorobkiem nie wnikają w ich biografie (skąd mają je znać?), traktują tych nieżyjących artystów, wbrew ich intencji, jako Niemców, Francuzów czy Amerykanów.

Streszczenie „Pro Arte" nie zastąpi lektury, ale przynajmniej zasygnalizuje zawartość. Pierwszy numer (lato 1987) zawiera tekst o Eugeniuszu Zaku, bogato ilustrowany reprodukcjami obrazów z kolekcji Fibaków. Kolejne studium traktuje o pochodzącym ze Lwowa malarzu Zygmuncie Menkesie. Dalej przybliżono nam postać rzeźbiarza Leopolda Kozakiewicza. W każdym z tekstów znajdujemy szczegóły biograficzne, zwykle wcześniej nie znane lub rozproszone po archiwach, a także krytyczną ocenę i reprodukcje dzieł rozrzuconych po całym świecie. Ozdobą tego numeru są oryginalne odbitki linorytów Tomasza Burasiewicza, od paru lat przebywającego w USA, który udzielił pismu wywiadu.

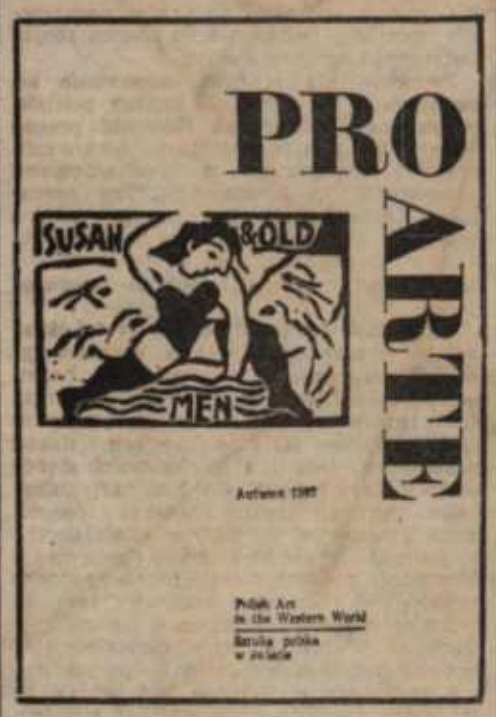

Atrakcją numeru jesiennego jest wywiad z satyrykiem Andrzejem Czeczotem, który po wprowadzeniu stanu wojennego opuścił Polskę. Czeczot trzyma się dobrze, współpracuje m.in. z „New Yorkerem", wystawia i sprzedaje. Drugi numer „Pro Arte" zdobią grafiki Czeczota, z których jedna mogłaby wywołać w kraju pewne zgorszenie. Z rozmowy wybrałem rodzaj aforyzmu: *Europa Wschodnia to jakby wieś w porównaniu z Zachodem. Z kolei Nowy Jork to zlepek wielu wsi świata.* Czeczot przygotowuje dla wydawnictwa Zbigniewa M. Legutki „Polander Press" tekę dwunastu ręcznie kolorowanych drzeworytów, przedstawiających charakterystyczne typy polskiej emigracji w Nowym Jorku.

Jednak podstawowe znaczenie w jesiennym numerze mają informacje z aukcji w paryskiej firmie Hotel Druot, gdzie 30 czerwca 1987 r. odbyła się wyprzedaż zawartości paryskiego atelier rzeźbiarza Bolesława Biegasa (1877—1954). Przeczytamy tam również monograficzny tekst o malarzu Gwozdeckim. Przykuwa uwagę artykuł o jedenastu szablach Józefa Piłsudskiego, zamieszczony w stałej rubryce pn. „Wystawy".

Zimowy numer „Pro Arte" otwiera próba monografii Tamary de Łempickiej (1898—1980). Spośród dorobku polskich artystów obrazy Łempickiej osiągają na Zachodzie najwyższe ceny. Ostatnio padł rekord, za jej obraz zapłacono na aukcji blisko milion dolarów. Zamieszczono tam również artykuł wspomnieniowy o Stanisławie Szukalskim w związku z jego niedawną śmiercią. Dopełnieniem numeru jest wywiad z rzeźbiarzem Andrzejem Pityńskim, od kilkunastu lat tworzącym w USA. Wielobarwne reprodukcje jego dzieł zastępują w tym numerze oryginalną grafikę.

Stałą rubryką w „Pro Arte" jest „Kronika". Odnotowano w niej wiadomości o cenach, jakie na aukcjach osiągają polskie dzieła sztuki. Wiadomości te mogą mieć znaczenie głównie dla marszandów, ponieważ dysponują oni skalą porównawczą, mają aktualny stopień dostępności „towaru". Dla marszandów ceny aukcyjne są jedynym miernikiem wartości dorobku artysty. Czytelnikom w kraju same ceny niczego nie powiedzą, zaś odpowiedni komentarz wymagałby długiego artykułu. Jako ciekawostkę przytoczę jedynie, że „Sztukę obłapiania" Aleksandra Fredry, wydaną parę lat temu w Warszawie przez Andrzeja Czeczota, sprzedano na aukcji za 385 dolarów. Warszawscy posiadacze tego wydawnictwa mogą teraz poczuć się zamożni... Dla porównania podam, że np. „Księga chwały piechoty" poszła za 1210 dolarów, „Dzieje malarstwa w Polsce" Kopery za 660 dolarów.

„Pro Arte" wydaje istniejąca od roku oficyna „Polander Press" założona przez Zbigniewa M. Legutkę. Marszand Z. M. Legutko poszedł w ślady naszych najsłynniejszych artystów-typografów Samuela Tyszkiewicza i Stanisława Gliwy. Pierwszym artystycznym drukiem jest tom poezji pt. „Mare Nostrum", niedawno zmarłego poety Józefa Łobodowskiego. Książkę wyposażono w sześć barwnych linorytów Tomasza Burasiewicza. Nakład 150 egzemplarzy, w tym 30 oprawnych w skórę. W tych ostatnich widnieją wydrukowane nazwiska właścicieli. Cena — 180 dolarów. W planach „Polander Press" ma wydrukowanie m.in. „Bogurodzicy" z wprowadzeniem pióra prof. Weintrauba.

Przyszłość pokaże, czy wydawanie „Pro Arte" to tylko epizod, czy Wojciech Fibak podejmie kolejne inicjatywy jako mecenas sztuki. Wstępny bilans dowodzi, że już we wrześniu, po rozsprzedaniu ostatnich wolnych numerów subskrypcji, koszty produkcji pisma nie tylko się zwrócą, ale zaczniе ono przynosić zysk, co stanowi warunek wydawania. W Polsce „Pro Arte" sprzedaje Towarzystwo Łączności z Polonią Zagraniczną „Polonia" przy Krakowskim Przedmieściu w Warszawie. Na Zachodzie cena jednego numeru wynosi 40 dolarów, u nas jedynie 8 tysięcy złotych. Nic tylko tu kupować — tam sprzedawać!

Co w kulturze piszczy...

+ Jeden odcinek serialu „Dallas" kosztował naszą telewizję około 1000 dolarów.

+ Atrakcją tegorocznego festiwalu filmowego w Gdyni będzie pozakonkursowa projekcja najnowszego filmu Romana Polańskiego „Frantic". Polski artysta odnosił też niedawno sukcesy jako aktor w teatrach paryskich. Grał Mozarta w „Amadeuszu" (246 spektakli) i bohatera „Przemiany" Kafki (129 spektakli).

+ Nowy gmach Biblioteki Narodowej rodzi się ponad 10 lat ale prace zrealizowano dopiero w 65 procentach. Do gotowych pomieszczeń przenoszone są archiwalia gromadzone od 1801 r., z których korzystać można tylko na miejscu. Przeprowadzka potrwa 1,5 roku.

+ Od ub. roku ukazuje się w Nowym Jorku kwartalnik „Pro Arte" poświęcony polskiej sztuce poza krajem. Wydawcami pisma są Ewa i Wojciech Fibakowie.

Patricia Smith sold to Wojtek Fibak, land and building on **Brynwood Lane**, assessed at $344,330, with a selling price of $2.5 million. 88.02.19.

Compiled from real estate records in the town and city clerks' offices. In Greenwich, town records include assessments which may not reflect improvements made since the last assessment.

Greenwich

1987, 12. 24

Wojtek Fibak sold to LHTW Corp., land and building on **North Street**, assessed at $283,990, with a selling price of $1,675,000.

R. McDonough III to Wojtek Fibek, 434 North Street, $1,450,000.

Wojtek Fibak : « Tiendra-t-il deux semaines »

« Je pense qu'un talent comme McEnroe peut produire du super-tennis même si sa motivation et sa confiance ne sont pas au maximum. Mais aura-t-il la détermination nécessaire pour tenir une semaine, voire deux de suite ?

Il avait déjà très bien joué contre Edberg à Tokyo et face à Lendl à Roland-Garros. Mais la semaine suivant Tokyo, Stratton ou Toronto, où il avait excellé, il a régulièrement perdu... Peut-il gagner Wimbledon ? C'est la question que tout le monde se pose. Je suppose qu'il est capable de bien jouer jour après jour. Mais est-il capable de battre tous les jeunes, maintenant qu'il n'est plus tellement furieux, tellement dur ? Il reste de toute évidence le meilleur joueur de gazon, personne ne l'a surpassé techniquement. Mais sa tête y est-elle ?

Mécaniquement, il a tout pour monter premier ou deuxième mondial. Et on doit aussi le considérer comme l'un des favoris pour Wimbledon. »

„Przegląd Tygodniowy" wrzesień 88

„DLA SZTUKI"

Wojciech Fibak podjął nową inicjatywę jako mecenas malarstwa.

Janusz Miliszkiewicz

LATEM 1987 roku rozpoczął się nowy rozdział w życiu kolekcjonera malarstwa — Wojciecha Fibaka. Wtedy właśnie w Nowym Jorku ukazał się pierwszy numer kwartalnika „Pro Arte" poświęconego polskiej sztuce poza krajem, wydawanego przez Ewę i Wojciecha Fibaków. Dziś, kiedy dotarły do kraju trzy numery (czwarty w drodze), kiedy zamiar okazał się przedsięwzięciem trwałym, warto sprawę odnotować. Zwłaszcza że nasza prasa przeoczyła ukazanie się „Pro Arte".

Kolejne numery czasopisma dają pewne wyobrażenie o zakresie zainteresowań W. Fibaka, zawierają bowiem reprodukcje obrazów z jego kolekcji. Nie wiem dlaczego Fibak uchodzi za kolekcjonera obrazów Wojciecha Kossaka... Być może decyduje o tym jakiś stereotyp społeczny, zgodnie z którym patriotyzm bogatego Polaka powinien uzewnętrzniać się w gromadzeniu wizerunków ułana, konia i dziewczyny. Od malarskiej produkcji Kossaka Fibak odciął się w wywiadzie udzielonym jednemu z kanadyjskich czasopism. Rozmowę tę, chyba nie bez złośliwych intencji, przedrukował stołeczny „Sportowiec", inspirując czytelników do dyskusji o postawie Fibaka, który ośmielił się skrytykować nasze dziewiętnastowieczne malarstwo i zaściankowe zainteresowania ówczesnych kolekcjonerów, którzy zamiast obrazów Cezanne'a, kupowali kicze p. Matejki.

W kolejnych numerach „Pro Arte" znajdujemy reprodukcje pochodzących z kolekcji Ewy i Wojciecha Fibaków obrazów Eugeniusza Zaka, Zygmunta Menkesa, Rajmunda Kanelby, Gustawa Gwozdeckiego. Fibak wysoko ceni sztukę Tadeusza Makowskiego (kilkadziesiąt pozycji w zbiorze) oraz Władysława Ślewińskiego. Jest w tym zbiorze też sporo płócien np. Piotra Michałowskiego, Leopolda Gottlieba, Józefa Pankiewicza, Eugeniusza Eibischa, Stanisława Eleszkiewicza, Romana Kramsztyka, Mojżesza Kislinga, Henryka Haydena, Alicji Halickiej. W sumie kolekcja liczy kilkaset dzieł polskich malarzy, którzy na przełomie XIX i XX stulecia lub później wyemigrowali z kraju. Są to obrazy kupowane na Zachodzie, nie zaś szmuglowane z Polski, jak sugerują niektórzy rodacy.

Kiedy w listopadzie ubiegłego roku z Ewą i Wojciechem Fibakami zwiedzaliśmy magazyny malarstwa stołecznego Muzeum Narodowego, Fibak najchętniej zatrzymywał się przy obrazach Boznańskiej, Ślewińskiego, Makowskiego. Później odwiedziliśmy galerię malarstwa Żydowskiego Instytutu Historycznego, skąd Fibak wyszedł nieco zawiedziony, sądził bowiem, że jest ona zasobniejsza w dorobek artystów, których dzieła ceni i zbiera. Pod koniec ubiegłorocznego spotkania po raz kolejny przeglądałem portfolio z fotografiami obrazów z kolekcji Fibaków. Utkwił mi wtedy w pamięci świetny obraz Tadeusza Kantora zakupiony, o ile mnie pamięć nie myli, w nowojorskiej firmie Sotheby.

Powróćmy do „Pro Arte". Pismo to jest wyjątkowo udanym przykładem zespolenia treści i formy. Odbiorcami kwartalnika są koneserzy sztuki, dla których nieobojętny jest układ graficzny i typograficzny tego, co czytają. Format 240 na 300 mm, 50 stron luksusowego papieru z filigranami, ręczna oprawa, wyklejki zdolne oszołomić wytrawnego bibliofila. W każdym numerze oryginalne grafiki sygnowane przez autora, naklejone na karton kolorem odpowiadającym graficznej odbitce. Dwuszpaltowa kolumna druku, jedna szpalta przedstawia tekst polski, druga powtarza to samo po angielsku. Już sam nakład — czterysta numerowanych egzemplarzy — charakteryzuje odbiorców. Są nimi zazwyczaj zamożni kolekcjonerzy z USA, Skandynawii i Wielkiej Brytanii. Pismo rozchodzi się wyłącznie w subskrypcji. Na zakończenie podam, gdzie w Polsce można się starać o jego nabycie.

Lektura „Pro Arte" uświadamia istnienie ogromnej luki w naszej wiedzy o dziejach polskiego malarstwa. Mam tu na myśli wiedzę nie tylko statystycznego obywatela, ale w nie mniejszym stopniu również historyków i krytyków sztuki. Jakie skojarzenia wywołują nazwiska np. Menkesa, Kanelby, Tamary de Łempickiej? Dziesiątki nazwisk równie świetnych malarzy nie figurują w krajowych monografiach i albumach o sztuce. Chociaż artyści owi do końca swych dni deklarowali przywiązanie do Polski, często podkreślali, ile zawdzięczają swym polskim mistrzom, których wskazania zanegowali lub twórczo rozwinęli. Zatem „Pro Arte" może stać się niezastąpionym źródłem wiedzy dla naszych specjalistów mających ograniczoną możliwość podróżowania po świecie (brak dewizi?) i zbierania materiałów źródłowych. Według słów inicjatora i redaktora „Pro Arte", słynnego nowojorskiego marszanda Zbigniewa M. Legutki, ma ono dowodzić i stale przypominać, że polska sztuka jest jedna, bez względu na to, gdzie powstaje.

Nasza nieznajomość biografii i dorobku wspomnianych artystów ma dodatkowe negatywne skutki. Tak się składa, że akurat ci artyści (np. Mela Muter, Jankiel Adler, Kisling, Louis Marcoussis) zyskali trwałe uznanie na Zachodzie. Niestety, marszandzi handlujący ich dorobkiem nie wnikają w ich biografie (skąd mają je znać?), traktują tych nieżyjących artystów, wbrew ich intencji, jako Niemców, Francusów czy Amerykanów.

Streszczenie „Pro Arte" nie zastąpi lektury, ale przynajmniej zasygnalizuje zawartość. Pierwszy numer (lato 1987) zawiera tekst o Eugeniuszu Zaku, bogato ilustrowany reprodukcjami obrazów z [illegible] Fibaków. Kolejne studium traktuj[illegible] chodzącym ze Lwowa malarzu Zyg[illegible] Menkesie. Dalej przybliżono nam [illegible] rzeźbiarza Leopolda Kozakiewicza. [illegible] dym z tekstów znajdujemy szczeg[illegible] graficzne, zwykle wcześniej nie zn[illegible] rozproszone po archiwach, a tak[illegible] tyczną ocenę i reprodukcje dzieł [illegible] conych po całym świecie. Ozdobą t[illegible] meru są oryginalne odbitki linoryt[illegible] masza Burasiewicza, od paru lat



wającego w USA, który udzielił pi[illegible] wiadu.

Atrakcją numeru jesiennego [illegible] wiad z satyrykiem Andrzejem Cz[illegible] który po wprowadzeniu stanu wo[illegible] opuścił Polskę. Czeczot trzyma się[illegible] współpracuje m.in. z „New Yo[illegible] wystawia i sprzedaje. Drugi num[illegible] Arte" zdobią grafiki Czeczota, z [illegible] jedna mogłaby wywołać w kraju [illegible] zgorszenie. Z rozmowy wybrałem [illegible] aforyzmu: *Europa Wschodnia t[illegible] wieś w porównaniu z Zachodem. [illegible] Nowy Jork to zlepek wielu wsi.* [illegible] Czeczot przygotowuje dla wyda[illegible] Zbigniewa M. Legutki „Polande[illegible] tekę dwunastu ręcznie kolorowany[illegible] worytów, przedstawiających cha[illegible] styczne typy polskiej emigracji w [illegible] Jorku.

"Tennis" - Octobre 88

JIMMY CONNORS



VU PAR WOJTEK FIBAK

Quelles sont ses forces ? Ses faiblesses ? Quel est son schéma de jeu ? Quelle tactique doit-on employer contre lui (ou elle) ? Que peut-on penser de ses aptitudes physiques et mentales ? C'est en somme l'analyse du jeu du champion (ou de la championne) « élu » en poster de Tennis Magazine que nous vous proposons maintenant. Démarche délicate. A laquelle nous avons souhaité associer un nouveau collaborateur, le Polonais Wojtek Fibak. A 36 ans, au terme d'une carrière exemplaire de plus de 15 ans qui l'a vu remporter 15 tournois en simple et 48 en double, qui l'a aussi vu conseiller Lendl (et maintenant Leconte), Fibak est surtout considéré dans le monde comme l'un des observateurs les plus avisés du tennis. Il connaît bien — pour les avoir souvent affrontés — les champions dont il parle. Ses opinions vont parfois à contre-courant de quelques idées reçues. Un regard neuf et enrichissant, doublé des grandes lignes du palmarès, telle se veut être la formule de notre « dos » de poster, consacrée ici à Jimmy Connors.



Né le 2 septembre 1952 à Belleville (E.U.)

Son palmarès

GRAND CHELEM

Open d'Australie
1974 : vainqueur (b. Dent) ; 1975 : finaliste (p.c. Newcombe).

Roland-Garros
1972 : *1/8 de finaliste (p.c. Solomon) ;* ***1973 :*** *1er tour (p.c. Ramirez) ;* ***1979 :*** *1/2 finaliste (p.c. Pecci) ;* ***1980 :*** *1/2 finaliste (p.c. Gerulaitis) ;* ***1981 :*** *1/4 de finaliste (p.c. Clerc) ;* ***1982 :*** *1/4 de finaliste (p.c. Higueras) ;* ***1983 :*** *1/4 de finaliste (p.c. Roger-Vasselin) ;* ***1984 :*** *1/2 finaliste (p.c. McEnroe) ;* ***1985 :*** *1/2 finaliste (p.c. Lendl) ;* ***1987 :*** *1/4 de finaliste (p.c. Becker).*

Wimbledon
1972 : *1/4 de finaliste (p.c. Nastase) ;* ***1973 :*** *1/4 de finaliste (p.c. Metreveli) ;* ***1974 :*** *vainqueur (b. Rosewall) ;* ***1975 :*** *finaliste (p.c. Ashe) ;* ***1976 :*** *1/4 de finaliste (p.c. Tanner) ;* ***1977 :*** *finaliste (p.c. Borg) ;* ***1978 :*** *finaliste (p.c. Borg) ;* ***1979 :*** *1/2 finaliste (p.c. Borg) ;* ***1980 :*** *1/2 finaliste (p.c. McEnroe) ;* ***1981 :*** *1/2 finaliste (p.c. Borg) ;* ***1982 :*** *vainqueur (b. McEnroe) ;* ***1983 :*** *1/8 de finaliste (p.c. Curren) ;* ***1984 :*** *finaliste (p.c. McEnroe) ;* ***1985 :*** *1/2 finaliste (p.c. Curren) ;* ***1986 :*** *1er tour (p.c. Seguso) ;* ***1987 :*** *1/2 finaliste (p.c. Cash) ;* ***1988 :*** *1/8 de finaliste (p.c. Kuhnen).*

U.S. Open
1971 : *2e tour (p.c. Dibley) ;* ***1972 :*** *1er tour (p.c. Gorman) ;* ***1973 :*** *1/4 de finaliste (p.c. Newcombe) ;* ***1974 :*** *vainqueur (b. Rosewall) ;* ***1975 :*** *finaliste (p.c. Orantes) ;* ***1976 :*** *vainqueur (b. Borg) ;* ***1977 :*** *finaliste (p.c. Vilas) ;* ***1978 :*** *vainqueur (b. Borg) ;* ***1979 :*** *1/2 finaliste (p.c. McEnroe) ;* ***1980 :*** *1/2 finaliste (p.c. McEnroe) ;* ***1981 :*** *1/2 finaliste (p.c. Borg) ;* ***1982 :*** *vainqueur (b. Lendl) ;* ***1983 :*** *vainqueur (b. Lendl) ;* ***1984 :*** *1/2 finaliste (p.c. McEnroe) ;* ***1985 :*** *1/2 finaliste (p.c. Lendl) ;* ***1986 :*** *3e tour (p.c. Wilsken) ;* ***1987 :*** *1/2 finaliste (p.c. Lendl).*

Masters
1973 : *1/2 finaliste (p.c. Nastase) ;* ***1978 :*** *vainqueur (b. Borg) ;* ***1979 :*** *éliminé en poule ;* ***1980 :*** *1/2 finaliste (p.c. Gerulaitis) ;* ***1981 :*** *1/2 finaliste (p.c. Borg) ;* ***1982 :*** *éliminé en poule ;* ***1983 :*** *1/2 finaliste (p.c. Lendl) ;* ***1984 :*** *1/2 finaliste (p.c. Lendl) ;* ***1985 :*** *1/2 finaliste (p.c. Lendl) ;* ***1988 :*** *éliminé en poule.*

TOURNOIS GAGNÉS

au 5 septembre (106)
Un seul nombre : 106 ! Autant dire que Jimmy Connors fenait exploser ce « cadre palmarès » — qui suffit pourtant à presque tous les autres ! — si nous devions les indiquer ici en totalité. Rappelons-nous seulement que Connors gagna son 1er tournoi du Grand Prix à Jacksonville en 1972, et que son dernier titre date de quelques semaines, à Washington après 3 ans et 9 mois d'insuccès.

Jimmy Connors, l'Histoire du tennis. Ou comment un petit garçon issu d'un milieu modeste a passé 30 ans de sa vie sur un court ! Connors a réussi à jouer son meilleur tennis contre cinq générations de champions : celle de Laver, Rosewall, Emerson ; celle de Ashe, Smith, Nastase, Newcombe ; puis celle des Ramirez, Vilas, Panatta, Orantes ; vinrent ensuite Borg, Lendl, McEnroe, Noah, enfin Becker, Edberg, Wilander et maintenant... Agassi. Totalement voué au jeu, sur le court comme en dehors, Connors aura aussi été un champion longtemps contreversé pour avoir affiché un sens exacerbé de l'individualisme. Mais aujourd'hui seule émerge son immense popularité et son image est d'abord celle d'un champion d'exception qui s'est toujours livré à 100 %. ***W.F.***

Points forts

Retour de service
Le meilleur de tous les temps. En coup droit comme en revers. Grâce à son don d'anticipation, ses réflexes, la coordination de ses gestes et aussi à son expérience, Connors possède le répertoire complet en retour : précis, puissant, plat et légèrement slicé ou lifté, il met tout de suite l'adversaire en difficulté qu'il soit tiré le long de la ligne ou croisé. Ses revers "bloqués", qui arrivent dans les pieds du serveur, ou "en toucher" sont aussi des modèles du genre.

Lob
Là encore, le meilleur de tous les temps, des deux côtés, et toujours à deux mains en revers ! Son timing d'exécution est parfait. Il l'utilise toujours à bon escient, au moment idéal, après avoir déplacé l'adversaire au filet. Et son lob est d'autant plus dangereux qu'il le masque à la perfection jusqu'au dernier instant.

Revers
Un coup plat très puissant chez Connors en attaque et en défense qu'il peut accélérer à volonté croisé ou le long de la ligne. Quand il est un peu en retard, il sait aussi couper ce revers à deux mains, ce qui est très rare. Il peut aussi en faire une amortie. Connors joue son revers en flexion extrême, il donne l'impression de s'approcher de la balle en glissant sur le sol. Sa confiance en revers est énorme : il vise presque toujours les lignes ou les angles du terrain.

Coup droit
Une arme souvent sous estimée chez Connors. Avec sa frappe à plat il fait avancer la balle très vite et déplace bien l'adversaire. Il sait aussi y mettre un peu de lift. Aussi à l'aise en passing qu'en coup d'attaque. Cela dit, il est vrai que surtout sur terre battue, une balle basse, coupée, à mi-court, peut mettre Connors en difficulté sur son coup droit.

Deuxième service
Qu'il soit slicé, lifté ou "kické", son deuxième service est très sûr et très long. Il est rare de voir Connors commettre une double faute et particulièrement sur une balle importante.

Smash
Encore un autre coup très sûr chez lui, délivré de temps en temps dans son geste si caractéristique, sorte de "bras roulé" comme au volley-ball. Pas aussi spectaculaire que celui de Noah sans doute, le smash de Connors est néanmoins "toujours là."

Jeu de jambes, déplacement, mental et concentration.
(voir plus loin).

Points faibles

Premier service
Connors n'est jamais parvenu à se munir d'un premier service doté de puissance et de punch. C'est ce qui lui a manqué pour affronter Borg à Wimbledon. Avec une première balle "qui tue", qui donne des points directement, il aurait gagné plus encore... même si l'on a du mal à l'imaginer !

Service-volée
Connors n'utilise la séquence service-volée, et cela sur toutes les surfaces, que lorsqu'il est en danger ou qu'il mène nettement. Il est d'ailleurs l'un des rares joueurs de l'histoire à avoir gagné Wimbledon essentiellement du fond du court.

Volée
Connors sait volleyer mais il n'est pas dans la catégorie des McEnroe, Edberg, Cash... Sa couverture du filet n'est pas excellente et sa volée de revers à deux mains l'handicape. Toutefois, il parvient à volleyer honnêtement, grâce à ses réflexes, à son coup d'œil et à son jeu de jambes.

Tactique

Connors est un joueur offensif du fond du court. Il ne cherche pas à gagner le point le plus vite possible, avec le service-volée par exemple. Il se contente de poser la balle dans le court au service, mais tout de suite après, il contraint l'adversaire à la défensive. Il cherche toujours l'ouverture, déplace son adversaire en visant les lignes, et quand l'occasion se présente il monte au filet à l'improviste...

Pour jouer contre lui :
Deux méthodes, mais aussi dangereuses l'une que l'autre !
1/L'affronter en force, en percussion. Servir et monter. Mais attention aux retours et aux passings...
2/ Le défier en régularité. Mais tout le monde ne s'appelle pas Borg et Connors est lui-même très fort en fond de court. Néanmoins, à force de jouer les lignes, en frappant à plat, avec un engagement total, Connors peut se fatiguer et commettre des erreurs. Contre lui spécialement —car il adore qu'on lui offre des angles— il faut s'efforcer de jouer au centre, des balles coupées et basses, plutôt orientées côté coup droit. Arthur Ashe, en 1975, avait fait une superbe démonstration de cette tactique en finale de Wimbledon. Et même Ivan Lendl, dans l'échange contre Connors, abandonne son revers recouvert au profit d'un revers slicé. Car Connors aime beaucoup les balles liftées qui rebondissent haut.

Physique

Connors n'est pas un grand athlète mais il possède un physique naturellement fait pour le tennis, et toutes les surfaces. Son jeu de jambes est idéal, ses réflexes sont bons et sa coordination excellente. Sa longue carrière a toutefois été émaillée de problèmes de santé, de blessures diverses (dos, pied). Mais Connors sait surmonter ces difficultés, c'est un combattant et il se donne toujours à 100 %.

Mental

Connors est le champion du monde de la concentration. Plus petit, moins fort physiquement que les autres au départ, il a puisé dans cette concentration les ressources qui ont fait de lui un champion. Sa force morale et sa volonté ne sont plus à vanter. Mais son exploit est d'avoir prouvé que l'on pouvait pratiquer un jeu à hauts risques et rester solide. On connaît beaucoup de joueurs qui trouvent dans leur jeu à risques matière à excuser des contre-performances. Connors a montré que, lorsque l'on se donne au tennis à 100 %, il est possible d'être régulier... en jouant les lignes ! Puisse son exemple inspirer les jeunes dans le monde entier.

Tennis - Novembre 88

MILOSLAV MECIR



VU PAR WOJTEK FIBAK

Quelles sont ses forces ? Ses faiblesses ? Quel est son schéma de jeu ? Quelle tactique doit-on employer contre lui (ou elle) ? Que peut-on penser de ses aptitudes physiques et mentales ? C'est en somme l'analyse du jeu du champion (ou de la championne) « élu » en poster de Tennis Magazine que nous vous proposons maintenant. Démarche délicate. A laquelle nous avons souhaité associer un nouveau collaborateur, le Polonais Wojtek Fibak. A 36 ans, au terme d'une carrière exemplaire de plus de 15 ans qui l'a vu remporter 15 tournois en simple et 48 en double, qui l'a aussi vu conseiller Lendl (et maintenant Leconte), Fibak est surtout considéré dans le monde comme l'un des observateurs les plus avisés du tennis. Il connaît bien — pour les avoir souvent affrontés — les champions dont il parle. Ses opinions vont parfois à contre-courant de quelques idées reçues. Un regard neuf et enrichissant, doublé des grandes lignes du palmarès, telle se veut être la formule de notre « dos » de poster, consacrée ici à Miloslav Mecir.



Né le 19 mai 1964 à Bojnice (Tchécoslovaquie).

Son palmarès

GRAND CHELEM

Australian Open

1983 : *1er tour (p.c. Anger);* ***1984 :*** *1er tour (p.c.S. Simonsson);* ***1985*** *et* ***1986 :*** *pas joué;* ***1987 :*** *1/4 de finale (p.c. Edberg);* ***1988 :*** *pas joué.*

Roland-Garros

1984 : *1er tour (p.c. Aguilera);* ***1985 :*** *3e tour (p.c. Jaite);* ***1986 :*** *2e tour (p.c. Jaite);* ***1987 :*** *1/2 finaliste (p.c. Lendl);* ***1988 :*** *Pas joué.*

Wimbledon

1984 : *2e tour p.c. Visser);* ***1985 :*** *1er tour (p.c. Tim Gullikson);* ***1986 :*** *1/4 de finale (p.c. Becker);* ***1987 :*** *3e tour (p.c. Jarryd);* ***1988 :*** *1/2 finaliste (p.c. Edberg)*

U.S.Open

1985 : *2e tour (p.c. Pate);* ***1986 :*** *Finaliste (p.c. Lendl);* ***1987 :*** *1/4 de finaliste (p.c. Wilander);* ***1988 :*** *3e tour (p.c. E. Sanchez)*

TOURNOIS GAGNÉS

au 1er octobre (9)

1985 : *Rotterdam, Hambourg.* ***1986 :*** *Kitzbühel.* ***1987 :*** *Auckland, Sydney, Key Biscayne, Finale WCT (Dallas), Stuttgart, Hilversum.*

FINALES

au 1er octobre (12)

1983 : *Adelaïde.* ***1984 :*** *Palerme, Cologne.* ***1985 :*** *Philadelphie, Rome.* ***1986 :*** *U.S.Open, Hambourg.* ***1987 :*** *Milan, Hambourg, Kitzbühel.* ***1988 :*** *Rotterdam, Orlando.*

Dans un jeu brutal, un monde dur, Miloslav Mecir offre à tous l'image de sa rêverie, de sa mélancolie, de sa tranquillité et de son désintéressement. Avec sa barbichette et son visage de Christ, il incarne la sérénité, la paix (il reste en dehors de tous les conflits) et aussi la fantaisie : sur le court comme en dehors il est toujours là où on ne l'attend pas ! Ce personnage « hors normes », non dépourvu de mystère, est le dépositaire d'un jeu qui, lui aussi, n'a rien de banal. Il y a du génie dans sa coordination, son aptitude à jouer sans efforts apparents, son jeu de jambes et la variété de sa frappe de balle des deux côtés. Le tennis peut se féliciter qu'existe un Miloslav Mecir. Il introduit humainement et techniquement une dimension nouvelle dans le jeu. A commencer par celle-ci : on peut gagner de grandes choses sans être ni très puissant, ni très régulier... Actuellement, Mecir est mon joueur préféré sur le circuit. Si j'étais un spectateur « anonyme », je paierais pour aller le voir jouer.

W.F.

Points forts

Le revers
Peut-être le meilleur revers actuel du tennis. Son rythme est doux, naturel, et avec sa position très fléchie il est presque toujours en position idéale pour contrôler et frapper la balle. Dans le secteur offensif, il prend la balle trajectoire montante et peut accélérer le long de la ligne, croisé ou court très croisé ce qui lui couvre totalement le court. En défense, il peut aussi mettre la balle où il veut, y compris en lob. Mecir possède en fait un revers à deux mains quasiment parfait. Certes, ce coup à deux mains est, comme pour tous les autres, légèrement handicapé à la volée. Mais il compense son manque d'allonge au filet par un déplacement ultra-rapide grâce auquel il parvient à bien se placer.

Le retour de service
Une grande vitesse de réaction, de bons réflexes et le sens de l'anticipation rendent Mecir très dangereux en retour, et des deux côtés. Il sait frapper les retours ou les bloquer mais toujours très bas, dans les pieds adverses. C'est par la qualité de ses retours qu'il a si bien réussi à Wimbledon.

Les jambes
Son déplacement, sa vitesse, tiennent du phénoménal, d'autant plus qu'on ne les « voit » pas. Comme Nastase naguère, il est toujours au bon endoit, il est partout, tout en donnant l'impression qu'il ne court pas. Il est très rapide de tout le corps et c'est cette félinité qui lui a donné le surnom de « Gros Chat ».

Le coup droit
Un coup sous-estimé chez lui. Il est vrai que c'est un coup droit « bizarre », différent de tout ce que l'on connaissait, inimitable, mais il est chez Mecir absolument naturel. Il le frappe très bas, très plat avec un ample accompagnement. Sans avoir la puissance d'un Becker, Lendl ou Agassi, son coup droit peut toutefois aller très vite, son placement permettant généralement à Mecir d'accélérer quand il veut.

Le physique
Un athlète naturel exceptionnel.

Le toucher de balle
Exceptionnel, lui aussi. Un toucher différent de celui d'un McEnroe ou d'un Nastase mais Mecir a un « feeling » unique de la balle qu'il garde le plus longtemps possible dans le cordage.

Points faibles

Le service
Même s'il a beaucoup travaillé ce coup — surtout la deuxième balle — le service reste le point faible de Mecir. Il manque de punch, de force et de puissance.

La volée
Il l'a améliorée, elle aussi. Son enchaînement service-volée a progressé. Mais il est tellement doué en retours qu'il est (trop ?) décontracté sur son propre service. Si Mecir donne le break, dans son esprit, ce n'est pas grave. Au contraire d'un joueur comme Annacone par exemple...

Le mental
(voir plus loin)

Tactique

Comme Connors, Mecir est un joueur offensif du fond du court. Il cherche constamment l'ouverture, joue vite, à plat en essayant d'accélérer pour placer l'adversaire en position inconfortable, pour lui faire perdre son rythme et son équilibre. Mecir est le champion des ouvertures, il voit des opportunités que d'autres ne voient pas, à la manière de Connors et de Pernfors. Et après s'être ménagé ces ouvertures, il n'a qu'à venir finir le point à la volée. Sa force est de pouvoir jouer ainsi sur toutes les surfaces. Mais c'est peut-être sur ciment qu'il est le plus dangereux.

Pour jouer contre lui :
Il faut (si l'on peut !) employer la force, la puissance. Ou alors choisir la régularité, en attendant que toutes ses initiatives lui fassent commettre des fautes. Mais attention ! Ces deux systèmes sont également dangereux. Car Mecir sait contrer la force (voir Becker à l'U.S. Open) et il est à l'aise face à la régularité des Nyström, Wilander, Carlsson... Il faut lui jouer des balles plates, basses comme le fait Lendl qui, contre lui, utilise beaucoup le revers chopé.

Physique

Exceptionnel, on l'a dit. D'autant plus que ses qualités sont naturelles qu'elles ne sont pas le fruit d'un gros entraînement. Il peut jouer longtemps sans ressentir la fatigue.

Mental

La personnalité de Mecir est, en tennis, à double tranchant. Elle le rend original et sympathique mais chez les professionnels elle lui fait manquer de « fighting spirit ». On se demande parfois à son sujet : mais veut-il vraiment gagner ? Se donne-t-il à 100 % ? On a quelquefois l'impression qu'il est absent, qu'il pense à ses poissons... Sa bonne nature se retourne contre lui. Cela dit, on l'accepte tel qu'il est. On l'aime comme ça.

DANIEL PASSENT „Literatura" – VIII 88 **(5)**



WIELKIE SŁOWA, MAŁE RACHUNKI

Jeżeli było tak dobrze – sukcesy, gratulacje i upominki, to dlaczego mówiło się o konflikcie Fibak–PZT, o konfliktach terminów, o startach dla siebie zamiast dla reprezentacji, o sporach na temat pieniędzy, zobowiązań, praw i obowiązków? W dokumentach brak śladów na ten temat, m.in. z powodu tajemniczego zaginięcia protokółów posiedzeń Zarządu w całym 1974 roku. Prezesi wspominają mało i niechętnie, ale to i owo jednak się zachowało. W Poznaniu Walery Grzędzielski, ówczesny kierownik sekcji tenisowej AZS, przechowuje następującą wymianę listów.

Walery Grzędzielski
Poznań, ul. Wroniecka 16 m. 3

Poznań, dnia 7 maja 1974 r.

Polski Związek Tenisowy
Warszawa
na ręce ob. Prez. M. Borowego

Szanowny Panie Prezesie!

W nawiązaniu do pisma PZT z dnia 24.04.74 r. w sprawie kary dyscyplinarnej nałożonej na zawodnika sekcji tenisowej AZS-u Kol. Wojciecha Fibaka pozwalam sobie przesłać Panu swoje krótkie uwagi na ten temat: Jestem wieloletnim b. zawodnikiem poznańskiego AZS, a ostatnio kierownikiem naszej sekcji bez przerwy od 1967 r. Mogę śmiało stwierdzić, że sportowa kariera Wojciecha Fibaka zbiega się z kierowaniem sekcji przeze mnie choć jest to czystym przypadkiem. Nie uzurpuję sobie jakichkolwiek zasług szkoleniowych, ale nie da się zaprzeczyć, że znam Go bardzo dobrze od dziecka. Klub nasz poza wspaniałą tradycją mogącą się poszczycić takimi wychowankami jak bracia Tłoczyńscy, Spychała, Warmiński, Bełdowski, Piątek i inni, nie posiada niestety pełnej kiesy, patronackiego zakładu, nie dysponuje fikcyjnymi etatami i oparty jest wyłącznie na pracy społecznej. Dotyczy to również kol. W. Fibaka, który z klubu absolutnie nie dostaje żadnego finansowego wynagrodzenia, sprzętu sportowego, co biorąc pod uwagę Jego międzynarodowa klasa jest wypadkiem w polskim sporcie bez precedensu.

W takim to klubie wyrósł W. Fibak, niewątpliwy ogromny talent tenisowy, a ostatnio szczęśliwy bohater spotkania z Węgrami. Sukces ten mimo wielu walorów sportowych ma jeszcze większy triumf propagandowy – jest zwiastunem jakiegoś ruchu, startu z wieloletniego marazmu.

Nie zdążyły ścichnąć radosne echa pucharowego sukcesu, gdy zawiadomiono klub pismem PZT o nałożonej na kol. W. Fibaka karze. Zupełnie rozumiem, że samowolne zmienianie ustalonych cykli szkoleniowych nie może mieć miejsca, ale z drugiej strony nie wolno bezkrytycznie w jednym słowie odrzucać sportowych racji takiej zmiany na skutek zaistniałych warunków. Fakt jednak pozostaje faktem i pozostaje forma ukarania, zwłaszcza że zmiana turniejowej trasy treningowej dotyczy RFN. Forma, która została zastosowana jest całkowicie niedopuszczalna. Kol. Wojciech Fibak na takie traktowanie Jego obywatelskiej postawy absolutnie nie zasługuje. Jest obywatelem świadomym, wyrobionym społecznie, który godność obywatela PRL bardzo sobie ceni. Za granicą zachowuje się jak najbardziej właściwie, a ujmujący sposób zachowania się w grze oraz poza sportem spowodował niejedne oficjalne gratulacje i podziękowania opublikowane nawet w biuletynie

PZT. Oby polscy sportowcy innych dyscyplin podobnie się zachowywali w takiej sytuacji. Dlatego w imię dobra polskiego tenisa, jego rozwoju i niezakłócenia przychylnej atmosfery, uprzejmie Pana Prezesa proszę o osobiste zainteresowanie się tą sprawą i spowodowanie wycofania szkalujących i nieprawdziwych opinii.

Panie Prezesie! Pragnę również dodać, że ostatnie wybory Zarządu PZT oraz objęcie przez Pana stanowiska Prezesa przyjęte zostało przez ogromną większość tenisowej społeczności oraz szerokie kręgi entuzjastów z dużym zadowoleniem. Polski Związek Tenisowy będący przez lata w wirze intryg, szkalowań, rozgardiaszu i chaosu z wolna się staczał, by w końcu osiąść na samym dnie.

Dlatego też pański wybór na Szefa polskiego tenisa uczynił Pana postacią bez mała opatrznościową.

Personalne te zmiany połączone z aktywnością i zaangażowaniem, dotychczasowe rezultaty działania pozwalają nam wierzyć, że poprzedni długotrwający etap szczęśliwie mamy już za sobą.

Kreślę się z należytym szacunkiem
(–) Walery Grzędzielski

Mąż opatrznościowy tymczasem, już jako prezes PZT, nadesłał odpis swojego pisma do Polskiej Federacji Sportu, na czele której stał – jak pamiętamy – jego przyjaciel z ZMS, Nowosielski.

Warszawa, dnia 14 maja 1974 rok

Polska Federacja Sportu
Warszawa, ul. Marymoncka 34

W związku z wątpliwościami zgłoszonymi przez zawodników i działaczy zainteresowanych Sekcji Tenisowych WFS do pisma Polskiego Związku Tenisowego z dn. 19.04. br. L. dz. OR/049/69/74 Zarząd Związku informuje:

1. Wymierzyć zawodnikom W. Fibakowi, J. Niedźwieckiemu i T. Nowickiemu karę czasowego wstrzymania wypłacania kadrowego i podając ją do publicznej wiadomości – Zarząd Związku kierował się potrzebą zapewnienia właściwego porządku i dyscypliny w sprawach reprezentacji Związku za granicą w tym szczególnie:
   – konsekwentnego przestrzegania zasady, że wyjazdy sportowe zawodników Polskiego Związku Tenisowego zawsze oznaczają reprezentację naszego kraju na zewnątrz, a zatem powinny być realizowane zgodnie z porządkiem ustalonym przez odpowiednie władze państwowe i sportowe,
   – przestrzegania planów wyjazdów o charakterze szkolno-treningowym i zdecydowanego zapobieżenia próbom niesubordynacji w tej mierze na przyszłość,
   – bezwzględnego dotrzymania zobowiązań wobec organizatorów turniejów zagranicznych.
2. Wymierzając karę Zarząd Związku uwzględnia jako okoliczności łagodzące m.in.:
   – złożone przez zawodników wyjaśnienie przyczyn, dla których zmienili plany pobytu za granicą,
   – brak kierownika ekipy, trenera czy działacza z ramienia Polskiego Związku Tenisowego,
   – wysoce sportową, godną najwyższego uznania postawę zawodników w meczu Polska-Węgry rozgrywanym już po powrocie z turniejów we Francji i RFN.

W tej sytuacji Zarząd Związku wymierzył karę niewątpliwie dotkliwą z punktu widzenia materialnej sytuacji zawodników, jednocześnie jednak łagodną bo nie przekreślającą szans sportowych tych zawodników jakie niewątpliwie mają obecnie przy rosnącej formie sportowej i w pełni sezonu rozgrywek międzynarodowych.

3. Zarząd Polskiego Związku Tenisowego dla uniknięcia podobnych nieporozumień w przyszłości postanowił co następuje:
   – odpowiedzialny członek Zarządu Związku lub pracownik biura Związku, przed każdym dłuższym czasowo wyjazdem polskich zawodników, zwłaszcza do krajów kapitalistycznych będzie obowiązkowo dokonywał odprawy i instruktażu zawodników co do celu i zamierzeń sportowych oraz ramowego programu pobytu na wyjeździe.

(...)

Informując o niniejszym, Zarząd Polskiego Związku Tenisowego podkreśla, że decyzja o ukaraniu została podjęta po gruntownym rozpatrzeniu towarzyszących okoliczności. Również w przyszłości Zarząd i Komisje Polskiego Związku Tenisowego konsekwentnie i z rozwagą będą realizować sportowe i wychowawcze zadania Związku dla dobra sportu tenisowego w naszym kraju.

Prezes
(–) Mieczysław Borowy

Po latach istotę konfliktu pomiędzy częścią działaczy PZT (którzy przez pewien okres dominowali) i prasy a Fibakiem wyłożyli na łamach krakowskiego pisma „Tempo" (wrzesień 1985) inż. Jerzy Olszowski, były prezes PZT i prof. Jan Fibak – ojciec Wojciecha.

„Gdyby Wojciech Fibak mniej intensywnie uczestniczył w turniejach wyłącznie w celach zarobkowych, a choć część czasu poświęcił na niezbędne okresy treningowe i proces odnowy biologicznej, jak również na właściwe przygotowanie się do turnieju w Wimbledonie (trening na trawie zamiast startu w konkurencyjnych turniejach wysoko sponsorowanych), wyniki miałby lepsze. Czynili tak inni zawodnicy mający znacznie lepsze warunki fizyczne i pozycję w światowym tenisie (np. Borg). Ale w tym czasie W. Fibak nie uważał za potrzebne słuchać rad autentycznie mu życzliwych działaczy i trenerów, a nastawiał się na wysłuchiwanie komplementów i raczej pouczanie innych... oraz robienie biznesu.

Uważam, że Wojciech Fibak ma bezsporne zasługi dla polskiego tenisa, które wyrażają się popularyzacją tej dyscypliny sportu. To jest bezdyskusyjne. Ale mocno dyskusyjny jest wpływ W. Fibaka na poziom tej dyscypliny sportu oraz zakres świadczeń W. Fibaka dla polskiego tenisa.

Moim zdaniem postępowanie Wojciecha Fibaka wpłynęło na zupełny brak dyscypliny w tej dziedzinie sportu (w czym nie bez winy jest moim zdaniem PZT i GKKFiS). Wielu zawodników i trenerów porzucając obowiązki wobec klubów (które ich wychowały) lub je zasadniczo ograniczając rozpoczęło mniej lub bardziej legalną emigrację na Zachód. Mało kto wie, że ponad 100 polskich trenerów, instruktorów i pseudoinstruktorów oraz zawodników różnych klas zarobkuje na Zachodzie, w tym liczni absolwenci AWF – wychowankowie polskich klubów.

Również poziom tenisa wyczynowego znacznie się obniżył – zaniechano kompleksowej pracy szkoleniowej, wszystkie słabości wewnętrzne przez 2 kolejne kadencje władz PZT próbowano ukryć pod indywidualnymi wynikami W. Fibaka nie mającymi nic wspólnego z ogólną sytuacją w polskim tenisie (tak ukierunkowane były publikacje prasowe).

Reasumując – Wojciech Fibak jest potrzebny polskiemu tenisowi, ale potrzebny jest jako obywatel kraju, którego paszportu używa, jako członek klubu zrzeszonego w PZT, jako członek kadry narodowej podlegający określonym prawom i obowiązkom. Prawa W. Fibaka mogą

WALERY GRZĘDZIELSKI **Fot. Andrzej Szozda**





JOANNA I JAN FIBAKOWIE

Fot. Andrzej Szozda

i powinny być szerokie i nietypowe, ale nie można tolerować wykorzystania poparcia PZT dla otrzymania paszportu i korzystania z tego tytułu z określonych ulg finansowych (podatkowych), a równocześnie jednostronnie interpretować swych obowiązków wobec PZT.

W. Fibak podkreśla w swych wypowiedziach swą wiedzę, inteligencję – a przecież właściwy stosunek do Ojczyzny, do swego środowiska, z którego wyrósł w kraju – to elementarny dowód wychowania. Nie ma wątpliwości, że w postępowaniu W. Fibaka występuje zarozumiałość (często towarzysząca ludziom uzdolnionym), która bardzo przeszkadzała i przeszkadza W. Fibakowi w jego karierze sportowej. Wbrew niektórym publikacjom „Wojtek" nie cieszy się popularnością w kołach tenisowych (stąd np. trudności w znalezieniu stałego partnera deblowego)" – pisał Jerzy Olszowski, człowiek, którego poglądów nie podzielił w pełni żaden z moich rozmówców.

OJCIEC ADWOKATEM SYNA

Artykuł ten był pełen nieuzasadnionych, miejscami absurdalnych i małostkowych zarzutów, np. jakoby Fibak nie cieszył się popularnością w kołach tenisowych. Nic więc dziwnego, że w obronie swojego syna wystąpił prof. Fibak, który pisał:

„Artykuł ob. J. Olszowskiego cechuje wyjątkowo subiektywne stanowisko i stałe rozmijanie się z prawdą. Poszczególne zresztą twierdzenia zawarte w artykule są sprzeczne. Na przykład autor twierdzi, że Fibak nie przekazywał żadnych kwot dewizowych, a w dalszej części zarzuca, że piłki zakupione z 10.000 dolarów przekazanych Polskiemu Związkowi Tenisowemu w 1984 r. na sprzęt, nadeszły z opóźnieniem, dopiero w drugim kwartale br.

Niektóre uwagi są wprost niezrozumiałe. Ob. Olszowski ma do Fibaka pretensje, że używa polskiego paszportu. Czy ob. Olszowski życzy sobie, aby Fibak zmienił paszport? Od 10 lat Fibak reprezentuje Polskę w międzynarodowych rozgrywkach tenisowych. Gdyby nie starty Fibaka, nasz kraj w ostatnich 10 latach nie byłby reprezentowany na Wimbledonie, Roland Garros w Paryżu, Flushing Meadow w Nowym Jorku, mistrzostwach świata WCT i wielu innych turniejach o międzynarodowym znaczeniu. Fibak zastępował tam Polski Związek Tenisowy.

Nie ma korzystniejszego układu dla polskiego sportu niż tutaj, gdyż nie płacimy przejazdów, hoteli, trenerów, masażystów, wyżywienia ani sprzętu, a jesteśmy reprezentowani, wisi polska flaga i pisze się o Polsce. Boję się, że w następnych latach Polska nie będzie reprezentowana na większych turniejach, ponieważ Fibak się zestarzał i wycofuje się z czynnej gry, a następcy nie mają rankingu uprawniającego do startu.

Dążąc do streszczenia się podam w punktach niektóre dane, które w rzeczywistości przedstawiają się inaczej, niż napisano w artykule:

1. Wojciech Fibak przekazywał dobrowolnie dla PZT na kupno sprzętu od 1975 do 1984 10 tys. dolarów rocznie, z przerwą w 1982 i 1983 r. Do 1984 r. urosła z tego suma 80 tys. dolarów.
2. W kwietniu 1985 na prośbę PZT przekazał 3.000 dolarów na opłacenie miesięcznego pobytu w Jugosławii czterech polskich graczy przygotowujących się do rozgrywek o Puchar Davisa.
3. W 1982 r. Fibak opłacał półroczny pobyt u Bolletierego na Florydzie juniora M. Lewandowskiego i dłuższy pobyt juniorki R. Marcinkowskiej. Także w 1982 r. Fibak gościł przez pół roku w Ameryce juniorkę Monikę Waniek, obecnie mistrzynię Polski.
4. Fibak finansował starty grup naszych juniorów w Paryżu i Londynie.

Niezależnie od tego Fibak wielokrotnie wspomagał polskich tenisistów, a przede wszystkim juniorów różnymi darami i pomocą za granicą. Dochód z turnieju mistrzów (Borg) w Poznaniu w wysokości 1,2 miliona złotych przekazał na Centrum Zdrowia Dziecka. Po „turnieju mistrzów" w Katowicach przekazał PZT milionowy (1976) dochód z tego turnieju na sprzęt dla młodzieży tenisowej. Dla rozdziału tego funduszu ob. Olszowski obmyślił tak biurokratyczne obwarowanie, że suma została wykorzystana tylko w minimalnym stopniu.

Fibak reprezentując Polskę w Pucharze Davisa w różnych latach wygrał 27 gier. Takiej liczby zwycięstw w Pucharze Davisa nie osiągnął

żaden zawodnik w historii polskiego tenisa. Dwa razy zdobył mistrzostwo świata w deblu. W czasie, gdy w kraju odbywał się mecz o Puchar Davisa z Francją, Fibak startował na mistrzostwach świata w deblu grając w parze z Tomem Okkerem. Słabością ówczesnego kierownictwa PZT było to, że pozwoliło narzucić sobie termin meczu o Puchar Davisa kolidujący z terminem mistrzostw świata. Francuzom było to na rękę.

Ob. Olszowski napisał, że ponad 100 polskich trenerów i zawodników zarobkuje za granicą. Lista zawodników ligi tenisowej RFN roi się od znanych polskich nazwisk. Nie słyszałem o pomocy dla polskiego tenisa z ich strony.

Jeśli były prezes poruszył sprawę „zaawansowanych starań o umożliwienie studiów na jednym z uniwersytetów USA", to mój komentarz do tego jest następujący: W połowie lat 70 nadeszła z USA propozycja przyjęcia młodego tenisisty polskiego na uniwersytet dla wzmocnienia drużyny uniwersyteckiej. PZT schował ten list do szuflady, może nie doczytano terminu zgłoszenia. Mnie pokazano tę propozycję pół roku po terminie. Była to jeszcze jedna zaprzepaszczona okazja, a znalazło się kilku chłopców, którzy mogliby z tego skorzystać. PZT nie wykonał żadnego działania w tym kierunku.

Reprezentując barwy Polski na dużych międzynarodowych turniejach, Fibak był w finale debla 77 razy, z tego 44-krotnie zwyciężył. Był w finale gry pojedynczej 34 turniejów, a w 16 z nich zwyciężył. Ob. Olszowski ma pretensje do Fibaka, że nie osiągnął takich wyników jak Borg, ja też nad tym boleję.

Żaden zawodnik nie położył tylu zasług w reprezentowaniu polskiego tenisa co Fibak i żaden sportowiec nie ofiarował takich sum z własnych zarobków. Nie mogę więc nadziwić się napastliwości niektórych osób. Szkalowanie zasłużonych sportowców wpływa destrukcyjnie na młodzież i odbiera młodzieży motywację do pracy".

Na list prof. Fibaka inżynier Olszowski zareagował jeszcze bardziej ostro i ofensywnie, pod niedwuznacznym tytułem „Polski tenis nie zaczął się od Fibaka".

„Jeszcze w latach międzywojennych – pisał – polski tenis osiągnął poziom czołowych krajów europejskich. Nazwisko Jadwigi Jędrzejowskiej (finalistki Wimbledonu i Forest Hills) zajmuje w literaturze tenisowej miejsce, o którym marzyć mógł i może W. Fibak. Również nazwiska braci Stolarów, Józefa Hebdy, Ignacego Tłoczyńskiego dobrze były znane miłośnikom tenisa co najmniej w Europie. Po wojnie kontynuowanie kariery wyżej wymienionych oraz poziom sportowy ich następców, jak Władysława Skoneckiego, Andrzeja Licisa, Józefa Piątka, Jana Radzio, Wiesława Gąsiorka, Tadeusza Nowickiego, zapewniło Polsce m. in. sukcesy w Pucharze Davisa, których nie osiągała drużyna z udziałem Wojciecha Fibaka (...).

Na bazie takiej pozycji polskiego tenisa miał szanse wyrosnąć talent W. Fibaka".

Olszowski stawia za wzór Jadwigę Jędrzejowską, patriotkę, która odmówiła wyjazdu z Polski w okresie okupacji, mimo rekomendacji króla szwedzkiego, z którym grywała. Niestety, zaraz potem Olszowski daje pokaz, jak potrafimy liczyć cudze pieniądze i zaglądać innym do kieszeni.

„Polska nie potrzebuje darowizn – unosi się. Polska wymaga respektowania obowiązujących praw i obowiązków. Od zarobków na całym świecie płaci się podatki. Gdyby Fibak posiadał obywatelstwo kraju kapitalistycznego (poza Monako), to od swych zarobków płaciłby ok. 50 proc. W przypadku obywatelstwa innego kraju wynosiłby od 20 do 50 proc. Gdyby wyjeżdżał zarobkowo z Polski jako artysta płaciłby 25–35 proc. uzyskanych zarobków. Jeżeli reprezentuje barwy polskie jako zawodnik, to obowiązuje go zasada przekazywania do COS 40 proc. otrzymywanych nagród" – utrzymywał bezpodstawnie Olszowski, gdyż jak mówi sam prezes Garbaczewski – ani Fibak, ani nikt inny wówczas nie musiał tyle płacić i nie płacił.

JAK POWSTAWAŁ NOWY DUCH

Jak wyjaśnić te sprzeczne racje? Jaka jest więc prawda o postawie Fibaka wobec Polski? Czy rację mieli krytycy, których dosyć napastliwym i demagogicznym rzecznikiem był prezes Olszowski, wedle którego Wojciech Fibak to zdolny, utalentowany tenisista, który jednak lekce sobie ważył takie wartości jak lojalność, ojczyzna i obowiązek. Czy też – jak chce kochający ojciec – Fibak to człowiek, który uczynił dla polskiego tenisa więcej niż ktokolwiek inny, a pośrednio zrobił wiele dla naszego kraju.

Myślę, że w wielu krajach sporu takiego w ogóle by nie było. Gdyby pojawił się młody chłopak, który odnosi sukcesy na kortach całego świata – wszyscy byliby zadowoleni. Płaci – nie płaci, gra – nie gra w reprezentacji – to byłyby kwestie w sumie zdominowane przez samą wagę jego zwycięstwa dla sportu i kraju polskiego.

Ale u nas? U nas (do pewnego stopnia i w innych krajach socjalistycznych) pojawia się natychmiast pewna mieszanina pryncypialności – Polska, patriotyzm, przywoływanie postawy Jadwigi Jędrzejowskiej podczas okupacji, z nieco policyjnym traktowaniem paszportu jako przywileju, być może wywodzącym się jeszcze z wiersza Majakowskiego o dowodzie osobistym, i wreszcie z dokładnym liczeniem cudzych pieniędzy i świadczeń (podczas gdy prof. Fibak przytacza wartość sprzętu darowanego przez jego syna, inż. Olszowski zwraca uwagę, że ofiarodawca sprzęt ten nabywa taniej). Argumenty krytyków są więc mieszaniną przywiązania do wartości wysokich (ojczyzna) i niskich (pieniądze), zaprawionych tak częstym w naszym kraju podejściem godnościowym („obraża", „oburza", itp.).

Ta mentalność ponad sześćdziesięcioletniego działacza, który od wyzwolenia nosi w kieszeni legitymację partyjną, starła się z całkiem odmienną mentalnością młodego, doskonałego sportowca, który dość wcześnie zaczął nosić w kieszeni książeczkę czekową, co go jednak w oczach współczesnych wcale nie przekreśla, a nawet wręcz przeciwnie.

Fibak uważa, że dobrze służy ojczyźnie, ponieważ dobrze gra w tenisa, nie sprawia zawodu związanym z nim nadziejom, zachowuje się wzorowo i zawsze występuje jako Polak. Gdyby – jak chcą krytycy – Fibak zawsze reagował na każdy zew ojczyzny, przylatywał ilekroć hejnalista PZT zadmie w trąbkę „do boju", niczym hejnalista na wieży mariackiej, to nie uzyskałby tylu punktów, nie zdobyłby takiej pozycji i nie zarabiałby tylu pieniędzy, z których dobrowolnie wspierał tenis w kraju.

Spór ten był świadectwem zmieniającego się czasu, a także pewnych odwiecznych bolączek sportu polskiego. Co się tyczy epoki, to Fibak rozkwitł w okresie, gdy szybko zmieniał się charakter sportu, zwłaszcza tenisa. Tenis, jak wynika również z rozmowy z Donaldem Dellem, którą znajdzie czytelnik w tej książce, szybko przekształcał się. Najpierw był sprawą bogatych amatorów, później – w latach pięćdziesiątych i na początku lat sześćdziesiątych – stał się grą amatorów, ale już wspieranych przez kluby, uczelnie, wojsko, a nawet – w krajach socjalistycznych – bezpośrednio przez państwo. Od połowy lat sześćdziesiątych, a więc gdy Fibak był młody i rozpoczął karierę światową – tenis stawał się sportem coraz bardziej zawodowym. Zmieniły się prawa i obowiązki tenisistów, zmienili się ich sponsorzy, zmieniła się organizacja tenisa, zwłaszcza rozgrywek, przemianie uległa hierarchia ważności, wartości celów. W Polsce motorem i symbolem tej zmiany był Fibak. Były prezes Borowy mówi prawdę, kiedy wspomina, że ani on, ani władze sportowe i Ministerstwo Finansów nie wiedzieli wówczas jak wybrnąć z nowej sytuacji, czy i ile „należy się" od Fibaka. – Gdybyśmy nie ustalili ryczałtu, być może stracilibyśmy Fibaka, tak jak Czesi stracili Lendla i Navratilową...

Kiedy piszemy „ile należy się od Fibaka", to nie mamy tylko na myśli pieniędzy, ale również – nazwijmy to – robociznę. Co i kiedy sportowiec musi, to jest spór nie do końca w Polsce rozstrzygnięty na różnych szczeblach kariery. Czy Boniek musi grać w reprezentacji? Czy młody wybijający się junior musi wracać z zagranicy, lub nie wyjechać na ważny turniej, po to, żeby zostać w kraju i grać w spotkaniach ligowych, zbierać punkty dla klubu, bo od tego zależą dotacje (i kariera działaczy) Budowlanych, Górnika czy Legii? Zamiast przebijać się do czołówki za granicą, młody zawodnik z Chorzowa ma po raz setny grać z kolegą z Olsztyna, którego zna na wylot, bo tego wymaga interes klubu. Z kolei klub nauczył, klub wychował, klub dał wszystko – od skarpetek i rakiet po kort i podróże. Jak to teraz spłacić? Przypomina to trochę stosunki między rodzicami i dziećmi, które dorosły i leży w ich interesie, żeby się usamodzielniły. A rodzicom pozostaje satysfakcja, duma, wdzięczność i konieczna pomoc ze strony młodych-dorosłych, dla starszych i dla najmłodszych, dla poprzedników i dla następców.

„Stare" różni się od „nowego" również stosunkiem do kraju. Wedle „starego" paszport jest przywilejem, niemal zaszczytem, który zobowiązuje. Fibak za to, że ma polski paszport, jest automatycznie zobowiązany, otrzymanie paszportu jest handlem: my tobie paszport, a ty nam to, tamto i owo. Dla „nowego" paszport to prawo każdego obywatela, bez zadnych warunków. Minęły czasy, kiedy działacze mogli „blokować" paszporty (jak mówił M. Borowy „prawdy o swoich planach Fibak nie mógł powiedzieć, bo byśmy mu zablokowali paszport").

Karierą Fibaka przypadła na międzyepokę – jak powiedziałby Wańkowicz, kiedy stare prawa przestawały rządzić, a nowe torowały sobie dopiero drogę. Najpoważniejszym z nowych praw była możliwość swobodnego podróżowania i uczestniczenia w turniejach na całym świecie, to stanowi jedyną szansę postępu sportowego, za którym idzie wszystko inne – w tym dobro zawodnika i kraju. Mimo takich czy innych zgrzytów (Fibak np. uważa po latach, że może należało wystąpić w Pucharze Davisa, a nie w mistrzostwach świata będących imprezą zawodową). Wojciech Fibak dobrze i stosunkowo szybko utorował drogę dla nowego sposobu myślenia w Polskim Związku Tenisowym i wytyczył szlak do współczesnego tenisa zawodowego – jedynego, który się liczy. Oczywiście, nikt nie jest bez skazy, mógł odpowiadać na wszystkie listy i monity, mógł więcej płacić i niżej kłaniać się działaczom, ale jeżeli weźmiemy pod uwagę, że miał zaledwie dwadzieścia kilka lat, że nie musiał płacić ani grosza, bo inni nie płacili, że wreszcie był pochłonięty nowym wspaniałym światem, do którego wkraczał, to zasługuje na uznanie, a nie na pretensje i pouczenia. Niemała w tym zasługa wychowania, jakie odebrał, wpływu rodziców, z którymi pozostawał i pozostaje w bardzo bliskich stosunkach. Kiedy zaczęły zmieniać się kluby i władze związkowe, kiedy stosunki z Polskim Związkiem Tenisowym i władzami układały się różnie – poznański dom okazał się trwałym punktem odniesienia, wyniesiona stamtąd busola dobrze służyła Fibakowi.

Jego następcy nie mają już takich problemów. W Polskim Związku Tenisowym panuje wszechwładnie nowy duch. Umożliwianie zawodnikom i zawodniczkom jak najczęstszych startów za granicą, starania o stypendia, sponsorów, krótkie wyjazdy i długie pobyty stanowią jedną z głównych trosk PZT. Obecny prezes wcale nie przyciskany mówi, że Wojtek Fibak wcale płacić nie musiał, powinien był natomiast odpowiadać na listy i monity również wówczas, kiedy nie on potrzebował Związku, a Związek – jego. Ale to już zupełnie odmienna sprawa, całkiem innego kalibru. Za rok, za dzień, za chwilę... już nikt nie będzie o niej pamiętał, a w sercu pozostanie to, co Fibak znaczył dla polskiego tenisa. ■

CDN.

DANIEL PASSENT

WOJCIECH FIBAK

Repr. Andrzej Szozda



WOJCIECH FIBAK Z CÓRKĄ AGNIESZKĄ PO PRZEGRANYM MECZU W U. S. OPEN IX/1984 r.

Fot. ARCHIWUM



SPORT

TURNIEJ TENISOWY WOJTKA FIBAKA

W cieniu wielkiego turnieju U.S. Open na Flushing Meadow od paru lat odbywa się prywatny, tradycyjny już turniej w rezydencji państwa Fibaków. Stary stylowy zamek wypełnił się gośćmi z różnych stron świata a malownicza rozległa posiadłość przez parę dni rozbrzmiewała wrzawą i śmiechem — centrum zainteresowania był oczywiście piękny kort tenisowy, na którym do zmroku trwały zacięte rozgrywki — ze względu na ograniczony czas i dużą w tym roku ilość zawodników, bo aż 30, mecze skrócone zostały do 6 gemów.

W czasie kiedy na korcie toczyły się ciężkie boje, zaproszeni goście posilali polskimi potrawami pod namiotem, pluskali się w basenie lub zwiedzali wnętrze pięknego zamku, oglądając kolekcję obrazów zgromadzonych przez państwa Fibaków. Trzeba uczciwie przyznać, że jest tam co podziwiać: Makowski, Gottlieb, Żak, Michałowski, Kramsztyk, Śleniński, obaj Malczewscy, Boznańska, a ze współczesnych: Lebenstein, Kantor, Geppert Przybylski, Taranczewski, Lenica i wielu innych. Wędrując po piętrach i salonach czujemy się jak w muzeum, oglądając ten zbiór z tym większą satysfakcją, że jest to w rękach rodaka, który tak mądrze łączy piękno z pożytecznym, popierając polską sztukę.

Wśród zaproszonych gości był Ilie Nastase, wieloletni deblowy partner Wojtka, Tom Okker, burmistrz Greenwich Roger Pearson kandydat na kongresmena, Michał Urbaniak znany kompozytor jazzowy z nowo poślubioną, uroczą żoną



Odpoczynek między meczami. Od lewej: p. Maria Ginter, Wojtek Fibak, Ilie Nastase i Tom Okker.

Lilianą Głąbczyńską, aktorką seriali telewizyjnych, producent filmowy z Los Angeles Arnon Milchan, Witek Wojda — dwukrotny złoty medalista olimpiady w Monachium, Zbig Jaullis (Zbigniew Janiszewski), mistrz w skoku o tyczce, Włodzimierz Markowski zasłużony mistrz sportu motorowego, uczestnik Rajdu Monte Carlo, Tomek Tomaszewski, syn znanego w Polsce Bogdana Tomaszewskiego, od 10 lat pracujący jako model w Paryżu, obecnie aktor filmów reklamowych, który zakłada własną agencję. Janek Mars, jak określił Wojtek: "obecnie prawa i lewa ręka Lendla", Paweł Łoziński - przedstawiciel LOT-u, który umożliwił wysyłkę sprzętu tenisowego podarunku dla klubu "Horyzont" w Polsce. Wśród pięknych pań powszechną uwagę zwracały zeszłoroczne Miss Polski Kasia Zawidzka oraz wicemiss Joasia Karska.

Rozgrywki sobotnie z powodu urodzin Wojtka zakończyły się wniesieniem tortu wielkości stolika bridgeowego i chóralnym odśpiewaniem "Happy Birthday to You". Z powodu ulewnego deszczu turniej zakończył się w niedzielę 4 września na krytych kortach u sąsiada. Zwycięzcą został Bob Goebel z Nowego Jorku, wygrywając z Markiem Ruth z Monte Carlo, zwycięzcą zeszłorocznego turnieju.

Chyba w imieniu wszystkich zawodników i gości wznoszę raz jeszcze toast za Wojtka Fibaka z podziękowaniem za piękną imprezę.

Maria Ginter

LENDL

"Late Night." "I like Letterman better than Carson. Carson is more reserved, careful. Letterman just says whatever comes," he snaps his finger. "But he may be sorry later."

He complains about an imposing column structure in the bedroom that he says he can't decorate and is thinking of knocking down.

Don't do that, I say.

"Why not?" he asks.

Because, everybody knows, just like the extra staircase going nowhere, it's a true sign of affluence to have something you have absolutely no use for.

To talk about Lendl without talking about former mentor/tennis elder statesman/Greenwich real estate investor Wojtek Fibak would be like crediting an individual player for a doubles victory. The Polish pro may still be a god in Gdansk (he was a top 10 player back in the late '70s), but here in the hotbed of brat tennis, his gentlemanly game was eclipsed by players like Connors, Gerulaitis, Borg and McEnroe. Still, Fibak was a hero to the young player from a small mining town in Czechoslovakia, who by 1975 had made his way up to being ranked the world's number-one player on the junior circuits. When Lendl turned pro in 1979 and came to the United States, it was Fibak who took him under his wing, and invited him to come live with him and his wife in Manhattan.

Gradually, according to Fibak, he became "father, brother, coach, trainer, sparring partner and confidant" to Lendl. When the Fibaks moved to Greenwich in 1980 with their two children, Lendl came along too, and had his own room in their house. Here he was introduced to the good life, to art collecting, to real estate investing (Fibak sold Lendl the two Greenwich houses he's lived in, as well as the Conyers Farm property)—and to Samantha.

The Fibaks met Samantha Frankel in 1982 when they were vacationing at La Semana, her father's resort in St. Martin. When her parents were going through a divorce, the 14-year-old spent weekends with the Fibak family in Greenwich. "My wife introduced Ivan to Samantha and we thought it might be a good friendship," says Fibak. "It developed very quickly into a [more serious] relationship."

In January 1985, after five years of managing Lendl's career and business affairs, Fibak thought it was time that Lendl go out on his own. "When I left him, I think it was better for him, too. 'Travel here, don't travel there, drive a car like that,'" Fibak says of his advice to Lendl before they parted company. "I had just about enough and I had other things—like my family, my travel, my other businesses. But now," he says, "looking through the eyes of the tennis world, I don't think many people really believe I could walk out on [at that time] the number-two player, the income and so on. But I did."

For his part, Lendl doesn't make a point of crediting Fibak for the influence he's had on him. He may still be in competition with the man who first taught him the correct use of a serviette.

In the ample luxury of suburbia, Greenwich-style, Lendl continues to make his share of charity appearances for organizations like the Greenwich Special Olympians, the Greenwich Health Association, the Police Benevolent Association and the March of Dimes. He was also recently elected to the Hartford Whalers' board of directors. When he's not chasing a hockey puck across his 25-by-50-foot swimming pool-cum-winter ice rink, he might be found cross-training along a stretch of hilly local roads on his Saintropez bicycle in the company of his caretaker and sparring partner Janek (introduced to Lendl by Fibak), or swinging clubs (not aces) at the nearby Stanwich Club.

The man who's not yet broken par, but whose best score is a respectable 75, says, "You know the best thing is to put a little oil on your club head. But it is illegal," he adds. "The guys would kill me if they found out."

Except when he drives on the speed-limitless German Autobahn, and when he visits the Stüttgart Porsche racetrack a couple of times a year, indulging bends and straights at 179 and 220 mph respectively, he says he's given up indiscriminately flooring his Porsche or his Mercedes for the locals. But when reminded, he's still a little defensive about the three or four scrapes he's had on the road and his reputation of being a lead-foot.

He's also a little defensive about the speculation that his new business pursuits are eroding his game. "I owe everything to tennis," says Lendl. "I mean, I would be totally stupid to cut it short. I will be able to do business because of my tennis... that's how I made my money. If I have three years or seven years left [in the sport], I want to make the best of it.

"You *have* to do business when you make as much money as I do, and you want to take care of it," he adds. "You can't just let it sit there and let somebody else do it. You can let somebody *help*, but you have to be in control or in charge."

Or in the driver's seat.

He offers to give me a lift to the train station. I joke, "Sure, but I think I'll sit in the back seat." To which Lendl volleys a characteristic return, "Yeah, and maybe you'd like to walk." □

Angela Gaudioso is a free-lance writer living in New York.

WOJTEK FIBAK W WYWIADZIE DLA "KS"

"Kontuzja pokrzyżowała moje plany"

Największą atrakcją tegorocznego turnieju, był przyjazd Wojtka Fibaka. Przez ostatnie dwa dni z uwagą śledził on przebieg rozgrywke tenisowych. W niedzielę mieliśmy wielką frajdę, jako że Wojtek, tak dla zabawy pograł chwilę z naszymi juniorami, a później z Andrzejem Sznajderem. Mimo że po ciężkiej kontuzji Wojtek z trudnością porusza się po korcie, pokazał nam jednak wspaniałą gamę uderzeń i "ostro przetestował" nadzieję kanadyjskiego tenisa Andrzeja Sznajdera. To był "gwóźdź programu" III Turnieju "Wojtek Fibak Cup". Oczywiście skorzystałem z okazji i poprosiłem Wojtka Fibaka o rozmowę dla czytelników "KS":

Panie Wojtku jak jest obecnie z pana kolanem. Jak wiemy nabawił się pan ciężkiej kontuzji podczas gry... w piłkę nożną?

- Niestety, te moje wszystkie pasje doprowadzają do tego, że nie mogę później grać w tenisa. W Paryżu bardzo rozbiłem sobie kolano. Okazało się to bardzo skomplikowane, bo było to powiązanie wiązadeł krzyżowych, które się naderwały z od wielu lat dokuszczającą mi łąkotką. Najpierw leczyłem wiązadła i przez kilka miesięcy chodziłem o kulach, później operacja łąkotki. W sumie było to skomplikowane. W tej chwili mogę odbijać, ale tylko na stojąco, bo jeszcze nie mogę biegać. Ta kontuzja pokrzyżowała moje sportowe plany.

Czy jest szansa, że w tym roku zobaczymy pana w jakimś turnieju?

- Być może zagram w debla, ale dopero za kilka miesięcy. Boję się, że przez ten okres stracę swoją pozycję na liście ATP. Byłem na 40 miejscu, a teraz nie gram i spadam w dół. Po tej długiej przerwie jestem już poza setką (wg listy ATP z 19.08. Wojtek Fibak był na 110 miejscu w deblu - A.P.). W zeszłym roku wygrałem dwa turnieje i boję się, że jak mi one teraz odpadną, to niestety wypadnę z rankingu i nie będzie takie łatwe wejść tam z powrotem.

Prawie 2 lata temu wyjechał pan z rodziną z Nowego Jorku do Paryża. Jaki był tego powód?

- W Paryżu pewnego rodzaju bazę europejską mam już od kilku dobrych lat i w związku z tym, że trzymamy tam trochę rzeczy, obrazów, mebli nasza obecność tam, chociażby przez jakiś okres jest wskazana. Przestaliśmy na stałe mieszkać w Polsce i będąc rezydentem Monaco, taka baza pomiędzy Paryżem a księstwem Monaco bardzo mi odpowiadała i ciągle jeżdżąc do Europy, trochę ją rozwinąłem. Ze względu na nasze dzieci, postanowiliśmy w Paryżu spędzić więcej czasu, tak żeby mogły nauczyć się francuskiego, chodząc tam do szkoły.

Od ubiegłorocznego US Open jest pan trenerem francuskiego tenisisty Henri Leconte. Może pan powie parę słów o tej współpracy?

- Jest to o tyle współpraca ciekawa, że Leconte jest graczem nieobliczalnym. Ja układam program jego gier, treningu, taktyki. Współpracujemy ze sobą, zgodnie, lubimy się i wszystko fajnie się układa. To nie jest taka współpraca, że ja jestem z nim przez cały rok. Podróżuję z nim tylko na główne turnieje i chyba będziemy to tak dalej kontynuować.

Przez wiele lat opiekował się pan Ivanem Lendlem. Jak by pan porównał tych dwóch tenisistów?

- Ivana wziąłem, gdy nie prezentował wysokiej klasy. Nie był klasyfikowany nawet w pierwszej 50. Leconte był już graczem ustabilizowanym, miał jednak olbrzymie kłopoty i pechowy rok, dlatego w rankingu był nawet na 40 miejscu. Przy mojej pomocy - przynajmniej on tak twierdzi - Henri nabrał pewności siebie i wszedł na drogę, na której kiedyś był. Obecnie jest już w pierwszej dziesiątce. Z Ivanem to była "produkcja" od początku, od nowa. Ustawiałem jego grę, wykorzystując jego warunki naturalne, przez co jego tenis stał się bardziej pewny, zrównoważony, tenis który miał sam wygrywać, nawet gdy Ivan miał gorszy dzień. To był tenis wygrywający spokojnie, bez specjalnego ryzyka. Zmieniłem mu zupełnie backhand, także serwis. Gdy go poznałem, miał 18 lat. Był graczem który mocno i nieciekawie podcinał backhand. Ja mu to "obróciłem" i powiedziałem, że musi grać backhand pod górę i te wszystkie zmiany zaczęły szybko przynosić efekty.

Lendl to stateczność, rutyna, spokój. On nie musi grać wspaniale, żeby zdobywać punkty.

Leconte to z kolei olbrzymi talent, bunczuczność i w jakimś stopniu niezależność i wielka improwizacja.

Z którym się panu łatwiej pracowało?

- Z obydwoma, jako że zawsze byłem tym, który starał się robić swoją pracę jak najlepiej. Oni wierzyli we mnie i to pomagało. Z Ivanem było trochę inaczej, bo dla niego byłem i półbratem, półojcem, trenerem, doradcą finansowym, itd. On mieszkał przez długi okres u mnie, tak że to było inaczej. Natomiast w życie Leconte, to ja tak bardzo nie wchodzę, z wyjątkiem głównych turniejów, kiedy mówię mu co ma robić. Ogólnie jednak nie staram się za bardzo ingerować w jego życie.



W.Fibak podczas gry z juniorami



Zdjęcia: George Slubowski

Wojtek Fibak podczas "Wojtek Fibak Cup"

W sumie nie tak bardzo dawno sprawił pan nam dużo radości swoją znakomitą postawą w turnieju o "Diamentową rakietę" w Brukseli. Jak to było możliwe, że pan nie trenując już regularnie, stoczył tak wspaniałe pojedynki z Noah i Cashem, a wiemy że lata także uciekają i z pana wieku, tylko "Jimbo" dzielnie sobie poczyna?

- Tak, Jimmy Connors jest już tym ostatnim z "naszego okresu", który trzyma się w czołówce. Trenuje on jeszcze regularnie i okazuje się, że gdyby można było poświęcić tenisowi dużo więcej czasu, myślę, o regularnych treningach, to takich miłych niespodzianek, jak w Brukseli byłoby dużo więcej. Nasze zaplecze techniczne i to jak graliśmy kiedyś, było może pełniejsze od tego co jest obecnie w tenisie. Obecnie grają mocniej, tenis jest bardziej fizyczny, ale są słabsi technicznie. W naszych czasach grali w tenisa ci, co byli naprawdę utalentowani i tenis był ciekawszy. Okazuje się, że z tym tenisem technicznym, można byłoby jeszcze teraz przeżyć kilka gier. Wracając do turnieju w Brukselii, to tam właśnie procentowała ta technika, doświadczenie.

Czy obecnie powraca pan na stałe do USA?

- Tak, postanowiliśmy już przenieść się znowu na ten kontynent.

Wydaje pan także swoje pismo kulturalne.

- Tak, jest to kwartalnik PRO-ART, poświęcony kulturze polskiej poza krajem, czyli opisuje to co się dzieje wśród artystów, w muzeach, galeriach w Europie Zach. i Ameryce. Jest to magazyn wydawany w Nowym Jorku i wszystkich serdecznie namawiam do prenumeraty.

W jaki sposób można zaprenumerować to pismo?

- Trzeba napisać do Nowego Jorku, do Michała Zbigniewa Legutko, który je wydaje. Adres do niego zainteresowani dostaną u Janusza Dorosiewicza.

Na zakończenie może pan powie kilka słów o tegorocznym turnieju "Wojtek Fibak Cup"?

- Naprawdę bardzo się cieszę, że turniej, który nosi moje imię, ma tak wspaniałą oprawę i stoi na doskonałym poziomie. Z przyjemnością oglądałem gry od juniorów do oldboyów. We wszystkich grupach gra była na wysokim poziomie i tylko się cieszyć, że ten turniej tak się rozwija. Przy okazji chciałbym podziękować Januszowi Dorosiewiczowi i Antkowi Kaupe za organizację oraz wam wszystkim za wspaniałą atmosferę, jaką zrobiliście wokół tego turnieju. Oby tak było zawsze.

Relacje z "Wojtek Fibak Cup" opracował ADAM POLAŃSKI

W związku z obszernym materiałem z "Wojtek Fibak Cup" nasza nowa rubryka "Smecze, loby i woleje" ukaże się dopiero w następnym numerze.

WOJTEK FIBAK CUP

W Toronto odbył się już III Polonijny Turniej Tenisowy "Wojtek Fibak Cup". Jego organizatorem jest przyjaciel W.Fibaka - Janusz Dorosiewicz. Właśnie jego poprosiłem o podsumowanie tej wspaniałej tenisowej imprezy.

"Był to już trzeci turniej, zdecydowanie najlepszy, jako że liczba 130 startujących zawodników była największą i poziom zdecydowanie wyższy od poprzednich. Po raz pierwszy odbył się turniej oldboyów (powyżej 55 lat), w którym także toczyły się zacięte mecze. Najstarszym zawodnikiem turnieju był 77-letni Kasper Dębosz, który przyjechał specjalnie na ten turniej z London. Wśród dziewcząt był bardzo wysoki poziom. Reprezentują one klasę czołowej 20 do lat 16 w Kanadzie. Juniorzy również pokazali klasę, a szczególnie półfinały i finał mogły się bardzo podobać. Finał stał na międzynarodowym poziomie, jeżeli chodzi o tę grupę wiekową. Wygrał Adam Baranowski, który jest czołowym juniorem w Ontario.

Gra pojedyńcza mężczyzn była najbardziej obsadzona, bo startowało 80 zawodników i tutaj był pewien problem, jako że większość meczów musiała być rozegrana w ciągu 2 dni. Szczególnie w sobotę do południu program był bardzo napięty, a niestety do dyspozycji mieliśmy tylko 8 kortów. Powodem tego było to, że w sobotę i niedzielę był z nami Wojtek Fibak i chcieliśmy rozegrać ten turniej w dwa dni, żeby uczestnicy mieli szanse z nim się zapoznać czy zrobić sobie pamiątkowe zdjęcie. Był to pierwszy przypadek, żeby Wojtek pojechał na jakieś turniej niezawodowy, w którym nie startował. Na szczęście mieliśmy idealną pogodę, co ułatwiło nam "przepchanie" gier singlowych. Poziom w singlu mężczyzn, nie tylko moim zdaniem, ale także Wojtka oraz większości zawodników, był bardzo wysoki. Tak dobrze nie grano jeszcze na żadnym innym polonijnym turnieju. Po raz pierwszy startowali tenisisci spoza Kanady. Przyjechali oni z USA(4 z Nowego Jorku i jeden z Texasu - A.P.). Zawodnicy z Nowego Jorku byli zaskoczeni wysokim poziomem, bo przyjechali jedni z najlepszych, a jednak najdalej doszli do ćwierćfinału i to nie wszyscy. To jest kolejny dowód poziomu "Wojtek Fibak Cup".

Tobi Rakić była sensacją ubiegłorocznej edycji "Wojtek Fibak Cup", zostając w wieku 11 lat zwyciężczynią singla kobiet. W tym roku Tobi ponownie powtórzyła sukces.

Rozmawiałem również z rodzicami Tobi. Największym ich zmartwieniem jest brak sponsora. Zbliża się sezon jesienno-zimowy i trzeba będzie przenieść się do hali, a to kosztuje jednak sporo. Rodzice Tobi zwracali się o pomoc do Tennis Canada czy innych instytucji, ale te stwierdziły, że sponsora Tobi powinna znaleźć wśród swojej grupy etnicznej. Z tym jednak jest problem. Tobi jest wielkim talentem i żeby grać coraz lepiej musi trenować non-stop.

Dlatego zwracam się w swoim, Tobi i jej rodziców imieniu z prośbą do polonijnych instytucji, biznesów. Może znajdzie się ktoś, kto weźmie tę sympatyczną tenisistkę "pod swoje skrzydła". Tobi w zamian może grać np. w koszulce z napisem firmy swojego opiekuna, co byłoby doskonałą formą reklamy i korzyść przyniosłoby obu stronom.

Zaintersowanych pomocą proszę o kontakt na adres "Kulis Sportu".

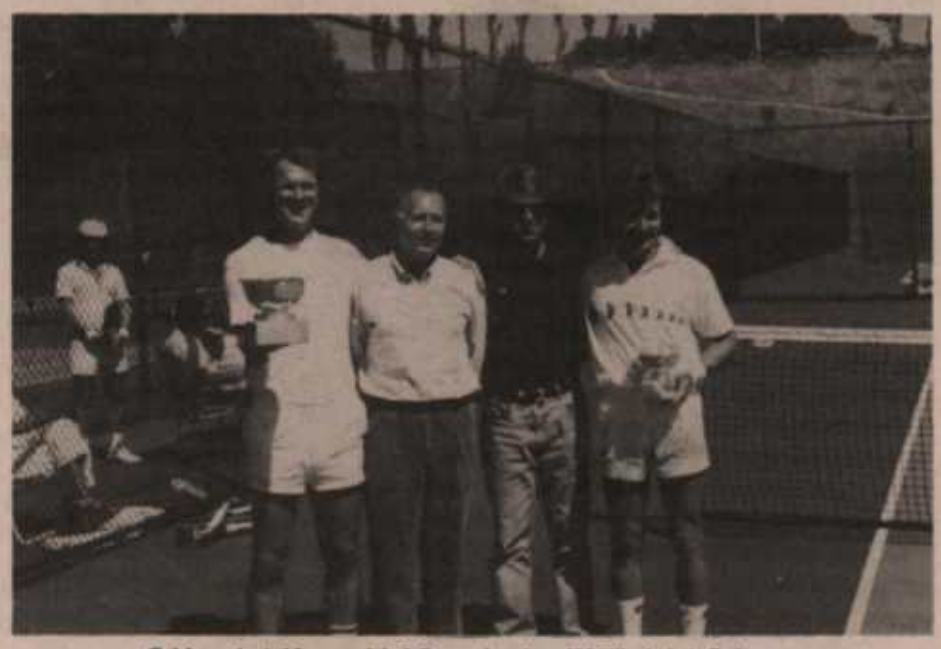

Od lewej: A.Nawrocki, J.Dorosiewicz, W.Fibak i A.Sularz

PRZYKŁAD DLA WSZYSTKICH

Zwycięzcą turnieju oldboyów został Tadeusz Andrecki. W sportowym środowisku polonijnym w Toronto jest to bardzo znana i sympatyczna postać. Dlatego tym większa radość z jego zwycięstwa. Po finałowym pojedynku poprosiłem p. Tadeusza o bliższe przedstawienie się czytelnikom "KS":

- Moja przygoda z tenisem rozpoczęła się dopiero tutaj w Kanadzie, w której już mieszkam od 26 lat. W Polsce grałem w piłkę nożną i startowałem w wyścigach motocyklowych w latach 50-tych. Pewnego razu już tutaj w Kanadzie, gdy moja córka uczyła się gry w tenisa, powiedział do mnie - "Tato teraz ty spróbuj" i tak się zaczęło. Sport ten niesamowicie mnie wciągnął i w późnym wieku przeżyłem wiele radości po zwycięstwach w turniejach oldboyów w "Wojtek Fibak Cup" czy w Howard Park, gdzie wygrałem turniej singla i debla.

- W imieniu czytelników "KS" życzę panu dużo zdrowia i powtórzenia sukcesu za rok.

- Będzie trochę trudno, bo mam już 68 lat, ale postaram się nie zawieść.



Tadeusz Andrecki

Sensacją tegorocznego turnieju był 12-letni Adam Baranowski - zwycięzca singla juniorów. Startował on także w grze pojedyńczej seniorów i spisywał się bardzo dzielnie, sprawiając psikusa dużo starszym kolegom.



Zdjęcia: Adam Polański

W.Fibak z naszymi nadziejami tenisa - A.Chojecką, T.Rakic, A.Baranowskim i F.Pałaszem.

Ozdobą i jakby podsumowaniem III Turnieju "Wojtek Fibak Cup", był finał gry pojedyńczej mężczyzn, w którym wcześniejszy dwukrotny zwycięzca tego turnieju - Andrzej Sularz spotkał się z Andrzejem Nawrockim. Ich pojedynek stał na bardzo wysokim poziomie i sprawił wszystkim widzom wiele satysfakcji. W pojedynku "gigantów", tym lepszym okazał się Andrzej Nawrocki.

- Czy wierzyłeś w końcowy sukces?

- Trudno mi powiedzieć. Właściwie to ja nie byłem za bardzo przygotowany do tego turnieju. Trochę w pewnym sensie minusem tej imprezy jest to, że trzeba grać po kilka spotkań w jednym dniu. Andrzej Sularz był już trochę zmęczony, bo swój 3-setowy półfinał grał po mnie i nie miał czasu na odpoczynek. Ja byłem troszeczkę świeższy dzisiaj i to chyba zadecydowało.

Przy okazji mam jedną uwagę. Turniej ten powinien odbywać się na kortach z trybunami, żeby publiczność miała lepsze warunki obserwowania gry.

- Z tego co wiem, już w Polsce odnosiłeś sukcesy tenisowe?

- Grałem w SKT Sopot. Jako junior występowałem w Pucharze Galea (poniżej 21 lat - A.P.) razem z Wojtkiem Fibakiem. W tym okresie byłem po Wojtku drugim juniorem w Polsce. Później przerwałem grę i w sumie moja, tenisowa kariera skończyła się na juniorach.

- Jak długo jesteś w Kanadzie?

- 16 lat i w tenisa gram już tylko sporadycznie, dla przyjemności.

- Zapewne za rok będziesz bronił wywalczonego tutaj tytułu?

- Oczywiście i jestem przekonany, że za rok będzie jeszcze trudniej zdobyć "Wojtek Fibak Cup".

WYNIKI III TURNIEJU "WOJTEK FIBAK CUP"

Gra pojedyńcza kobiet:
Półfinał
T.Rakic - B.Chojecka 6-3, 6-2
A.Chojecka - J. Czarnogórska 6-1, 6-0
Finał
Tobi Rakic - Agata Chojecka 6-2, 6-4

Gra pojedyńcza mężczyzn:
Półfinał:
A.Nawrocki - M.Gniadzik 4-6) 6-4, 6-4
A.Sularz - M.Kowanda 6-1, 5-7, 6-4
Finał
Andrzej Nawrocki - Andrzej Sularz 7-5, 6-2

Gra pojedyńcza juniorów
Półfinał:
A.Baranowski - R.Grześkowiak 6-1, 6-0
F.Pałasz - K.Bukała 6-7, 6-3, 6-4
Finał:
Adam Baranowski - Filip Pałasz 6-3, 7-6

Gra pojedyńcza oldboyów:
Półfinał:
T.Andrecki - G.Szczygieł 6-2, 6-1
R.Młynarczyk - K.Dębosz 6-3, 2-6, 6-2
Finał:
Tadeusz Andrecki - Roman Młynarczyk 6-4, 6-2.

PRZEPRASZAMY!

W momencie opracowywania materiałów z "Wojtek FIbak Cup" gry deblowe zostały przeniesione na dalsze dni i dlatego nie byliśmy w stanie podać wyników. Uczynimy to w następnym numerze, a za opóźnienie przepraszamy.

THE AMERICAN FOUNDATION FOR POLISH-JEWISH STUDIES

8 East 36th Street • Fifth Floor • New York City 10016
Tel (212) 213-9550 • FAX 212-689-9840

Patrons-Nobel Laureates
Joseph Brodsky
Czeslaw Milosz
Isaac Bashevis Singer
Elie Wiesel

Honorary Chairman
Barbara Piasecka-Johnson

Board of Directors
Chairman
Jerzy Kosinski*

President
Irene Pipes* **

Executive Committee Chairman
Dr David Gordis* **

Vice-Presidents
Prof Leszek Kolakowski
Fr Prof John T Pawlikowski*
Dr Antony Polonsky* **
George M Szabad* **
Susan Dember**

Secretary & Treasurer
Robert Trevisani
Susan Dember

Board Members
Prof Seweryn Bialer
Wladyslaw Biernacki-Poray
Dr Zbigniew Brzezinski
Robert Burkett
Susan Dember**
Prof Lucjan Dobroszycki
Karin Falencki*
Wojtek Fibak
Frederick W Field*
Katherina von Fraunhofer**
Diane von Furstenberg
Jacek Galazka
Janusz Glowacki
Jerzy E Glowczewski
Sydney Gruson
Henryk Grynberg
Eva Hoffman
Maciej P Jachimczyk
Prof Jan Karski
Amos Kollek
Felicia Krance
Hanna Lachert
Irving Levine
Michael Lewin
Prof Mieczyslaw Maneli
Thomas B Morgan*
Alan J Pakula
Krzysztof Penderecki
Lord Quinton
Julia Robinson
David Roth
Mrs Arthur Rubinstein
Lewis M Schott
Ludwik Seidenman
Prof Donald Shapiro
Gil Shiva
Harvey Spear
William Styron
Witold Sulimirski
Danuta Swiderski
Shirley M Szabad**

*Executive Committee
**Management Committee

Office of the Chairman
Jerzy Kosinski

September 12, 1988

Dear Friends and Colleagues,

As you know, our Foundation has long been planning a series of events to honor Bruno Schulz, the Polish-Jewish writer. I hope you will attend the two principal events of this celebration: the literary star-studded Tribute to Bruno Schulz on Monday, September 26, and the awarding of the first Bruno Schulz Prize to Zbigniew Herbert, who will attend, on Tuesday, September 27.

A private reception, to which Board members and their spouses are welcome, will follow the Tribute on September 26, at the home of Mr. Stanley Cohen at 34 East 69th Street; the reception after the award ceremony on September 27 is open to the public.

The enclosed invitation gives the details for these two most special events. In addition, there will be free screenings of three films from Poland based on Bruno Schulz's work, scheduled to be shown at the 57th Street Playhouse, 110 West 57th Street, on October 13 and 20 at 7 p.m. And please do keep in mind that, in conjunction with the exhibition of Bruno Schulz's drawings from Warsaw, the Foundation will sponsor a benefit reception the evening of October 5.

I look forward to seeing you at all of these events, which are made possible through the generosity of Ted and Suzy Field and Interscope Communications.

With thanks for your participation, and best regards,

Sincerely, Suzy and Ted,

Jerzy Kosinski

RSVP

The American Foundation for Polish-Jewish Studies is associated with the Institute for Polish-Jewish Studies at Oxford, England and registered in the US as a charity.
All contributions are tax-deductible.

CHALLENGE

POLONIJNY MIESIĘCZNIK TENISOWY

POLISH TENNIS ASSOCIATION
P.O. BOX 2473
HUNTINGTON BEACH, CA 92647

Listopad 1988
Nr. 4 Vol. 3

V POLSKI TURNIEJ TENISOWY O PUCHAR WOJTKA FIBAKA

W dniach 22 i 23 pazdziernika, 1988 w Long Beach odbył się V Polski Turniej Tenisowy o Puchar Wojtka Fibaka w którym startowało 50 zawodników i zawodniczek. Jest to największa liczba uczestników z dotychczas rozegranych turnieji. W każdej z grup pojedynki stały na dobrym poziomie a sportowa walka sprawiła uczestnikom dużo przyjemności. W poszczególnych finałach zwyciężyli następujący zawodnicy

GRUPA PAŃ

A. SZAJEK - S. WASYLKIEWICZ 6:1, 6:0

GRUPA A PANÓW

R. KRASUSKI - S. NATKANSKI 6:2, 7:5

GRUPA B PANÓW

J. OŻÓG - M. PRZYWARA 6:1, 6:1

GRUPA C PANÓW

B. OSTAPOWICZ - W. STRUBIŃSKI 6:0, 6:2

JUNIORZY DO LAT 16

J. PIETROWSKI - P. BARAN 6:0, 6:0

GRA PODWÓJNA

T. BUGAJ - Z. KRASUSKI
B. MATYSEK - R. KRASUSKI 6:4, 6:2

W turnieju pocieszenia w poszczególnych grupach zwyciężyli:

w grupie A - Wojtek Brach
w grupie B - Jerzy Górecki
w grupie C - Krzysztof Petrozolin

Sponsorzy którzy ufundowali nagrody stają się stałym fragmentem tej Polskiej imprezy w południowej Kaliforni. W tym miejscu chciałbym serdecznie podziękować Wojtkowi Fibakowi, P.L.L. LOT, POLAM Federal Credit Union, Modern Travel Service w Glendale, Warno Sports, A. Krasuski D.D.S., Polskiemu Radiu w Los Angeles, oraz Klubowi Kultury im. Heleny Modrzejewskiej w Los Angeles za ufundowanie nagród co było bardzo pomocne w zorganizowaniu tej Polskiej imprezy. Rownież, słowa podziękowania dla wszystkich uczestników i kibiców.

Wojtek Pietrowski





The Argentine All-Star polo team, with Gabriela Sabatini at center and Wojtek Fibak on the far right.

DE COULOIRS

UN AN APRÈS...



Bon anniversaire et... bonne chance ! C'est ce que semble dire ici Wojtek Fibak à Henri Leconte. Et pourtant... A cette époque, il y a tout juste un an, durant Bercy 87, Henri et Wojtek filtaient leur toute récente association en s'alignant ensemble en double dans l'open de Paris. Wojtek, c'était convenu, ne serait pas à proprement parler un coach mais un conseiller. Pas question pour le champion polonais, dont la vie familiale et les affaires occupent le plus clair du temps, de voyager d'un bout à l'autre de la planète avec son nouveau protégé. Des rendez-vous bien précis, des périodes d'entraînement en rapport avec des objectifs bien définis, beaucoup de conversations par téléphone l'entente ne pouvait être que souple et d'obligations légères pour Fibak et elle se basait sur une durée d'un an. Aujourd'hui donc, un an après, tous deux ont d'un commun accord décidé de mettre fin à leur collaboration. Cela devait être annoncé officiellement et de conserve pendant Bercy, mais Henri, on ne sait trop pourquoi, a livré la nouvelle un peu prématurément... Passons... Que reste-t-il de cette éniéme association de Leconte avec un mentor ? Au-delà des commentaires plus ou moins enfiévrés, l'histoire du tennis ne retiendra qu'une chose, une seule : c'est pendant le « règne » de Fibak que Leconte est devenu le 5ème Français à jouer une finale des Internationaux de France. Alors bravo Henri, bravo Wojtek. Bon anniversaire et bonne chance... à tous les deux. ■



Fot. CAF

★

Pytania są coraz krótsze, odpowiedzi coraz szybsze. Wojciech Fibak zapytany kto jest aktualnie najlepszym tenisistą świata, kto będzie nim w przyszłości ma jednak kłopoty z odpowiedzią.

— To jest inny tenis niż przed laty. Najlepszy jest chyba Lendl, w przyszłości nr 1 powinien być Andre Agassi, ale on nigdy nie wygra Wimbledonu.

Większość pytań dotyczy jednak pozasportowych pasji Wojciecha Fibaka, są w nich też akcenty polityczne. Odpowiedzi Fibaka są precyzyjne, jak piłki które oddawał rywalom przed laty. Jeszcze jedno pytanie co je na kolację, jaką wino pija najczęściej, o czym rozmawia z Romanem Polańskim czy z Mrożkiem i spotkanie dobiega końca.

JANUSZ PINDERA

„Marcinek" czyli ciągłość tradycji

Sa w Poznaniu świetne i dobre licea, nie ujmując żadnemu, ale wśród nich I LO im. Karola Marcinkowskiego ma szczególne miejsce. Jest bardzo poznańskie. Mniej może słychać o nim niż o innych, wolniej wprowadza nowinki (kompletery ma inny układ dopiero od tego roku), stare mury gmachu otaczający go mniej więcej oblicza od lat, ale wewnątrz trwa solidna i systematyczna praca nauczycieli i uczniów. Od czasów międzywojennych nieprzerwanie i uparcie pracuje na swoją dobrą opinię — było pierwszym gimnazjum, które skutecznie zaczęło rywalizować przed wojną z niezwyciężoną wówczas „Marią Magdaleną".

Najlepszym wskaźnikiem pracy „Marcinka" jest to, że zajmuje drugie w Poznaniu miejsce pod względem liczby przyjmowanych na studia maturzystów. Przy czym, gdyby móc przeliczyć stopień trudności wybieranych kierunków, miałoby może i pierwsze miejsce. Bezapelacyjnie pierwsze miejsce zajmuje natomiast w tzw. sprawności przyjęć, tzn. liczby tych, którzy nie tylko zdali, ale zostali przyjęci. Ta zawiła statystyka oznacza po prostu, że jeśli już zdali — to na dobre i bardzo dobre.

W języku uczniów o I LO mówi się „klasztor", ze względu na wysokie wymagania stawiane licealistom. Na szczęście są uczniowie, którzy to lubią — w ubiegłym roku zajęli dobre miejsca w olimpiadzie języka polskiego, języka francuskiego, wiedzy o Polsce i świecie współczesnym, w zawodach matematycznych i fizycznych dla młodszych klas, w sportach obronnych, konkursach oświaty zdrowotnej, a wreszcie I miejsce zajął wśród teatrów szkolnych ich teatr „Bu". Niemały rozrzut zainteresowań i sukcesów, jak na „klasztor". Oprócz tego mają świetne kółko fotograficzne, wydają „Rocznik Żakowski", redagują „Wolną Trybunę", mają niebanalnie pomyślaną izbę patrona i piszą ambitne wiersze.

To jest to, co widać, bo liczy się także niewidzialne, czyli wyrobienie umysłowe młodzieży, poziom ich dyskusji, żarliwe zapatrywania. Do tradycji szkoły weszły spotkania z ciekawymi ludźmi i niektórzy „ciekawi ludzie" mocno się na tych spotkaniach napocą, próbując wybrnąć z sieci zadziornych pytań.

Nie bez okazji przypominamy dzisiaj to miejsce, zwłaszcza tradycyjnych poznaniaków, liceum. Za rok, dokładnie 27 października, odbędzie się tu wielki zjazd z okazji 70—lecia szkoły. Gospodarze spodziewają się co najmniej dwóch tysięcy uczestników, a wielu zjedzie aż zza dalekich granic. Już dziś rozpoczynają się prace mające to wielkie spotkanie przygotować. Sekretarzem komitetu obchodów jest nauczyciel z I LO pan Zbigniew Lesicki i on w imieniu komitetu przyjmuje zgłoszenia, informacje, pomysły, wszelką pomoc w przygotowaniach. Jednym z punktów programu jest wystawa prac i pamiątek wychowanków — poza już zbierać eksponaty. Mogą się wśród nich znaleźć świadectwa szkolne Jerzego Waldorffa, Stefana Stuligrosza, Alfonsa Klafkowskiego, Wojciecha Fibaka i bardzo wielu innych godnych wymienienia zasłużonych absolwentów tej szkoły.

Maria NOWAK

TENNIS

Leconte-Fibak : divorce à l'amiable



Entre Leconte et Wojtek Fibak (ci-dessus), la coopération n'aura duré qu'un an.
(Photo PRESSE SPORTS)

L'ASSOCIATION entre Henri Leconte et Wojtek Fibak a vécu. C'est ce qu'a confirmé le Français hier de Stuttgart où il joue un tournoi de préparation, en vue de l'Open de Paris indoor qui commencera lundi.

« Nous avions un accord pour un an, expliquait-il, *nous avons décidé de ne pas continuer. »*

C'est en fait après l'US Open que Leconte avait pris sa décision :

« Nous avons passé de bons moments, Wojtek m'a apporté une aide tactique précieuse, mais il ne venait avec moi que sur les tournois du Grand Chelem, et ce n'est pas en me prenant en main deux jours avant qu'on peut faire du très bon boulot. Or Wojtek avait beaucoup de choses à faire pour ses affaires. »

Si l'on ajoute que Wojtek Fibak s'était blessé au genou peu de temps avant Roland-Garros et ne pouvait de ce fait entraîner Leconte raquette en main, on comprendra que la collaboration entre les deux hommes a été le plus souvent téléphonique.

Durant les prochains mois, Leconte s'entraînera essentiellement avec Patrice Hagelauer et Eric Deblicker :

« Quand je suis dans le sud de la France, je m'entraîne dans le camp de Patrice, à Sophia Antipolis ; sur certains tournois comme Toulouse ou Bercy, c'est Eric qui me fait travailler. Et comme Patrice vient travailler presque une fois par mois dans un club à Genève, il a pu m'y trouver des partenaires d'entraînement de bon niveau. »

Le recours aux deux entraîneurs de l'équipe de France de Coupe Davis n'est pas surprenant de la part de Leconte. Pendant cinq ans il a multiplié les coaches personnels, d'Ion Tiriac à Wojtek Fibak en passant par Sever Dron, Patrice Dominguez (deux fois) et Manolo Santana (qui ne l'a entraîné qu'une semaine) ; mais à vingt-cinq ans il semble s'orienter vers la formule de l'entraînement à la carte, sachant que le capitaine de l'équipe de France de Coupe Davis, Eric Deblicker, sera présent dans la majorité des grands tournois.

Il serait souhaitable pour lui que cette entente-là puisse durer un peu plus longtemps que les précédentes car la seule chose qui a manqué au Français ces dernières années, c'est précisément la continuité dans le travail. — Ph. B.

Fibak : « Henri n'a pas besoin de coach »



Satisfait par l'expérience Leconte, le Polonais l'estime désormais parfaitement épaulé par la Fédération...

Ce qui manque le plus à Henri Leconte en ce moment, c'est la sécurité. (Photo PRESSE SPORTS)

A la suite du divorce à l'amiable entre Henri Leconte et Wojtek Fibak, son mentor, celui-ci nous a confié les conclusions d'une année de travail effectué avec le Français.

« Henri avait fait appel à moi en août 1987, lorsque, à la suite de son opération au dos, il manquait de confiance, étant diminué sur le plan technique et physique. Personnellement, je ne voulais plus m'occuper de quelqu'un, après Ivan Lendl. J'ai cependant accepté, parce que d'abord je pensais pouvoir l'aider et qu'Henri est un garçon gentil et doué. »

Fibak explique qu'au bout de trois mois Henri avait retrouvé la forme. Il joua bien à Anvers, à Bercy et à Londres.

« De la quarantième place il monta à la dixième. Mon but était, en effet, qu'il retrouve une place parmi les dix premiers mondiaux et qu'il se distingue dans un ou deux tournois du Grand Chelem. »

Le couac de Wimbledon

Wojtek Fibak pense que la plupart des gens n'ont peut-être pas apprécié à sa juste valeur la place de finaliste de Leconte à Roland-Garros. Pourtant, lui estime que ce fut un réel exploit, que Leconte ne répétera peut-être jamais.

« Ces deux buts atteints, était normal que nous nous séparions, poursuit Fibak. *Du reste, notre contrat était d'un an. Henri savait pertinemment que je ne pouvais pas voyager avec lui. Je pense que, bien dirigé par Eric Deblicker et Patrice Hagelauer — avec lesquels je me suis toujours fort bien entendu — Henri n'a pas besoin d'un autre coach, peut-être juste d'un sparring-partner. Je trouve que la Fédération française est de toutes les Fédérations celle qui assure les meilleures conditions à ses joueurs. »*

Le bilan positif dans l'ensemble de la collaboration Leconte-Fibak est entaché, selon le Polonais, d'un point noir : Wimbledon.

« Après Paris, où il a joué trois matches en cinq sets, Henri était en pleine forme. Il s'est bien préparé, pendant deux semaines, pour Wimbledon. Il a renoncé au simple du Queen's, en n'y jouant que le double. A mon avis, il était parti pour aller en demi-finale ou même en finale à Wimbledon. Et puis, je ne sais toujours pas pourquoi (pourtant j'y étais) il a gâché sa chance. Il était prêt physiquement, le gazon était plus facile pour lui que la terre battue, il bénéficiait d'un bon tirage au sort. Il aurait dû réussir contre Mayotte. Car ce n'est pas l'Américain qui a gagné, c'est Henri qui a perdu le match. Quel dommage ! Henri aurait pu aller loin et prendre ainsi une place parmi les 3-4 premiers mondiaux ! »

— Et sa contre-performance à Flushing Meadow ?

— L'US Open était une conséquence de Wimbledon. Ensuite, il a perdu un peu partout, (Gstaad, Stuttgart, Coupe Davis) ce qui a ébranlé sa confiance. De surcroît, il n'a pas préparé Flushing, moi je me trouvais aux Etats-Unis, lui a passé deux semaines à Mougins. »

Wojtek Fibak tient à préciser, en conclusion, qu'il reste en relations amicales avec Leconte, auquel il souhaite beaucoup de succès.

Judith ELIAN

Leconte : « Question de confiance »

De retour de Francfort où il a été battu par Leonardo Lavalle, au deuxième tour, Henri Leconte a repris l'entraînement avec Eric Deblicker à Roland-Garros.

« Contre Lavalle, explique-t-il, *c'est sûr, j'ai joué bien en dessous de mon niveau, mais je n'ai pas fait trop de grosses fautes. C'est lui qui a joué sur un nuage. Moi, je n'ai pas été capable d'accélérer. En plus il n'y avait pas la moindre ambiance. On a dû jouer devant 200 spectateurs à tout casser. »*

La cause de ses échecs répétés est selon lui la combinaison de deux facteurs, manque de matches et perte de confiance, qui, mis bout, à bout se transforment en manque de victoires : *« Tout est une question de confiance pour moi. Mais j'ai un bon programme d'entraînement avec Eric Deblicker et Patrice Hagelauer, je suis certain que ce travail va payer. »*

En attendant, face à l'échéance que constitue l'Open de Paris, Leconte reste extrêmement modeste : *« Un joueur que je redouterais particulièrement ? Pas vraiment. Tous les joueurs sont dangereux pour moi en ce moment. »* Il ne se doutait pas encore du mauvais tour que le sort devait lui jouer. — Ph. B.

Le programme « Spécial Bercy » encarté dans L'Équipe Magazine a été réalisé et vous est offert par Tennis de France

Tennis : Leconte renvoie Fibak

Henri Leconte se retrouve une nouvelle fois sans entraîneur. Après s'être débarrassé du Roumain Ion Tiriac, de l'Espagnol Manuel Santana et du Français Patrice Dominguez pour manque d'assiduité, Riton a annoncé hier qu'il venait de séparer à l'amiable du Polonais Wojtek Fibak, ancien entraîneur de Lendl, qui le conseillait depuis un an. Fibak, sérieusement blessé au genou, ne pouvait plus satisfaire les besoins du Français et ne lui donnait des conseils tactiques uniquement par téléphone.

TENNIS

Fibak : l'artiste médiateur

Le mentor polonais plaide pour son élève Henri Leconte et souhaite un compromis dans le conflit du tennis.

La grande fierté de Wojcek Fibak, l'ancien champion polonais (36 ans depuis le 3 août), ce n'est pas sa rencontre avec son célèbre compatriote, le Pape Jean-Paul II ; ce n'est pas non plus sa finale du Masters en 1976 à Houston où il dominait l'Espagnol Orantes (7/5, 2/6, 6/0, 4/1)... avant d'être distrait par l'interview de Kirk Douglas en direct sur écran géant ; ce n'est pas non plus sa charmante et blonde épouse Eva (agrégée de philosophie française) ; ce n'est pas non plus son appartement de Manhattan ni sa propriété de Greenwich.

Non, il s'agit de sa maison de Boulogne à quelques foulées du stade de Roland-Garros ! Un rendez-vous de chasse du XVIIe siècle acheté voilà trois ans malgré l'état des lieux (très délabré) et transformé en superbe résidence. C'est l'amour de l'art qui l'a poussé vers cette réussite spectaculaire : *« Le snobisme je m'en fiche ! j'ai passé plus de deux ans à courir les antiquaires, les galeries de tableaux. Ce décor, je l'ai voulu. Par esprit artistique. Et par goût de l'investissement. C'était notre challenge : j'en suis très fier ! »*

Avec beaucoup de patience et un goût très sûr, Eva et Wojcek ont su s'entourer : tableaux de jeunes peintres européens (surtout polonais et français), tapisseries d'Aubusson, chenets Louis XVI et splendide table de tric-trac de la même époque, meubles du XVIIIe siècle, etc.

Fibak est intarissable sur son chef-d'œuvre parisien. Il parle beaucoup moins de son activité tennistique et de l'avenir d'Henri Leconte dont il est le conseiller depuis un peu plus d'un an. En vieux renard des courts, en homme intelligent et prudent, le mentor polonais ne veut pas s'appesantir sur le sujet... à quelques jours des discussions pour de nouveaux accords. *« Henri a surtout besoin qu'on lui fasse confiance. Et pas qu'on le siffle ou le critique systématiquement, comme le fait une partie de la presse parfois très dure avec lui.*

Sans baby-sitter

C'est vrai qu'il a été maladroit, cassant, au micro de Roland-Garros après sa malheureuse finale contre Wilander. Il aurait dû se contenter de dire aux spectateurs : merci de m'avoir soutenu ; je ferai mieux une prochaine fois !... Mais c'est un garçon direct, spontané, content néanmoins de se retrouver en finale après avoir gagné trois matches en cinq sets. Pour lui c'était important. Le divorce avec le public parisien ne durera pas. Henri a été marqué par tout cela et par son match raté contre Wilander, car il est très sensible, maintenant de passé ce mauvais cap et il va remonter la pente. Comme il l'a fait fin 1987 après son opération (hernie discale) et sa mononucléose. »

Wojcek Fibak n'a-t-il pas été déçu par son protégé, ne se pose-t-il pas lui aussi des questions sur son comportement déroutant, son manque de lucidité sur le court, son approche du professionnalisme, sa préparation physique pour améliorer son jeu de jambes (un de ses points faibles), etc.

Là, on se heurte à un refus : *« Henri a vingt-quatre ans passés. Il sait ce qu'il doit faire, il n'a pas besoin d'une baby-sitter ! Mon rôle se borne à le conseiller, l'orienter. Comme par exemple pour les Jeux de Séoul où je l'ai poussé à se rendre ».*

En revanche, la guerre du tennis qui oppose actuellement l'ATP (Association des tennismen professionnels) et la Fédération internationale l'intéresse beaucoup et déclenche une prise de position : *« Dans les années 70, au début de l'ATP avec Arthur Ashe et Ray Moore, je me suis battu pour que les joueurs tiennent un rôle plus important. Ils ont raison quand ils demandent davantage de représentativité au sein du conseil professionnel et une part des droits de télévision des grands tournois. La FIT s'est montrée trop dirigiste, il faut qu'elle lâche du lest. Mais la direction du tennis international actuel n'est pas si mauvaise. Au contraire ; il y a des tas de bonnes choses. Et les joueurs doivent se rendre compte qu'ils bénéficient d'un système étonnant. Je leur dis : sachez l'apprécier, il vous rapporte beaucoup ; ce n'est surtout pas votre intérêt de boycotter les grands tournois ! »*

« D'un autre côté, j'ai envie de dire à Philippe Chatrier, président de la FIT : donnez davantage aux joueurs et acceptez un compromis... Il est heureux qu'on aille vers cette solution, comme très souvent dans la vie ! » Avec son sens aigu de la diplomatie il se dit même prêt à jouer le « Monsieur Bons Offices » entre l'ATP et la FIT. Avis aux intéressés...

Michel ARTIGALA.

ŻYCIE WARSZAWY

NR 253 (13919) Wyd. 2 — SOBOTA — WTOREK, 29 PAŹDZIERNIKA — 1 LISTOPADA 1988 R. — DZIŚ STRON 16 CENA 30 ZŁ

PL ISSN 0137-6837 — NR INDEKSU 36019

Spotkanie z Wojciechem Fibakiem

(W) (Informacja własna). Klub studencki „Park" zaprasza na spotkanie z Wojciechem Fibakiem 2 listopada o godz. 19.

Gość będzie rozmawiał na temat: Co to jest biznes? Promocja sztuki polskiej w USA, oczekiwania i moda.

Klub „Park" mieści się w Alejach Niepodległości 196, tel. 25-61-65 i 25-71-99. (x)

4 listopada 1988 GAZETA POZNAŃSKA Str. 5

sport

Chętnie odbudowałbym hotel Bristol — powiedział Wojciech Fibak

Wkoło dzieje się tyle rzeczy wielkich, zaskakujących i ciekawych, że mało już kto dziwi się czemukolwiek. A jednak spotkanie Wojciecha FIBAKA w warszawskim klubie „Park" uznać należy za wydarzenie godne szerszego odnotowania.

Fibak mówił głównie o biznesie, sztuce, trochę o tenisie, składał również bardzo konkretne propozycje.

Na spotkanie ze studentami (i sporą liczbą innych osób) Fibak przybył tuż po rozmowie z ministrem przemysłu Mieczysławem Wilczkiem. Brawa wywołała następująca deklaracja:

„... Chętnie odbudowałbym warszawski hotel Bristol, gdyby ktoś mi złożył taką ofertę. Wszystko co o tym mówi ulica to raczej mity, a ja za każdym razem będąc w Warszawie widzę, że na budowie nic się nie dzieje...".

Jeśli zaś chodzi o najbliższe plany związane z promocją za granicą młodych polskich talentów we wszystkich dziedzinach, to Fibak właśnie po rozmowie z ministrem Wilczkiem zamierza założyć dla tych celów własną agencję.

Jak już wcześniej zapowiadaliśmy obszerny wywiad z byłym mistrzem świata, dziś raczej już biznesmenem i animatorem, zamieścimy w najbliższym czasie.

(SG)

Wojciech Fibak

O interesach

Wojciech Fibak nawet po zakończeniu kariery sportowej jest osobą budzącą zainteresowanie. Do klubu „Park", gdzie rozmawiał ze studentami przyszło wiele osób zainteresowanych jego tenisową, nie chyba jednak przede wszystkim finansową i towarzyską karierą.

Fibak mówił też głównie o biznesie, sztuce, składał również bardzo konkretne propozycje. Powiedział np. **„Chętnie odbudowałbym warszawski hotel Bristol, gdyby ktoś mi złożył taką ofertę. Wszystko co o tym mówi ulica to raczej mity, a ja za każdym razem będąc w Warszawie widzę, że na budowie nic się nie dzieje..."**

Fibak na spotkanie ze studentami przybył tuż po rozmowie z ministrem przemysłu **M. Wilczkiem.** Rozmawiali o możliwościach inwestowania w Polsce przez zachodni kapitał, liście przedsiębiorstw przeznaczonych do likwidacji, które ewentualnie zostaną wystawione na sprzedaż.

Do tenisa i sportu wracano rzadko, z sali padały raczej pytania o możliwości przemawiania przez ex-tenisistę wyższej młodej sztuki na Zachodzie, zakładania przedsiębiorstw z kapitałem mieszanym itp. Była to już zdecydowanie rozmowa z Fibakiem-biznesmenem lub jak sam woli to określać inwestorem, niż gwiazdorem sportu.

(PAP)

Zamiast „Bristolu" może „Bazar"

Co jakiś czas w kraju głośno o Wojciechu Fibaku, obecnie więcej mówi się już o jego sukcesach finansowych niż sportowych. W niedzielę telewizja zaprezentowała tego polskiego człowieka sukcesu, jak odbija i smeczuje piłki — pytania zadawane przez młodych ludzi. Najciekawsze były wypowiedzi dotyczące perspektyw inwestowania przez zagraniczny kapitał w Polsce. Wszak W. Fibak należy już do kręgów tamtejszej finansjery i zna jej poglądy. A nie są one chyba zbyt optymistyczne dla nas. Zachodni biznesmeni patrzą na Polskę — według określenia W. Fibaka jak na przedpokój do Związku Radzieckiego. Tam bowiem upatrują głównie rynki zbytu i możliwość robienia wielkich interesów. W opinii rodaka Polska ma jednak sporo do zaoferowania i może — w sprzyjających warunkach — pójść śladami dynamicznego rozwoju Korei Południowej czy Tajwanu. O drugiej Japonii nikt już teraz nie mówi, ale dobre i to.

Poznaniaków, gdzie właśnie rozpoczyna się remont sławnego „Bazaru" najbardziej zaciekawiła jednak sprawa modernizacji warszawskiego hotelu „Bristol". Według wieści gminnej w przedsięwzięciu tym ma uczestniczyć Wojciech Fibak. Sam zainteresowany nic o tym nie wiedział, ale stwierdził, że chętnie zapoznałby się z propozycjami na ten temat. Jednak nikt się nie kwapi, żeby mu je przedstawić.

Może zatem zainteresować go remontem poznańskiego „Bazaru", który planowany jest na 5 lat, a nieco dłużej niż obiekt budowano. Przy wsparciu rodaka być może ten okres udałoby się znacznie skrócić. A sławą i tradycjami „Bazar" dorównuje chyba warszawskiemu „Bristolowi".

Tylko kto pospieszy z propozycjami do biznesmena rodem z Poznania? Na dyrekcję „Orbisu" trudno raczej liczyć. Czyżby zatem znowu skończyło się na gadaniu o konieczności budowy w Poznaniu hoteli oraz przyspieszeniu remontu „Bazaru", który zapewne i tak się przeciągnie? (wan)

Od kilku dni przebywa w Polsce Wojciech Fibak. Załatwia dziesiątki spraw, ale znalazł czas na udzielenie „Gazecie" długiego wywiadu na najbardziej aktualne tematy światowego tenisa. Podpisał też w poznańskim KAW wstępną umowę na nową książkę. Będzie w niej dużo o nim samym, ale także i na inne tematy. Dziś W. Fibak przed odlotem do Paryża spotyka się w warszawskim Klubie Studenckim „Park" ze swoimi wielbicielami. Niestety, wciąż jeszcze mocno nie jest zdrowa.

Równocześnie otrzymaliśmy depeszę z Nowego Yorku. Jak się okazuje najlepsza polska tenisistka Iwona Kuczyńska w pierwszej rundzie turnieju Worcester pokonała Jamine Thompson (Australia) 2:6, 6:2, 6:2.

(s)

Wojciech Fibak partnerem wielkich przedsięwzięć!

Wojciech Fibak, nawet po zakończeniu kariery sportowej jest osobą budzącą zainteresowanie. Do klubu „Park", gdzie w środę wieczorem rozmawiał ze studentami, przyszło wiele osób zainteresowanych jego tenisową, ale chyba jednak przede wszystkim finansową i towarzyską karierą. Fibak mówił też głównie o biznesie, sztuce, składał również bardzo konkretne propozycje. Powiedział np.: „Chętnie odbudowałbym warszawski hotel „Bristol", gdyby ktoś mi złożył taką ofertę. Wszystko co o tym mówi ulica, to raczej mity, a ja za każdym razem będąc w Warszawie widzę, że na budowie nic się nie dzieje".

Fibak na spotkanie ze studentami przybył tuż po rozmowie z ministrem przemysłu Mieczysławem Wilczkiem. Rozmawiali o możliwościach inwestowania w Polsce przez zachodni kapitał, liście przedsiębiorstw przeznaczonych do likwidacji, które ewentualnie zostaną wystawione na sprzedaż.

yxy

zt

66-55-68

20/sport z f i b a k i e m o i n t e r e s e c h

odc. 1

8.10.(zuk~~-Warszawa~~) par. wojciech fibak nawet po zakonczeniu kariery sportowej jest osobą budzącą zainteresowanie. do klubu ,,park,, , gdzie w srodę wieczorem rozmawiał ze studentami przyszło wiele osob zainteresowanych jego tenisową, ale chyba jednak przede wszystkim finansową i towarzyską karierą. fibak mówił też głównie o biznesie, sztuce, składał rowniez bardzo konkretne propozycje. powiedział np. ,,chętnie odbudowałbym warszawski hotel bristol, gdyby ktoś mi złożył taką ofertę. wszystko co o tym mowi ulica to raczej mity, a ja za każdym razem będąc w warszawie widzę, ze na budowie nic się nie dzieje...,, fibak na spotkanie ze studentami przybył tuż po rozmowie z ministrem przemysłu mieczysławem wilczkiem. rozmawiali o możliwosciach inwestowania w polsce przez zachodni kapitał, liście przedsiębiorstw przeznaczonych do likwidacji, które ewentualnie zostaną wystawione na sprzedaż. do tenisa i sportu wracano rzadko, z sali padały raczej pytania o możliwosci promowania przez ex-tenisistę polskiej młodej sztuki na zachodzie, zakładania przedsiębiorstw z kapitałem mieszanym itp. była to już zdecydowanie rozmowa z fibakiem-biznesmenem lub jak sam woli to określać inwestorem, niż gwiazdorem sportu. ale mówiąc o polskiej tenisowej nadziei nr 1 wojciechu kowalskim fibak stwierdził: ,,on już chyba nie potrzebuje specjalnych opiekunów czy trenerów. ma jeździc po swiecie, grać i ... wygrywać. zaczyna w latach znacznie łatwiejszych niż ja, jeśli chodzi o sytuacje młodego sportowca - kandydata na profesjonalistę. właściwie to kowalski już tym zawodowcem jest. mnie przyszło to znacznie trudniej i byłem wówczas o kilka lat starszy,,.

dcn

20 sport odc. 1 - k1)

yxy

zt

20/sport odc.2

jeśli zaś chodzi o najbliższe plany związane z promocją zagranicą młodych polskich talentów we wszystkich dziedzinach, to fibak własnie po rozmowie z ministrem wilczkiem zamierza założyć dla tych celów własną agencję. dopiero po tym oświadczeniu okazało jak wielu ludzi przyszło do ,,parku,, z konkretnymi propozycjami. ktoś produkuje ramy do obrazów, ktoś inny sam jest malarzem, rzeźbiarzem i chciałby skorzystac z takiego mecenatu. pytany o to jak zrobić zagranicą karierę wojciech fibak odparł: ,,trzeba być dobrym w tym co się robi, zachód jest okrutny, ogromna tam konkurencja. ale czy trzeba zaraz wyjeżdzać? jestem w kraju od kilku dni i widzę, ze dzieje się coś ciekawego, dlaczego nie sprobujecie zrobić czegos tu?,, ale później niestety wspomniał, że najlepiej lubi kuchnie francuską i japońską, jada głównie w tego typu restauracjach, choć ostatnio bardzo ostrzegają przed świeżymi morskiemi zwierzątkami z japonii...

(20 sport odc. 1-2 - k1)

yxy

5.

Wojciech FIBAK:

Jestem inwesto

Nie zmienił się specjalnie od czasów gdy występował na korcie. Tylko włosy ma nieco dłuższe. Modnie ubrany, w dżinsowe spodnie, dżinsową koszulę, w czarnej marynarce, z prawą ręką w kieszeni z ogromną swobodą, ponad dwie godziny, w studenckim klubie „PARK" odpowiadał na pytania kilkuset przybyłych na to spotkanie osób. WOJCIECH FIBAK nie ukrywał, że dziś bliższe mu są pytania z zakresu malarstwa niż tenisowych kortów. Ale na te drugie też udzielał interesujących odpowiedzi. W tej relacji ze spotkania z Wojciechem Fibakiem więcej miejsca poświęcimy jednak tematom sportowym, raz jeszcze za pośrednictwem uczestników spotkania zadamy mu pytania związane z tenisem.

— Kim pan dzisiaj jest. Menedżerem tenisa, kolekcjonerem dzieł sztuki, biznesmenem?

— O swoich zainteresowaniach mówiłem już wielokrotnie. Kolekcjonuję obrazy polskich malarzy szkoły paryskiej. Nie kupuję ich aby zarabiać. Jestem inwestorem. Mogę sobie na to pozwolić.

— Czy gra pan jeszcze w tenisa?

Tylko dla przyjemności.

— Zobaczymy pana na znaczących turniejach?

— Tenis to sport okrutny. Nie jestem już rozstawiany. Mogę więc jedynie liczyć na to, że mnie ktoś zaprosi a wówczas mogę zagrać debla.

— Ostatnio wiele mówiono o pana współpracy z Henri Leconiem?

— To już zamknięta historia. Henri po operacji kolana przez długi czas nie mógł dojść do siebie, zapomniał wygrywać. Wówczas zwrócił się do mnie. Podpisałem z nim kontrakt na rok. Termin upłynął, nie ma więc o czym mówić.

— Czy z perspektywy kilkunastu lat uważa pan, że zrobił karierę?

— Wszystko zależy od punktu odniesienia. Jeśli to, że kilkanaście lat spędziłem w gronie najwybitniejszych tenisistów, to że dziś mam dom w Nowym Jorku i Paryżu, jeżdżę Porschem i Mercedesem, mogę robić to co lubię, znam wielu fascynujących
reślić tym n
wiem, że zro
tego dojść na
jąć decyzję.
było łatwo.
wygrałem.

— Prawdą Fibak będzie „Bristol"?

— To jede
choć szczerze
ja, jak i wiel
z chęcią inw
sce. Mnie
sztuka, swoi
za pośrednict
bym umożliw
ludziom.

**— Co zam
dla polskiego**

— Aktualni
na to czasu.
ryża, z Paryż
ku na aukcj

**— Zna pan
skiego, grał
lat temu w
Czy pana zd
sista mający
ścisłej świat**

— Kowalsk
ny pełen c
wiec. Potrafi
mało kto, n
nych wad z
przez prawd
Brakuje mu
nej zdolnoś
ważnych pił
wizji kortu,
tu ulicznego,
Mieczysław

**— Dlaczeg
maga w kar**

— Podczas
Open miesz
łem mu tre
Uważam, że
sytuację niż
do wszystk
sam.

**— Co sądz
Straussie?**

— Słyszałe
nie znam, p
gera Wojtka

**— Chciałby
zesem PZT?**

— Nie był
nić takich

66-55-68

o interesach

Thanks

5.

ech fibak nawet po zakonczeniu
udzącą zainteresowanie. do klubu
orem rozmawiał ze studentami
wanych jego tenisową, ale
finansową i towarzyską karierę.
asie, sztuce, składał również
owiedział np. ,,chętnie odbudowałbym
y ktoś mi złożył taką ofertę.
raczej mity, a ja za każdym razem
budowie nic się nie dzieje...,,
ni przybył tuż po rozmowie z
em wilczkiem. rozmawiali o możli-
przez zachodni kapitał, liście
do likwidacji, która ewentualnie
. do tenisa i sportu wracano
ytania o możliwości promowania
odzej sztuki na zachodzie, zakładania
eszanym itp. była to już zdecydo-
amenem lub jak sam woli to określać
rtu. ale mówiąc o polskiej teniso-
alskim fibak stwierdził: ,,on już
ch opiekunów czy trenerów. ma
wygrywać. zaczyna w latach znacznie
dzi o sytuacje młodego sportowca -
właściwie to kowalski już tym
to znacznie trudniej i byłem

plany związane z promocją
entow we wszystkich dziedzinach,
ministrem wilczkiem zamierza
agencję. dopiero po tym
u ludzi przyszło do ,,parku,,
os produkuje ramy do obrazow,
zbiarzem i chciałby skorzystac
o jak zrobic zagranicą karierę
a byc dobrym w tym co się robi,
am konkurencja. ale czy trzeba
u od kilku dni i widzę, ze dzieje
e sprobujecie zrobic czegos tu?,,
, ze najlepiej lubi kuchnie
wnie w tego typu restauracjach,
lę przed swiezymi morskiemi

Wojciech FIBAK:

Jestem inwestorem

Nie zmienił się specjalnie od czasów gdy występował na korcie. Tylko włosy ma nieco dłuższe. Modnie ubrany, w dżinsowe spodnie, dżinsową koszulę, w czarnej marynarce, z prawą ręką w kieszeni z ogromną swobodą, ponad dwie godziny, w studenckim klubie „PARK" odpowiadał na pytania kilkuset przybyłych na to spotkanie osób. WOJCIECH FIBAK nie ukrywał, że dziś bliższe mu są pytania z zakresu malarstwa niż tenisowych kortów. Ale na te drugie też udzielał interesujących odpowiedzi. W tej relacji ze spotkania z Wojciechem Fibakiem więcej miejsca poświęcimy jednak tematom sportowym, raz jeszcze za pośrednictwem uczestników spotkania zadamy mu pytania związane z tenisem.

— Kim pan dzisiaj jest. Menedżerem tenisa, kolekcjonerem dzieł sztuki, biznesmenem?

— O swoich zainteresowaniach mówiłem już wielokrotnie. Kolekcjonuję obrazy polskich malarzy szkoły paryskiej. Nie kupuję ich aby zarabiać. Jestem inwestorem. Mogę sobie na to pozwolić.

— Czy gra pan jeszcze w tenisa?

Tylko dla przyjemności.

— Zobaczymy pana na znaczących turniejach?

— Tenis to sport okrutny. Nie jestem już rozstawiany. Mogę więc jedynie liczyć na to, że mnie ktoś zaprosi a wówczas mogę zagrać debla.

— Ostatnio wiele mówiono o pana współpracy z Henri Lecontem?

— To już zamknięta historia. Henri po operacji kolana przez długi czas nie mógł dojść do siebie, zapomniał wygrywać. Wówczas zwrócił się do mnie. Podpisałem z nim kontrakt na rok. Termin upłynął, nie ma więc o czym mówić.

— Czy z perspektywy kilkunastu lat uważa pan, że zrobił karierę?

— Wszystko zależy od punktu odniesienia. Jeśli to, że kilkanaście lat spędziłem w gronie najwybitniejszych tenisistów, to że dziś mam dom w Nowym Jorku i Paryżu, jeżdżę Porschem i Mercedesem, mogę robić to co lubię, znam wielu fascynujących ludzi, można określić tym mianem to odpowiem, że zrobiłem. Ale żeby do tego dojść należało kiedyś podjąć decyzję, o którą wcale nie było łatwo. Zaryzykowałem i wygrałem.

— Prawdą jest, że Wojciech Fibak będzie remontował hotel „Bristol"?

— To jeden z wielu mitów, choć szczerze mówiąc zarówno ja, jak i wielu moich znajomych z chęcią inwestowałoby w Polsce. Mnie jednak interesuje sztuka, swoisty rodzaj agencji za pośrednictwem której mógłbym umożliwić start zdolnym ludziom.

— Co zamierza pan zrobić dla polskiego tenisa?

— Aktualnie nic. Nie mam na to czasu. Teraz lecę do Paryża, z Paryża do Nowego Jorku na aukcje dzieł sztuki.

— Zna pan Wojciecha Kowalskiego, grał z nim debla kilka lat temu w meczu z Grecją. Czy pana zdaniem jest to tenisista mający szanse wejść do ścisłej światowej czołówki?

— Kowalski to fajny, ambitny pełen entuzjazmu sportowiec. Potrafi grać w tenisa jak mało kto, ma kilka minimalnych wad zauważalnych tylko przez prawdziwych koneserów. Brakuje mu natomiast naturalnej zdolności do wygrywania ważnych piłek. Nie ma tzw. wizji kortu, brakuje mu sprytu ulicznego, tego co np. miał Mieczysław Rybarczyk.

— Dlaczego pan mu nie pomaga w karierze?

— Podczas tegorocznego US Open mieszkał u mnie, załatwiłem mu treningi z Lecontem. Uważam, że on i tak ma lepszą sytuację niż ja przed laty. Ja do wszystkiego dochodziłem sam.

— Co sądzi pan o trenerze Straussie?

— Słyszałem o nim, ale go nie znam, podobnie jak managera Wojtka Kowalskiego.

— Chciałby pan zostać prezesem PZT?

— Nie byłbym w stanie pełnić takich obowiązków.

JANUSZ PINDERA

Sykstus 1978

Wojciech Fibak w „Parku"

Środa w „Parku". Na podwyższeniu dwa fotele i mikrofony, dwie szklanki i trzy butelki „coli". Całość przyprószona niebiesko-bordowym światłem. Parkiet wypełniony ludźmi. Nikt jednak nie tańczy. Dziś muzyki nie będzie. Będzie Wojtek Fibak.

Jest kilka znanych postaci, snobów i snopów, jeszcze niezdemaskowanych artystów i „ludzi interesu", ale smakowita większość to po prostu zdrowo ciekawi. Możliwość poznania w jednej osobie świetnego sportowca, biznesmena i kolekcjonera dzieł sztuki, nie trafia się codziennie. W monitorach na ścianach widać, jak Fibak gra z Patem Cashem. To znak, że już przybył i zaraz wejdzie.

Znakomicie ubrany, bez wąsów, nieznacznie zabenowany licznym audytorium, gotowy do rozmowy. Dzięki prezentacji i zamieszaniu z nieposłusznym mikrofonem, natychmiast wytwarza się „luz". Już wiadomo, że nie będzie monologu, a potem przeciągającego się czekania na pytania. Ci, którzy tu przyszli, są nimi naładowani, a że niewidoczna ściana między „kimś" a jego odbiorcami przysta w pierwszej sekundzie, posypią się one jak grad z nieba.

Wpierw robi się kabaret z głosów wielu ciekawych, pada jednak pytanie o „swoje miejsce wśród...". Fibak poważnieje i prosi o przedstawianie się. „Chcę wiedzieć z kim rozmawiam". Dzisiaj miał spotkanie z ministrem Mieczysławem Wilczkiem, znaleźli wspólny język, jednak nie ma jeszcze stosownych przepisów. Już są chętni do podtrzymania wątku. *„A malarstwo? Staram się jak najwięcej zrobić dla sztuki polskiej".* Natychmiast wyjaśnia swoje bardzo specyficzne zainteresowania tzw. polską szkołę paryską. To jakby jego religia. *„Ci artyści, w większości Żydzi, choć mogli żyć w Polsce dostatnio, malując dygnitarzy* (uśmiech z dobranego określenia) *jednak chcąc dorównać najlepszym, musieli być wśród nich. — Oczywiście nie ujmuję tym, którzy zostali. — Często spotykała ich nędza, ale nie zawahali się podjąć ryzyka. Tak jak ja w sporcie. I to mnie do nich zbliżyło."*

Rozmowa staje się żywiołowa. Niekoniecznie student chce wiedzieć, jak zrobić karierę? *„Trochę samozaparcia i odwagi. Najłatwiej jest wyjechać, ale ja chciałbym was zachęcić do zaczynania TU, bo najlepiej w czymś być mocnym tutaj, aby tam to wykorzystać. Architekt w stolarni, lekarz w kuchni — to bez sensu. Ja miałem o tyle lepiej, że za mnie mówiła rakieta, ale znajomość języków jest bardzo ważna..."* Jakie pan zna? *„...Tak jak wszyscy rosyjski, — jeszcze angielski, francuzki i niemiecki.* (Podejrzliwie patrzy na lód, który trafił do jego szklanki). *To powinno być z whisky!* Wpierw moje *sprawy finansowe prowadzili inni, bezpiecznie lokując pieniądze, lecz około 1979 r. sam się tym zająłem.* Zacząłem kupować, *inwestować w różne rzeczy, cały czas uczę się. Sekret leży w tym, że do wszystkiego dochodziłem sam."*

Na pierwszy plan wychodzi sztuka i drobiazgowe pytania. Wśród zadających je wyczuwa się „nawiedzonych", aż jeden z nich, niezwykle aktywny i aż kipiący emocją artysta-śpiewak (tak się przedstawia) „rzuca w twarz" to, czego inni nie mieli odwagi powiedzieć wprost. „Może mi pan pomoże!?". Wybucha śmiech, rozbawione towarzystwo woła „śpiewaj", ale chętnych do wypłynięcia z pomocą mecenatu Fibaka jest więcej. Fibak tylko przez chwilę zasłania usta, bo to naprawdę zabawnie wypadło, jednak z powagą podejmuje problem. *„Promocja. Nie znałem tego słowa i nie podoba mi się, ale widzę, że jest powszechnie przyjęte. Może w najbliższej przyszłości się tym zajmę, ale tylko w najlepszym wydaniu. Planuję otworzyć agencję, niekoniecznie pod własnym nazwiskiem".*

Do głosu dochodzą „inwestorzy i przemysłowcy". Mają nawet konkretne oferty. Czy widzi pan możliwość zainwestowania w jakieś przedsięwzięcie w Polsce? Powrót do rozmowy z min. Wilczkiem oraz... remontu hotelu „Bristol". *„Myślę, że będzie to realne, gdy pojawią się odpowiednie przepisy i dogodne warunki. Wtedy nie tylko sam bym inwestował w Polsce, ale i zachęcał innych z Zachodu. Jest szansa, aby Polska stała się może nie drugim Hongkongiem, ale np. Tajwanem lub Koreą. U nas mimo wszystko siła robocza jest tańsza niż tam, o pora tym jesteśmy blisko. A „Bristol"? Nie miałem nigdy poważnych propozycji, choć też słyszałem od Romka Polańskiego* grać w „Piratach" Polańskiego? Drugie pytanie wypiera pierwsze. *„Nie wiem, dlaczego on ten film zrobił* (bezradny uśmiech). *A z sztuką naszą jest nie najlepiej, skoro cokolwiek pokazanie się tam wartościowego, udało mi się kupić..."* Dla zyskul *„...Nie. Moja kolekcja nie ma nic wspólnego z biznesem. Zebrałem około 200 płócien, a sprzedałem* kilka najsłabszych, po prostu już nie pasujących. *Ostatnio prawdziwą popularność w Paryżu zrobił Kieślowski filmami „...o zabijaniu" i „o miłości".*

Wreszcie tenis. Szybkie przypomnienie kariery sportowej, z której najburzliwszy okazuje się początek. Kłopoty z wyjazdami, obozy w Wałbrzychu, czekoladki zostawiane w COS, juniorowski Wimbledon, oferta z uniwersytetu w USA, 4 lata straty, później — dopiero w wieku 23 lat awans do pierwszej „100", później sukcesy, jednak żal, że bez tych wielkoszlemowych. Po 15 latach gry w światowej czołówce, kontuzja i przyśpieszone, choć nie do końca, zejście z kortu. Pomoc Lendlowi i Leconte-wi. Co pan teraz zrobi dla polskiego tenisa? *„Wyjadę".* Rozstał się pan z Leconte'em, czy znowu dojdzie do zbliżenia z Lendlem? *„To on się do mnie zbliża, a właściwie do mojej żony. Ciągle do niej dzwoni."* Interesuje pana prezesura w PZT? *„Nie mam na to czasu".* Czemu tak mało pan gra? *„Nie jestem klasyfikowany, więc występuję, gdy mnie zaproszą".* Kto będzie teraz najlepszy? *„Może Agassi, ale on jest ograniczony do nawierzchni. Raczej Becker".* Kowalski? *„Jest dobrze wyszkolony, ma idealne warunki i powinien coś osiągnąć. Brakuje mu jednak naturalnego daru wygrywania punktów, tzw. „sprytu ulicznego" na korcie."* Doping? *„W tenisie go nie ma, Daniel by to potwierdził".* Czytał pan jego książkę? *„Ja myślałem o Olbrychskim* (zabawne nieporozumienie), *ale książkę Passenia o mnie „To jest moja gra" widziałem — nie mam zdania na jej temat".* Dlaczego zgodził się pan na jej napisanie, skoro kiedyś odmówił Passentowi wywiadu? *„Zrobiłem to dla ojca, gdyż chciał, aby coś o mnie napisano. Przede wszystkim jest to książka o współczesnym świecie."* Czy nie pociąga pana kariera polityczna? *„Absolutnie nie."* Starszy pan, siedzący nawet przed pierwszym rzędem, zamął. *„Będziemy kończyć. Ostatnie pytanie..."* Co pan sądzi o propozycji zniesienia drugiego serwisu? *„Jestem... za!"*

Zapalają się monitory. Cash nie może poradzić sobie z Fibakiem. On, teraz, prywatnie rozmawia z gośćmi „Parku". Jeszcze trochę zostanie w kraju, potem znowu będzie podróżował po świecie, głównie na trasie Paryż — Nowy Jork. Za kilka miesięcy wróci. Jak zawsze.

ANDRZEJ CHYLIŃSKI

OSPOLITA NR 261 (2092), 10. 11. 1988 R.

„Nie każdy musi zbierać obrazy i mieć dom w Paryżu i w Nowym Jorku. Ja tak żyję, ktoś inny może żyć inaczej."

Mansarda Fibaka

— Słyszałem, że remontujesz hotel „Bristol" — dopytywał się mnie w Paryżu Roman Polański. To dziwne — dodał — bo słyszałem, że Gucio z Londynu też remontuje. To wy to razem, znaczy, robicie...

— O Guciu słyszałem, ale go nie znam!

— To nie widzieliście się na budowie?

Tyle w Paryżu, a w Warszawie? „Tam jest dwóch facetów z młotkiem i nic się nie zmienia". Gdybym ja prowadził w tym tempie przebudowę, to nie byłbym tu z wami. Ale nie miałem w istocie żadnej konkretnej propozycji, nawet od ambasadora Klasy, który zajmuje się takimi sprawami. Orbis trzyma ten hotel i nie spieszy się, ma czas...



Album rodzinny. *Fot. CAF*



„Nic nie spadło mi z nieba." *Fot. Archiwum*

Studencki klub „Park". Przed mikrofonem WOJCIECH FIBAK. Próbuje się na wstępie odłączyć od mikrofonu („Traktuję to grono kameralnie"), ale ostatnie szeregi protestują i głos dociera ze wzmocnieniem godnym tego miejsca, czyli dyskoteki. Lobby tenisowe w mniejszości. Anons prasowy zapowiadał bowiem rozmowę nie tylko o tenisie, lecz i o sztuce i biznesie, które to dziedziny reprezentuje Fibak. A więc na widowni artyści i bywalcy wystaw malarskich, twarze z okolic „Dziekanki", a także ludzie interesu, albo inaczej: ludzie zainteresowani robieniem takiego.

Bliższe poznanie osób z widowni następowało w trakcie spotkania, kiedy każdy pytający przedstawiał się; był więc młody biznesmen z Montrealu, którego interesowało to, czego dowiedział się Fibak o „joint ventures" podczas wizyty u ministra Wilczka, był artysta śpiewak, który zaproponował, aby tenisista został jego mecenasem (zebrani zgodnie: **„Niech najpierw zaśpiewa"**), emeryt, krewny znanej malarki, chcący usłyszeć kolana, Fibak już nie grywa. Nie ma go już na liście ATP. (**„Ranking jest okrutny"**.). Ale przez kilkanaście lat był „częścią cygańskiego cyrku", jednym graczem z Polski w czołówce tenisowych zawodowców.

roku studiowałem prawo, siedem miesięcy w roku grałem odbijając piłkę o ścianę w sali gimnastycznej. Nie wyobrażałem sobie wtedy, że możliwy jest ktoś taki, jak tenisista zawodowy z prawdziwego zdarzenia, który jeździ

tenisie zarobił Pan 3 miliony dolarów. Jakie Pan ma miejsce na liście biznesmenów, skąd Pan wziął pieniądze na zamek w Szkocji (chodziło chyba o pałacyk i nie w Szkocji — a w Nowym Jorku)?

— No, pewnie handel narkotykami, szpiegostwo, co tam jeszcze... Unikam takich list. Mam kilka rezydencji.

— Tam było napisane.

— Proszę?

— Było napisane, ile Pan ma rezydencji (zebrani zgodnie: śmiech).

— Miałem na myśli miejsca, gdzie mam jakieś interesy. Na tenisie w pierwszych latach zarabiałem po 50—100 tysięcy, później po 300 tys. Razem wygrałem 2,5 mln dolarów. Miałem kontrakt z agencją Donalda Della „Pro-Serv", która obracała moimi pieniędzmi, inwestując i płacąc procenty. Najpierw to był shopping center w Meksyku, potem szpitale w Kalifornii itd. Od 1979 wyszedłem „na swoje". Sam zacząłem decydować o tym co kupić, co sprzedać. Inwestowałem w ziemię, budynki, prowadziłem operacje finansowe. To nie było takie proste. Potrzebowałem dużo czasu, żeby zobaczyć jak to wygląda. Nic mi z nieba nie spadło. Zachód jest bardzo konkurencyjny, trzeba uważać na tych wszystkich agentów i adwokatów.

— Kariera to rzecz względna. Nie każdy musi zbierać obrazy i mieć dom w Paryżu i w Nowym Jorku. Ja tak żyję, ktoś inny może żyć inaczej. Tyle, że trochę więcej poruszam się po świecie. Ale karierę można zrobić i w kraju. Tu się wiele dzieje, mają wejść nowe przepisy, nie widzę powodu, żeby nie dopingować do działań tu na miejscu.

Tie-break

— Dopijam wino do kolacji. Poza tym nie piję alkoholu. Nie palę.

— Mam kilka paszportów.

— Z sędzią Lendlem stosunki poprawne. On wraca do mnie chyba przez żo-

Do głosu dochodzą „inwestorzy i przemysłowcy". Mają nawet konkretne oferty. Czy widzi pan możliwość zainwestowania w jakieś przedsięwzięcie w Polsce? Powróci do rozmowy z min. Wilczkiem oraz... remontu hotelu „Bristol". *„Myślę, że będzie to realne, gdy pojawią się odpowiednie przepisy i dogodne warunki. Wtedy nie tylko sam bym inwestował w Polsce, ale i zachęcał innych z Zachodu. Jest szansa, aby Polska stała się może nie drugim Hongkongiem, ale np. Tajwanem lub Koreą. U nas mimo wszystko siła robocza jest tańsza niż tam, o pora tym jesteśmy blisko. A „Bristol"? Nie miałem nigdy poważnych propozycji, choć też słyszałem od Ronka Polańskiego, że remontuję ten hotel z... Guciem. Owszem, jeżeli otrzymałbym ofertę choćby jutro, to bym ją przyjął, a potem może zostawił sobie pokój na górze z ładnym widokiem na Krakowskie Przedmieście."*

Jaka jest kondycja polskiej sztuki na Zachodzie? Miał pan

prezentuje Fibak. A więc na widowni artyści i bywalcy wystaw malarskich, twarze z okolic „Dziekanki", a także ludzie interesu, albo inaczej: ludzie zainteresowani robieniem takiego.

Bliższe poznanie osób z widowni następowało w trakcie spotkania, kiedy każdy pytający przedstawiał się; był więc młody biznesmen z Montrealu, którego interesowało to, czego dowiedział się Fibak o „joint ventures" podczas wizyty u ministra Wilczka, był artysta śpiewak, który zaproponował, aby tenisista został jego mecenasem (zebrani zgodnie: **„Niech najpierw zaśpiewa")**, emeryt, krewny znanej malarki, chcący usłyszeć opinię o jej twórczości, był przedstawiciel firmy z Berlina Zachodniego z prospektem reklamującym aparat do masażu, czy coś w tym rodzaju, rzemieślnik robiący ramy do obrazów, bez ram,



Tenis to połączenie baletu z akrobatyką.

Fot. Archiwum

ale z pytaniem tyczącym ich zbytu, wreszcie red. Atlas i parę osób obecnych zawsze.

Kilka kamer, światło bijące w oczy, sceneria pomeczowej konferencji. Ale nie ma rakiet, a mistrz w stroju wyjściowym: marynarka, dżinsy w zielonym odcieniu, modna fryzura, jaką ułożyć mogą tylko w paryskim salonie, albo u pana Krzysia w Warszawie.

Artysta-śpiewak rzuca pytanie w niekonwencjonalnej formie i treści: **„Co robi i co się z nim w ogóle dzieje?"**

— Jutro lecę do Paryża, w niedzielę do Nowego Jorku.

— A potem?

— Potem wracam do Paryża (zebrani w śmiech). Mogę dokładnie z podaniem rejsów i godzin...

Na wideo leci zapis meczu Fibak—Cash przed rokiem w Antwerpii. Dziś, po kontuzji

kolana, Fibak już nie gryw a. Nie ma go już na liście ATP. **(„Ranking jest okrutny".)**. Ale przez kilkanaście lat był „częścią cygańskiego cyrku", jedynym graczem z Polski w czołówce tenisowych zawodowców.

— Miałem 18 lat, znałem trochę angielski, gdy przyszło zaproszenie z Uniwersytetu Stanford w Kalifornii. Musiał mnie zobaczyć jakiś trener, gdy grałem na Wimbledonie i dotarłem do ćwierćfinału turnieju juniorów, choć nigdy przdtem nie występowałem na trawie. Nie miałem nawet porządnych tenisówek. Pamiętam, że z każdym dojściem do piłki z forhandu, czy backhandu, ślizgałem się, jak stąd (tu Fibak wskazał stojący w lewym rogu podwyższenia fortepian), do Wojtka (tu wskazał siedzącego po prawej na widowni W. Gąssowskiego). Leżałem po tym przy jakichś plandekach i wracałem na środek. Może gdybym wtedy pojechał do Kalifornii, nauczyłbym się paru rzeczy, których w kraju nauczyć się nie mogłem. Na cementcie zacząłem przecież grać, gdy miałem 25 lat. Może wygrałbym trochę więcej, jakiś wielki turniej. Wtedy były inne czasy, bano się chyba, że nie wrócę, że mnie stracą. A teraz związek, o ile wiem, sam załatwia papiery, żeby ktoś kogoś zaprosił.

— Ten czas między 18 a 23 rokiem życia, to był czas stracony dla tenisa. Półtora roku studiowałem prawo, siedem miesięcy w roku grałem odbijając piłkę o ścianę w sali gimnastycznej. Nie wyobrażałem sobie wtedy, że możliwy jest ktoś taki, jak tenisista zawodowy z prawdziwego zdarzenia, który jeździ i wygrywa marki, franki, pesety, nie musi jeździć na zgrupowania do Wałbrzycha, nie musi uczestniczyć w spartakiadach zaprzyjaźnionych... Wydawało się, że to są przeszkody nie do pokonania, szczególnie biurokracja. Pamiętam wizyty w COS po odbiór paszportu, zawsze z bombonierką.

— Graliśmy z Portugalią. Jakieś absurdalne wyniki 6.1, 6:2, cały mecz 5:0, po którym zaproponowano nam zgrupowanie i odpoczynek, a potem przygotowania do jakiegoś pucharu za dwa miesiące. Powiedziałem sobie: wyjadę na parę miesięcy, co będzie to będzie. Sam byłem przerażony, nie było drugiej osoby, która by ze mną pojechała.

Poznań, kilka dni temu.

— Przyjechałem na święta do rodziców. Ile razy ojciec włączał z jakiegoś powodu telewizor, tyle razy widziałem ministra Wilczka. Rozmowę z nim miałem zamówioną już wcześniej. On mi życzył przed spotkaniem tutaj powodzenia, mówił żebym był przykładem, wzorem dla ludzi przedsiębiorczych...

Czytelnik: **„Kilka lat temu «Polityka» napisała, że na**



„Nic nie spadło mi z nieba." *Fot. Archiwum*

...Na zewnątrz mercedes i porsche stoją zaparkowane na podjeździe. W perspektywie pofałdowane wzgórza i setki drzew, kort tenisowy i jezioro, na którym Fibak, jego żona Ewa i dwie córeczki jeżdżą zimą na łyżwach.

Nawet według standardu tej bogatej nowojorskiej dzielnicy podmiejski gotycki pałacyk i posiadłość Fibaka (zajmująca ok. 4 ha) jest klejnotem. Wewnątrz posiadłości zapiera dech jeszcze bardziej. Polska gospodyni-kucharka prowadzi gości obok wspaniałych francuskich i włoskich mebli, cennych dzieł sztuki i największej na świecie prywatnej kolekcji obrazów polskich mistrzów.

Żaden zawodowy tenisista nie żyje w tak wspaniały sposób. Lecz 30-letni Fibak nie jest przeciętnym sportowcem. Jest on błyskotliwym intelektualistą, a tak się złożyło, że i tenisistą...".

„Tenis jest moim zawodem i to jest bardzo ważne, lecz jest wiele więcej rzeczy w moim życiu" — powiedział Fibak — którego jeden z pisarzy określił jako „najinteligentniejszego człowieka w sporcie".

Większość tenisistów, którzy osiedlają się w USA zwykle emigrują do Kalifornii lub na Florydę z powodu ciepłego klimatu i dostępności dobrych kontrpartnerów. Ale w przypadku Fibaka, intelektualne cele są ważniejsze. Również piękność krajobrazu ściągnęła go tutaj 3 lata temu. To jest doskonałe rozwiązanie — mówi Fibak — możemy dostać się do Nowego Jorku samochodem w ciągu niecałej godziny albo zaprosić przyjaciół do domu na obiad. Zawsze mamy interesujące rozmowy o sztuce, polityce, ekonomii."

Reuter (1983 r.)

— Najłatwiej wyjechać, ale to, co dalej, to nie takie proste. Jeśli inżynier pracuje w stolarni, a architekt zmywa naczynia, to nie ma sensu. Jeżeli ktoś chce wyjechać, to musi robić to, na czym się zna. Trzeba się specjalizować w jakiejś dziedzinie, zdobyć pewną wiedzę i mieć świadomość, że reprezentuje się pewną szkołę i kraj. Mnie było łatwiej, rakieta nie potrzebowała żadnego tłumaczenia. Wygrałem parę marek, byłem zapraszany, mogłem mieszkać w hotelu.

Dzień w Warszawie. U ministra Wilczka, u Norblina na wystawie, u artysty na poddaszu.

— Wśród marszandów sztuki jestem znany jako kolekcjoner polskiego malarstwa. Zbieram malarstwo szkoły paryskiej, a więc tych malarzy, którzy na początku stulecia mieli ambicję wyjazdu w nieznane, sprawdzenia się. To trochę tak, jak było z moim wyjazdem. Znany też jestem, jako ktoś, kto pojawia się wszędzie tam, gdzie dzieje się coś ważnego w sztuce. Tydzień temu byłem na targach sztuki nowoczesnej w Paryżu, za kilka dni będę w Nowym Jorku na aukcji malarstwa XIX wieku.

Zakończenie.

— Gdyby mi zaproponowano remont „Bristolu", to przyjąłbym tę ofertę. Pewnie zatrzymałbym sobie jakiś pokój w mansardzie.

Notował:
WOJCIECH NOWOSIELSKI

(Wypowiedzi W. Fibaka nie autoryzowane).

Tie-break

— Dopijam wino do kolacji. Poza tym nie piję alkoholu. Nie palę.

— Mam kilka paszportów.

— Z sąsiadem Lendlem stosunki poprawne. On wraca do mnie chyba przez żonę. Wciąż do niej dzwoni. Chyba się będzie żenił...

— Nie mam czasu na marzenia.

— Jestem za zniesieniem drugiego serwisu.

— Jeśli czegoś brak Kowalskiemu to wizji kortu, on nie ma takiego ulicznego sprytu jak kiedyś Rybarczyk.

— Książka „To jest moja gra". Trudno powiedzieć jaka to była motywacja z mojej strony. Ojcu bardzo zależało, żeby coś takiego powstało i żeby on mógł to przeczytać.

— Jestem wierny samochodom. Nadal jeżdżę porsche i mercedesem.

„Veto"

Fibak jako businessman

2 listopada 1988 roku, w środę w godzinach przedpołudniowych Wojciech Fibak (d. tenisista) spotkał się z ministrem przemysłu w rządzie PRL, Mieczysławem Wilczkiem. Fibak jest urzeczony nowymi zmianami w Polsce i nowym ministrem. Był kilka dni w Polsce, a co włączył telewizor oglądał Wilczka. Olśniewa go to, że chociaż prywatna inicjatywa przez tyle lat była tępiona w naszym kraju na każdym kroku, to teraz nowym ministrem został prywaciarz (co prawda z legitymacją partyjną). Fibak badał teren. Chciałby zainwestować. Pytał ministra Wilczka o listę przedsiębiorstw upadłych, które można by było wziąć. Pytał także o możliwości w dziedzinie joint-ventures. Okazało się, że lista jest. Ale jej nie ma. „Musimy poczekać ze dwa miesiące, aż się wszystko wyjaśni" — uznał. Minister powiedział mu, że jest dobrym przykładem dla naszej młodzieży, która tak jak on powinna śmiało inwestować i dorabiać się.

Po Warszawie od kilku lat krążyły legendy, że Fibak inwestuje. Jedna z nich przypisywała mu restaurację i odnowę hotelu „Bristol" przy Krakowskim Przedmieściu. Legenda ta dopadła go nawet w Paryżu.

Pewnego dnia Wojtek Fibak był z Romkiem Polańskim na kolacji. Rzecz się działa w Paryżu, dlatego podano coś z kuchni chińskiej.

— Słyszałem — powiedział do Wojtka Polański — że restauruje hotel „Bristol" w Warszawie. Mój znajomy z Londynu, Gucio także restauruje „Bristol" Robicie zatem na spółkę...

— Nie znam żadnego Gucia z Londynu — zdziwił się Fibak.

— A rozumiem, taka wielka budowa, że nie możecie się na niej spotkać.

— Jaka budowa? Od dziesięciu lat dwóch robotników stuka młotkami i nic — jeszcze bardziej zdziwił się Fibak.

Do powstania legendy o tym, że Wojtek Fibak remontuje „Bristol" w Warszawie przyczyniło się wiele poważnych osobistości. Fibak chciałby wziąć hotel pod swoją opiekę, by go odnowić i dawno by już to zrobił. W końcu rewaloryzacja takich obiektów na Wachodnim Wybrzeżu to jego specjalność. Ale nikt w Polsce mu tego poważnie nie zaproponował. Hotel trzyma w ręku „Orbis" i nie chce go nikomu puścić. A przy okazji remontuje powolutku, bo ma czas i pieniądze. Fibak ma tylko to drugie.

Przyjechał na jeden dzień do Warszawy. Na trzy do Polski. Był z przyjaciółmi na wystawie malarstwa. U kogo? No, w każdym razie widział tam prace Wójcika, Łukomskiego i tego trzeciego. Artystycznie nie odbiegało od malarstwa współczesnego Amerykanów wystawianego w Soho. A ten trzeci to... Urbański. Wystawa nie tylko podobała mu się, ale mogłaby być przeniesiona do Soho. Tam jest podobnie. Stare hangary, hale fabryczne, doki i na wpół rozwalone magazyny. Bardzo podobnie jak u tego, tam... Norblina.

Najnowszym businessem Wojtka ma być Agencja. Ma ona za zadanie skupiać i promować (jest to słowo, którego bardzo nie lubi, a poznał je niedawno w Polsce) młodych, utalentowanych, ale nieznanych szerzej na Zachodzie polskich artystów malarzy, rzeźbiarzy, śpiewaków, sportowców, aktorów itp., itd. Do jej założenia namawia go usilnie imiennik czyli Wojtek Gąssowski.

Poza tym Fibak nie pali, nie pije whisky ani **wódki nigdy.** Czasem wypije dobre wino. Nigdy się nie narkotyzuje, a mógłby. Np. niedawno na przyjęciu w Paryżu spotkał się z gwiazdami filmowymi. Wszyscy palili trawkę. On jeden nie. Twierdzi, że zawsze by tak robił. Nawet gdyby nie był tenisistą. Widział film o Popiełuszce w Paryżu i uważa, że będzie pokazany w Polsce. Będzie?

Ma kilka paszportów. Mieszka gdzieś między Paryżem, a Nowym Jorkiem. Ciągle jest w takim wirze businessu, że nie ma czasu na marzenia. Nie może nic już zrobić dla polskiego tenisa i nie będzie prezesem PZT. Nie ma czasu. No, Wojtek Kowalski mieszkał u niego podczas US Open. Ale on nie ma ulicznego sprytu takiego jak u Miecia Rybarczyka. Ale dla Kowalskiego tyle zawsze może zrobić. Nie może też już nic zrobić dla firmy ITI, która bardzo na to liczyła. Nie ma czasu. Nie tylko sam zainwestuje w Polsce. Zainteresuje tymi możliwościami — jakie się tu tworzą — znajomych businessmanów we Francji i w Ameryce.

Fibak jest zresztą brylantowym businessmanem i nawet sam Rockefeller nie wie, jak on to robi. Zróbmy małe porównanie. Weźmy Muhammada Ali vel Cassiusa Claya. Zarobił on w ringu 60 milionów dolarów. Obecnie został mu niecały milion i zaawansowana choroba Parkinsona. Fibak nie dość, że wygląda jak pączek w maśle, to na dokładkę ma więcej niż zarobił na korcie.

Ale okazuje się, że nawet brylantowy businessman ma takie inwestycje, które idą źle. Fibak założył pismo „Pro arte". Papier czerpany, egzemplarze numerowane, wklejki — słowem... graficzna superklasa. Oprócz założenia pisma, założył także, że nie będzie zbyt dużo doń dokładać. Tymczasem dopłaca 100 tysięcy dolarów rocznie. Ma 85 stałych abonentów, którzy płacą 40 dolarów za jeden numer. Gdyby zyskał jeszcze 50 koneserów sztuki, gotowych do dolarowej prenumeraty, wyszedłby na zero. Pismo ma wielu entuzjastów. Ale jest wśród nich wielu cwaniaków, którzy znają kurs dolara w Polsce. Ktoś im kupuje tu za 10 tys. złotych „Pro arte" i wysyła tam. Fibak uznał, że nie może wydawać pisma, które będzie niedostępne w Polsce. W tym stanie rzeczy stwierdził, iż nie stać go, aby tyle dokładać i chyba zamknie pismo.

Wokół Fibaka kręcą się obecnie sami „businessmani". Jeden zaproponował magnetyczne leczenie kolana. Drugi obraz, trzeci rzeźbę. Czy jednak dojdzie do portretowania Fibaka? Bardzo wątpię.

W Paryżu Fibak jest właścicielem Hotelu Lambert. Przychodzą tam Lebenstein i Mrożek, Olbrychski i pewna aktorka. Jest to bardzo naturalne. On ich nie zaprasza. Oni przychodzą.

Fibak odsłonił także kulisy interesu, jaki zrobił na książce napisanej o nim przez Daniela Passenta. Otóż najważniejszą przyczyną, która spowodowała powstanie książki była tęsknota ojca Fibaka, aby przeczytać po polsku jakąś książkę o swoim sławnym synu. Ponieważ Fibak-senior jest schorowany i nie najmłodszy, syn uznał, że czas jest rzeczywiście po temu.

Wojtek podkreślił, że jest to wyłączne dzieło Daniela Passenta i on nie jest autorem w żadnej mierze. Nie chciał mówić co myśli o sposobie potraktowania tematu. Zaznaczył jednak, że jeśli chodzi o szczegóły techniczne, tenisowe, czy środowiskowe — korygował tekst Passenta...

Marek Mleczko







Fibak jako businessman

zadanie skupiać i promować (jest to słowo, którego bardzo nie lubi, a poznał je niedawno w Polsce) młodych, utalentowanych, ale nieznanych szerzej na Zachodzie polskich artystów malarzy, rzeźbiarzy, śpiewaków, sportowców, aktorów itp., itd. Do jej założenia namawia go usilnie imiennik czyli Wojtek Gąssowski.



Poza tym Fibak nie pali, nie pije whisky ani **wódki nigdy.** Czasem wypije dobre wino. Nigdy się nie narkotyzuje, a mógłby. Np. niedawno na przyjęciu w Paryżu spotkał się z gwiazdami filmowymi. Wszyscy palili trawkę. On jeden nie. Twierdzi, że zawsze by tak robił. Nawet gdyby nie był tenisistą. Widział film o Popieluszce w Paryżu i uważa, że będzie pokazany w Polsce. Będzie?

Ma kilka paszportów. Mieszka gdzieś między Paryżem, a Nowym Jorkiem. Ciągle jest w takim wirze businessu, że nie ma czasu na marzenia. Nie może nic już zrobić dla polskiego tenisa i nie będzie prezesem PZT. Nie ma czasu. No, Wojtek Kowalski mieszkał u niego podczas US Open. Ale on nie ma ulicznego sprytu takiego jak u Miecia Rybarczyka. Ale dla Kowalskiego tyle zawsze może zrobić. Nie może też już nic zrobić dla firmy ITI, która bardzo na to liczyła. Nie ma czasu. Nie tylko sam zainwestuje w Polsce. Zainteresuje tymi możliwościami — jakie się tu tworzą — znajomych businessmanów we Francji i w Ameryce.



Fibak jest zresztą brylantowym businessmanem i nawet sam Rockefeller nie wie, jak on to robi. Zróbmy małe porównanie. Weźmy Muhammada Ali vel Cassiusa Claya. Zarobił on w ringu 60 milionów dolarów. Obecnie został mu niecały milion i zaawansowana choroba Parkinsona. Fibak nie dość, że wygląda jak pączek w maśle, to na dokładkę ma więcej niż zarobił na korcie.

Ale okazuje się, że nawet brylantowy businessman ma takie inwestycje, które idą źle. Fibak założył pismo „Pro arte". Papier czerpany, egzemplarze numerowane, wklejki — słowem... graficzna superklasa. Oprócz założenia pisma, założył także, że nie będzie zbyt dużo doń dokładać. Tymczasem dopłaca 100 tysięcy dolarów rocznie. Ma 85 stałych abonentów, którzy płacą 40 dolarów za jeden numer. Gdyby zyskał jeszcze 50 koneserów sztuki, gotowych do dolarowej prenumeraty, wyszedłby na zero. Pismo ma wielu entuzjastów. Ale jest wśród nich wielu cwaniaków, którzy znają kurs dolara w Polsce. Ktoś im kupuje tu za 10 tys. złotych „Pro arte" i wysyła tam. Fibak uznał, że nie może wydawać pisma, które będzie niedostępne w Polsce. W tym stanie rzeczy stwierdził, iż nie stać go, aby tyle dokładać i chyba zamknie pismo.

Wokół Fibaka kręcą się obecnie sami „businessmani". Jeden zaproponował magnetyczne leczenie kolana. Drugi obraz, trzeci rzeźbę. Czy jednak dojdzie do portretowania Fibaka? Bardzo wątpię.

W Paryżu Fibak jest właścicielem Hotelu Lambert. Przychodzą tam Lebenstein i Mrożek, Olbrychski i pewna aktorka. Jest to bardzo naturalne. On ich nie zaprasza. Oni przychodzą.

Fibak odsłonił także kulisy interesu, jaki zrobił na książce napisanej o nim przez Daniela Passenta. Otóż najważniejszą przyczyną, która spowodowała powstanie książki była tęsknota ojca Fibaka, aby przeczytać po polsku jakąś książkę o swoim sławnym synu. Ponieważ Fibak-senior jest schorowany i nie najmłodszy, syn uznał, że czas jest rzeczywiście po temu.

Wojtek podkreślił, że jest to wyłączne dzieło Daniela Passenta i on nie jest autorem w żadnej mierze. Nie chciał mówić co myśli o sposobie potraktowania tematu. Zaznaczył jednak, że jeśli chodzi o szczegóły techniczne, tenisowe, czy środowiskowe — korygował tekst Passenta...

Marek Mleczko





Rys. JACEK KMIECIK

Moje zaś pisanie o tym — do bani! Od z górą bowiem czterdziestu lat tłumaczymy głuchym władzom, że propaganda sztuki nie polega na stworzeniu jednego więcej biura i obsadzeniu go ilością pup wedle ilości stołków. Że człowiek parający się propagandą kultury musi posiadać określone zdolności, wykształcenie, temperament i siłę przebicia. Że w żadnym razie nie zastąpi go choćby i całe stado biurowych gamoniów. Może jednak teraz — w ramach reprywatyzacji PRL — udałoby się zainteresować propagandą inicjatywę prywatną. Np. Wojciecha Fibaka, który tymczasem już się zajął propagowaniem sztuki polskiej na amerykańskim rynku, także przy pomocy fundowanego prywatnie w Nowym Jorku bardzo pięknego kwartalnika „Pro Arte", z podtytułem „Polish Art in the Western World". Więc gdyby zaproponować Fibakowi poszerzenie działalności choćby tylko na wszystkie kraje anglosaskie, kusząc go tytułem, ale jakim?... „Minister" skompromitowany, lecz jeśliby dało mu się po oczach „Ekscelencją"?

MATS WILANDER

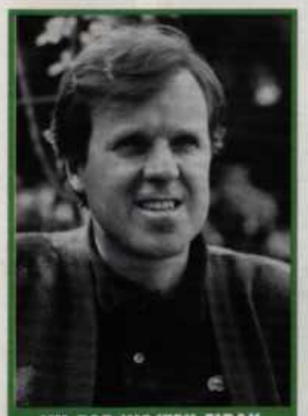

VU PAR WOJTEK FIBAK

Quelles sont ses forces ? Ses faiblesses ? Quel est son schéma de jeu ? Quelle tactique doit-on employer contre lui (ou elle ? Que peut-on penser de ses aptitudes physiques et mentales ? C'est en somme l'analyse du jeu du champion (ou de la championne) « élu » en poster de Tennis Magazine que nous vous proposons maintenant. Démarche délicate. A laquelle nous avons souhaité associer un nouveau collaborateur, le Polonais Wojtek Fibak. A 36 ans, au terme d'une carrière exemplaire de plus de 15 ans qui l'a vu remporter 15 tournois en simplet et 48 en double, qui l'a aussi vu conseiller Lendl et tout récemment Leconte, Fibak est surtout considéré dans le monde comme l'un des observateurs les plus avisés du tennis. Il connaît bien — pour les avoir souvent affrontés — les champions dont il parle. Ses opinions vont parfois à contre-courant de quelques idées reçues. Un regard neuf et enrichissant, doublé des grandes lignes du palmarès, telle se veut être la formule de notre « dos » de poster, consacrée ici à Mats Wilander.

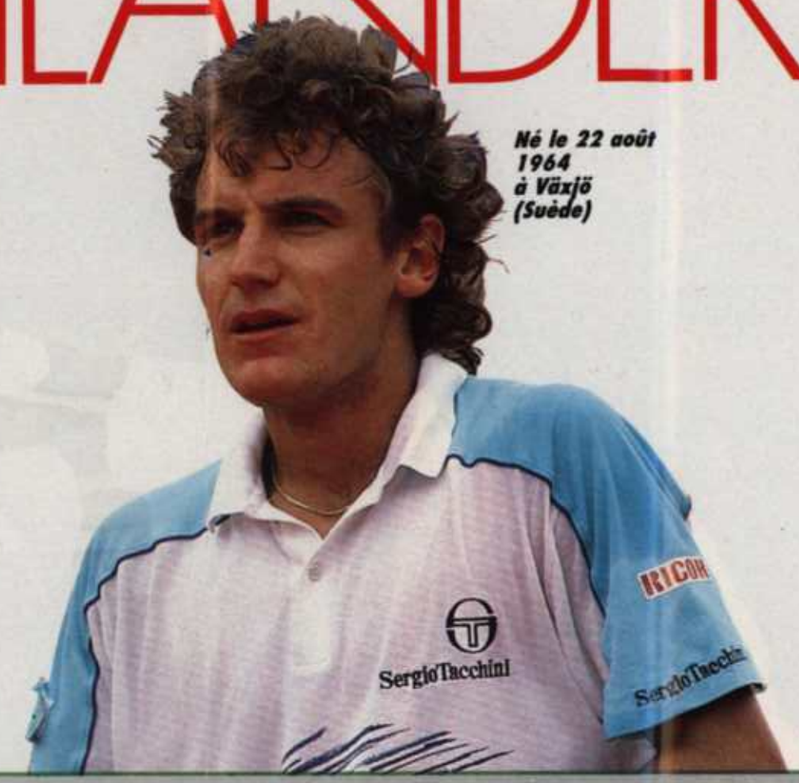

Né le 22 août 1964 à Växjö (Suède)

Son palmarès

GRAND CHELEM

Australian Open

1981 : 1er tour (p.c. Kronk) ; **1982** : pas joué ; **1983** : vainqueur (b. Lendl) ; **1984** : vainqueur (b. Curren) ; **1985** : finaliste (p.c. Edberg) ; **1987** : pas joué ; **1988** : vainqueur (b. Cash).

Roland-Garros

1982 : vainqueur (b. Vilas) ; **1983** : finaliste (p.c. Noah) ; **1984** : 1/2 finaliste (p.c. Lendl) ; **1985** : vainqueur (b. Lendl) ; **1986** : 3e tour (p.c. Chesnokov) ; **1987** : finaliste (p.c. Lendl) ; **1988** : vainqueur (b. Leconte).

Wimbledon

1981 : 3e tour (p.c. Fitzgerald) ; **1982** : 1/8 de finaliste (p.c. Teacher) ; **1983** : 3e tour (p.c. Tanner) ; **1984** : 2e tour (p.c. Cash) ; **1985** : 1er tour (p.c. Zivojinovic) ; **1986** : 1/8 de finaliste (p.c. Cash) ; **1987** : 1/4 de finaliste (p.c. Cash) ; **1988** : 1/4 de finaliste (p.c. Mecir).

US Open

1982 : 1/8 de finaliste (p.c. Lendl) ; **1983** : 1/4 de finaliste (p.c. Lendl) ; **1984** : 1/4 de finaliste (p.c. Cash) ; **1985** : 1/2 finaliste (p.c. McEnroe) ; **1986** : 1/8 de finaliste (p.c. Mecir) ; **1987** : finaliste (p.c. Lendl) ; **1988** : vainqueur (b. Lendl).

MASTERS

1983 : 1er tour (p.c. Clerc) ; **1984** : 1/2 finaliste (p.c. McEnroe) ; **1985** : 1/2 finaliste (p.c. McEnroe) ; **janvier 1986** : 1/4 de finaliste (p.c. Becker) ; **décembre 1986** : 1/2 finaliste (p.c. Lendl) ; **1987** : finaliste (p.c. Lendl).

TOURNOIS GAGNÉS

Au 24 octobre 1988 (32)

1982 : Roland-Garros, Bastad, Genève, Barcelone ; **1983** : Monte-Carlo, Lisbonne, Aix-en-Provence, Bastad, Cincinnati, Genève, Barcelone, Stockholm, Australian Open ; **1984** : Cincinnati, Barcelone, Australian Open ; **1985** : Roland-Garros, Boston, Bastad ; **1986** : Bruxelles, Cincinnati ; **1987** : Bruxelles, Monte-Carlo, Rome, Boston, Indianapolis ; **1988** : Australian Open, Key Biscayne, Roland-Garros, Cincinnati, US Open, Palerme.

FINALES

au 24 octobre 1988 (23)

1981 : Bangkok ; **1982** : Bruxelles, Bâle, Stockholm ; **1983** : Guaruja, Roland-Garros ; **1984** : Milan, Monte-Carlo, Stockholm ; **1985** : Bruxelles, Monte-Carlo, Cincinnati, Genève, Barcelone, Tokyo indoor, Australian Open ; **1986** : Boca West, Bastad, Stockholm ; **1987** : Roland-Garros, US Open, Barcelone, Masters.

Mats Wilander est tout de suite apparu comme un athlète idéalement fait pour jouer au tennis. Au début ses ressemblances (techniques) avec Borg étaient frappantes, mais avec courage et intelligence il a su faire évoluer tous les compartiments offensifs de son jeu. Humainement, il offrait l'image d'un garçon sympathique, sportif et dénué d'agressivité. On pensait qu'avec cette mentalité-là, il ne pourrait pas devenir le numéro un. mais là aussi, Mats a évolué. Au contact du circuit — et surtout des Etats-Unis — il est devenu plus dur, plus agressif... et plus ambitieux. Je suis heureux que Wilander soit devenu le nouveau nº 1. C'est la première fois depuis Borg que le tennis a un nº 1 réellement populaire, qui peut être considéré partout comme un « exemple », un « modèle ». **W.F.**

Points forts

Le revers
Un coup qu'il contrôle à la perfection, dans toutes les situations. A deux mains, il possède régularité et efficacité en retours, en lobs et en passing-shots et à une main sa solidité et sa précision sont étonnantes. En enrichissant son revers de cette frappe slicée à une main, Wilander est parvenu à une sorte de perfection. Il lui manque seulement le pouvoir d'accélération qu'à un Mecir ou un Connors avec ce coup.

Le coup droit
Son coup droit n'a pas le pouvoir destructeur d'un Becker, d'un Lendl ou d'un Agassi. Mais il est « toujours là ». Régulier, solide et sûr. Aussi bien, là encore, dans l'échange que sur les retours, les passing-shots et les lobs.

Le lob
Avec Connors et Mecir, c'est le meilleur lob du circuit. En coup droit comme en revers.

Le passing-shot
C'est sans doute le joueur le plus dangereux à attaquer. Il passe parfaitement des deux côtés et à cette menace s'ajoute la qualité de son lob ! Et comme ses jambes lui permettent d'être toujours bien placé, on voit la difficulté de l'entreprise...

Le jeu de jambes, l'endurance physique et la **force mentale** font aussi partie de ses points forts (voir plus loin). Il faudrait presque y ajouter tous les secteurs offensifs du jeu où il a beaucoup progressé. Mais en qualité, son jeu défensif reste supérieur.

Points faibles

Wilander n'a pas de faiblesse réelle Au contraire de Kent Carlsson, Nyström etc, il a su sortir d'un jeu stéréotypé. Chez lui, le handicap tient plutôt en général, dans un manque de puissance, de punch. Il lui manque ce pouvoir d'accélération, cette « force qui tue ». S'il avait ce pouvoir, il serait imbattable. Mais cette carence se répercute un peu dans tous les domaines. Et notamment dans le *deuxième service*, qui reste un peu faible, et dans l'échange puisque *ni en revers ni en coup droit*, il ne peut vraiment frapper de coups gagnants. Ses « faiblesses », toutes relatives bien sûr, ne sont donc que la conséquence de son manque de puissance.

Tactique

Sur terre battue, sa meilleure surface, il a une double clé, presque imparable : sa couverture de terrain (avec son jeu de jambes, il est partout) et la régularité de ses coups. S'il le faut, il est là pour très longtemps et l'adversaire s'use progressivement. Ses progrès dans l'offensive l'ont également rendu très fort sur ciment. Mais à Wimbledon, son manque de puissance est un handicap. Il a du mal à gagner les points rapidement. Sur gazon, il manque de ce pouvoir de percussion, son jeu manque « d'électricité ». Borg, lui, avait ce « jus » indispensable sur herbe, notamment au service. Mais c'est parce qu'il avait beaucoup joué sur bois quand il était très jeune que Borg avait appris à gagner des points (surtout les points importants) très vite. Wilander n'a pas eu cette « formation »-là.

Pour jouer contre lui
Pour avoir les meilleures chances de le battre, il vaut mieux le jouer sur gazon, pour les raisons que nous venons de voir. Sur Suprême en « indoor », on peut encore le maîtriser. Ses balles sont moins gênantes, cela va vite et on peut le déborder en force. Sur ciment à l'extérieur, cela devient plus difficile et sur terre battue... Sur cette surface, personne ne peut le battre en régularité. Lendl l'a dominé, mais grâce à des accélérations judicieuses. Celui qui a la recette pour le battre, c'est Yannick Noah. Il neutralise son jeu de fond de court par des balles hautes, très liftées : puis il le trouble avec des amorties, des montées à contre-temps ou encore par des « service-volée » classiques. En faisant tout ça, Noah empêche Wilander de s'organiser.

Physique

Mais pour y réussir il faut avoir de grands moyens athlétiques et être en pleine forme physique.
Le choc Noah-Wilander en 1983 à Roland-Garros était très intéressant car il opposait le meilleur attaquant de la terre battue (Noah) au meilleur défenseur. Et c'est l'attaquant qui a gagné.

Des qualités naturelles très au-dessus de la moyenne. Son physique est un « cadeau du ciel » pour jouer au tennis. Taille idéale, bien proportionné, extrêmement résistant naturellement. Grâce à cela, Wilander a la possibilité de s'inspirer de plusieurs styles de jeu et il a en plus un grand talent « d'imitateur ». Ses capacités physiques font de nouveau penser à Borg. Toutefois, Borg était plus musclé, mais aussi plus souvent blessé...

Mental

Il a maintenant acquis le mental pour gagner. Après avoir été le « plus gentil », « plus doux », « plus sympa », il est devenu aussi agressif que ses rivaux, et tout aussi ambitieux. Il s'est senti de plus en plus confiant, et sur le court il ne lâche pas un point. Mentalement, il se contentait auparavant d'être le nº 2 ou le nº 3. Jusqu'au dernier U.S. Open...



Stowo Powszechne
8 XI 88

Czy trzeba wyjeżdżać z Polski aby zostać Fibakiem?

TŁOCZNO było na spotkaniu z **Wojciechem Fibakiem** w studenckim klubie **„Park"**. Każdy chciał usłyszeć, kim jest ten człowiek dzisiaj, co zamierza robić, czym się zajmuje poza tenisem, z którym jego kontakt staje się coraz luźniejszy. **Toteż najmniej było mowy o tenisie.** Najwięcej zaś o sztuce, biznesie, planach na przyszłość, głównie tych, związanych z naszym krajem.

Zamiłowanie Fibaka do sztuki nie pojawiło się nagle, było z dawna pielęgnowane i rozwijane. Jak sam powiedział o sobie: „Jestem kolekcjonerem z krwi i kości, sam szukałem obrazów, jeździłem, szperałem po katalogach, uczyłem się przez wiele, wiele lat. Zmieniałem swoje gusta, aż w końcu doszedłem do tego, że wiem, co naprawdę mi się podoba. To kocham i tym żyję". Jest znany wśród światowych marszandów jako kolekcjoner malarstwa polskiego „szkoły paryskiej". Są to dzieła malarzy, którzy wyjechali z Polski na przełomie XIX i XX wieku i tworzyli potem w Paryżu. Większość z nich to Żydzi, stąd często określa się Fibaka jako zbieracza malarstwa żydowskiego. Jego kolekcja liczy dzisiaj około 200 obrazów. Może za kilka lat pokaże ją w Polsce?

Fibak jednak nie byłby Fibakiem, gdyby nie połączył przyjemnego z pożytecznym. Kolekcjonuje i zbiera, ale również inwestuje, bo przecież sztuka to dobry biznes. Pojawia się więc wszędzie tam, gdzie się coś ważnego w sztuce dzieje. Kupuje dzieła współczesne — bo one teraz najlepiej „idą", głównie polskie, ale także i amerykańskie.

Fibak twierdzi, że kondycja polskiej sztuki nie jest zła i że istnieje spore nią zainteresowanie na Zachodzie. Brak jej jednak odpowiedniego poparcia i reklamy. Gdyby udało się zorganizować jedną lub kilka wystaw naszych artystów w renomowanych galeriach Paryża czy Nowego Jorku, to ceny ich dzieła wzrosłyby dziesięciokrotnie. Jestem gotów w tym pomóc — powiada — wykorzystując swoje kontakty i znajomości...

W trakcie krótkiego pobytu w kraju Wojciech Fibak zdążył już spotkać się z ministrem Wilczkiem. Bo Fibak to przecież biznesman. Chciał więc usłyszeć z ust Ministra Przemysłu, czy warto w Polsce inwestować, czy będą ku temu odpowiednie warunki? Na spotkaniu w „Parku" oznajmił, że zauważa obecnie dobry klimat dla ludzi interesu. Chciałby w Polsce inwestować, jeśli nie sam — nie jest bowiem producentem — to zna na Zachodzie wielu ludzi których mógłby do tego zachęcić, namówić. Krążą po Warszawie opowieści, jakoby Fibak chciał wyremontować hotel „Bristol", ale nie wyrażono na to zgody. Fibak zdementował te wieści, ale przyznał, że gdyby otrzymał taką ofertę, to skorzystałby z niej chociaż jutro. Jakkolwiek w kołach zachodniego biznesu, najwięcej się mówi o inwestycjach w związku radzieckim, to jednak dostrzega się i polskie możliwości w tym zakresie. Zdaniem Wojciecha Fibaka Polska mogłaby stać się z powodzeniem europejskim Tajwanem czy Koreą Południową.



W. Fibak z córką w Muzeum Narodowym. Fot. — CAF

Czołówki, Henri Leconte'em jest właśnie tego dowodem. Dzisiejszy tenis jest inny od tego sprzed 10—15 lat, bardziej skomplikowany i niezwykle trudno jest się przebić do tych najlepszych. Polacy, zdaniem Fibaka, nie są gorszymi tenisistami od innych, przynajmniej na początku kariery. Dopiero później dystans się powiększa. Brakuje im gry w dobrze obsadzonych turniejach, kontaktów, pomocy i rady w różnych sytuacjach, w jakich znajdują się na Zachodzie. Fibak zamierza im w tym pomagać. Właśnie do tego ograniczą się jego związki z tenisem w najbliższych latach.

Poważnie natomiast myśli i bardzo chciałby utworzyć specjalną agencję, biuro czy inną instytucję, która zajmowałaby się pomocą i promocją na Zachodzie polskich muzyków, malarzy, rzeźbiarzy, aktorów i również sportowców.

WOJCIECH FIBAK przedstawił licznie zgromadzonej w „Parku" publiczności, kawałek własnego świata. Bardzo ciekawego, efektywnego i barwnego, nie koncentrującego się tylko na tenisie jak wielu mogło przypuszczać. W tym jego świecie rozciągającym się między Wiedniem, Londynem, Paryżem i Nowym Jorkiem znajduje się ciągle miejsce dla tego skrawka ziemi, innej niż tamte, położonego nad Wisłą.

KRZYSZTOF SZWEDZIK

IVAN LENDL

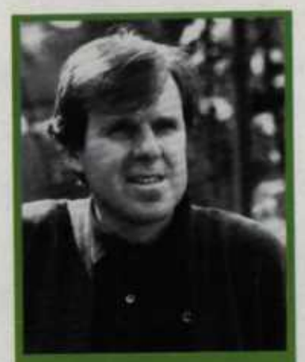

VU PAR WOJTEK FIBAK

Quelles sont ses forces ? Ses faiblesses ? Quel est son schéma de jeu ? Quelle tactique doit-on employer contre lui (ou elle) ? Que peut-on penser de ses aptitudes physiques et mentales ? C'est en somme l'analyse du jeu du champion (ou de la championne) « élu » en poster de Tennis Magazine que nous vous proposons ici. Démarche délicate, à laquelle nous avons souhaité associer le Polonais Wojtek Fibak. A 36 ans, au terme d'une carrière exemplaire de plus de 15 ans qui l'a vu remporter 15 tournois en simple et 48 en double, qui l'a aussi vu conseiller Lendl (d'où l'intérêt tout particulier de la « tête d'affiche » ci-contre...) et tout récemment Leconte, Fibak est surtout considéré dans le monde comme l'un des observateurs les plus avisés du tennis. Il connaît bien — pour les avoir souvent affrontés — les champions dont il parle. Ses opinions vont parfois à contre-courant de quelques idées reçues. Un regard neuf et enrichissant, doublé des grandes lignes du palmarès, telle se veut être la formule de notre « dos » de poster, consacré ici à Ivan Lendl.



Né le 7 mars 1960 à Ostrava (Tchécoslovaquie)

Son palmarès

GRAND CHELEM

Australian Open

1980 : *2ème tour (p.c. Dupre) ; **1981 :** pas joué ; **1982 :** pas joué ; **1983 :** finaliste (p.c. Wilander) ; **1984 :** 1/8 de finaliste (p.c. Curren) ; **1985 :** 1/2 finaliste (p.c. Edberg) ; **1987 :** 1/2 finaliste (p.c. Cash) ; **1988 :** 1/2 finaliste (p.c. Cash)*

Roland-Garros

1978 : *1er tour (p.c. Clerc) ; **1979 :** 1/8 de finaliste (p.c. Gerulaitis) ; **1980 :** 3ème tour (p.c. Gottfried) ; **1981 :** finaliste (p.c. Borg) ; **1982 :** 1/8 de finaliste (p.c. Wilander) ; **1983 :** 1/4 de finaliste (p.c. Noah) ; **1984 :** vainqueur (b. McEnroe) ; **1985 :** finaliste (p.c. Wilander) ; **1986 :** vainqueur (b. Pernfors) ; **1987 :** vainqueur (b. Wilander) ; **1988 :** 1/4 de finaliste (p.c. Svensson).*

Wimbledon

1979 : *1er tour (p.c. McNamara) ; **1980 :** 3ème tour (p.c. Dibley) ; **1981 :** 1er tour (p.c. Fancutt) ; **1982 :** pas joué ; **1983 :** 1/2 finaliste (p.c. McEnroe) ; **1984 :** 1/2 finaliste (p.c. Connors) ; **1985 :** 1/8 de finaliste (p.c. Leconte) ; **1986 :** finaliste (p.c. Becker) ; **1987 :** finaliste (p.c. Cash) ; **1988 :** 1/2 finaliste (p.c. Becker)*

U.S. Open

1979 : *2ème tour (p.c. Tanner) ; **1980 :** 1/4 de finaliste (p.c. McEnroe) ; **1981 :** 1/8 de finaliste (p.c. Gerulaitis) ; **1982 :** finaliste (p.c. Connors) ; **1983 :** finaliste (p.c. Connors) ; **1984 :** finaliste (p.c. McEnroe) ; **1985 :** vainqueur (b. McEnroe) ; **1986 :** vainqueur (b. Mecir) ; **1987 :** vainqueur (b. Wilander) ; **1988 :** finaliste (p.c. Wilander)*

MASTERS

1981 : *finaliste (p.c. Borg) ; **1982 :** vainqueur (b. Gerulaitis) ; **1983 :** vainqueur (b. McEnroe) ; **1984 :** finaliste (p.c. McEnroe) ; **1985 :** finaliste (p.c. McEnroe) ; **1986 (janvier) :** vainqueur (b. Becker) ; **1986 (décembre) :** vainqueur (b. Becker) ; **1987 :** vainqueur (b. Wilander) ; **1988 :** finaliste (p.c. Becker).*

TOURNOIS GAGNÉS

au 16 janvier 1989 (73)

Ivan Lendl fait partie des rares joueurs dont le palmarès, par sa richesse, déborderait du cadre ici réservé à cet effet. Signalons que depuis ses débuts professionnels en 1978, Lendl a gagné à ce jour 73 tournois (dont 6 du Grand Chelem et 5 Masters). Sa première victoire officielle remonte à 1980 à Houston. Ce total de victoires place Lendl en 2ème position dans la hiérarchie des vainqueurs de tournois, derrière Jimmy Connors (107) et devant John McEnroe (72). Lendl a aussi disputé et perdu 40 finales. Actuellement nº 2 à l'A.T.P., il a été numéro un mondial durant 157 semaines consécutives, entre septembre 1985 et septembre 1988.

Ivan Lendl, c'est le triomphe de la détermination et du travail, qui en ont fait le nº 1 mondial. Programmé dès l'enfance par ses parents pour devenir un champion, il n'avait en fait qu'une seule vraie arme : le coup droit. Il ne bénéficiait pas du talent spectaculaire de McEnroe pour pratiquer un jeu offensif naturel ; il n'avait pas non plus les qualités physiques de Borg pour lui donner un jeu défensif naturel. Et il ne possédait ni le bras de Becker, ni le poignet de Leconte. Sa personnalité ne le prédisposait pas (contrairement à Becker par exemple), à devenir un champion et son tempérament n'était pas celui d'un combattant. Il était fragile, craintif. C'est pourtant ce garçon-là qui, un jour de 1978, a affirmé en présence de Jan Kodes et moi-même : « Je gagnerai Roland-Garros ». Il s'est lancé dans des années de travail, de sacrifices de jeunesse que d'autres n'ont jamais voulu faire, a changé son jeu, quitté son pays, pour tout donner au tennis. Six ans après sa « promesse », il gagnait son premier Roland-Garros. Mais, même s'il battait McEnroe, Connors, gagnait la coupe Davis, il restait le finaliste malheureux de l'U.S. Open. Il est alors passé, à 23 ans, au cran supérieur, est devenu un maniaque du travail et de la préparation, s'est affublé d'un masque de dureté et d'indifférence et a fini par croire que c'était lui ! Pour remporter Flushing Meadow et devenir le nº 1 mondial. Le monde entier l'a alors reconnu comme un grand champion — sauf sur le gazon de Wimbledon où l'on ne peut pas s'imposer par son seul travail. Néanmoins, nous espérons tous qu'Ivan finira par le gagner car il le mérite. On ne peut pas rester indifférent à sa volonté, qui est en fait la marque de son talent. **W.F.**

Points forts

Le coup droit.
Un coup naturel, développé dès l'enfance, (il est même né avec !) et qui a presque toutes les qualités : régularité, puissance, précision, efficacité tant en attaque qu'en défense. Il n'y a aucune fantaisie dans ce coup, très simplement exécuté. Après une ouverture classique, il frappe la balle devant lui, après avoir projeté le poignet vers l'avant. Il n'y met pas trop de lift. Il cherche d'abord à frapper. Ce coup droit — l'un des plus grands coups de l'histoire du tennis — a influencé beaucoup de joueurs, notamment Becker et Agassi. En coup droit, qu'il soit bien placé ou en bout de course il est toujours dangereux en fond de court. Enfin, en lob, côté coup droit, Ivan est également redoutable.

Le revers.
Tout le contraire du coup droit. Son revers a été travaillé, développé. A 18 ans, Ivan ne savait que choper la balle très violemment, comme Pecci. Je l'ai convaincu de changer sa prise, et l'ai incité à frapper davantage. Au début, ce fut très dur. Mais maintenant, Ivan peut frapper son revers avec sécurité, aussi bien dans l'échange que pour tirer un passing. Même si ce revers reste étudié, très académique et s'il ne l'utilise presque jamais en coup d'attaque (ou alors c'est toujours en revers chopé), il fait aujourd'hui partie de ses points forts.

Le service.
A force de travail, là encore, Ivan s'est doté d'un service fait de force, de puissance et de précision. Ce coup est devenu chez lui la synthèse d'un bon mental et d'une parfaite exécution : c'est souvent dans les moments importants qu'il fait des aces. Si ceux-ci ne sont pas forcément très nombreux sur gazon, c'est qu'il est obligé de changer son rythme et son geste pour monter au filet. Sur gazon, son deuxième service aussi — habituellement très solide — est moins efficace pour la même raison.

Le physique et **le mental** (voir plus loin).

Points faibles

La volée.
Ivan n'a pas l'instinct du filet. C'est ce qu'il y a de plus difficile à acquérir, pour tous les joueurs, et c'est l'une des raisons pour laquelle il n'a pas encore gagné Wimbledon. Il n'a pas le jeu de jambes adéquat. Et si sa volée de revers était depuis toujours acceptable, sa faiblesse reste sa volée de coup droit. Sa technique lui interdit quasiment de jouer une volée de coup droit croisée. Par ailleurs, il répugne toujours autant à jouer « service-volée ». Malgré ses progrès, Ivan reste donc vulnérable au filet.

Manque de « toucher » en coup droit. Pour bien frapper son coup droit, Ivan a besoin de pouvoir effectuer pleinement son « swing ». Aussitôt qu'il accuse un léger retard sur une balle courte ou une amortie côté coup droit, il est comme « désarmé », car il ne joue pas du tout du poignet. Sur ces balles courtes, il est, par nature, plus à l'aise en revers.

Tactique

Son jeu est basé sur l'offensive du fond de court. Chez les juniors, Ivan montait souvent au filet derrière son revers chopé. Mais il n'avait aucune stratégie. Je l'ai poussé à devenir solide des deux côtés pour faire face à toutes les situations, à acquérir un grand service pour gagner des points facilement et à renforcer son physique pour bien couvrir son terrain. Je voulais surtout qu'il puisse gagner des matches sans toujours très bien jouer. Et maintenant sa stratégie est claire. Il aime surtout dans l'échange se placer sur son côté gauche, obliger l'adversaire à prendre des risques pour trouver son revers et trapper presque tout en coup droit, surtout décroisé. Et il ne va au filet que derrière un coup presque définitif, ou quand il est dans une situation de score extrême (0-40 ou 40-0).

Pour jouer contre lui :
Contrairement à ce que font beaucoup de joueurs, il ne faut pas hésiter à lui jouer le coup droit ! Pour le forcer à se déplacer, à quitter sa zone favorite (côté revers). L'idéal est de lui jouer tout de suite le coup droit, pour l'amener dans ce coin avant de l'attaquer sur son revers. Car si Ivan est à l'aise pour jouer son revers statiquement, il l'est beaucoup moins quand il doit arriver sur la balle en courant.
Sur terre battue et sur ciment, il faut comme Wilander faire preuve de consistance, d'opiniâtreté et de régularité. Mais c'est évidemment très difficile, car Ivan a beaucoup amélioré son physique et son mental. Sur gazon, la tâche est plus aisée, car sur cette surface, il ne peut adopter sa tactique préférée, en raison d'un jeu de jambes mal adapté.

Physique

Au départ, on l'a dit, Ivan n'avait pas les qualités naturelles de Borg, ni même de Wilander. Il était grand, mais manquait de vitesse et de puissance. Grâce à sa volonté, au côté « systématique » de son cerveau, Ivan est progressivement devenu plus rapide, plus fort. Après un gros travail sur le court, Ivan a alors poussé les choses beaucoup plus loin, hors du court : régime alimentaire, aérobic, natation, vélo, etc. Il s'est alors amélioré avec une application quasi-obsessionnelle, visant à faire de lui une sorte de « Rambo des courts ».

Mental

Dans ce secteur également, la transformation chez lui a été radicale. Autrefois, ce n'était pas un combattant. Il connaissait la peur et était très vulnérable. Il lui arrivait même de laisser tomber des matches. Là encore il s'est systématiquement amélioré cherchant à devenir dur et indifférent à tout sur le court. La vie américaine, à laquelle il a voulu adhérer totalement, a contribué à accomplir la métamorphose. Maintenant, Ivan ne lâche plus un point, il joue comme un automate et c'est de cette « déshumanisation » qu'il a tiré sa force.

Życie Literackie

TYGODNIK Kraków, 4 grudnia 1988 r. ROK XXXVIII nr 49 (1915) Cena zł 50

As ?

Kariera Wojtka Fibaka, choć w świecie wielkiego tenisa przeszła niemal bez echa, była dla nas, Polaków, wydarzeniem szczególnym. Traktowany przez wszystkich po macoszemu ten sport „elitarny" dosłownie z dnia na dzień przestał nim być. Środki masowego przekazu informowały o najmniejszym przesunięciu się naszego mistrza na listach rankingowych, na puste dotąd korty wyległy tysiące zapaleńców, a na ulicach spotykało się młodzieńców i starszych panów z nieodłączną rakietą w ręku, nierzadko noszoną z czystego snobizmu. Zaczęła się nowa era tenisa na krajowym podwórku i... równie szybko się skończyła.

Garstka optymistów liczyła jeszcze, że ten krótkotrwały szał zaowocuje w przyszłości następnymi polskimi nazwiskami w światowej czołówce. Tymczasem to, co stało się po drugiej stronie Bałtyku po sukcesach Borga, nas jakoś ominęło. Nie udało się nam zbudować „drugiej Szwecji" na rodzimych kortach. Casus Fibak okazał się jednorazowym wystrzałem. Jedyne co po sobie pozostawił, to wzmożony apetyt na chociaż umiarkowane osiągnięcia w tej bardzo prestiżowej dyscyplinie sportu. Ale czy rzeczywiście ta szansa została zmarnowana? Może jej po prostu nie było, bo nie mało prawa jej być?

W różnych wydawnictwach tenisowych, rocznikach i publikacjach traktujących o historii tenisa, mało pojawia się nazwisk polskich. Nic zresztą dziwnego, gdyż poza Jadwigą Jędrzejowską i Wojciechem Fibakiem nie mieliśmy wyników, które dotyczyły finałów turniejów uznawanych za najważniejsze.

Dobrego wujaszka cieszy i satysfakcjonuje dotarcie polskiej pary deblowej do finału w... Zinnowitz. Natomiast ja rościłem pretensje do Wojciecha Fibaka i nadal je podtrzymuję, że razem z Okkerem, nie był w finale Wimbledonu! Taki to ze mnie „nienasycony" i surowy „ojczym", lecz sam Fibak przyznał mi rację: on również odczuwa niedosyt sportowy.

W drugiej połowie lat siedemdziesiątych prasa polska nie nazywała go inaczej niż „nasz najlepszy tenisista". Używano tego zwrotu tak permanentnie, iż zdawał się tytułem oficjalnym. Nie raził jednak, gdyż znajdował wciąż nowe potwierdzenia w coraz to wyższych osiągnięciach sportowo-finansowych Wojciecha Fibaka, wówczas dwudziestoparolatka. Potem forma sportowa nieco przychudła, zaczęły się też coraz bardziej komplikować stosunki — nigdy nie idealne — między wciąż podróżującym po świecie, następnie zaś już stale mieszkającym za granicą tenisistą, a naszymi władzami — sportowymi i nie tylko sportowymi.

Szczyt sukcesów zawodniczych w profesjonalnym tenisie okazał się dopiero wstępem do wielkiej życiowej kariery

ROMUALD KARYŚ

WOJCIECH FIBAK OCENIA...

Wojciecha Fibaka. Toczyła się ta kariera coraz szybciej, była coraz bardziej błyskotliwa i wielokierunkowa. Środki masowego przekazu w Polsce, które przez niejaki czas od roku 1982 informowały o Fibaku z dużą powściągliwością, ostatnio znowu nim się ekscytują, używając m. in. takich określeń, nierzadko będących powtórzeniami opinii wyrażanych na Zachodzie: „najlepszy na świecie znawca strategii tenisa", „jeden z najinteligentniejszych międzynarodowych biznesmenów", „multimilioner", „wytrawny kolekcjoner dzieł sztuki", „posiadacz supercennej galerii obrazów", „człowiek mający powiązania towarzyskie w najbardziej elitarnych kołach współczesnego świata". Sądy te, zdaniem ludzi zorientowanych, nie są przesadzone.

Jako człowiek autentycznego sukcesu Fibak działa wręcz elektryzująco na polską, wyposzczoną opinię publiczną. Zajmuje wysoką i wciąż zwyżkującą pozycję wśród Polaków najpopularniejszych w kraju i najbardziej znanych za granicą. Jak każdy znaczniejszy idol zdolny jest wywierać wielostronny wpływ na rzeszę swych licznych sympatyków. Toteż to, co Fibak robi, a zwłaszcza publicznie mówi, ma pewne znaczenie ogólnospołeczne.

✡

Na przełomie października i listopada br. 36-letni obecnie Wojciech Fibak bawił przez kilka dni w kraju. Wieczorem 1 listopada w Telewizji Polskiej nadano program poświęcony jego karierze. Program ten, budzący duże zainteresowanie, wzbudził jednak wiele kontrowersji. Wielu widzów uznało go za relację na granicy fałszerstwa. Jest świętym przywilejem telewizji czy radia przycinanie przytaczanych wypowiedzi odpowiednio do ram czasowych programu, ale przecież nie może to prowadzić do odwrócenia o sto osiemdziesiąt stopni sensu wyrażanych przez kogoś opinii. A tak właśnie uczyniła telewizja z kilku zasadniczymi stwierdzeniami Fibaka, np. z jego dość długą wypowiedzią na temat młodego tenisisty Wojciecha Kowalskiego. Kowalski jest przez wielu kreowany na następcę Fibaka, ale wciąż jakoś nie może dojść do godnych tej roli wyników w turniejach. Telewizja przytoczyła z poświęconych mu uwag Fibaka ledwie dwa zdania, oba bardzo przychylne wobec Kowalskiego, zdobiące go takimi przymiotnikami jak „fajny", „ambitny", „utalentowany", „entuzjastyczny". Zabrzmiało to właśnie bardzo fajnie, budująco — stary mistrz bez zastrzeżeń chwali młodego, przychodzącego na jego miejsce, przepowiada mu świetną przyszłość i udziela błogosławieństwa. W istocie rzeczy to, co zacytowała telewizja było kurtuazyjnym wstępem, takim typowym „pochwaleniem przed zganieniem" Fibak bowiem tak oto dalej mówił o Kowalskim (cytuję z taśmy zasadnicze stwierdzenia):

— Brakuje mu naturalnego daru do zdobywania punktów. Nie jest graczem który ma wizję kortu, który wie, gdzie ma zagrać i kiedy. Wychodzi przy tym z niego jego temperament — buńczuczny, naiwny, trochę nawet infantylny. Zdarza się, że zagra piłkę, potem mówi, że trzeba było nie tak, a inaczej, nie tam, lecz tu. I właśnie z tymi jego komentarzami ja nie bardzo się zgadzam, nie trafia mi do przekonania to, co on myśli o piłce po piłce. Nie zarzucam mu niedostatków inteligencji; przejawia się ona u niego w innych dziedzinach. Nie posiada instynktownego, tenisowego sprytu, który na przykład miał — niestety, już nie żyjący — Miecio Rybarczyk. Miecio choć prosty chłopak, posiadał to szczególne czucie tenisa. Zawsze wiedział, gdzie jest przeciwnik, potrafił wyczuć, kiedy przeciwnik źle się ustawi, odgadywał, kiedy przeciwnik pomyśli, że warto skrócić piłkę. Widział przeciwnika i równocześnie to, co dzieje się na trybunach. Tego wszystkiego nie ma Kowalski. Gdyby to miał, byłby już wielkim graczem. Czy się tego nauczy —

As 1

Kariera Wojtka Fibaka, choć w świecie wielkiego tenisa przeszła niemal bez echa, była dla nas, Polaków, wydarzeniem szczególnym. Traktowany przez wszystkich po macoszemu ten sport „elitarny" dosłownie z dnia na dzień przestał nim być. Środki masowego przekazu informowały o najmniejszym przesunięciu się naszego mistrza na listach rankingowych, na puste dotąd korty wyległy tysiące zapaleńców, a na ulicach spotykało się młodzieńców i starszych panów z nieodłączną rakietą w ręku, nierzadko noszoną z czystego snobizmu. Zaczęła się nowa era tenisa na krajowym podwórku i... równie szybko się skończyła.

Garstka optymistów liczyła jeszcze, że ten krótkotrwały szał zaowocuje w przyszłości następnymi polskimi nazwiskami w światowej czołówce. Tymczasem to, co stało się po drugiej stronie Bałtyku po sukcesach Borga, nas jakoś ominęło. Nie udało się nam zbudować „drugiej Szwecji" na rodzimych kortach. Casus Fibak okazał się jednorazowym wystrzałem. Jedyne co po sobie pozostawił, to wzmożony apetyt na chociaż umiarkowane osiągnięcia w tej bardzo prestiżowej dyscyplinie sportu. Ale czy rzeczywiście ta szansa została zmarnowana? Może jej po prostu nie było, bo nie miało prawa jej być?

W różnych wydawnictwach tenisowych, rocznikach i publikacjach traktujących o historii tenisa, mało pojawia się nazwisk polskich. Nic zresztą dziwnego, gdyż poza Jadwigą Jędrzejowską i Wojciechem Fibakiem nie mieliśmy wyników, które dotyczyły finałów turniejów uznawanych za najważniejsze.

Dobrego wujaszka cieszy i satysfakcjonuje dotarcie polskiej pary deblowej do finału w... Zinnowitz. Natomiast ja rościłem pretensje do Wojciecha Fibaka i nadal je podtrzymuję, że razem z Okkerem, nie był w finale Wimbledonu! Taki to ze mnie „*nienasycony*" i surowy „*ojczym*", lecz sam Fibak przyznał mi rację: on również odczuwa niedosyt sportowy.

ROMUALD KARYŚ

WOJCIECH FIBAK OCENIA...

Wojciecha Fibaka. Toczyła się ta kariera coraz szybciej, była coraz bardziej błyskotliwa i wielokierunkowa. Środki masowego przekazu w Polsce, które przez niejaki czas od roku 1982 informowały o Fibaku z dużą powściągliwością, ostatnio znowu nim się ekscytują, używając m. in. takich określeń, nierzadko będących powtórzeniami opinii wyrażanych na Zachodzie: „najlepszy na świecie znawca strategii tenisa", „jeden z najinteligentniejszych międzynarodowych biznesmenów", „multimilioner", „wytrawny kolekcjoner dzieł sztuki", „posiadacz supercennej galerii obrazów", „człowiek mający powiązania towarzyskie w najbardziej elitarnych kołach współczesnego świata". Sądy te, zdaniem ludzi zorientowanych, nie są przesadzone.

Jako człowiek autentycznego sukcesu Fibak działa wręcz elektryzująco na polską, wyposzczoną opinię publiczną. Zajmuje wysoką i wciąż zwyżkującą pozycję wśród Polaków najpopularniejszych w kraju i najbardziej znanych za granicą. Jak każdy znaczniejszy idol zdolny jest wywierać wielostronny wpływ na rzeszę swych licznych sympatyków. Toteż to, co Fibak robi, a zwłaszcza publicznie mówi, ma pewne znaczenie ogólnospołeczne.

✡

Na przełomie października i listopada br. 36-letni obecnie Wojciech Fibak bawił przez kilka dni w kraju. Wieczorem w Dzień Zaduszny spotkał się w studenckim klubie „Park" z warszawską publicznością. Łatwo zgadnąć, że tłum gromadził się przed klubem już na kilka godzin przed spotkaniem, a gdy otwarto drzwi, wypełnił aż po ostatni decymetr powierzchni dużą salę dyskotekową, w której ustawiono podium dla Fibaka.

Reporter „ZL", był na miejscu i znalazł dość czasu, by pozostać na spotkaniu do końca, w przeciwieństwie do ekipy telewizyjnej, która wyniosła się już po godzinie, rezygnując z zarejestrowania ostatniej części wystąpienia Fibaka części, która okazała się najciekawsza. Dodajmy, że sprawozdanie z wieczoru z Fibakiem, które telewizja pokazała kilka dni później (6 listopada, pr. II, godz. 12.45), można uznać nie, budująco — stary mistrz bez zastrzeżeń chwali młodego, przychodzącego na jego miejsce, przepowiada mu świetną przyszłość i udziela błogosławieństwa. W istocie rzeczy to, co zacytowała telewizja było kurtuazyjnym wstępem, takim typowym „pochwaleniem przed zganieniem" Fibak bowiem tak oto dalej mówił o Kowalskim (cytuję z taśmy zasadnicze stwierdzenia):

— Brakuje mu naturalnego daru do zdobywania punktów. Nie jest graczem który ma wizję kortu, który wie, gdzie ma zagrać i kiedy. Wychodzi przy tym z niego jego temperament — buńczuczny, naiwny, trochę nawet infantylny. Zdarza się, że zagra piłkę, potem mówi, że trzeba było nie tak, a inaczej, nie tam, lecz tu. I właśnie z tymi jego komentarzami ja nie bardzo się zgadzam, nie trafia mi do przekonania to, co on myśli o piłce po piłce. Nie zarzucam mu niedostatków inteligencji; przejawia się ona u niego w innych dziedzinach. Nie posiada instynktownego, tenisowego sprytu, który na przykład miał — niestety, już nie żyjący — Miecio Rybarczyk. Miecio choć prosty chłopak, posiadał to szczególne czucie tenisa. Zawsze wiedział, gdzie jest przeciwnik, potrafił wyczuć, kiedy przeciwnik źle się ustawi, odgadywał, kiedy przeciwnik pomyśli, że warto skrócić piłkę. Widział przeciwnika i równocześnie to, co dzieje się na trybunach. Tego wszystkiego nie ma Kowalski. Gdyby to miał, byłby już wielkim graczem. Czy się tego nauczy — to inna sprawa.

Fibak wspomniał też, że Kowalski popełnia błędy o charakterze technicznym, dla niego. Fibaka, zauważalne, choć może trudno dostrzegalne dla innych, dla niespecjalistów. Jest więc nadużyciem taki montaż materiału ze spotkania, który sugeruje widzom TV zdecydowanie korzystną ocenę Kowalskiego przez jego wielkiego poprzednika.

Co do siebie Fibak przyznał, że wypadł raczej już na stałe z list rankingowych. Do turniejów musiałby się teraz znowu przedzierać przez długie eliminacje, toteż poinformował, że już raczej nie będzie w nich grywał („chyba że mnie ktoś zaprosi do debla"). Za

(Ciąg dalszy na str. 6)

(Ciąg dalszy ze str. 1)

względu na brak czasu, wynikający z koncentracji na sprawach artystycznych oraz operacjach finansowych, nie podejmie się już również sprawowania nad żadnym tenisistą opieki trenerskiej czy doradczej, jaką ostatnio roztaczał nad Francuzem Leconte, a dawniej nad Lendlem. Nie przewiduje też jakiegokolwiek swego współdziałania ani tym bardziej formalnej współpracy z Polskim Związkiem Tenisowym, co nie wyklucza, że w indywidualnych przypadkach może dopomagać w startach na Zachodzie zdolniejszym polskim tenisistom.

✲

Fibak powiedział, że jeździ na wszystkie ważniejsze aukcje malarstwa na całym świecie i w ogóle stara się być wszędzie tam, gdzie dzieje się „cokolwiek ważnego w związku ze współczesną sztuką". Stwierdził, że jest znany marszandom z wszystkich krajów i uznawany przez nich za najpoważniejszego kolekcjonera „malarstwa polsko-żydowskiego szkoły paryskiej". Chodzi tu o obrazy kilkunastu malarzy w większości żydowskich, wyrosłych w Polsce, którzy na początku bieżącego wieku wyemigrowali do Paryża i tam stworzyli swe najlepsze prace uważane dziś za równe dziełom najwybitniejszych, powszechnie znanych twórców z przełomu stuleci.

WOJCIECH FIBAK OCENIA...

Fibak zgromadził już około 200 obrazów tych malarzy. Kupuje też prace niektórych twórców współczesnych. Czy również polskich? — zapytano go. Tak, ma w swej galerii kilkadziesiąt dzieł współczesnych Polaków, w tym po kilka obrazów Kantora, Cybisa, Fangora, Gierowskiego, Musiałowskiego. Stwierdził wszakże, że jedynym współczesnym malarzem polskim naprawdę cenionym na Zachodzie i poszukiwanym przez kolekcjonerów jest Roman Opałka. Zdaniem Fibaka również Marian Czapla spełnia warunki artystyczne koniecznie do wejścia do najbardziej renomowanych galerii i osiągnięcia wysokich notowań na aukcjach. Fibak zamierza mu w tym dopomóc, zapowiedział zorganizowanie wkrótce jego wystawy w jednym z krajów zachodnich. Wymienił też nazwiska polskich malarzy, którzy dzięki kace, jaką sami zorganizowali sobie w kraju, są tu chwaleni za rzekome sukcesy na Zachodzie, gdy w istocie rzeczy nie są tam wcale znani ani sprzedawani.

Można było z góry domyślić się, że publiczność zapyta Fibaka, co sądzi o kolekcji pp. Porczyńskich, podarowanej Muzeum Archidiecezjalnemu w Warszawie. Rzeczywiście, postawiono to pytanie.

Fibak odparł (tu również cytuję dosłownie):

— Rozmawiałem z wami dotychczas szczerze i chcę tak dalej. Z drugiej strony, jeśli powiem, co naprawdę myślę o zbiorze Porczyńskich, to może to wyglądać, że lekceważę kogoś, kto jest dużo bardziej szczodry i godniej zachowuje się niż ja, bo kupuje obrazy i oddaje. Powiem krótko, to nie są kolekcjonerzy, to są ludzie, którzy przypadkowo zaczęli nabywać obrazy tylko dlatego, że byli wiedzeni swoją wizją humanistyczną i powołaniem religijnym. Zaczęli kupować obrazy z myślą, żeby je ofiarować Polsce, Kościołowi. To nie była kolekcja taka, jaką ktoś tworzy dlatego, że interesuje się malarstwem, sztuką. Oni sami nie kupowali, zlecali to innym. Dlatego uważam, że jest to kolekcja przypadkowa...

— Ale mieli doskonałych doradców — odezwał się ktoś z sali.

— Ja znam te rzeczy od podszewki. W tamtych kręgach, jeżeli ktoś ma znakomitych doradców, to zwykle są oni związani z domami aukcyjnymi i zależy im tylko na tym, żeby sprzedać. Znam katalogi, wiem, co Porczyńscy kupowali. Ale to temat na rozmowę między ekspertami.

Tu Fibak wypatrzył na sali kogoś, kogo uważa za eksperta, i poprosił go o opinię. Ekspert rzekł:

— Warto wspomnieć o tym, co prasa zachodnia pisała na temat kolekcji Porczyńskich i jak fachowcy podważali atrybucje konkretnych obrazów. Ale mogłoby to zostać odebrane jako deprecjonowanie tego w końcu hojnego daru.

Fibak:

— Więc właśnie. Oni się wspaniale zachowali, ofiarowując tę masę obrazów. I ten gest jest najważniejszy. Mniej ważne, co ja o tym myślę. Ponieważ jednak znam kulisy galerii, sal aukcyjnych, siedzę w tym od lat, żyję tym, nie mogę zataić, że wiem, co i jak Porczyńscy nabywali. Przecież już za dziesięć tysięcy dolarów można kupić Renoira lub van Gogha takiej klasy, jakiej były ich zakupy. A bywa, że i pięć milionów to za mało na Renoira czy van Gogha. Wszystko zależy od tego, jaki to Renoir, jaki van Gogh. Naprawdę łatwo i tanio można kupić obraz, o którym nie na pewno wiadomo, czy jest pędzla oryginalnego malarza, czy kogoś z jego szkoły, czy był przemalowywany, poprawiany, w jakim jest stanie. Jest mnóstwo słabszych aukcji, na których właśnie takie obrazy są sprzedawane. Ja nie byłbym w stanie przyjechać i ot tak, po wiedzieć, że oddaję moje obrazy Kościołowi, państwu, określonemu muzeum czy komukolwiek z was. Jestem kolekcjonerem z krwi i kości, sam szukałem tych obrazów, jeździłem, szperałem, uczyłem się przez wiele lat, zmieniałem gusty. W końcu doszedłem do tego, co lubię i nie jestem w stanie z tym się rozstać. Taka jest prawda.

A czy Fibak zamierza bodajby pokazać swoją kolekcję w kraju, urządzić tu jej wystawę? Odpowiedział, że tak, ale nie prędzej niż za parę lat. Wspomniał jednak, że już teraz prowadzi w tej sprawie rozmowy z odpowiednimi ludźmi w Polsce.

✲

— Czy czyta pan w „Literaturze" książkę Daniela Passenta o sobie? Co pan o niej sądzi?

Tak czy podobnie formułowane pytanie padało co jakiś czas z sali. Fibak długo udawał, że nie słyszy. Wreszcie ktoś wydarł się tuż przy podium:

— Pańskie zdanie o książce Passenta?!

Fibak jeszcze próbował uniku. Powiedział:

— Moje zdanie o Passencie?...

— Nie o Passencie, a o jego książce o panu! — zawołał ktoś z sali.

— O Passencie jako Passencie też — domagano się z innej strony sali.

Nie było rady, trzeba było przyjąć te serwy.

— Czytam tę książkę, czytam. To jest jego książka i ma prawo pisać w niej o mnie, co chce. Wydaje mi się, że bardzo zależy mu na tym, żeby to nie było odebrane tak, że ja sobie tę książkę zamówiłem.

— Ale jak ją pan ocenia?

— Bardzo trudno jest spojrzeć na książkę komuś, o kim ona jest. Mam na jej temat swoją opinię, ale książka w całości jeszcze się nie ukazała. Zobaczymy, jaka będzie.

— Czemu pan się na nią zgodził, skoro wcześniej odmówił pan Passentowi wywiadu? — zapytał ktoś z tłumu przy drzwiach.

— Zgodziłem się z wielu względów. Powiem otwarcie, zrobiłem to na prośbę mojego ojca. To był główny powód. Ojcu bardzo zależało, żeby ukazała się jakaś książka o mnie, żeby mógł ją przeczytać. Akurat wtedy Passent mi zaproponował, że ją napisze. Może więc, może nie, dlaczego chciał napisać tę książkę. W każdym razie zdecydowałem się na to. Tak że zobaczymy...

— Czy poprawiał go pan?

— Poprawiałem rzeczy techniczne. Bo Passent to nie jest człowiek związany ani z tenisem, ani ze sztuką. To jest ktoś, kto pisuje sami wiecie o czym. Obojętnie jak by się starał, nie mogło mu wyjść. Poprawiałem tylko i wyłącznie daty, fakty, nazwiska, no czasem też jakieś błędne koncepcje. Natomiast on książkę pisał. Ja pod nią się nie podpisuję.

Fibak dodał jeszcze, że jest to książka o nim, ale może jeszcze bardziej o środowiskach, w których się obraca. Powiedział, że Passent długo nad nią pracował i że będzie miała pięćset stron.

— Czy żałuje pan, że pan się na nią zgodził?

Fibak w milczeniu popatrzył na pytającego, po czym odwrócił się i zaczął odpowiadać na pytanie zadane mu przez kogoś innego, dotyczące innego tematu.

✲

Na spotkanie w studenckim klubie Wojciech Fibak przybył bezpośrednio po dłuższej rozmowie z ministrem przemysłu, Mieczysławem Wilczkiem. Był wyraźnie pod wrażeniem tej rozmowy i kilkakrotnie do niej w swych wypowiedziach nawiązywał, nie kryjąc, że jest zbudowany jej atmosferą i zadowolony z wyników. Także sam min. Wilczek („mimo że to człowiek z legitymacją partyjną w kieszeni") zrobił na nim jak najlepsze wrażenie.

Powiedział, że postarał się o tę audiencję m.in. po to, by zorientować się, jakie obiekty przemysłowe będą wkrótce w Polsce do kupienia lub wydzierżawienia przez prywatnych inwestorów zagranicznych. Poinformował, że min. Wilczek ma już dosyć długą listę takich zakładów, chociaż jeszcze jej nie ujawnia. Pan Wojciech dał do zrozumienia, że dla niego minister zrobił wyjątek i listę mu pokazał. Fibak występował w rozmowie nie tyle jako osobiście zainteresowany kupnem jakiejś fabryki, kombinatu czy stoczni (choć tego również nie wykluczył), ile jako ewentualny pośrednik w kontaktach z zagranicznymi środowiskami finansowymi.

Powiadomił zebranych, że jadąc do ministra był naładowany oburzeniem z powodu pewnych decyzji nowego rządu, lecz min. Wilczek zdołał go przekonać, że te decyzje wynikają z rachunku ekonomicznego, że nie mają podłoża politycznego ani „polityczno-osobistego". Jeśli nawet Fibak nie do końca ten punkt widzenia przyjął, to sposób jego przedstawienia wydał mu się interesujący i zachęcający. Ponadto min. Wilczek powiedział mu „co myśli o giełdzie, o akcjonariuszach, o przedsiębiorstwach prywatnych", i to również Fibakowi się spodobało.

Swoją rolę w kontekście rozmowy z min. Wilczkiem widzi tak, iż ma przekonywać wielkich zachodnich inwestorów, że w Polsce „dzieje się coś z prawdziwego zdarzenia, coś, czego oni nie powinni przegapić, bo gdyby tak się stało to stracą". Uważa, że przyciągnięcie tych inwestorów do Polski i przekazanie w ich ręce znacznej części naszej gospodarki, zwłaszcza obiektów podupadłych, jest jedyną receptą na uwolnienie kraju od kryzysu.

„Inwestor" znaczy w języku Fibaka dokładnie to samo, co w naszej dotychczasowej ekonomii znaczyło „kapitalista" — czyli osobnik dysponujący ogromnymi aktywami i lokujący te środki w różnych przedsięwzięciach celem osiągania zysku bez udziału własnej pracy. Również siebie Fibak kilkakrotnie nazwał inwestorem.

✲

Uczestnikami spotkania z Fibakiem mniej więcej w dwu trzecich była młodzież, studenci. Przyszli też ludzie związani z tenisem, przedstawiciele środowiska plastycznego i wszelakiej bohemy. Dość licznie do klubu „Park" ściągnęli także właściciele dużych i małych firm prywatnych, krajowych i zagranicznych. Ci ostatni niekiedy włączali się do dyskusji po to, by natrętnie usiłować wydobyć z Fibaka dane i informacje mogące być przydatne w ich biznesie. Inni ludzie z rozmaitych środowisk, różnych zawodów, otwarcie prosili o protekcję, o pomoc impresaryjną, o sponsorowanie wynalazkom.

Studenci zbyt wielu pytań nie zadawali, większość z nich w ogóle się nie odzywała. Chichotali z kalamburów, którymi Fibak sypał niczym Jan Pietrzak (także treść żarcików i styl ich podawania przypominały Pietrzaka), wyraźnie akceptowali luz pana Wojtka i dość mocno kontestacyjny w sensie politycznym klimat, jaki starał się tworzyć. Jednakże siedzieli, czuło się napięci, uważni, jakby ciut zniecierpliwieni. Rozważania ogólne o tenisie — zgoda, o obrazach — też, o polityce — również, niemniej znaczna część tych młodych przyszła po jedno i jedno czekali — na to, by mistrz sztuki życia i sukcesu zdradził im coś niecoś o praktycznych tajnikach swojego kunsztu, zwłaszcza by wskazał, jak się z kraju wydostać, jak się za granicą zaczepić i co robić, by jak najprędzej zgarniać tam zielone... Paru zresztą nie wytrzymało i zapytali o to wprost.

Widać było, że Fibak spodziewał się takich właśnie pytań. Zaprezentował dosyć spójną koncepcję odpowiedzi na nie. Pierwsza teza: teraz, a jeśli nie teraz to wkrótce, będzie już można niegłe żyć i zarabiać tutaj. „Kraj wchodzi w świat koniunktury, układów pieniędzy" — zapewnił. Zatem nie wyjeżdżać, tu walczyć o szanse, tutaj się dorabiać. Teza druga: jeżeli już ktoś koniecznie chce szukać zarobku i możliwości rozwoju za granicą, to niech jedzie „z czymś", niech najpierw osiągnie maksimum kwalifikacji w swoim zawodzie, niech w Polsce wypróbuje swój talent i potwierdzi jego posiadanie licznymi się sukcesami. Wyjeżdżając „trzeba być bardzo mocnym w jakiejś dziedzinie", być odważnym i zdolnym do samozaparcia, znać języki. Trzecia teza Fibaka: niezależnie od tego, jak będzie się wiodło za granicą, nie zrywać więzi z ojczyzną, bywać w kraju, nie odcinać się od możliwości powrotu na stałe.

Te dojrzałe rady nie trafiły do przekonania studenckiej widowni. Chcieliby studenci recepty szybszej, skuteczniejszej i łatwiejszej no i może takiej bardziej „opozycyjnej" — żeby to samemu nabijając kabzę jednocześnie dopiec krajowej władzy. Fibak, który przez dwie godziny demonstrował doskonałe wyczucie nastrojów słuchaczy, świetny refleks, zdolność rozbudzania i gaszenia emocji, w pewnej chwili mocno się pomylił. Oceniwszy, że odpowiednio już podsycił przychylność młodych słuchaczy do ministra Wilczka, powiedział, że minister wie, iż on, Fibak, spotyka się dziś z młodzieżą i że za jego pośrednictwem przekazuje minister apel, by młodzi wzięli się rzetelnie za budowę kraju, bo przecież wszystko jest do zdobycia, tu jest ich miejsce, trzeba tylko pracować... Młodzi, usłyszawszy to, rykneli szyderczym śmiechem. Wielu bodajże uznało to podniosłe wezwanie za Fibakowe kpiny z ministra. No a dla znajdujących się w sali osób starszych było oczywiste, że ten milioner, „inwestor", poznaniak wychowany zgodnie z dawnymi tradycjami swego miasta w kulcie pracy i solidności, przekazał im zachętę ministra serio i w najlepszej wierze...

ROMUALD KARYŚ



DANIEL PASSENT **TO JEST MOJA GRA** *(6)* **30**

.....Rodzice Fibaka, ojciec profesor – chirurg i matka chemiczka, obecnie już na emeryturze, nie zamierzali chować syna na sportowca... Liczyli, że Wojtek pójdzie w ślady ojca, zostanie lekarzem, będzie miał solidny zawód, na całe życie i na cały świat. On z kolei chciał być filmowcem albo dziennikarzem".



GRAŁEM O ŻYCIE

Kiedy Wojtek Fibak miał trzynaście lat i chodził do szóstej klasy szkoły podstawowej – mama zaczęła gromadzić wycinki prasowe o swoim synu. Zbierała wzmianki w gazetach, kiedy był jeszcze dzieckiem, nie mając żadnej pewności, a nawet aspiracji, żeby syn wyrósł na sportowca. W ciągu następnych dwudziestu lat, Joanna Fibakowa zebrała setki, ba, może nawet tysiące wycinków z prasy polskiej i zagranicznej – od zwykłych wiadomości sportowych, że na turnieju w Rotterdamie Fibak przegrał albo wygrał, poprzez różne komentarze życzliwe lub złośliwe, aż po obszerne fotoreportaże, ukazujące jej syna z żoną i córkami, Agnieszką i Pauliną, na tle antyków, obrazów i dostatku w Greenwich. Wycinki te, niektóre nie do odczytania – po arabsku z Dubaju lub po japońsku z Tokio – oprawione są w kilkanaście grubych, ciężkich albumów. Ich lektura zajęła mi kilka dni od rana do wieczora. W nich zawiera się prawie całe sportowe życie jednego człowieka. Dużo to – czy mało?

Dużo, bo któż może pochwalić się taką kolekcją głosów prasy na swój temat? Ochy, achy, zachwyty i przygany, ktoś zadawał sobie trud, żeby napisać, jak grał Fibak w Sopocie i w Filadelfii. A jednocześnie – mało, gdyż wycinki te są zdumiewająco podobne do siebie, szybko żółkną, starzeją się i nudzą jak stare zeszyty szkolne. Od pierwszych porażek i zwycięstw w poznańskim AZS, po ostatnie zwycięstwa i przegrane w drugiej połowie lat osiemdziesiątych w Amsterdamie czy Gstaad – ciągle to samo wygrał–przegrał, przegrał–wygrał, zmieniają się tylko nazwiska – nia ma już Rybarczyka, nie gra Golimowski ani Nowicki, przestał grać Borg, ale inni grają – starsi, rówieśnicy Fibaka – Vilas i Connors, oraz młodzi, których nazwiska nic nie mówią. W sumie całą tę kronikę życia sportowca można by zapisać i zamknąć w formie książki telefonicznej, gdzie zamiast numerów figurowałyby wyniki: Nowicki 6:4, 5:7, 6:3, Armitraj 6:1, 6:4, 6:1, i tak strona po stronie, nazwisko po nazwisku, cyfra po cyfrze – bez wspomnień, bez emocji, bez przeżyć – sama esencja bez egzystencji. Monotonne, tożsame, jednostajne, jak każda kolejna piłka, jak każda praca. W życiu sportowca, podobnie jak w życiu muzyka – znika to, co najważniejsze – gra, pozostaje to, co nieważne. Ulatuje piękno – zostaje zapis.

Taki suchy zapis prowadziłem podczas turnieju w Forest Hills, Nowy Jork, w 1987 roku.

I set

0:1 (0/15, 15/15, 15/30, 15/40)
1:1 (0/15, 15/15, 30/15, 40/15)
2:1 (0/15, 30/15, 30/30, 40/30)
2:2 (0/15, 15/15, 15/30, 30/30, 40/30)
2:3 (0/15, 15/15, 15/30, 15/40)
2:4 (0/15, 0/30, 0/40, 15/40)
2:5 (0/15, 0/30, 0/40,)
3:5 (0/15, 0/30, 15/30, 30/30, 30/40, 40/40), przewaga, równowaga, przewaga)
3:6 (15/0, 30/0, 30/15, 30/30, 30/40)

II set

1:0 (15/30, 30/0, 40/0)
2:0 (15/0, 15/15, 15/30, 30/30, 40/30)
2:1 (15/0, 30/0, 30/15, 30/30, 30/40)

sukcesy. Po prostu z każdym rokiem konkurencja się zaostrza. Co powiedziawszy ośmielam się zaproponować następującą dziesiątkę supergwiazd.

1. Janusz Kusociński (wyjątek, gdyż jest jedynym człowiekiem dziesiątki, którego nie widziałem w akcji). 2. Irena Szewińska, 3. Janusz Peciak, 4. Witold Woyda (2 medale złote na jednej olimpiadzie!), 5. Wojciech Fibak („Tempo" się myli pisząc, że był raz mistrzem świata, w rzeczywistości dokonał tego dwa razy, wygrywając ponadto 27 międzynarodowych turniejów w singlu), 6. Ryszard Szurkowski, 7. Andrzej Wróblewski (nie uwzględniony na liście „Tempa", dwukrotny mistrz świata w szybownictwie, pilot klasy najwyższej), 8. Józef Łuszczek (tutaj długo się wahałem mając jeszcze w zanadrzu Stanisława Marusarza, zdecydowało złoto z Lahti), 9. Jerzy Kulej (kontrkandydaci: Chychła, Pietrzykowski, Drogosz i Kolczyński), 10. Kazimierz Deyna (jedyny mój przedstawiciel dyscyplin zespołowych).

A teraz z niecierpliwością czekam na końcowe rezultaty znakomitego konkursu „Tempa".

STAGAR

70-lecie sportu w niepodległej Polsce

Gwiazdorku - pomóż!

JEŹDZIECTWO: siodła nie uwierały, a konie przestały gadać (po wujku Edzie).

KAJAKARSTWO: tutaj o nic nie proszę. Markowie i Iza bez twojej pomocy Gwiazdorku dadzą sobie radę.

KOLARSTWO: grupa „Exbud" wyprzedziła konkurentów w rejestracji, a później w peletonie.

KOSZYKÓWKA: zawodnicy zrozumieli, że trenerzy za nich grać już naprawdę nie mogą.

LEKKOATLETYKA: na mistrzostwach Polski padały świetne wyniki (byle nie te z Grudziądza — ponad 600 butelek po gorzałce przez 2 dni).

ŁYŻWIARSTWO FIGUROWE: Grzesiu mniej się trząsł, a Bacej skakał.

NARCIARSTWO: był zawrót głowy, ale wcale nie taki kolorowy.

PIŁKA NOŻNA: więcej kopaczy zostawało w kraju niż uciekało w „obce" nam strony.

PIŁKA RĘCZNA: ... a zresztą szkoda gadać.

PŁYWANIE: Artur mógł wreszcie w Poznaniu zaliczać 50-metrowe dystanse bez nawrotu.

PODNOSZENIE CIĘŻARÓW: siłacze nie poszli w ślady swoich kolegów znad Morza Czarnego.

SIATKÓWKA: wrócił trener Hubert i z towarzyszami zrobił wreszcie porządek.

SZACHY: prezes Jacek dobrze prowadził działalność gospodarczą, a tym samym umacniał siłę naszych „pionków".

TENIS: Wojtek pomyślał o remoncie „Bazaru", a nie „Bristolu".

TENIS STOŁOWY: nasi grali jak Azjaci, a oni wreszcie jak Andrzej i Leszek.

ZAPASY: przestali handlować kryształami i wódeczką na haiach — przywiśle dla dobra... dyscypliny.

Tak prawdę mówiąc (chcę pisząc) uważam, że Tomek i Łukasz prędzej doczekają się komputerów i najrozmaitszych anten, niż spełnione zostaną moje pragnienia. Ale co szkodzi napisać? Wydaje się, że tylko łaskawość Gwiazdora może coś w tym całym bałaganie zmienić...

ROBERT PLACKO

2:2 (0/15, 0/30, 15/30, 30/30, 30/40)
3:2 (0/15, 0/30, 15/30, 30/30, 40/30)
3:3 (0/15, 0/30, 15/30, 15/40)
3:4 (0/15, 15/15, 30/15, 30/30, 30/40)
3:5 (0/15, 15/15, 15/30, 15/40)
3:6 (0/15, 0/30, 0/40, 15/40, 30/40, równowaga, przewaga, równowaga, przewaga przeciwników)

Czy przeciętny człowiek jest w stanie coś z tego zrozumieć? Wczytać się w prawdziwy przebieg walki, zorientować się jak i dlaczego doszło do przegranej? W sporcie, jak w sztuce, treść bez formy nie istnieje, jest niczym. Walczy się o wynik, o zwycięstwo, o treść, ale jej nosicielką jest forma, piękno gry. Wynik w sporcie jest jak płótno w malarstwie. Bez płótna nie ma obrazu, nie ma sztuki, ale samo płótno jest niczym, jest kawałkiem materiału bez wyrazu, ale bez płótna nie byłoby obrazu, bez wyników nie byłoby sportu. „Irysy" Van Gogha – najdrozszy dotychczas obraz, który sprzedano ostatnio za 50 mln dolarów, przeszły swojego czasu znamienną i typową dziś operację konserwatorską: przeniesienie całego obrazu ze starego płótna na nowe. Dopóki farba była na płótnie – płótno było niezastąpione. Na nim trzymał się obraz. Tak jak mecz trzyma się na wyniku. Ale po meczu wynik mówi tyle o grze, ile stare, odrzucone płótno mówi o „Irysach" Van Gogha.

Może wiedział to Fibak, albo raczej wyczuwał instynktownie, gdyż rozszerzył swoje zainteresowania poza wyniki, puchary i tytuły. Ku mojemu zaskoczeniu w obu jego domach w Greenwich i w Paryżu, nie ma żadnej „izby pamięci", pokoju, w którym byłyby zgromadzone pamiątki z kariery sportowej. Zamiast tego, puchary i medale złożone są w piwnicach, co prawda urządzonych przyzwoicie, ale jednak nie na widoku, bliżej kufra niż salonu.

Pozostała natomiast pozycja i popularność w świecie tenisowym. Gdy wchodziłem z Fibakiem do Madison Square Garden w Nowym Jorku albo na Roland Garros w Paryżu, widziałem, że czuje się w swoim żywiole wśród organizatorów, tenisistów, dziennikarzy i publiczności. Wszyscy go znają i sprawia mu to przyjemność, każdego dostrzega, reaguje na każde zawołanie, interesuje się innymi i cieszy się, że budzi ich zainteresowanie, bez względu na to czy to będzie portier, gracz, czy menedżer. Podczas kiedy inni tenisiści, Franulovic, czy Pecci, przechodzą nie zauważeni, nikogo nie zagadują i mało kto ich pozdrawia, Fibak rozdaje ukłony, uściski dłoni, zamienia kilka słów, zawsze wie z kim i o czym, gdyż nie jest roztargniony. Lubi to, co nazywa „pozycją socjalną w tenisie", tym najbardziej towarzyskim ze sportów. Ludzie idą do niego, a jeśli nie, to on podchodzi do nich, żeby pielęgnować stosunki, które sprawiają mu satysfakcję, rozgląda się kto jest, szuka znajomych, zmierza ku nim, stara się żadnego nie przepuścić, jak kolekcjoner znajomości. Świetnie się zresztą do tego nadaje ze swoją bystrością, językami, ruchliwością i pogodą ducha. Tu Donald Dell – właściciel agencji Pro Serr, tam jego konkurent Marek Mc Cormack, tu Jimmy Connors – tam aktor Robert de Niro, to właściciel linii lotniczych TWA Carl Joahn, gdzie indziej znany kiedyś szermierz Witek Woyda czy businessman Donald Trump – modny w Ameryce milioner, właściciel m.in. imponującego wieżowca w centrum Manhattanu. Wszystkich zna. Każdego pamięta po imieniu, z każdym chętnie zamieni kilka zdań na dowolny temat. Wynurza się ze swojej willi i nurkuje w środowisku, jak w kąpieli. Pluszcze się w niej.

Ożywiony, energiczny, wesoły, zadowolony, Fibak potrafi w takich okolicznościach być duszą towarzystwa i animatorem rozmowy. Wiele osób na jego widok uśmiecha się życzliwie i sprawia mu tym przyjemność. A przecież obok tego ma drugie życie – finansowe i kolekcjonerskie, można go z kulisów Madison Square Garden przenieść do muzeum czy salonu aukcyjnego Christie's i będzie czuł się równie dobrze, choć rzecz jasna znajomych będzie trochę mniej.

Rodzice Fibaka, ojciec profesor chirurg i matka chemiczka, obecnie już na emeryturze, nie zamierzali chować syna na sportowca. Są to przedstawiciele poznańskiej inteligencji w szlachetnym stylu. Zamieszkali w Wielkopolsce od pokoleń, kulturalni, pracowici, gościnni, bardziej od syna ciepli, może zwłaszcza dla mnie, gdyż zainteresowałem się ich dzieckiem, zwróceni ku innym, nie tyle ku sobie, mieli w stosunku do niego inne plany. Liczyli, że syn pójdzie w ślady ojca, zostanie lekarzem, będzie miał solidny zawód, na całe życie i na cały świat. On z kolei chciał być filmowcem albo dziennikarzem. O ile sport jest drogą awansu dla młodzieży robotniczej i wiejskiej, o tyle w rodzinie profesorskiej, inteligenckiej, kariera sportowca oznacza pewną degradację, porażkę, albo rezygnację z wartości wyższych i prestiżu na rzecz innych walorów. Dziś sport jest tak absorbujący, że nie można być jednocześnie dobrym sportowcem i człowiekiem dobrze wykształconym, solidnym fachowcem. Nawet jeśli są przypadki, które temu pozornie przeczą, to Fibak takim wyjątkiem nie może być. Ale można zostać kulturalnym człowiekiem o szerokich i głębokich zainteresowaniach. Taki Fibak jest.

O rodzicach Fibaka dobrze jednak świadczy, że widząc, iż przed synem otwarła się szansa, choć bardzo jeszcze niepewna, zaledwie jej cień – pozwolili mu spróbować tej szansy, zagrać na loterii życia, zwłaszcza że zawsze mógł wrócić do domu i na studia. Stało się jednak inaczej, wycinków prasowych zaczęło przybywać i Joanna Fibakowa pracowicie wklejała je do kolejnych albumów. Podobną kronikę, tylko fotograficzną, gromadzi Ewa Fibakowa, z domu Żak, córka emerytowanych dziś farmaceutów, żoną Wojciecha. Albumy fotografii w Greenwich, USA, prowadzone są równie starannie, jak albumy wycinków w Poznaniu na ul. Wielkopolskiej, w rodzinnym domu mistrza. Ta systematyczność i pracowitość nie są przypadkowe. To jest poznańskie w dobrym stylu. Zamiast słomianego ognia – wytrwałe gromadzenie wycinków, fotografii i w ogóle całego dorobku – także obrazów, mebli, pieniędzy. Zamiast beztroski – nieustanna troska o dzieci, która wyraża się w tym, że dom Fibaków-seniorów żyje sprawami syna Wojtka, córki Barbary, wnuczka i wnuczek, zaś Ewa Fibakowa jest niesłychanie skupiona na córkach i stale słychać, że trzeba je odwieźć albo przywieźć, że zaraz będzie lekcja francuskiego, że trzeba będzie przenieść się na rok do Paryża, żeby dziewczynki w tamtejszej szkole doskonaliły swoją francuszczyznę itd. itp.

To poznańskie, to porządek we wszystkich domach Fibaka, wszystko posprzątane i poustawiane jak należy, żadnych papierosów ani butelek, jak podwieczorek to ciasteczka i kawka, broń Boże bez tego, ale i bez kropli alkoholu. Pracowitość, obowiązkowość, staranność, systematyczność kolejnych pokoleń, która wyraża się również w tych albumach, gromadzonych po obu stronach Atlantyku, która nie pozwala tylko przeczytać i odłożyć, ale każe wyciąć, wkleić, zanieść do oprawy.

Sport w rodzinie Fibaków nie był jednak sprawą błahą. Rodzice wpoili go synowi całkiem świadomie. Ojciec – wspomina Wojciech Fibak – grał w siatkówkę, biegał przez płotki, w swoim czasie był jednym z czołowych płotkarzy w Polsce. Mama też uprawiała sport, grała w ping-ponga. Rodzice poznali się w klubie wioślarskim – sprzyjała więc tradycja sportowa w rodzinie. Ja trafiłem do tenisa przez piłkę nożną. Jak wszyscy chłopcy, grałem dużo w piłkę. Zostawaliśmy po szkole i kopaliśmy na tych naszych boiskach z piachu, żwiru i kałuż – jak większość dzieci. Podobno grałem nieźle, kiwałem, podawałem jako tako z wyczuciem, więc starsi przyjmowali mnie do gry. Były to często łobuziaki, gdyż tacy grają lepiej niż dzieci z dobrych domów. Tu pociągnie z butelki, tam podwędzi rower, ale oni najlepiej grają, nie tylko dlatego, że mają na piłkę więcej czasu. Najlepsi uczniowie, którzy zajmowali się „Małym chemikiem" lub ćwiczyli na pianinie – nie grali w piłkę. Byłem między jednymi i drugimi.

– Ty pochodziłeś z tzw. dobrego domu.

– Nie tylko tak zwanego. Więc spotykałem się np. z kolegą, który nosił okulary, zbierał znaczki i w ogóle nie trafiłby w piłkę. Nawet ręką. Szedłem do niego, oglądaliśmy znaczki z Cejlonu, Kamerunu czy Bóg wie skąd i przez godzinę wpatrywaliśmy się np. w Murzyna, który niesie

JOANNA I JAN FIBAKOWIE, RODZICE WOJTKA Fot. Andrzej Szozda



Jan Fibak:



Jak rozmawiać z młodzieżą?

Tenis jest wspaniałym zajęciem, które każdy chłopiec pokocha, jeśli trochę pogra i zdobędzie umiejętności. Zanim jednak dziecko polubi grę i zanim wciągnie go współzawodnictwo, rodzice powinni zrobić wszystko, aby uczęszczanie na korty było radością dla dziecka. Ważniejsze niż przywożenie samochodem i drogi sprzęt, jest słowo Pochwały. Jak często słychać, jak ojciec dopinguje swojego ukochanego synka tylko negatywnymi określeniami w rodzaju: – Ugnij kolana ty niezdaro, lub Ruszasz się jak stara krowa. Bywają gorsze określenia. W następstwie tego dziecko odbija piłkę nerwowo, a czas spędzony na korcie uważa za najbardziej przykrą chwilę dnia. Wkrótce znajdzie pretekst, aby nie pójść na korty.

Jeśli chcemy wychować tenisistę, trzeba dziecko chwalić niezależnie od okoliczności. Właściwe słowa to: – świetnie, już prawie całkiem dobrze, lub – Dobrze, tak dalej, a już następnym razem piłka przeleci nad siatką. Trzeba sobie zdać sprawę, że ze szkoleniowego punktu widzenia nie ma właściwie znaczenia, co powiemy. Słowami dotyczo rzucanymi w trakcie gry nie poprawimy umiejętności. Natomiast słowa nie są zwykle ważne w wytwarzaniu atmosfery. Także po powrocie do domu, dobrze jest w obecności dziecka powiedzieć domownikom, jak dzielnie Krzyś spisywał się dzisiaj. Po takich rozmowach mamy zapewnione pilne uczęszczanie dziecka na treningi.

Oczywiście trzeba zachować umiar. Znałem dziewczynę, dobrą tenisistkę, której ojciec wykrzykiwał głośno słowa zachwytu przy prawie każdym odbiciu piłki. Wzbudzało to śmiech w klubie i krępowało dziewczynę, która już była zaawansowaną juniorką i rozumiała sytuację.

Pochwały rodzicielskie są niezbędne przy pierwszych krokach tenisowych. Później pojawiają się inne, może trudniejsze problemy w stosunkach między młodym tenisistą a rodzicami. W pewnym stopniu wynika to z przemian psychiki rosnącego obywatela. Dziecko ceni opinię rodziców jako wielki autorytet, natomiast dorastająca młodzież przeżywa okres

Niektórzy chłopcy i niektóre dziewczęta cieszą się z obecności rodziców przyglądających się grze. Mój syn Wojciech zawsze lubił widzów z rodziny, a nawet miał pretensje, kiedy gdzieś z boku rozmawiałem zamiast obserwować jego grę. Wielu jednak młodych tenisistów, a może większość nie pozwala rodzicom przychodzić na mecze. Wtedy ci rodzice krążą za płotami lub żywopłotami, palą papierosy i wypytują przechodzących jaki jest stan gemów.

Starsza młodzież krytycznie ocenia zachowanie rodziców. Niedopuszczalne są pochwały w obecności innych osób, można to nadrobić w zaciszu domowym. Najgorsze są ingerencje w decyzje sędziowskie lub w postanowienia działaczy i organizatorów turniejów.

Instynkt służący zachowaniu gatunku każe rodzicom bronić potomstwa przed zagrożeniami. Jeśli piłka zagrana przez przeciwnika pada blisko linii, ojciec bardzo chce, żeby to był aut i dlatego widzi ją poza linią. Konieczne jest duże opanowanie, aby nie krzyknąć aut. Wielkim błędem jest jakakolwiek dyskusja z sędzią.

Większość rodziców jest niezadowolona z klubu. Niesprawiedliwy jest podział sprzętu, nieodpowiedni rozdział kortów i godzin treningów. W ogóle dziecko jest niedoceniane i w innych warunkach na pewno zdziałałoby więcej. Pojawia się więc chęć zmiany klubu.

Moja rada – ojcowie, nie zmieniajcie klubu. W nowym klubie będą te same lub inne mankamenty. Nie ma idealnego klubu dla waszego dziecka.

Jeszcze jedna sprawa. Jestem przekonany, że rodzice ponoszą odpowiedzialność za wiele z tego, co nazywamy złym zachowaniem na korcie. Nie można się dziwić, że chłopak i dziewczyna hardo odpowiada trenerowi lub działaczowi klubowemu, jeśli w domu mówi się o nich źle lub obraźliwie. Nie można się dziwić, że junior rzuca rakietą, klnie i nie może pogodzić się z utratą piłki lub przegraniem meczu, jeśli nastawiono go na pogardę i lekceważenie przeciwnika. Młodzież jest bardzo podatna, łatwo jej coś zasugerować, wyczytuje opinie z półsłówek, ge-

POLSKIE AKCENTY



Centralny kort Flushing Meadow jeszcze nie wypełniony po brzegi, ale od półfinałów będzie już komplet widzów. Poniżej Wojciech Fibak i Henri Leconte.

tydzień po mistrzostwach Polski. Przyleciał bez trenera i menadżera. W tej sytuacji raz jeszcze wyciągnął do niego pomocną dłoń – o czym może nie wszyscy w Polsce wiedzą – Wojtek Fibak. Zaprosił go do siebie do domu, zapewnił sparringi na swoim korcie (podobna betonowa nawierzchnia, choć nieco wolniejsza) z takimi partnerami jak Austriak Muster, a później Henri Leconte. Pomoc Fibaka była całkowicie bezinteresowna, ale nawet tych kilka dni ostrych sparringów nie mogło przestawić Kowalskiego na nieznaną mu nawierzchnię. Nie czuł się na niej najlepiej. Widać, to było zarówno w jego przegranym singlu z Aldrichem, jak i podczas debla. Zawiódł serwis, zawodziły returny. Wojtek za bardzo chciał wygrać! Jak twierdzą fachowcy chciał to zrobić zbyt szybko. Aldrich bynajmniej nie był lepszy, grał po prostu sprytniej, chytrzej – jak to określił Fibak.

Czy Kowalski ma szanse zrobienia kariery podobnej do Fibaka? Zdania na ten temat są tutaj podzielone. Sam Fibak na przykład uważa, że jego następca ma w zasadzie w swym repertuarze już wszystkie uderzenia, że ma doskonałe warunki fizyczne, jest szybki, ale brak mu regularności i ogrania. To może przyjść z czasem. Inni, jak na przykład Janusz Dorosiewicz z Kanady uważają, że szybkość, a zwrotność na korcie to dwie całkiem różne sprawy. A tej zwrotności, tego instynktu, pozwalającego na „przykrycie" całego kortu, młody Polak nie ma. Najsłabszą stroną – zdaniem większości oglądających pojedynek Kowalskiego z Aldrichem – był return przy odbiorze serwisu. Wojtek czasami źle się ustawia, źle wybiera uderzenie przy odbiorze serwisu. Ale ta bolączka winna zniknąć po rozgraniu większej liczby spotkań na kortach betonowych.

A co na to wszystko sam Kowalski? Z nowojorskiej lekcji – bo tak określił swój udział w turnieju – jest zadowolony.

– Wiem, że nie był to mój najlepszy występ – powiedział. Zagrałem średnio. Może gdybym w pierwszym secie bardziej przydusił, a było przecież 5–6 i 40–15 przy moim serwisie mógł być tie-break. No, ale trudno, stało się. Zdaję sobie doskonale sprawę z moich błędów. Największą wadą jest brak regularności. Nie potrafię grać na jednakowym, wysokim poziomie. Bardzo chciałbym tu wrócić za rok, na te właśnie korty. Może wtedy będę mógł powiedzieć, że jestem jednym z tych prawdziwych graczy..."

* * *

Od Wojtka do Wojtka, czyli kilka słów o Fibaku. W sierpniu zakończyła się roczna francuska przygoda tego tenisisty. Po rocznym pobycie w Paryżu, Fibak wraz z rodziną powrócił do swego domu w Greenwich pod Nowym Jorkiem.

– Chyba potrzebny był mi ten wyjazd – mówi. Odświeżyłem europejskie znajomości, pomieszkałem w starej Europie, a przy tym dziewczynki nauczyły się doskonale francuskiego.

Co ze zdrowiem Wojtka? Mam w pamięci jeszcze obrazki z Roland Garros, na niektórych Fibak widoczny był z laską. W lutym, podczas gry w piłkę rozbił kolano. Było to zerwanie więzadeł krzyżowych, które sprawia, że minie nieraz kilka miesięcy od operacji, zanim pacjent zacznie normalnie chodzić. Wykonana później operacja łąkotki była jakby dodatkiem. Ale teraz na szczęście wszystko wraca już do normy. Fibak trenuje, sparował z Kowalskim i z Lecontem, czuje się coraz lepiej, choć nie „kryje" jeszcze całego kortu. Bardzo chciałby wrócić do turniejów, choć już tylko do gry podwójnej. W ubiegłym sezonie wygrał przecież jesienią Grand Prix Tuluzy z deblu z Holendrem Schapersem. Ale jeśli chce wrócić do zawodowego tenisa musi to zrobić bardzo szybko, bowiem przez przymusową przerwę, co tydzień spada z rankingu. Na początku roku był czterdziestym deblistą świata, później zajmował miejsca 50, 60, obecnie już 120. W przyszłości chciałby zagrać debla z Kowalskim. Sądzę, że to dobra wiadomość. Ucieszył się z tego i młodszy Wojtek, kiedy mu przekazałem sugestie Fibaka.

– Grałem tylko raz z Wojtkiem debla, podczas Pucharu Davisa przeciwko Grecji – przypomniał. I muszę powiedzieć, że przez tych kilka godzin otrzymałem tak nieprawdopodobną ilość wiadomości, wskazówek, zdobyłem tyle doświadczenia, że na uzyskanie takich efektów czasem trzeba co najmniej kilku miesięcy.

Wojtek Fibak, choć już w US Open nie gra, cieszy się tu nadal dużą popularnością. Uznawany jest zresztą za wybitny autorytet przez najlepszych nawet graczy świata. Francuz Leconte mógłby na ten temat dużo powiedzieć...

Henryka Golimowskiego odnajduję na kortach poznańskiego AZS, tam gdzie wychowywał się Fibak. Obiekt na przeciętnym polskim poziomie, z tym, że stary, przedwojenny. Kilka kortów ziemnych, domek klubowy skromny, raczej smutny, ponieważ bufet został wykończony przez miejscowe władze finansowe. Henryk Golimowski, inżynier, od lat prezes okręgu PZT, kładzie nacisk na tradycje tenisowe Poznania. Tutaj w 1924 roku odbyły się pierwsze mistrzostwa Polski. Wygrał je zawodnik AZS Ferster. Kiedyś Golimowski stał w kolejce na Gubałówkę i słyszał, jak za nim ktoś opowiada po niemiecku jak się wtedy grało, wspomina tamte mistrzostwa, i popełnił jakiś błąd. Więc Golimowski włączył się do rozmowy, poprawił go, a tamten na to – kim pan jest? A pan? – Ja jestem Ferster. – A..., to ja już mogę opowiedzieć dalszy ciąg – pomyślał Golimowski.

Poznań był tradycyjnie silnym ośrodkiem tenisowym. Gdy w 1970 roku Sopocki Klub Tenisowy organizował mistrzostwa Polski juniorów, pamiętne, ponieważ wygrał Fibak, poznaniacy zdobyli prawie wszystkie tytuły – mieszane (Rozala i Fibak), debel dziewcząt (Rozala i Mogielnicka), a tylko grę podwójną chłopców wygrali Ślązacy, pokonując w finale Fibaka i Palmowskiego z AZS Poznań. Sopocki Klub Tenisowy, tradycyjna wylęgarnia talentów pod okiem braci Korneluków, obchodził wówczas swoje 25-lecie i poznaniacy zepsuli im jubileusz wygrywając prawie wszystko.

Golimowski, a później Fibak, byli już od kilku lat związani z AZS. Golimowski był przedtem zawodnikiem („nigdy się czołówki nie łapałem, raczej w dwudziestce"), obowiązki zawodowe i rodzinne kazały mu rozejrzeć się za stabilizacją i po wojsku na początku lat sześćdziesiątych trafił do AZS jako trener do pracy z młodzieżą. Dwa-trzy lata później (1963/64) Jan Fibak przyprowadził do niego syna, Wojtka. Golimowski znał tę rodzinę, ponieważ pani Joanna grała tutaj, w tym domku, jako zawodniczka w tenisa stołowego.

– Grałem akurat na czwartym korcie, jak Fibak przyprowadził tego chłopca. Mizerota, żadnych warunków fizycznych, ale ojciec bogacz, kolega klubowy, matka też gra, chcą chłopca zostawić, cóż robić, proszę bardzo. Kazałem mu grać o ścianę, aż skończę zajęcia. Potem pokazałem mu jak trzymać rakietę i powiedziałem: Jak wytrwasz pod tym murem dwa miesiące (to już chyba był sierpień), to będzie z ciebie tenisista, a jak nie – to nie myśl o tenisie. Codziennie masz tu grać o ścianę, ja będę na ciebie patrzył, będę ci pomagał, ale musisz grać.

Ta ściana, to nie jest byle jaka ściana, to jest ściana historyczna. Tutaj w latach 1932–1934 zawziął się i ćwiczył Ignacy Tłoczyński, słynny mistrz Polski. Miał on kiepski forehand, kiedy zaczął mu zagrażać Hebda, Witman, a grali dobrze jeszcze również bracia Stolarowie, i Tłoczyński doszedł do wniosku, że nie odzyska mistrzostwa Polski, jeśli nie zmieni forehandu. Dwa lata walił tu o ścianę i ponownie zdobył tytuł. Trzydzieści lat później o ten sam mur rąbał mały Fibak.

– Trzeba powiedzieć, że miał zacięcie i to mnie do niego przekonało – wspomina inż. Golimowski. Jak taki jest wytrwały i uparty, to może z tego coś być. Chłopiec miał dziesięć lat, może trochę więcej, był maleńki, zimę spędzaliśmy w sali, na ogólnorodzajówce. W następnym roku zaczął już trochę odbijać i braliśmy go czasami na zawody, raczej w charakterze maskotki niż zawodnika, na przykład do NRD. Był najmniejszy, szukaliśmy mu w Cottbus przeciwnika, znalazł się jakiś mały Niemiec i to był chyba jego pierwszy sukces międzynarodowy. Wtedy, w I połowie lat sześćdziesiątych wyjazd za granicę, do Cottbus, to było coś. Nie było mowy o hotelach. Kiedy przyjeżdżali do nas, układaliśmy im tutaj prowizoryczne posłania. Ale robiliśmy postępy. W 1966 roku Wojtek był już piątym młodzikiem w Polsce i w latach 1967–1968 byliśmy już czołową drużyną w kraju. W czasie uprawiania sportu i dorastania, warunki fizyczne Fibaka poprawiały się, przestały być problemem. Problemem było natomiast początkowo zdobycie dla niego odpowiedniej rakiety, grał rakietą dla dorosłych, adaptowaną, za ciężką, nie podnosił jej do samej góry, na wyprostowanej ręce, początkowo serwował ręką ugiętą w łokciu, być może to powodowało, że przez pewien czas miał słaby serwis. Kiedy dorósł, zdał sobie z tego błędu sprawę i wyeliminował go. Trener Bełdowski, bardzo wrażliwy na styl, miał o to do nas pretensje. A Golimowski mówił mu: – słuchaj, „Kuluś", popatrz na Czechów, grają brzydko, a leją nas jak chcą. Jak już ktoś tak gra, to zostawmy to, ważne żeby był skuteczny. Ale Bełdowski uważał, że trzeba grać poprawnie, klasycznie. Fibaka wziął do kadry, kadra to byli wówczas głównie warszawiacy i nie było łatwo przebić się z Poznania, a z tym wiązały się apanaże – sprzęt, naciągi, wyjazdy, większe możliwości.

– Te trudności – mówi Golimowski – miały i swoją dobrą stronę. Trzeba było walczyć, przebijać się, nie załamywać się, to jest w tenisie bardzo ważne. Poznałem się na Wojtku bardzo wcześnie. Pamiętam jak w 1966 roku spotkaliśmy się w finale mistrzostw klubu. To była doroczna impreza klubowa na zakończenie sezonu i ja w nim wygrałem. On miał chyba piętnaście lat i bardzo się dziwił, że jeszcze ze mną przegrał, a ja miałem puchar na własność, bo to było moje trzecie kolejne zwycięstwo.

Po tym szoku Wojtek bardzo solidnie przepracował zi
której miał wstęp dzięki ojcu, bo z tej sali korzystali pracov
Nie była to żadna sala tenisowa tylko prowizorka. Czasam
chłopców, np. Plewińskich, ale jak nie miał z kim, to
o ścianę. Rąbał twardo, przez całą zimę nie wychodził z ude
do tego zaaplikowałem jazdę na łyżwach, która rozwija mię
niej części goleni, potrzebne przy cofaniu się, bieganiu do t
(smeczu) i lobu – co w tenisie jest bardzo ważne. Myś
dziedzinie pionierami i potem wielu zawodników uznało h
sport uzupełniający, później Wojtek chętnie też grywał w
Mówił w domu, że idzie na trening, a szedł kopać piłkę. P
zadzwoniłem do profesora i mówię: „Słuchaj Janek, co jest z Wojtkiem, dlaczego nie przychodzi na treningi? – Jak to nie przychodzi, przecież codziennie wychodzi..." Uważam koszykówkę i piłkę nożną w sali (graną piłką tenisową, żeby było trudniej trafić) za dobre sporty uzupełniające. Pewien trener w Paryżu powiedział mi, że celność uderzenia rozwija się w głowie, a nie w nodze ani w ręce.

Po tej zimie, którą solidnie przepracował, Wojtek ciągle palał żądzą zemsty, bo nie mógł pogodzić się z tym, że jesienią ze mną przegrał. Jak tylko na wiosnę zrobiliśmy korty, wyszliśmy zagrać pierwszą partię i Wojtek mnie zlał 6:0. Wtedy zobaczyłem jak duże uczynił postępy, pracując samemu, bo klub nie miał wtedy nawet hali i prowadziliśmy tylko ogólnorozwojówkę. Wówczas wiązaliśmy z nim nadzieje, zaczął wygrywać i kroczyć od sukcesu do sukcesu. Na turniej o Puchar Targów zjeżdżała do nas zagranica – Czesi, NRD-owcy, Rosjanie, Bułgarzy, Rumuni – Pala, Nastase, Metrewelli. Wojtek ich oglądał, ale później oni zaczęli już jeździć dalej w świat i ten turniej podupadł. Wojtek jako junior odniósł ogromny sukces, bo ograł Rybarczyka, tutaj w finale w pięciu setach i powtórzył ten sukces w hali w Rembertowie, w finale mistrzostw Polski. Wtedy zaczęliśmy zastanawiać się, co zrobić z tym Wojtkiem.

Z OJCEM 1963 ROKU W USTCE Archiwum





Z PIERWSZYM TRENEREM HENRYKIEM GOLIMOWSKIM W AZS POZNAŃ
Repr. Andrzej Szozda

Fibak znosił źle, nie miał tego automatyzmu, nie grał równo, był bardziej artystą niż maszyną do gry.

Ta osobowość zyskiwała mu jednak ludzi i pomagała w życiu. Czy Wojtek był koleżeński? – zwracam się ponownie do trenera Golimowskiego. – Niewątpliwie, tak – odpowiada. Musieliśmy nawet przyjąć do sekcji jego kolegów szkolnych, których przyprowadził, mimo że byli niezdolni. W klubie był lubiany. Oczywiście, toczyła się tu walka o pierwszeństwo w klubie, był tu jego rywal Adam Plewiński (10 na liście gdy Wojtek był pierwszy), walczono o prymat, bo z tym wiązały się zaszczyty i korzyści, ale to normalne. Mówi się, że Wojtek jest interesowny. To prawda, ale cóż w tym złego? Sądzi pan, że Skonecki i inni, to były aniołki prowadzone za rączkę? Kiedyś przyjechał tu na turniej przygotowawczy przed Pucharem Davisa, towarzyszył mu kapitan PZT Challier, który miał go pilnować. Kazano nam załatwić Skoneckiemu pokój przy rodzinie, żeby mieć go na oku, bo był nieobliczalny. Potrafił w nocy wyskoczyć przed finałem i się zabawić. Ulokowaliśmy go u kolegi w willi, ale i stamtąd wymknął się, zjeżdżając po rynnie. A Gąsiorek, a Tłoczyński, który wychował się tu obok, za mostem, to były zadziorne chłopaki, które nie popuszczały. Wojtek był dość zdyscyplinowany, nie było z nim większych zatargów. Ale pamiętam, jechałem kiedyś samochodem i widzę Wojtka na ulicy, jak pali papierosy. On mnie też widocznie zauważył, bo ledwo wszedłem do domu, już dzwonił telefon – Panie trenerze, ja naprawdę nie palę, raz tylko spróbowałem... Co natomiast Wojtek ma, to smykałkę do interesów, umiejętność organizowania wokół siebie dóbr materialnych. Piątek, który jeździł z nim jako kapitan sportowy, wspomina, że Wojtek doskonale orientował się za granicą gdzie, co i za ile kupić, przywieźć, może sprzedać. Wszyscy handlowali, zresztą w kraju nie było sprzętu i była presja na wyjeżdżających – kup, przywieź, ja od ciebie odkupię. Pomagała mu w tym wszystkim znajomość języków, bez niej byłoby mu dużo trudniej. Trochę po włosku, trochę po niemiecku, nieźle po angielsku i po francusku. Nie mogąc rozmawiać z przeciwnikami, nie rozumiejąc co mówią, nie można rozgryźć ich psychiki, a bez tego trudno wygrać, trudno dogadać się z partnerem, z organizatorami.

Pamiętam w 1976 roku byłem służbowo w Lagos – wspomina Golimowski. Bo ja nigdy nie rzuciłem pracy zawodowej dla tenisa, jestem inżynierem, pracuję w Państwowej Agencji Reklamowej jako wicedyrektor do spraw technicznych. Toczył się tam akurat turniej z udziałem Fibaka, Ashe'a, Lawera, Nastasego, Smitha, Okkera i innych. Wojtek z kolei nie wiedział, że ja przyjeżdżam do Nigerii. Idę na turniej, a tu wojskowy zamach stanu. Mimo stanu wyjątkowego organizatorzy chcieli dokończyć turniej i akurat grał czarny Ashe z białym Amerykaninem Jeffem Borowiakiem, aż tu wpada patrol i pod karabinami zdejmują chłopców z kortów. Wydostanie się wówczas z Lagos było dużym problemem i Wojtkowi bardzo pomogła znajomość angielskiego. – Schroniliśmy się w rezydencji ambasadora amerykańskiego i stamtąd usiłowali dodzwonić do prezydenta Geralda Forda – wspomina Fibak.

Co zaś do psychiki, to wymieniłbym dwie cechy – wytrwałość i zaciętość. Wytrwałość w treningu i zaciętość w meczu. Bo można nauczyć wiele osób grać w tenisa, ale trudno jest nauczyć wygrywać, jeżeli ktoś nie jest zacięty, albo łamie się po ważnej przegranej piłce. W tenisie są takie piłki, po których zmienia się przebieg całego meczu, tak jak pojedynczy cios w boksie decyduje o walce. Zmienia się, ponieważ jeden zawodnik traci wolę, nie jest dość wytrwały i zacięty. Jeden z twórców czeskiego tenisa, Bolat, który obecnie odgrywa ważną rolę w tworzeniu tenisa w Meksyku, pisze w swojej książce m. in. o znaczeniu psychiki. Powiada on, że czechosłowacki tenis opiera się na szerokiej bazie młodzieży, od której do 15–16 roku życia nie wymaga się zwycięstw. Natomiast jeśli ktoś ma lat szesnaście i nawet dobrze gra, ale nie umie wygrywać, to z takiego młodego człowieka rezygnują. Jeżeli do tego wieku nie wyzwoliła się agresja, wytrwałość i zaciętość, to nie będzie sukcesów.

Inna sprawa to skromność i stosunek do ludzi. Kiedy Wojtek zaczął wygrywać, to hołubiły go nawet władze polityczne Poznania. Wojtek jest „Przodownikiem pracy socjalistycznej", jego portret zawisł w Muzeum Narodowym w Al. Marcinkowskiego w galerii przodowników. Wojtek ciągle chciał coś robić dla Poznania. Chciał zorganizować gry pokazowe w sali Areny. Władze miejscowe proponowały 150 tysięcy złotych dla zawodników światowej czołówki. Takie sumy Fibaka nie interesowały i dogadał się ze Ślązakami, tam sprowadził znanych tenisistów, ale dostali chyba milion. Później zorganizował jednak imprezę w Poznaniu.

Co do mnie, to Wojtek nigdy nie sprawił mi zawodu, nigdy nie spowodował zdrażnień. Prowadziłem go najlepiej jak umiałem. Nie żądałem za wiele. W tym samym czasie, kiedy Wojtek był mistrzem Polski juniorów, mistrzynią była Rozala, moim zdaniem ogromny talent. Ale w pewnej chwili stanęła w miejscu, ponieważ była przeciążona, nie zadbano o jej rozwój fizyczny, nie wyleczono jej w porę kontuzji nogi. Mam satysfakcję, że u Wojtka nie prowadzono tego błędu. Trzeba było uważać, bo nie był zbyt silny, zanim nie wyrósł na silnego chłopa, który potrafi zjeść dwa obiady. Z tym, że mojego wpływu nie należy przeceniać. Ja byłem jego trenerem do 1970 roku, gdy został mistrzem Polski juniorów. Potem był już Bełdowski.

– A czy później, kiedy był już sławny, zaprosił Pana na jakiś wielki turniej? – pytam pierwszego trenera Fibaka.

– Nie, tak się jakoś złożyło, że byłem z nim tylko w Cottbus i w Rydze. To były nasze jedyne wyjazdy zagraniczne. Wiem, że zaprosił dwa razy do Wimbledonu redaktora Garczarczyka, ale ja nie miałem tej przyjemności. Ale Wojtek nie zapomina o AZS. Kiedy przyjeżdża, spotyka się z dziećmi, rozdaje sprzęt, urządza wspólne treningi, wspiera swój macierzysty klub.

Na tym kończy się rozmowa z Henrykiem Golimowskim – pierwszym trenerem Fibaka, spokojnym, życzliwym, obiektywnym, jednym z tych, na których opierał się poznański tenis. Formalnie Golimowski był tylko zawodnik, jak wielu innych, o których piszemy tu per „trener", nie ukończony kurs instruktorski, ale w tenisie mówi się o instruktorze per trener, tak jak podpułkownika nazywa się pułkownikiem, a nauczyciela liceum – profesorem. Wyższe studia, niezależna pozycja zawodowa, nawyk i umiejętność czytania, pozwalają takim ludziom jak inżynier Golimowski rozwijać siebie i swoich wychowanków. ■

CDN

DANIEL PASSENT

„KOWAL" SZUKA SZCZĘŚCIA W RFN

Pod koniec [illegible] pisaliśmy o niezwykle interesujących planach byłego [illegible] dziś czołowego trenera RFN Macieja Gumowskiego. Przy współpracy Jacka Durskiego zamierza on w kwietniu zorganizować w Poznaniu ogólnopolski kurs instruktorów i trenerów tenisowych, w którym wykładowcami będą eksperci z RFN.

Tutaj istotna dygresja. Kto dziś pamięta, że zaledwie przed 11 laty, ściśle w kwietniu roku 1977, w meczu o Puchar Davisa Polska pokonała RFN 3:2? Przypomnę wyniki: Fibak — Meiler 6:1, 6:0, 8:1; Niedźwiecki — Pinner 9:7, 3:6, 1:8; Fibak — Pinner 10:8, 6:3, 6:4 i debel Fibak, Niedźwiecki — Fassbender, Meiler 6:4, 8:10, 6:3, 6:4, 6:3. Przypominam te fakty nie bez kozery. Dziś polski tenis należy do najsłabszych w Europie, natomiast drużyna RFN bez trudu rozgromiła faworyzowaną Szwecję, zdobywając po raz pierwszy w historii „srebrną salaterkę".

Wnioski nasuwają się same. My nadal uprawiamy chałupnictwo, gdy inni czynią ogromne postępy. Należy się więc uczyć i brać przykład z najlepszych! Do takiego wniosku doszedł widać również nasz najlepszy obecnie zawodnik Wojciech Kowalski. Właśnie od trenera M. Gumowskiego dowiedzieliśmy się dalszych szczegółów.

— Kowalski grał przed rokiem bardzo nierówno. Potrafił np. wygrać z Woodfordem, który był wówczas notowany na 50 miejscu listy ATP, ale bardzo słabo wypadł w US Open i Igrzyskach Olimpijskich przegrywając już w pierwszych rundach. Z tego zapewne względu podjął moim zdaniem bardzo właściwą decyzję, przeniesienia się do czołowej drużyny RFN Blauweiss — Neuss. Jestem jednym z trenerów tej drużyny. Zdobywała już 6-krotnie mistrzostwo RFN. Partnerami w rozgrywkach ligowych będą dla Kowalskiego gracze tej klasy co: Saeccatu, Riglewski, Jelen czy Maurer. Oprócz mnie w rejonie prowadzi zajęcia 30-krotna mistrzyni Polski w tenisie (liczę razem single, debel i miksty) Danka Wieczorek-Szwaj. Kowalski nie będzie więc osamotniony, co na pewno, podczas pobytu na obczyźnie, dodaje wiary we własne siły. Jak się orientuję „Kowal" podpisał kontrakt na cały rok 1988. Będzie mógł trenować nie tylko w samym Neuss, ale również w innych klubach ligi na terenie RFN. Oczywiście kontrakt pozwala na udział w meczach w reprezentacji Polski i mistrzostwach naszego kraju. Podróże umożliwi mu otrzymany do dyspozycji samochód BMW.

Z dalszej informacji wynika, że Kowalski zgłosił się do cyklu trzech turniejów rozgrywanych na terenie Włoch. Jego największym marzeniem jest osiągnięcie dobrego wyniku w którymś z największych turniejów z cyklu „Wielkiego Szlema" i przebić się do pierwszej setki w klasyfikacji ATP.

Wszystkie środki są dobre jeśli tylko przynoszą zaplanowane osiągnięcia. Z uwagą śledzić będziemy nadal wszystkie zmudne próby odbicia się od dna.

St. GARCZARCZYK

DANIEL PASSENT (7)



DIAMENT NIEOSZLIFOWANY

Drugim, obok trenera Golimowskiego, człowiekiem, którego wspominał Fibak ze swej młodości tenisowej, był Walery Grządzielski – członek AZS od ponad czterdziestu lat, ówczesny prezes sekcji tenisowej AZS w Poznaniu. Docieramy do niego bez trudu. Dziś już starszy pan, grywał w tenisa jeszcze przed wojną. Uczęszczał do gimnazjum w Poznaniu m. in. z „Kulusiem" Bełdowskim, który mówił, że jest bardzo związany ze szkołą, ponieważ trzykrotnie zdawał maturę.

Zbigniew „Kuluś" Bełdowski, m. in. były mistrz Polski w grze podwójnej, jest jedną z najładniejszych postaci w powojennym tenisie polskim. Poznałem go, kiedy miał już karierę zawodniczą za sobą i pracował jako trener, najpierw w Polsce, gdzie przez pewien czas prowadził kadrę narodową, m. in. z Fibakiem, a później w Hamburgu. Kiedy spotkaliśmy się w RFN, zagraliśmy nawet partyjkę tenisa, a następnie „Kuluś" zabrał mnie na obiad do swojej ulubionej restauracji chińskiej. Przebywał już w Hamburgu kilka lat jako prywatny nauczyciel tenisa i choć powodziło mu się dobrze – było w tym coś smutnego, że były trener polskiej kadry narodowej, ceniony w kraju jeden z najlepszych specjalistów w tenisie, udziela lekcji za marki niemieckie, będąc jeszcze w pełni sił. Nie potrafimy Bełdowskiemu i innym stworzyć warunków w Polsce, nie dziwmy się, że polski sport upada.

W Hamburgu Zbigniew Bełdowski zachorował, przebywał długo w szpitalu z powodu wylewu, później znów próbował wrócić do pracy, na kort, aż wreszcie jako inwalida powrócił do kraju i znów pokazał się na naszych kortach, na „Legii" w Warszawie. Najpierw o kulach, potem o lasce. Wiosną 1988 roku, „Kuluś" kolejny raz w życiu nie poddał się i wszedł na kort. Daleko od widzów, pod ścianą, na korcie numer osiem, stanęli naprzeciwko siebie Zbigniew Bełdowski i trener „Legii" Adam Mincberg z koszem piłek. Adam nagrywał „Kulusiowi" piłki, najpierw na woleja, później „Kuluś" odbijał z głębi kortu. Kaleka, inwalida, nadal trzymał rakietę i odbijał. Widok Mincberga, jak pomaga „Kulusiowi" kolejny raz stanąć na korcie, wywarł na mnie głębokie wrażenie, było w tym coś wzruszającego.

Ale wróćmy do Walerego Grządzielskiego. Wiosną 1940 roku, po wysiedleniu z Poznania, rodzina Grządzielskich znalazła się w Warszawie. 16-letni Walery zaczął tam chodzić na tzw. korty Korneluków, na tyłach YMCA oraz Instytutu Głuchoniemych, obok willi prof. Pniewskiego. Spotkał tam znajomych sprzed wojny – Władysława Krzaczyńskiego, Jerzego Bednarczyka, Jerzego Olszowskiego, a także braci Tłoczyńskich, Skoneckiego, Spychałę, motocyklistę i tenisistę Mielocha, Ottona Challier, Gotschalka, Książopolskiego, siostry Jadwigę i Zofię Jędrzejowskie, Rudowską. Proszę popatrzeć na te zdjęcia – mówi: Kozłowski, Skonecki, to jestem ja – chociaż trudno uwierzyć – Jeżowski, były prokurator miasta Warszawy, Jędrzejowska, mój przyjaciel Krzaczyński (zginął), Winnicki – chyba do dziś gra na Legii, Stefan i Janek Kornelukowie i Władek Skonecki. Grało się sprzętem przedwojennym, ramy „kt", „it", „jj", naciągi sztuczne i jedwabne. Pojawiło się kilka egzemplarzy polskiej rakiety „Demon", którą wypróbowywał na ogół Ignacy Tłoczyński. Piłki regenerowane w firmie Grabowski na ul. Szpitalnej (przebijano dziurę i wtłaczano powietrze pod ciśnieniem). Zwłaszcza brakowało piłek i tenisówek (wówczas na spodzie z plecionego sznurka). W tenisa grywano wówczas m. in. także u państwa Jasińskich na Nowym Świecie, na Odyńca, na Jakubowskiej (Saska Kępa). Młodzież rozgrywała turnieje, m. in. konspiracyjne mistrzostwa Warszawy juniorów, w których pan Walery doszedł do finału i jak wspomina – przyszło do tysiąca widzów.

Można by o tym napisać scenariusz, tu tenis – obok terror, ale tak było. W Poznaniu Niemcy zabierali do obozu w Żabikowie, w Warszawie – na Szucha. Pewnego dnia na kortach pojawił się Szwed Norman, miał nawet prawdziwe piłki tretorny, grywał z Grządzielskim, ale nagle zniknął, potem przyszli Niemcy sprawdzić jego szafkę w szatni. Przeraziło to pozostałych, ponieważ niektórzy trzymali w szafkach PDP (podręcznik dowódcy plutonu), a sceneria sportowa sprzyjała konspiracji. Siatkarze trenowali na Grochowie, Lokajski rzucał oszczepem na rozbitej przystani pocztowców, Kolczyński boksował na prowizorycznym ringu nad Wisłą, między mostami.

Tenis – wspomina Grządzielski – stwarzał ulgę, pozwalał być w polskim środowisku, pielęgnować dawne wartości pod bokiem hitlerowców. Na kortach czuliśmy się bezpieczniej aniżeli w domu, kto się tu znalazł – był swój. Niektórzy z czołowych zawodników otoczeni byli szczególną opieką starszych, w czym wyróżniał się Kordian Tarasiewicz z firmy Pluton i p. Weynerowski. Z inicjatywy p. Tarasiewicza Walery Grządzielski spisał swoje wspomnienia okupacyjne na pięćdziesięciolecie PZT. Jedno zdanie wykreśliła mi cenzura (w 1971 roku), ale chyba redakcyjna – mówi. Że za okupacji poziom debla był lepszy niż jeszcze kilka lat po wyzwoleniu. Kiedy wybuchło Powstanie, bracia Tłoczyńscy ruszyli do swojego oddziału, podobnie jak Czesław Spychała, zginęli m. in. tenisiści Gotschalk i Władysław Krzaczyński z pułku „Baszta", ranny został Czesław Grządzielski (brat), stanęli do walki Jeżowski, Radwański, pan Walery.

Kiedy czytam te wspomnienia i rozmawiam z Walerym Grządzielskim, bardziej zrozumiałe stają się wysokie wymagania stawiane przez część środowiska Fibakowi. Czasy są inne, demoralizacja większa, ale pozostały wartości przekazywane z pokolenia na pokolenie. Przed Walerym Grządzielskim – kierownikiem sekcji tenisowej AZS Poznań był profesor Jan Fibak. Kiedy Wojtek kiełkował, na czele sekcji stał już Grządzielski. Przejął więc sekcję i małego Fibaka, o którym do dziś mówi z wielką sympatią. A w swoim archiwum przechowuje wycinek z tytułem *Gąsiorek uległ rutynowanemu Grządzielskiemu.*

Po wojnie Czesław Spychała znalazł się na Zachodzie, zmienił nazwisko na Spike i pracował w Wimbledonie, jako dysponent kortów. Kiedy Fibak wybierał się tam grać, poznańscy działacze postanowili wykorzystać starą przyjaźń. Pan Walery napisał do Spychały-Spike'a serdeczny list, że wykluł się w Poznaniu autentyczny talent, „brylant nieoszlifowany" i on zaklina pana Czesława na przedwojenną i okupacyjną przyjaźń, żeby chłopcu pomógł, a w zamian, kiedy Spychała przyjedzie do Polski, to on Grządzielski, pomoże mu we wszystkim. Ażeby Spike skojarzył autora listu, pan Walery załączył swoją fotografię i Skoneckiego, Jędrzejowskiej itp. W Wimbledonie Czesław Spychała stanął na wysokości zadania. – Gdzie chcesz trenować? – zapytał Fibaka, a później tak urządził, że Fibak grał na tym samym korcie, był więc oswojony i ograł najlepszego juniora radzieckiego Rudija 6:4, 6:4.

W tenisie takie małe przysługi są bardzo ważne. Na którym gra się korcie, o której godzinie, jakimi piłkami – to wszystko ma znaczenie. Czy każe się komuś grać drugi, a nawet trzeci mecz jednego dnia, czy pójdzie się na rękę przeziębionemu, czy też wyśle się go w samo południe na słońce, czy (na mniejszym krajowym turnieju) dobierze się miękkie lub twarde piłki, zależnie od tego, kto serwuje silnie, a kto ma słabszy return, liczne są sekrety i sztuczki w świecie tenisa.

Wracając do Fibaka, to Grządzielski – który zna tę rodzinę od kilkudziesięciu lat – mówi: Pan sobie nie zdaje sprawy, jacy Fibakowie są twardzi, jacy są konsekwentni, gdy do czegoś dążą. Przecież Janek ma od czasu nieszczęśliwego udaru częściowy niedowład lewej strony, pociąga nogą, ma niesprawną lewą dłoń, a nadal operuje, jest ordynatorem, prowadzi samochód, ja sobie nie wyobrażam, żeby ktoś inny tak się oparł losowi. A przy tym jaki jest uczynny, jaki dobry kolega, gdyby się dowiedział, że mnie głowa boli i nie zadzwoniłem do niego, jako do lekarza, to by miał to za złe. Ta twardość, ten charakter to jest ich siła. Teraz przede wszystkim Wojtka. Bo tenis to jest przede wszystkim charakter. Wojtek mógł prowadzić wysoko, ale jeśli go sędzia skrzywdził, to chociaż przeciwnik nie mógł się już wymknąć, on mimo to spierał się o piłkę. Wiele meczy wygrał z beznadziejnej sytuacji. Czasami trener podpowiada „podaj mu miękko po linii", albo „trzymaj go daleko od siatki", ale to wszystko są porady na nic. Jedna jest tylko zasada – trzeba walczyć do końca, grać twardo i nieustępliwie, cały czas, konsekwentnie, do upadłego, to trzeba wpajać i to Fibak miał, gdy przegrywał, a nie miał gdy wygrał. Hebda jak grał z Tłoczyńskim i przechodzili obok siatki, przy zmianie stron, to mu mówił „Ignac, ale ty pięknie dzisiaj grasz...". Chwalili się wzajemnie i jeden drugiego głaskał, aż go zagłaskał i wygrał. (Komentarz Fibaka do tej wypowiedzi: – Byłem twardy i nieustępliwy gdy przegrywałem, ale kiedy prowadziłem – nie umiałem wygrać wysoko, „dobić meczu" i rzadko odnosiłem miażdżące zwycięstwa. Co innego być twardym gdy się przegrywa, a co innego gdy odnosi się wrażenie, że ma się zwycięstwo w kieszeni.)

Ja Wojtka odziedziczyłem po ojcu, wkrótce, np. w 1967 roku był ósmym juniorem w Poznaniu, przyzna pan, że to była pozycja niewysoka, moja córka była dziesiąta, a dziś Fibak jak wysoko zaszedł? Kiedy Janek go przyprowadził, to było dziecko filigranowe, kiedy miał dwanaście lat i grał z naszymi drągalami, to wyglądało niepoważnie, ale po tym jak brał piłkę, jak trzymał rakietę, jak się ruszał, widać było, że ten chłopiec ma dryg. Kiedyś, w mistrzostwach Polski juniorów, gdy Wojtek był w beznadziejnej sytuacji i kwalifikował się do turnieju pocieszenia, podszedłem do Bełdowskiego i mówię: – Zbyszek, zwróć uwagę, na tego chłopca, bo on kiedyś wszystkich wykosi. I Zbyszek zwrócił uwagę, pomógł później Wojtkowi, powołał do kadry. A wtedy trzeba było się znaleźć w polu widzenia Bełdowskiego, bo on miał decydujące słowo, a był to mój kolega szkolny. Zresztą Wojtek sam zwrócił na siebie uwagę swoją grą, swoją przedsiębiorczością, może nawet jest w tym pewna chytrość, ale dobra, oparta o poczucie własnej wartości, którą on miał.

Dla mnie mieć gwiazdę w klubie, to nie jest łatwe. Każdy kierownik sekcji panu powie, że lepiej mieć szarą masę, dla której pan jest autorytetem, więcej wie, więcej widział, a gwiazda więcej od pana widziała, lepiej gra, trudno takim kierować. To nie jest łatwy element. Mówi się „biały sport", a niech pan patrzy jak się ten sport zeszmacił...

Mało teraz do tenisa idzie inteligentów, gdzie kto dawniej widział żeby rakietą rzucić, piłką strzelić w trybuny, kłócić się z sędzią, spluwać na korcie, wypiąć tyłek na publiczność. Kiedy moja matka grała, mam taką fotografię, to jak ktoś zagrał skrót, dropshot, to było nie fair i mówił „pardon", a każdy swój serwis zapowiadał, żeby partnera nie zaskoczyć. Jest tu taki matuzalem Pantofliński, ma lat ponad osiemdziesiąt, spotykamy się zazwyczaj na pogrzebach, to on grywał w tamtych czasach, wtedy trzeba mu było grać ładną, długą piłką, a gdy nawet niechcący wyszedł panu skrót, to on się oburzał: – Jeszcze raz pan tak zagra, to ja rzucam grę. To był biały sport, a ta biel powoli znika, jak na

FIBAK U PROGU WIELKIEJ KARIERY „CZTERECH MUSZKIETERÓW" DLA ZAWODNIKA CZYNIĄCEGO NAJWIĘKSZE POSTĘPY (1971)

Fot. Tadeusz Kowalski





Fot. Andrzej Szozda

WALERY GRZĄDZIELSKI

żaglach. Takim tenisistą był Zbyszek Bełdowski i on najwięcej pomógł Wojtkowi, to był przedwojenny gracz Daviscupowy, doświadczony i do tego stylista.

U nas w klubie szkolenie było, owszem, ale nie takie jak dziś. Wtedy mieliśmy na cały rok 17 tysięcy złotych, to były grosze. Szkolenie miało charakter społeczny. Dziś każdy pyta o pieniądze. Mam fotografie, przyjmowało się setkę dzieci i żadne z nich nie gra dziś w tenisa. Zniechęcały się. A teraz rodzice pchają, bo każdy chce mieć groszoroba, żeby jak Fibak przynosił pieniądze. Jak kogoś trzeba zaganiać do tenisa, to już z niego nic nie będzie. Musi ćwiczyć godzinami, jak pianista. To się dzisiaj w głowie nie mieści, jak wówczas wyglądał trening Wojtka. Ja brałem biurowy kosz na śmieci, taki wiklinowy, wieszałem go sobie sznurkiem na szyi i rzucałem tymi piłkami, a dwóch chłopców zbierało mi piłki i donosiło do kosza. A Ewa, śliczna dziewczyna, przychodziła i patrzyła.

Fibak dostarczył mi wiele satysfakcji. Pamiętam turniej z okazji 50-lecia PZT w Katowicach. Przeciwko radzieckiej parze Kakulia-Metreweli ktoś postawił wyłską parę Nowicki – Gąsiorek, raczej bez sensu. Gąsiorek to był singlista, deska do odbijania, bez polotu, żelazna kondycja, ale cierpiętnik, męczennik tenisa, nic artyzmu. Wojtek mówi: – Niech pan popatrzy na tego Metrewelego, przecież on cały czas stoi w niewłaściwym miejscu i nikt na niego nie zagra kończącej piłki, żeby to wykorzystać. – A ty co robisz? – pytam Wojtka. Ja tak już godzinę siedzę i dziwię się – odpowiedział. On umiał patrzeć i uczyć się, nie tylko kręcić się bezmyślnie po kortach, kiedy inni grają. Umiał także oceniać własną grę. Kiedy inny schodzi z kortu i więcej nie wraca myślą do gry – Fibak coś notował, wyciągał jakieś wnioski – słuszne, niesłuszne, ale myślał. Kiedy był dwudziesty siódmy w Polsce, wygrał w Hali Gwardii z Czechosłowakiem Tajchnerem, który był u nich w pierwszej piątce. – Jak wasz dwudziesty siódmy wygrywa z Tajchnerem, to wy musicie być nie lada potęgą – żartowali Czesi, bo takich jak Tajchner to oni mają dziesięciu, a my jednego Fibaka. To tak, jak Piechniczek nie zabrał do Meksyku Okońskiego, którego kupił HSV z Hamburga, gdzie stał się gwiazdą ligi. Właściciel HSV zapytany kto zdobędzie mistrzostwo w Meksyku, odpowiedział: – Polska, bo jeśli taki zawodnik jak Okoński nie mieści się u nich w kadrze, a ja daję za niego setki tysięcy marek, to muszą wygrać. Inna sprawa, że za dolary lepiej się gra, nikt go tam z knajpy nie potrzebuje wyciągać – sam się pilnuje. Ja jeszcze nie widziałem, żeby zawodnik był chory, kiedy miał grać za dolary.

Ilu młodych tenisistów AZS służy dziś jako sparingpartnerzy na Zachodzie – Palmowski, Gumowski, Brenczewski, Plewiński, Ogarzyński, Koprasówna, Mielcarek – za 20–30 marek godzina, bogaty facet chce sobie zagrać, to Polak zawsze poodbija. A Fibak się wybił, ale jak on grał! To była przyjemność patrzeć, jak on Gąsiorka w pierwszym secie ograł 6:0. Wydawało się, że mistrz Polski nie umie grać, a Wojtek go tylko w lewo, w prawo, dropszot, ścięcie, pach-pach i po wszystkim. To był dobry gracz, przy siatce, umiał kończyć, a tamci co grali z głębi kortu, to tylko biegali. Ale wtedy tenis polski był lepszy niż dziś – Nowicki, Gąsiorek, Maniewski, Lewandowski, Niedźwiedzki, Rybarczyk – to były nazwiska. A dziś czym tu grać? Polski tenis jest jak piłki Stomil, leci wolno jak szybowiec – kończy Walery Grządzielski.

Metrewelego podziwiał wówczas Fibak za łatwość gry, za to, że – jak mówi – niby nie grał, a grał, niby nie biegał, a wszędzie był. Imponowała Fibakowi ta łatwość, naturalność, odmienność. Wyniosłość i zarozumiałość Metrewelego trochę Fibaka drażniła, ale zarazem i imponowała. Lubił podziwiać tenisistów, którzy grali pięknie stylowo – Nastasego, Okkera, Hrebeca, Włochów Panattę i Bertolucciego – za piękno ich gry.

– Sam grałem w sposób naturalny – wspomina tamte czasy. Miałem stały chwyt rakiety do wszystkich uderzeń i do forehandu i do backhandu, niczego nie poprawiałem i właściwie tak gram do teraz. Może jedyne co zmieniłem, a w każdym razie nauczyłem się, to uderzenia liftowane, których nie stosowałem na samym początku, bo inni Polacy – Nowicki, Rybarczyk, Niedźwiedzki grali wtedy płaską piłką, ale mój sposób trzymania rakiety pozwalał mi grać liftem. Dopiero kiedy zobaczyłem Nastasego, który miał taki sam chwyt jak ja i grał czasem liftem z forhandu i backhandu, to też zacząłem tak grać. Dziś zobaczyłem – nazajutrz grałem prawie podobnie. Mogę zagrać każde uderzenie tak samo jak Nastase – takiego samego loba, takie samo podcięcie czy drop-szota, z tej samej nogi co on, w tym samym półobrocie. Nie mówię tego, żeby się chwalić, po prostu tak grałem, i podobnie grali bracia Nowiccy, Orlikowski, na których się wychowałem, trudno było, żeby ktoś wszedł na kort i zaczął mi mówić: graj tak czy siak. Zawsze miałem słaby serwis, bo nie miałem właściwego szkolenia.

– Serwis to jest najtrudniejsze uderzenie.

– To jest najłatwiejsze uderzenie z tym, że do serwisu trzeba mieć albo dobre warunki, albo odpowiednie przygotowanie. Ja nie tylko nie miałem dobrych warunków, w tym sensie żeby być dobrze zbudowanym silnym do zbicia piłki.

– ...ile masz wzrostu?

– ... 181 cm. Ale chodzi mi o to, że inne uderzenia mogę bić silnie nie dlatego, że jestem silny, ale dzięki koordynacji. To znaczy, że uderzę piłkę we właściwym miejscu w odpowiednim momencie i poleci szybciej niżby ją walnął z całej siły jakiś kulturysta. A przy serwisie nigdy nie miałem odpowiedniego timingu (koordynacji), serwisu nikt mnie dobrze nie nauczył. Nie zwracałem na to uwagi, a później zrobiło się trochę późno. Dla mnie serwis to było po prostu wprowadzenie piłki do gry. Poprawił się dopiero w połowie mojej kariery. Miałem lepszy drugi serwis, trochę deblowy, liftowany z nadgarstka, z rotacją awansującą, lub łatwiejszy – ścięty, typowy dla dziewcząt. To jest serwis bardziej techniczny. Natomiast zasadniczego, bitego płasko serwisu, który wymaga świetnej techniki lub naturalnej siły, nie mogłem się sam nauczyć, bo nie wiedziałem co dzieje się z rakietą za głową, na plecach. Wydawało mi się, że mój ruch serwisowy jest podobny do innych, a wtedy nie mieliśmy wideo, żebym zobaczył jak gram naprawdę. W Poznaniu nie było od małego wzorów na płasko bity pierwszy serwis. Łyżwy, rower, gra w piłkę nożną i ping-pong rozwijały nogi, podobnie trening tenisowy z kosza i dużo gry na kortach ziemnych – to wszystko nie sprzyjało serwisowi. Potrzebne było wideo, przykłady i sporty, które rozwijają barki, górę, ramiona.

– To jest błąd szkolenia, ale ty jesteś bardziej samoukiem.

– Na pewno. Nie mówię tego, żeby kogoś obarczać winą, bo mogę powiedzieć wiele dobrego o szkółce AZS, ale gdybym wtedy zjawił się np. w Kalifornii czy na Florydzie, to by mnie nauczyli serwować. Przy szybkiej grze na trawie mój serwis był wystarczający, w końcu wygrałem na trawie z Edmondsonem, Newcombem, Roachem, więc nie można powiedzieć, że mój serwis nie nadawał się na trawę. Wyniki gry podwójnej i te zwycięstwa trawiaste świadczą, że do szybkiej gry serwis-voley mój serwis wystarczał. Ale do pewnego momentu. Gdy już zaczęli strzelać asy, gdy zdobywano punkty już samym serwisem, wówczas moja gwiazda bladła. Żeby wówczas dojść do pierwszej piątki na świecie, musiałbym przez kilka miesięcy zajmować się wyłącznie serwisem.

– Nie zrobiłeś tego.

– Niestety, nie. To jest to, co powiedziałem Lendlowi: zmieniaj uchwyt rakiety i od dzisiaj nie wolno ci zagrać żadnego ciętego backhandu (slice). Nie wolno! I on przez kilka miesięcy przegrywał nawet do zera, płakał, ale nie mógł podcinać, tylko grał w górę liftowany backhand, którego wcześniej nie umiał. Np. z Solomonem przegrał w Las Vegas w I rundzie 0:6, 1:6 i ja mówiłem: tak, tak graj dalej. Zaciskał zęby i dalej tak grał.

– Kiedy to było?

– 1979 lub 1980 rok. W cztery miesiące później na U. S. Open grał w II rundzie z Solomonem na tej samej nawierzchni co w Las Vegas.



WOJCIECH FIBAK: BEŁDOWSKI TO BYŁO NAJLEPSZE CO MOGŁO WYDARZYĆ SIĘ POLSKIEMU TENISOWI

Fot. Wiesław Szewczyk



WIESŁAW GĄSIOREK – „MĘCZENNIK TENISA". WIELOKROTNY MISTRZ POLSKI MIĘDZY EPOKĄ SKONECKIEGO I FIBAKA.

Fot. Eugeniusz Warmiński

Pierwszego gema przegrał, a następne wygrał 6:1, 6:0, 6:0. Grał dokładnie tak samo jak w Las Vegas, ale jego liftowany backhand był już dużo pewniejszy. Dlatego nie mają racji ci autorzy, którzy piszą, że Ivan nie pracował. Pracował nieprawdopodobnie. Gdy byliśmy razem, kiedy sprowadziliśmy się tu, do tego domu w Greenwich we wrześniu 1980 roku, Ivan zamieszkał u nas, miał swój pokój, o którym do dziś mówimy czasami „pokój Ivana", a przedtem mieszkał u nas rok na Manhattanie. Przez te dwa lata zmieniłem mu taktykę, serwis i backhand. Został zupełnie innym graczem dzięki temu, że ktoś wkroczył w jego życie. Był na tyle mądry, żeby mi zaufać. W moje życie tenisowe niestety nikt nie wkroczył i nie pomógł mi wyeliminować błędów. Ja bym się oddał Okkerowi, ale nie miał na mnie takiego powiedzmy ojcowskiego czy opiekuńczego spojrzenia: „To jest Wojtek, urodził się tu, mieszka tam, gra tak i tak, to umie, tego nie umie, to trzeba zmienić, tamtego nauczyć". Graliśmy razem w debla, ale nie powiedział mi nigdy: „Wojtek jesteś piąty czy dziesiąty na świecie, możesz być pierwszy, ale musisz zrobić to, to i to. Proszę, zaczynamy, pojedziemy do Amsterdamu czy na Florydę, weźmiemy dwóch najlepszych trenerów, Newcombe'a, Roacha, mogę nawet być ja; zainwestuję w ciebie, dasz mi potem procent od twoich nagród i będziemy trenować serwis. Z twoim talentem, z twoimi nogami i wyczuciem piłki ty ograsz wszystkich, tylko musisz znacznie poprawić serwis."

Ja tak postąpiłem z Ivanem. Nie tyle z interesu, co dlatego, że stał mi się bardzo bliski. Chodził za mną jak pies, nosił mi rakiety, nic nie mówił, tylko na mnie patrzył. Obserwował godzinami moje mecze od pierwszej do ostatniej piłki. Przyzwyczaiłem się do jego smutnej i przybitej twarzy i niewymownych oczu. Nigdy nie komentował moich meczy ani przed ani po spotkaniu. W czasie meczu nie reagował. Miałem niemego świadka. Ivan za mną chodził, bo wolał chodzić za mną niż za Kodesem. Dlaczego? Trzeba by go spytać. Widać uważał, że go nauczę więcej, inaczej niż Kodes. Graliśmy w szachy. Ivan ma dobrą głowę do rachunków, matematyki. Ale nie w sensie wyczucia świata ludzi czy businessu. W pewnych dziedzinach ma głowę profesorską, świetnie myśli i liczy, ale to jest oderwane od życia, niedostosowane, gubi się w stosunkach z ludźmi, w polityce. Życia ja go nauczyłem, bo był zupełnie surowy, zielony. Ja mu powiedziałem, że Ameryka to jest najlepsze miejsce do grania w tenisa, tu powinien mieć swój dom, przyjaciół, stąd powinien wyruszać na turnieje i tu powinien wracać, tu ma wszystkie taśmy, kasety, nagrania, cokolwiek chce. O sobie myślałem inaczej, bo ja patrzyłem jednym okiem na tenisa, a drugim na świat, zawsze mnie korcił Londyn, Paryż, Rzym, Saint Tropez, Polska – dużo mnie korciło, a jego nic nie korciło. On nie zostawił nic w Czechosłowacji za sobą. Ani rodziny, ani przyjaciół, ani Pragi, ani języka czeskiego. Do niczego nie tęsknił. Z drugiej strony zaczynał tu od nowa, nie czuł tego świata, Ameryka to była dla niego czarna magia.

– Lendl pochodzi z tenisowej rodziny, rodzice mogli mu to radzić lub odradzać.

– Ależ skąd! Jego rodzice są bardzo lojalnymi obywatelami socjalistycznej Czechosłowacji, za państwem, za partią, za porządkiem – żadnego wychylania się. Na Zachód trzeba było niestety jeździć, bo tam są turnieje, ale na tym koniec, żadna Ameryka. Ojciec zresztą bardzo miły człowiek, matka też choć trochę trudniejsza, i stosunki matka-syn (też niełatwy i wymagający) często są skomplikowane. To są przyzwoici ludzie, na poziomie, ale żadnej orientacji na świat, na drugą półkulę. A teraz są zadowoleni, gdy Ivan już świata nie widzi poza Greenwich, nie cierpi Europy, nie cierpi Czechosłowacji, najchętniej by stąd się nie ruszał. On tego nie przyzna, ale szedł moim tropem – dom w Greenwich, polska służba, samochody o których nic nie wiedział, domy na których się nie znał, psy o których nie miał pojęcia, plus moi adwokaci, moi lekarze, moi koledzy, którzy stali się jego kolegami. Jego życie jest kopią mojego życia, ale w innym stylu. Od siebie dodał golfa i dietę, które mnie nigdy nie pasjonowały. Mówiłem mu tylko od początku: „Nie pij tyle Coca Coli, nie jedz samych hamburgerów, zjedz trochę sałaty, owoców, jarzyn". On jadł tylko zupę, mięso i nic ponadto.

Teraz przesadził i z najgorszego jedzenia popadł w drugą skrajność – je tylko nasiona. Jego stosunek do życia nigdy nie był zrównoważony i elastyczny. Zobacz Czechosłowację – mówiłem mu latami, jedź, graj Puchar Davisa, udziel wywiadów, pokaż się, mów po czesku, idź do teatru, poflirtuj z najładniejszą aktorką czeską, jesteś Czechem – oto twój naród – nic, nie jechał. W końcu nie była to moja sprawa – w innych rzeczach słuchał, więc nie nalegałem do końca. Czeska Federacja, Ministerstwo Sportu i Kodes do końca myśleli, że to mój zły wpływ. Dziś już widzą, jaki jest Ivan i jego stosunek do kraju, bo go już nie ukrywa.

■

CDN.

DANIEL PASSENT

FPK ma już rok

Kultura polska jest jedna

Rok temu powołano do życia Fundację Kultury Polskiej, której głównym celem jest propagowanie naszej kultury i sztuki poza granicami kraju. Czym mogą się pochwalić członkowie-założyciele fundacji? Ten temat był przedmiotem spotkania, które odbyło się w poniedziałek w Zamku Królewskim w Warszawie.

— Informację o powołaniu naszej fundacji wysłaliśmy w świat — powiedział w czasie spotkania prezes zarządu, dhc. dr hab. Tadeusz Polak. — Czternaście podobnych organizacji nawiązało już z nami kontakt. Zajęliśmy się m. in. rejestrowaniem polskich instytucji działających w świecie. Nawiązaliśmy także kontakt z osobami, które ukończyły studia w Polsce oraz z tymi, którzy tutaj pracowali, a także osobami z mieszanych małżeństw, które są często najlepszymi ambasadorami kultury polskiej.

W ciągu roku na konto fundacji wpłynęło 79 225 312 zł, w tym na działalność statutową — 46 m'n zł, Bibliotekę UW — 300 tys. zł oraz na rewaloryzację cmentarzy we Lwowie i w Wilnie — 44 tys. zł. Członkowie-założyciele fundacji przekazali ponad 800 tys. zł. Majątek rzeczowy (darowizny) szacowany jest na ponad 22 mln zł. Ostatnio 10 mln zł wpłacił Totalizator Sportowy, 0,5 mld zł dofinansowało MKiS.

W czasie dyskusji zabrał głos m. in. sekretarz generalny Towarzystwa „Polonia", amb. Józef Klasa, który przedstawił trzy propozycje. Mianowicie — połączenie Fundacji Kultury Polskiej z Fundacją „Polonia". Argumentował to zbieżnymi celami upowszechniania kultury polskiej. Następnie — by Spółka „Polski Dom Aukcyjny" nawiązała kontakty z kolekcjonerem Wojciechem Fibakiem w celu szybszego i skuteczniejszego działania. W punkcie trzecim wspomniał o rynku książki emigracyjnej. A może by za nią płacić książką krajową? Mówca uważa, że dopiero wówczas będzie można realizować w praktyce hasło: kultura polska jest jedna.

(J.B.)





FIBAK I LENDL

IDOL MUSI BYĆ BEZ SKAZY

Jeżeli Fibak ma jakiś kompleks, jakąś zadrę, jeżeli coś go boli, to zadra ta nazywa się Iwan Lendl. Lendl jest jedynym wielkim tenisistą naszych czasów, z którym Fibak nie wygrał, aczkolwiek raz czy drugi był bliski zwycięstwa nad najlepszym tenisistą świata. Jednakże nie to gnębi naszego bohatera, ponieważ tenis w życiu Fibaka nie jest już najważniejszy i może nawet nigdy nie był. Kilka osób, które dobrze znają naszego tenisistę, sportowcy, dziennikarze (np. Budd Collins) i menedżerowie, mówiło mi, że Fibak zaszedłby w tenisie wyżej, gdyby bez reszty poświęcił się temu sportowi. Ale siła Fibaka – jego wszechstronność, którą wszyscy podziwiają, życie rodzinne, kultura, business – okazała się także słabością. Za to wszystko, za bogate życie, trzeba było płacić i płaciło się na korcie. Życie jego potoczyło się tak, że nikt nie zajmował się nim jak cudownym dzieckiem, z którego należy zdjąć wszelkie troski, byle tylko grał i wygrał. Są sportowcy chowani od dziecka na mistrzów, np. Steffi Graf, Iwan Lendl, Gabriela Sabatini, ale są też tacy, którzy muszą i umieją chodzić wokół własnych spraw. I do nich należy Fibak.

Jeżeli tenis nie jest dla niego naj-, naj-, najważniejszy, to co jest? Otóż dla Fibaka najważniejszy jest Fibak. I dlatego boli go Lendl. Fibak będąc już w czołówce światowej, zetknął się z młodym obiecującym Iwanem Lendlem. Związek ten trudno scharakteryzować jednym słowem. Były to stosunki koleżeńskie, ponieważ zbliżyło się dwóch tenisistów Europy Wschodniej, którzy znaleźli się daleko od Pragi i Warszawy, w obcym, innym świecie Zachodu, zawodowego sportu, pieniędzy, reklam, sławy, innych obyczajów i wartości. Były to stosunki trener – zawodnik, ponieważ Fibak, jako inteligentny i bardziej doświadczony tenisista, zaczął wprowadzać zmiany do sposobu gry Lendla. Między innymi radził nie biegać po każdej piłce do siatki, a przede wszystkim zmienił backhand Lendla – z ciętego na liftowany, ze slice'a na lift. Fibak, który sam grał właśnie głównie backhand cięty, ryzykowny, nisko nad siatką, wiedział co to znaczy liftowana bezpieczna piłka z backhandu, przechodząca wyżej nad siatką, niż ryzykownie plasowana piłka slajsowana. Lendl posłuchał Fibaka do tego stopnia, że przez kilka miesięcy przegrywał, ale grał tylko lifta, w ogóle nie podcinał z backhandu, aż zaczął wygrywać z tymi samymi, którym niedawno jeszcze ulegał.

Był to stosunek starszy-młodszy. Fibak jest starszy od Lendla o siedem lat. Gdyby obaj spotkali się, gdy jeden miałby lat 53, a drugi 60, to różnica ta nie znaczyłaby wiele. Ale ponieważ zetknęli się w okolicy dwudziestego roku życia – była to ogromna różnica doświadczenia na korcie i w życiu, w podróżach, hotelach, odżywianiu się, mieszkaniu, znajomości języków, świata i ludzi, reguł gry w życiu i w interesach, businessie, stolicach, cenach, walutach, obyczajach, słowem prawie w każdej dziedzinie. Fibak i jego żona Ewa zaczęli otwierać przed Lendlem różne tajemnice tamtego świata – zdrowej kuchni i zdrowych kontaktów, zdrowych inwestycji i decyzji. Fibak skłonił Lendla, by przeniósł się jak najszybciej do USA, ponieważ tam gra się najwięcej i tam będzie mu najwygodniej. Fibakowie zaoferowali Lendlowi pokój

SPORT

CHAR WOJTKA FIBAKA



Szczęśliwi triumfatorzy turnieju w Kalifornii.

Sports, A. Krasu
Polskiemu Radiu w L
oraz Klubowi Kultury
Modrzejewskiej w Los
ufundowanie nagród
bardzo pomocn
zorganizowaniu tej
imprezy. Również
podziękowania dla
uczestników i kibiców
Wojtek

23 października
ch odbył się V
Tenisowy o
ibaka, w którym
zawodników i
st to największa
w w dotychczas
niejach.
grup pojedynki
m poziomie a
lka sprawiła
o przyjemności.
nych finałach
następujący
A. Szajek - S.
6:0
PANÓW: R.
tkański 6:2, 7:5
NÓW: J. Ożóg -
, 6:1.
C PANÓW:
B.Ostapowicz - W. Strubiński 6:0, 6:2.

JUNIORZY DO LAT 16: J. Pietrowski - P.Baran 6:0, 6:0

GRA PODWÓJNA: T. Bugaj - Z. Krasuski B. Matysek - R.Krasuski 6:4, 6:2

W turnieju pocieszenia w poszczególnych grupach zwyciężyli:
w grupie A - Wojtek Brach
w grupie B - Jerzy Górecki
w grupie C - Krzysztof Petrozolin

Sponsorzy, którzy ufundowali nagrody stają się stałym fragmentem tej polskiej imprezy w południowej Kalifornii. W tym miejscu chciałbym serdecznie podziękować Wojtkowi Fibakowi, PLL LOT, POLAM Federal Credit Union, Modern Travel Service w Glendale, Warno



EM (1)

e Jorku, nigdy nie miałabym
em.
zapięcia pasów, pasażerowie
m wokół nerwowo, usiłując
mamusiowata psychoanality-
atnio odbywałam konsultacje
aktualnego psychoanalityka
ście nie stwierdziłam). Był dr
spert od „anorexia nervosa"
iem mojego męża. Leciał też
óry był trzecim (i ostatnim)
A także kompulsywny dokto-
tewardesę tak, jak przywołuje
wnego pamiętnego roku, gdy
śmierć w poczuciu winy, że
anapie w salonie rodziców,
ł być moim ojcem i że znów
sze jestem kobietą". Był też
órym odbywałam konsultac-
zusem i zaczął głosić, iż będzie
l Parku. I również elegancki,
ubrania dr Ernest Klempner,
tyka"; jego najnowsze dzieło
Knoxie. Był czarnobrody dr
ostatnio rozgłos w kręgu
co nazwane zostało „Objaz-
dr Arnold Aaronson, usiłują-
nową żoną (która jeszcze rok
udy Rose. Oboje ukradkiem
nich patrzy – i przez moment
ose stała się sławna w latach
lad o pseudointelektualnym
odyjnym głosem wyśpiewała
podejmuje naukę w New
, w łóżku rozprawia o Marti-
choanalityku. W ten sposób

i i kilku żałosnych pozostają-
ów, była tam także grupka
sobą w podróż. Synowie byli
zkloszowanych spodniach,
woich starych w ewidentnie

T

O PUCHAR WOJTKA FIBAKA



torzy turnieju w Kalifornii.

W dniach 22 i 23 października 1988 w Long Beach odbył się V Polski Turniej Tenisowy o Puchar Wojtka Fibaka, w którym startowało 50 zawodników i zawodniczek. Jest to największa liczba uczestników w dotychczas rozegranych turniejach.

W każdej z grup pojedynki stały na dobrym poziomie a sportowa walka sprawiła uczestnikom dużo przyjemności. W poszczególnych finałach zwyciężyli następujący zawodnicy:

GRUPA PAŃ: **A. Szajek** - S. Wasylkiewicz 6:1, 6:0

GRUPA A PANÓW: **R. Krasuski** - S. Natkański 6:2, 7:5

GRUPA B PANÓW: **J. Ożóg** - M. Przywara 6:1, 6:1.

GRUPA C PANÓW: **B.Ostapowicz** - W. Strubiński 6:0, 6:2.

JUNIORZY DO LAT 16: **J. Pietrowski** - P.Baran 6:0, 6:0

GRA PODWÓJNA: **T. Bugaj - Z. Krasuski** B. Matysek - R.Krasuski 6:4, 6:2

W turnieju pocieszenia w poszczególnych grupach zwyciężyli:

w grupie A - Wojtek Brach

w grupie B - Jerzy Górecki

w grupie C - Krzysztof Petrozolin

Sponsorzy, którzy ufundowali nagrody stają się stałym fragmentem tej polskiej imprezy w południowej Kalifornii. W tym miejscu chciałbym serdecznie podziękować Wojtkowi Fibakowi, PLL LOT, POLAM Federal Credit Union, Modern Travel Service w Glendale, Warno Sports, A. Krasuski DDS, Polskiemu Radiu w Los Angeles, oraz Klubowi Kultury im. Heleny Modrzejewskiej w Los Angeles za ufundowanie nagród co było bardzo pomocne w zorganizowaniu tej polskiej imprezy. Również, słowa podziękowania dla wszystkich uczestników i kibiców.

Wojtek Piotrowski

„Who's Who": „Wojciech Fibak, tenisista, ur. 30 sierpnia 1952 Poznań, żonaty, 2 córki. Mistrz Polski juniorów, seniorów, starty w turniejach „open" 1974, zwycięstwa w Sztokholmie, Bournemounth, Wiedniu, II miejsce w „Masters 76", mistrzostwo świata w deblu (z K. Mallerem) 76, zwycięstwa: Monterrey, Duesseldorf, Denver, Stuttgart, Dayton, Nowy Orlean, Sao Paulo, Dubai, Gstadt, Amsterdam, Paryż, Chicago, mistrzostwo świata w deblu (z T. Okkerem) 78, wicemistrzostwo w 80, 24 mecze w reprezentacji Polski w Davis Cup, 18 wygranych. Hobby: kolekcjonowanie malarstwa, historia, literatura. Adres: Poznań, al. Wielkopolska (nieaktualny)".

„Nic nie dostałem w spadku"

Fibak w Warszawie

Fibak, po czteroletniej nieobecności przyjechał na kilka dni do Polski. Przyjęty został przez ministra przemysłu Mieczysława Wilczka, odbył kilka innych oficjalnych spotkań, zwiedzał galerie sztuki i pracownie malarzy, o których słyszał, że są utalentowani. Przed odlotem via Paryż do Nowego Jorku spotkał się ze swoimi kibicami w studenckim klubie „Park".

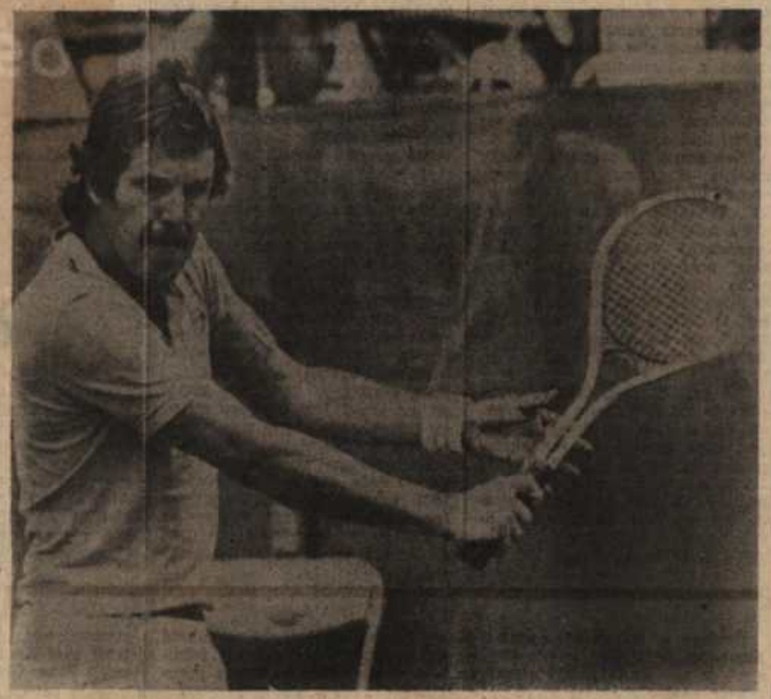

Wojciech Fibak podczas turnieju tenisowego w amerykańskiej miejscowości North Conway.

JAK ZROBIĆ KARIERĘ

— Już jako osiemnastolatek grałem w tenisa chyba najlepiej w Polsce, ale nie mogłem przedostać się do wielkiej gry, bo na przeszkodzie stała biurokracja. Grałem w turnieju juniorów w Wimbledonie, doszedłem do ćwierćfinału i dostrzegł mnie jeden z trenerów amerykańskich. Bez kontaktu ze mną załatwił stypendium na uniwersytecie Stanford i pod adresem PZT nadeszło oficjalne zaproszenie na moje nazwisko. Po wielu miesiącach, kiedy je wreszcie dostałem do ręki, na studia w Ameryce było za późno...

Decydując się na prywatny wyjazd na turnieje w Hiszpanii, wiedziałem, że to jest absolutnie ostatnia szansa. Miałem już przecież skończone 21 lat! Na szczęście wygrałem z Ashem i zarobiłem pieniądze na dalszą grę, w Teheranie, w Wiedniu. Tam, według planów trenera kadry, dopiero mieliśmy próbować swoich sił w eliminacjach. Moi koledzy — Nowicki, Niedźwiecki, Rybarczyk — wysłani zostali z kraju pociągiem i... spóźnili się na te eliminacje. Przychodzili na korty tylko po to, żeby mnie obejrzeć. Właściwie nielegalnie, bo przed wyjazdem zabroniono im kontaktować się ze mną... No, ale jak zacząłem się liczyć na światowych kortach, to stosunki ze Związkiem jakoś się ułożyły...

ZOSTAĆ MILIONEREM...

— W pierwszym roku zawodowstwa — 1974, zarobiłem najwyżej 10 tysięcy dolarów i wszystko to wydałem na podróże i hotele. W następnym sezonie już zacząłem wygrywać turnieje i uzbierało się jakieś 50 tysięcy, ale też wszystko wydałem. Dopiero od 76. do 80. zarabiałem średnio po 300 tysięcy rocznie. Ale, powtarzam, zarabiałem. Nikt mi nic z tego cacko, sobie zachowując może tylko jeden pokój z widokiem na Krakowskie Przedmieście. Ale tam rządzi „Orbis", nikogo nie chce dopuścić i tak się ślimaczy ta budowa. Kiedy byłem w Polsce cztery lata temu, przy „Bristolu" pracowało dwóch ludzi z łopatą. Dzisiaj znowu zobaczyłem tych samych dwóch murarzy z tą samą łopatą...

Moim pierwszym i jedynym menedżerem był Donald Dell z „ProServ", który opiekował się również tenisistami ze ścisłej czołówki, lepszymi i więcej zarabiającymi graczami niż ja. Np. Connorsem. Otóż Dell nasze oszczędności lokował w różnych przedsiębiorstwach, niekoniecznie dużych i bardzo dochodowych. Po dwóch latach zorientowałem się, że właściwie nigdy tej forsy nie będę mógł wycofać w całości, a tylko przez dziesiątki lat spływać będą na moje konto procenty, powiedzmy w wysokości 100 tysięcy.

Szansa odzyskania, co moje, pojawiła się dopiero wtedy, kiedy zostałem menedżerem Lendla, a on zaczął błyskawicznie iść w górę. Gdy rozstawaliśmy się, po prostu odsprzedałem kontrakt z Ivanem temu samemu Dellowi za moje udziały w „ProServ". Teoretycznie nie był to wcale interes, ale dysponując kilkuset tysiącami mogłem wreszcie inwestować tam, gdzie chcę i w co chcę.

Ja jestem właśnie inwestorem, czyli lokuję pieniądze w różne przedsięwzięcia, które potem są sprzedawane z zyskiem. Ale tego trzeba się było nauczyć i to właśnie były moje wyższe studia, bo prawa na uniwersytecie poznańskim nigdy nie skończyłem. Za to Stoczni Gdańskiej. Jeszcze nie wiem, czy to dobrze, czy źle. Muszę zajrzeć do gazet, którym ufam, do „Wall Street Journal", do „Financial Times" i będę wiedział, co właściwie jest grane. Jutro będę sobie mógł odpowiedzieć na pytanie, czy to jest inwestycja, w którą — gdyby były takie możliwości — opłacałoby się włożyć pieniądze. A dzisiaj wiem, że chętnie zainwestowałbym w warszawski hotel „Bristol" i zrobił

W WIELKIM ŚWIECIE

W Polsce coraz bardziej zaczyna być podobnie jak na Zachodzie. Zaczyna się gra pieniędzmi. I myślę, że obrotny inżynier czy ekonomista właśnie w kraju ma szansę sprawdzić, na ile go stać. Oczywiście można wyjechać, tylko trzeba wiedzieć po co. Ja miałem rakietę i to był dobry język, żeby się porozumieć w wielkim biznesie. Ale wyjechać po to, żeby z dyplomem wyższej uczelni zmywać naczynia w restauracji, albo sprzedawać ciuchy w sklepie — to nie ma sensu.

KOLEKCJONER SZTUKI

— Kiedy się już ma pieniądze, myśli się nie tylko o ich lokacie, ale i o przyjemnościach. Jakieś dziesięć lat temu zacząłem się interesować malarstwem.

Kiedy tu, na początku wieku, Axentowicz, czy Fałat malowali dla pieniędzy i trwonili talent, lepszych: Modiglianiego, Picassa czy Matisse'a. Zbieram malarstwo polskie albo polsko-żydowskie „szkoły paryskiej": płótna Kramsztyka, Gottlieba, Poznańskiej, Makowskiego. Mam kolekcję, która się liczy, którą odnotowują najpoważniejsze katalogi. To jest inwestycja nie tylko dobra dla mnie, ale także dla tego malarstwa, bo ono ciągle jest niedoceniane. Zbieram też sztukę współczesną. Z tą jest już zupełnie źle, bo właściwie na poważnych aukcjach Kantora czy Gierowskiego kupuję tylko ja. Mogę mieć wszystko, co chcę, czyli ceny są niskie. A są takie, bo Polacy-artyści teraz żyjący i tworzący nikogo właściwie nie obchodzą.

Cały czas uczę się promocji tej sztuki. W tym celu założyłem pismo „Pro Arte", które zresztą znakomicie funkcjonuje, chociaż jest drogie — 40 dolarów. Ale ludzie decydujący o rynku sztuki traktują je poważnie.

O TYM, JAKIE MA PLANY

— Do Polski przyjechałem na święta, do rodziców, ale także trochę w interesach. Nie wiem jeszcze, czy ja sam będę inwestować w Polsce. Może uczynią to ludzie ze mną związani, którym to doradzę.

Po tych kilku dniach wrócam do Paryża, gdzie od roku mieszkam na stałe, ale prawie natychmiast odlatuję stamtąd do Nowego Jorku, bo w przyszłym tygodniu dwa największe domy aukcyjne „Christie" i „Sotheby" wystawiają prace, i całe popołudnia będę rozmawiać o malarstwie, oglądać malarstwo i prawdopodobnie je kupować. Potem wrócę do Paryża, a niewykluczone, że znowu zawitam do Polski, bo mam np. taki pomysł, żeby założyć tu coś w rodzaju agencji, która zajmować się będzie promocją polskich młodych i utalentowanych artystów. Wielu młodych Polaków zasługuje na to, żeby zrobić światowe kariery.

Od Kaczyńskiego do Fibaka

Do Poznania przylecieli prywatnym samolotem dwaj Polacy, którym — co do tego wszyscy są zgodni — powiodło się na Zachodzie. Jedno nazwisko — właściciela nowojorskiej firmy „Kwiatkowski Aircraft" jeszcze nie jest u nas znane. Ale kto z poznaniaków nie słyszał o Wojciechu Fibaku? Oto krótka rozmowa, jeszcze na Ławicy, z najsłynniejszym po wojnie polskim tenisistą.

„EP": — Podobno tym razem przylatuje pan do rodzinnego miasta wyłącznie w interesach?

— Tak, ale to jeszcze nic pewnego. Nie wiem, czy dojdzie do podpisania umowy.

„EP": — Będzie pan stawiał twarde warunki przed przystąpieniem do ewentualnej spółki rewaloryzującej „Bazar"?

— W interesach trzeba być nieustępliwym a jednocześnie elastycznym i gotowym na ustępstwa. Ja mam własną koncepcję, którą chciałbym przeforsować, ale... może dam się przekonać?

„EP": — Jeszcze parę lat temu, nie gdzie indziej a w Poznaniu, zatrzaskiwano przed panem drzwi, odmawiano uczuć patriotycznych. Jak pan się czuje dzisiaj, gdy te same osoby wyciągają ramiona?

— Jestem człowiekiem interesu, nie uprawiam polityki i to w jakiś sposób określa mój stosunek do ludzi.

Tej rozmowy nigdy nie było. Od początku do końca — wszystko, także zawarte tam informacje są wyssane z mojego palca. Autentyczne są postaci — W. Fibaka i H. Kwiatkowskiego, który jest znanym biznesmenem w USA. A kiedy wyjawiłam prawdę w nadziei na łagodny wyrok, dopowiem i resztę: po co ta karnawałowa szopka.

Ani mi w głowie narażać na szwank dobre imię „Expressu", który za wydrukowanie takiego „falsyfikatu" poszedłby — kto wie? — czy nie do sądu. Pomysł wcale nie jest zresztą oryginalny. Pierwszą była koleżanka po długopisie z „Rzeczywistości", której fantazja wprawiła mnie najpierw w zdumienie, a potem w zazdrość: ta ma bujną wyobraźnię i nie lada odwagę! Jej wyczyn, spopularyzowany przez wszystkie już gazety, to wymyślone wywiady z Bogusławem Kaczyńskim i Halszką Wasilewską z telewizji. Gdyby nie ryzykowne opinie włożone w usta rozmówców, może prawda w ogóle nie wyszłaby na jaw, a czytelnicy „Rzeczywistości" czytaliby dalej dowcipne pogawędki z Wałęsą, Mlodowiczem, Olbrychskim?...

Ale się stało. Teraz myślę, czy przysporzy to tygodnikowi, którego reputacja i tak była odrobinę nadszarpnięta, czytelników żądnych — jak się mniema — rozróby, sensacji i afer? A może przeciwnie — odstraszy od tak mało wiarygodnego źródła informacji, które nawet przy daleko posuniętej tolerancji trudno nazwać ii tylko sztubackim wygłupem.

Tak więc i ja sfingowałam wywiad nie mający nic wspólnego z rzeczywistością za to bardzo wiele z „Rzeczywistością". I dzięki temu wiem, że niegdysiejsze uzupełnienia wątków biograficznych sławnych postaci, dopisywanie im sentencji nigdy nie wypowiedzianych wcale nie wymagało aż tak wiele wysiłku jak czasami obróbka tego, co stanowi plon prawdziwego wywiadu. Kiedyś usiłowałam wyciągnąć parę własnych myśli z siedzącego przede mną ponad godzinę działacza. Co miałam w końcu zrobić? Trochę mu w tym pomogłam. Gdy przeczytał następnego dnia swoje zdania drukiem, zatelefonował do mnie przepełniony szczerą radością: „Koledzy mi gratulowali, a ja nie spodziewałem się, że tak mi ta rozmowa z panią wyjdzie"...

Telefonu od Wojciecha Fibaka się nie spodziewam.

DANUTA PAWLICKA

„KOWAL" SZUKA SZCZĘŚCIA W RFN

Pod koniec minionego roku pisałem o niezwykle interesujących planach byłego zawodnika AZS, dziś czołowego trenera RFN Macieja Gumowskiego. Przy współpracy Jacka Durskiego zamierza on w kwietniu zorganizować w Poznaniu ogólnopolski kurs instruktorów i trenerów tenisowych, w którym wykładowcami będą eksperci z RFN.

Tutaj istotna dygresja. Kto dziś pamięta, że zaledwie przed 11 laty, ściśle w kwietniu roku 1977, w meczu o Puchar Davisa Polska pokonała RFN 3:1? Przypomnę wyniki: Fibak — Meiler 6:1, 6:0, 6:1; Niedźwiecki — Pinner 9:11, 2:6, 1:6; Fibak — Pinner 10:8, 6:3, 6:4 i debel Fibak, Niedźwiecki — Fassbender, Meiler 6:4, 3:10, 6:3, 6:4, 6:3. Przypominam te fakty nie bez kozery. Dziś polski tenis należy do najsłabszych w Europie, natomiast drużyna RFN bez trudu rozgromiła faworyzowaną Szwecję, zdobywając po raz pierwszy w historii „srebrną salaterkę".

Expres Poznański